



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Pisma Henryka Sienkiewicza

Henryk
Sienkiewicz

S. L. 5723.7.1

Harvard College Library



FROM THE FUND OF
FREDERICK ATHEARN LANE
OF NEW YORK
(Class of 1849)



PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

XXIII

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXIII



BEZ DOGMATU

TOM III



Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

HENRYK SIENKIEWICZ

BEZ DOGMATU

POWIEŚĆ

TOM III

WYDANIE CZWARTE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW



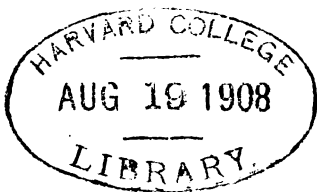
WARSZAWA

GEBETHNER I. WOLFF

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1906

3123.104
HARVARD
LIBRARY



Lane fund

Gastein, 23 Czerwca.

Jesteśmy już od tygodnia w Gasteinie całym domem, to jest: Anielka, ciotka, pani Celina, ja i Kromicki. Przerwałem na czas jakiś pisanie, nie dlatego, bym się pozbył nałogu, albo nie czuł potrzeby, ale dlatego, że to, co się ze mną działo, nie mogło się żadną miarą w słowach pomieścić. Póki się człowiek odpreża i szamoc z siłą, która go ciśnie, póty niema głowy, ni czasu, na nic innego. Byłem w takim stanie, jak ów skazany w pamiętnikach Sanssona, z którego darto pasy i zalewano rany po zdartych pasach roztopionym ołowiem, a który krzyczał w uniesieniu nerwowem: «Encore! encore!» — aż wreszcie omdlał. Ja już omdlałem, to znaczy, że się wy-czerpał i poddał się zupełnie.

Ciąży nademną taka jakaś ogromna ręka, jak te góry, w których siedzimy.

Ale cóż na to poradzę? Przecie się jej nie

opnę, niech więc mnie gniecie. Nie wiedziałem, że można znaleźć, jeśli nie pewną pociechę, to pewne uspokojenie w poczuciu swej bezsilności i rozumieniu swej nędzy.

Obym tylko znów nie zaczął się odprężać, oby ten stan trwał jak najdłużej! Spisywałbym sobie to, co mnie spotyka, jak gdybym był kimś innym. Ale wiem z doświadczenia, jak dzień bywa niepodobny do dnia — i boję się tego, co jutro przyniesie.

24 Czerwca.

Napisałem przy końcu mego pobytu w Warszawie takie zdanie: «Miłość do cudzej żony, jeśli jest pozorną, jest podłością; jeśli jest rzeczywistą, jest jednym z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może». Pisząc to przed przybyciem Kromickiego, nie zdawałem sobie sprawy ze wszystkich składników takiego nieszczęścia. Myślałem, że jest ono szlachetniejsze, niż jest istotnie. Teraz dopiero widzę, że, prócz wielkich bólów, składają się na nie i małe upokorzenia, i poczucie własnej nikczemności, i własnej śmieszności, i konieczność kłamstwa, i potrzeba spełniania tysiąca nędznych uczynków, zachowywania tysiąca niegodnych człowieka

ostrożności — co za bukiet! Doprawdy, od zapachu tych kwiatów można się udusić.

Bóg widzi, z jaką rozkoszą wziąłbym Kromickiego za gardło, przycisnął go do ściany i powiedział mu w same białka: «Kocham twoją żonę!» — a zamiast tego, muszę się starać, by nawet nie przyszło mu do głowy, że ona mi się podoba. Jaka to piękna rola względem niej! Co ona sobie może o mnie pomyśleć! To właśnie jeden kwiatek z tego bukietu.

25 Czerwca.

Póki będę żyw, nie zapomnę tego dnia, w którym przyjechał Kromicki. Zajechał w Warszawie wprost do mnie. Wróciwszy do domu późnym wieczorem, zobaczyłem w przedpokoju jakieś pakunki. Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi odrazu do głowy, że to mogą być kuferki Kromickiego. Nagle on sam wyjrzał z przyległego pokoju i wypuściwszy na mój widok monokl z oka, skoczył z otwartymi rękoma witać nowego krewnego. Widziałem, jak przez sen, jego suchą czaszkę, podobną do trupiej głowy; jego świecące oczka i czarną czuprynę. Po chwili objęły mnie ramiona, jakby drewnianego manekina. Przyjazd Kromickiego był rzeczą łatwą

do przewidzenia, a jednak było mi tak, jakbym zobaczył śmierć. Zdawało mi się, że mam straszny sen i że te słowa: «Jak się masz, Leonie!» — są najbardziej fantastycznymi, najmniej prawdopodobnymi słowami, jakie mogę usłyszeć. Nagle porwała mnie taka wściekłość, takie obrzydzenie i taka trwoga, że potrzebowałem całego natężenia woli, żeby się na tego człowieka nie rzucić, nie obalić go na podłogę i nie rozbić o nią jego czaszki. Doznawałem nieraz uczucia wściekłości i obrzydzenia, ale zaprawa tych uczuć trwogą, była dla mnie czemś nowym i niepojętym; nie był to bowiem strach przed żywym człowiekiem, ale jakby przed umarłym. Długi czas nie zdołałem się zdobyć ani na jedno słowo. Na szczęście, on mógł przypuszczać, że go nie poznał, albo że był zdziwiony, iż on, człowiek, z którym zaledwie się znałem, odrazu traktuje mnie, jak krewnego i mówi mi ty... Drażni mnie to jeszcze do dziś dnia w najwyższym stopniu.

Staralem się ochłonać; on tymczasem założył monokl i potrząsając na nowo moją ręką, mówił:

— Jak się masz? Jak tam Anielka? jak matka? — chora zawsze, co? a ciocia? — a?

I znowu ogarnęło mnie zdumienie z zaprawą

nie ludzkiego gniewu, że on najbliższe i najdroższe mi kobiety wymienia tak, jakby były równie bliskie jemu. Człowiek światowy, jakim jestem, wszystko zniesie, wszystko ukryje, bo go do tego wdrażają od dzieciństwa — a jednak czułem, że nie wytrzymam. Począłem wołać na służbę, by podawano herbatę, chcąc w jakikolwiek sposób wyrwać się z tego odrętwienia i zajmując myśl czem innym. Kromickiego jednak zaniepokoiło to, że mu nie odpowiadam — i wypuściwszy drugi raz monokl, spytał żywo:

— Czy się co nie stało? Czemu nic nie mówisz?

— Zdrowi wszyscy — odrzekłem.

Nagle przyszło mi na myśl, że to moje wzruszenie daje z miejsca przewagę nademną temu nienawistnemu człowiekowi i opanowałem się w jednej chwili.

Zaprowadziłem go do jadalnego pokoju i posadziwszy za stołem, spytałem:

— Co u ciebie słyhać? Na długo przyjechałeś?

— Nie wiem — odrzekł. — Tęskno mi było do Anielki — a myślę, że i jej do mnie. Myśmy ledwie parę miesięcy spędzili razem. Jak na miodę małżeństwo, to trochę za mało — co?

I roześmiał się swoim drewnianym śmiechem, poczem rzekł:

— Zresztą mam i tu interesa. Interesa! interesa i zawsze interesa!

Tu począł zaraz opowiadać mi obszernie o swoich sprawach, ale ja nie słuchałem i nie rozumiałem z tego ani słowa. Słyszałem tylko co chwila wyraz «forsa» i widziałem ruch monokla. Dziwna rzecz, jak w wielkim nieszczęściu mogą drażnić rzeczy małe. Nie wiem, czy tak jest ogólnie, czy tylko ze mną, dość, że ten wyraz «forsa» i ten monokl były mi przykre nie do zniesienia. W pierwszej chwili powitania byłem prawie nieprzytomny, a jednak mogłem był porachować wszystkie ruchy monokla. Tak bywa zawsze — i teraz.

Po herbacie odprowadziłem Kromickiego do pokoju, który mu przeznaczyłem na nocleg. Tam nie przestając mi opowiadać, począł się, z pomocą służącego, rozpakowywać. Czasem przerywał opowiadanie o interesach, pokazując mi jakieś osobliwości, przywiezione z dalekiego Wschodu. Między innymi rozwiązał paski podróżne, w których, obok pledu, były dwa małe dywaniki wschodnie i rzekł:

— To kupiłem, jakem był w Batum. Ładne, co? Pójdą przed nasze łóżka.

Zmęczony się, siadł po wyjściu służącego na fotelu i gadał dalej o swoich obrotach na Wschodzie i nadziejach, ale ja myślałem o czem innym. Jestto niechybnie ratunkiem dla człowieka, iż w danym razie, nie mogąc się obronić ogółowi nieszczęścia, broni się pojedynczym jego szczegółom. Mnie teraz chodzi głównie o to, czy Kromicki pojedzie, czy nie pojedzie do Gasteinu, dlatego po chwili rzekłem:

— Mało cię znałem dotychczas, ale teraz wierzę, że ty zrobisz majątek. Nie jesteś nic a nie lekkomyślny i dla sentymentów nie poświęcisz spraw ważniejszych.

Kromicki uściskał mi gorąco rękę.

— Nie uwierzysz — odpowiedział — jak mi na tem zależy, żebyś miał zawsze do mnie zaufanie.

Ja, w pierwszej chwili, nie uważałem na szczególne znaczenie tych słów; zajęty byłem myślą, że już popełniłem względem Kromickiego kłamstwo i podłość — kłamstwo, bom nie wierzył w jego zdolności do interesów, a podłość, bom mu pochlebiał — jemu, którego bym chętnie utopił w łyżce wody. Ale chodziło mi przede-

wszystkiem o to, by go odwieść od podróży do Gasteinu — więc brnąłem przez tę wodę dalej.

— Widzę, że ci nie na rękę podróż tych pań — rzekłem.

On w odpowiedzi począł narzekać na zdrowie pani Celiny, tak, jak pospolity egoista, który wszystko odczuwa o tyle tylko, o ile jego to dotyczy.

— Naturalnie — mówił — że mi ta wyprawa nie jest na rękę. Między nami, myślę, że mogłoby się bez niej obyć. Wszystko powinno mieć swoją miarę, nawet przywiązanie córki do matki. Kobieta, która wyszła za męża, powinna rozumieć, że pierwsze jej obowiązki są względem męża. Przytem ta matka, siedząca wiecznie o ścianę, w sąsiednim pokoju, krępuje swobodę, nie pozwala ludziom żyć się ze sobą i oddać się wyłącznie sobie. Nie przeczę, że przywiązanie dzieci do rodziców jest rzeczą chwalebną, ale gdy jest posunięte do przesady, staje się przeszkodą życiową.

Wpadłszy na ten przedmiot, rozgadał się i wygłosił mnóstwo podobnych prawd, ogromnie płaskich i pospolitych, które drażniły mnie tem więcej, że jest w nich pewna doza słuszności. **Nakoniec rzekł:**

— Ale trudno. Ja jestem, jak kupiec: wiedziałem, jaki kontrakt zawieram i gotów jestem spełnić wszystko to, co mnie obowiązuje.

— Więc pojedziesz do Gasteinu?

— Naprzód mam w tem osobisty interes. Chodzi mi o to, żebyśmy się poznali bliżej z sobą i z ciotką, i żebyście naprawdę nabrali do mnie zaufania. Pogadamy o tem w przyszłości. Mam miesiąc, albo półtora, wolnego czasu. Zostawiłem na Wschodzie Lucyana Chwastowskiego, który pilnuje moich spraw, a który jest, jak mówią Anglicy, «a solid man». Rozumiesz przytem, że jak się ma taką żonę, jak Anielka, to się człowiekowi chce pomieszkać z nią trochę pod jednym dachem — rozumiesz, co?

To mówiąc, wytrzeszczył swoje żółte, spróchniałe zęby, roześmiał się i począł mnie klepać po kolanie. A mnie czyniło się zimno w mózg i czaszkę. Czulem doskonale, że blednę. Wstałem i odwróciwszy się prędko od światła, by on nie dostrzegł zmiany w mojej twarzy, wysiliłem się na pytanie:

— Kiedy jedziesz do Płoszowa?

— Jutro, jutro!

— Dobranoc!

— Dobranoc! — odrzekł, wypuszczając monokl z oka.

I wyciągnawszy do mnie obie ręce, dodał:

— Ogromniem rad, że się będziemy mogli zbliżyć. Zawsze miałem do ciebie jakąś słabość... Ręczę, że rozumiemy się doskonale.

My z nim mamy się zrozumieć? Jaki on jest bezdennie głupi! Ale im jest głupszy, tem mi straszniej pomyśleć, że Anielka jest jego własnością, jego, poprostu, rzeczą. Nie próbowałem nawet rozbierać się tej nocy. Nigdy nie widziałem tak jasno, że może być położenie, w którem słowa się kończą, kończy się zdolność rozumienia i odczuwania klęski — a klęska się nie kończy. Istotnie, obmyślono nam wspaniałe życie! Dość powiedzieć, że poprzedni okres mego istnienia, w którym Anielka deptała po mojem uczuciu i który uważałem za szczyt niedoli, wydał mi się teraz okresem bajecznego szczęścia. Gdyby wówczas i gdyby dziś jeszcze zjawił się przedemną dyabeł i dał mi do podpisania kontrakt, że wszystko zostanie tylko tak, jak było dotąd, że Anielka wiecznie będzie policzkowała moją miłość, ale za to Kromicki nigdy nie przyjedzie, tobym w zamian ofiarował moją duszę i podpisałbym go bez wahania. Bo w mężczyźnie, któ-

rego kobieta odtrąca, wyrabia się mimowoli przekonanie, że ona stoi na szczycie jakiejś wieży gotyckiej, na jakiejś niedostępnej wyżynie, ku której oczu nie wolno podnieść. Tak ja, mimowoli, myślałem o Anielce. Tymczasem przyjeżdża taki pan Kromicki, z dwoma dywanikami z Batum i ściąga ją bez ceremonii z tej wyżyny, aż na te dywaniki — ją, tę nieugiętą, tę nieubłaganą, tę kapłankę! Jaka to straszna rzecz, że człowiek może myśleć i wyobrażać sobie wszystko — a jaki jest przytem obrzydliwie płaski i śmieszny! Com ja się narozmyślał, ilem natworzył teorii, ilem nawyciskał mózgu, by sobie dowieść, że miłość jest większą siłą od ślubnych kontraktów, że ja mam prawo kochać Anielkę, a ona mnie — i teraz — ja będę mieszkał z mojami teoryami, a Kromicki z Anielką.

Ponieważ wiatr ma być stosowany do wełny jagnięcia, więc pomyślałem sobie, że i człowiek także może unieść tylko pewien oznaczony ciężar, a jeśli mu nałożą więcej na plecy, to musi upaść. W swoim nieszczęściu bez miary, w swojej również bez miary głupocie i poniżeniu i śmieszności czułem, że od chwili przyjazdu Kromickiego zaczynam pogardzać Anielką. Dlaczego? Żadnymi ludzkiego powodami nie umiałbym tego

usprawiedliwić. Żona powinna należeć do męża. Tę prawdę umiem równie dobrze na pamięć, jak każdy inny głupiec, ale w stosunku do mego uczucia, jest ona upodleniem dla Anielki. Co mnie zresztą mogą obchodzić wszystkie rozumowania! Wiem, że gardzę i że to jest właśnie więcej, niż mogę przenieść. Poczulem, że istnienie w tych warunkach jest dla mnie czystem niepodobieństwem i że koniecznie, bez najmniejszej wątpliwości, muszą teraz przyjść zmiany zupełne, w których zatraci się to, co było.

Ale jakie zmiany? Gdyby pogarda udusiła moje uczucie, jak wilk owcę, to byłoby dobrze. Miałem jednak zaraz poczucie, że nastąpi coś innego. Gdybym Anielki nie kochał, tobym nią nie pogardzał — więc pogarda, to tylko nowy łańcuch do mojej obroży. To doskonale rozumiałem, że poza panią Kromicką, poza panem Kromickim i ich wzajemnym stosunkiem, nie obchodzi mnie na świecie nic, zupełnie nic! — ani światło, ani ciemność, ani wojna, ani pokój, ani żadna rzecz, która jego jest. Ona, Anielka, a raczej teraz oni oboje i mój udział w ich życiu, to jedyna racya mego istnienia. Jeżeli zaś z tej samej racyi nie mogę istnieć, więc co ma nastąpić? Nagle doznałem jakby zdziwienia, że je-

dyna, najprostsza rzecz, nie przysłała mi do głowy — śmierć. Co za niesłychana siła w ręku ludzkim ta możność przecięcia nici! Teraz czekam cię, zły duchu mojego życia i powiadam ci tak: «Będziesz póty tylko dokładał mi ciężaru na kark, póki ja sam zechcę. Gdy mi będzie nadto, to cię kopnę razem z twoim ciężarem»... «E poi eterna silenza!»... nirwana, czwarty wymiar Cellnera... zresztą, czy ja wiem co! Na samą myśl o tem, że ostatecznie wszystko zależy odemnie, doznałem ogromnej ulgi... Z godzinę przeleżałem na sofie, rozważając, jak i kiedy to uczynię — i już samo oderwanie umysłu od Kromickiego, od jego przyjazdu, od mej dla niego zawiści, było dla mnie jakby odpoczynkiem. Taka rzecz, jak odebranie sobie życia, wymaga pewnych materialnych zachodów — co także prowadzi za sobą konieczność myślenia o czemś jeszcze poza swoją biedą. Przypomniałem sobie zaraz, że mój podróżny rewolwer ma zbyt mały kaliber. Wstałem, by go obejrzyć i dokonawszy tego, postanowiłem kupić inny. Począłem sobie łamać głowę, jak w danym razie urządzić rzecz w taki sposób, iżby powszechnie uwierzono w wypadek. Wszystko to zresztą była czysta teoria. Nic nie

krystalizowało się we mnie w określony zamiar. Nazwałbym to raczej poczuciem możliwości samobójstwa, niż postanowieniem. Owszem byłem teraz pewny, że to nie nastąpi prędko. Bo, myślałem sobie, skoro wiem, gdzie jest brama i zawsze mogę wydostać się na pole, to zostanę, żeby zobaczyć: do jakiego też stopnia zło może się wysilić, jaką jeszcze obmyślono mi mękę? Palila mnie bolesna, ale niepohamowana ciekawość, co się jeszcze stanie, jak tych dwoje ludzi będzie żyło ze sobą, jak Anielka będzie mi patrzyła w oczy?... Znużyłem się nakoniec i usnąłem w ubraniu, ciężkim snem, bo pełnym monokłów Kromickiego, rewolwerów i wszelkiego rodzaju bezładu, w którym ludzie mieszają się z rzeczami. Zbudziłem się jednak późno. Służący powiedział mi, że Kromicki już był wyjechał do Płoszowa. Pierwszą myślą moją było jechać za nim, widzieć, zobaczyć ich razem. Ale siedząc już w powozie, uczułem nagle, że tego nie przeniosę, że mi to będzie zbyt ciężkie i nieznośne; zrozumiałem, że to mogłoby zbyt przyspieszyć moje wyjście przez otwartą bramę na owo nieznane pole — i kazałem się wieść gdzieindziej.

Człowiek, choćby był największym pesymi-

stą, unika instynktownie złego i broni się od niego wszystkimi siłami. Dlatego chwytła się każdej nadziei, oczekuje polepszenia od każdej zmiany. Obudziła się we mnie taka chęć, byśmy jak najprędzej mogli wyjechać do Gasteinu, jakby mnie tam czekało zbawienie. Ale jednak chciałem wyjechać. Byle ich ruszyć z Płoszowa! — ta myśl nie dawała mi spokoju i opanowała mnie tak zupełnie, że poświęciłem cały dzień jej wykonaniu.

Nie przyszło to trudno. Te panie były już prawie gotowe. Kromicki nic poprzednio nie pisał o swoim przyjeździe, widocznie chciał zrobić żonie niespodziankę, więc mieliśmy i tak za parę dni wyruszyć. Teraz wypadało zapewne dać mu odpocząć i zapytać go, kiedy będzie mógł wyjechać, ale ja umyślnie postanowiłem nie liczyć się z nim, tak, jak gdyby nie istniał.

Pojechawszy na kolej, zamówiłem «sleeping» do Wiednia na dzień następny, poczem wysłałem służącego do Płoszowa z listem do ciotki, w którym napisałem, że bilety już kupiłem, ponieważ zaś wagony na wszystkie dalsze dni tygodnia są przez kogo innego zamówione, więc musimy jutro jechać.

26 Czerwca.

Wracam jeszcze do ostatnich chwil naszego pobytu w Warszawie. Te wspomnienia zanadto wycisnęły się na moim mózgu, bym mógł o nich zamilczeć. Miałem dziwne wrażenie na drugi dzień po przyjeździe Kromickiego. Oto zdawało mi się, że już nie Kocham Anielki — ale że swoją drogą nie mogę bez niej żyć. Pierwszy raz doznawałem takiego stanu, który nazwałbym rozłamaniem psychicznym. Dawniej, gdy cały ten proces uczucia odbywał się we mnie prawidłowej, mówiłem sobie: «Kocham ją, więc jej pragnę» — z równą logiką, jak Kartezjusz mówił: «Myślę, więc jestem». Teraz zmieniło się to na: «Nie Kocham, ale pragnę» — i obie te części istniały we mnie, jakby wypisane na dwóch oddzielnych odłamach kamienia. Obie mnie gniotły niewypowiedzianie. Nie prędko zrozumiałem, że owo «nie Kocham» — jest złudzeniem. Kocham, jak i dawniej, tylko w sposób tak bolesny, tak gorzki, tak zatruty, że ta miłość niema już nic wspólnego ze szczęściem.

Czasem myślę, że gdybym nawet teraz usłyszał wyznanie Anielki, gdybym ją rozwiódł, gdyby ona owdowiała i została moją, nie byłbym już szczęśliwy. Kupiłbym taką godzinę za

cenę życia, ale doprawdy nie wiem, czy potrafiłbym ją przerobić na istotne szczęście. Kto wie, czy te nerwy, któremi się odczuwa szczęście, nie zostały we mnie sparaliżowane. To się może zdarzyć. Rzeczywiście, na co mi takie istnienie?

W wigilię wyjazdu byłem w składzie broni. Co za szczególniejszy człowiek sprzedawał mi rewolwer. Gdyby nie był puszkarzem, mógłby być profesorem psychologii. Wszedłszy do sklepu, powiedziałem mu z góry, że mi jest wszystko jedno, czy to będzie system Colta, czy Smitha, byle sztuka była dobra i posiadała odpowiednio duży kaliber. Stary człowiek wybrał mi broń, na którą zgodziłem się natychmiast, następnie spytał:

— Zapewne będą panu potrzebne i ładunki?

— Właśnie chciałem o nie prosić.

Puszkarz począł na mnie patrzeć uważnie.

— Czy mam dodać pokrowiec na rewolwer?

— Naturalnie. Proszę i o pokrowiec.

— To dobrze — odpowiedział — w takim razie dostanie pan ładunki tego samego numeru, co rewolwer.

Teraz ja spojrzałem na niego ze zdziwieniem, on zaś mówił dalej:

— Ja, panie dobrodzieju, mam czterdzieści lat praktyki w moim zawodzie i nauczyłem się niejednego. Często kupowali u mnie broń ludzie, którzy potem strzelali sobie we lby. I co pan powiesz. Nie zdarzyło się, żeby taki człowiek kupił pokrowiec. Zawsze było tak. Przychodzi i powiada: «Proszę o rewolwer». — «A z pokrowcem?» — «Nie, niepotrzebny». — To jest osobliwsza rzecz, bo przecie człowiek, który sobie chce w leb strzelić, nie potrzebuje rubla oszczędzać. Ale taka już natura ludzka... Każdy widać, sobie mówi: «Na dyabła mi futerał!» Ale właśnie dlatego, jak kto przychodzi po rewolwer, zaraz wiem, czy sobie chce w leb strzelić, czy nie.

— Pan mi powiadasz bardzo ciekawe rzeczy — odpowiedziałem.

Istotnie wydało mi się to niezmiernie charakterystycznym.

Puszkarz zaś mówił dalej:

— Jakem to pomiarkował, tak wymyśliłem taki sposób: kto bierze rewolwer bez futerału, to ja się niby myślę i daję mu ładunki o jeden numer za duże. Strzelić sobie w leb, to przecież nie mała rzecz. Trzeba na to dyabło wziąć się w kupę i zebrać odwagę. Myślę, że niejednego

zimny pot obleje... Nareszcie zdobył się człowiek na postanowienie i dalej do rewolweru. A tu ładunki nie leżą... Choć głową o mur bij — trzeba odłożyć do jutra... A co pan myśli: że to łatwo drugi raz się na to zdobyć? Niejeden, co byłby sobie na razie w łeb strzelił, jak już śmierci zajrzał w oczy, nazajutrz tego nie zrobi. Byli tacy, co przychodzili na drugi dzień i kupowali futerał... A mnie się tylko śmiać chciało. «Masz futerał i żyj zdrów».

Zapisuję tę rozmowę, bo mnie teraz rzeczy, tyjące samobójstwa, mocno obchodzą, a słowa starego puszkarza wydały mi się dokumentem ludzkim do tej sprawy.

27 Czerwca.

Czasem przypominam sobie, że Anielka mnie kochała, że mogłem się z nią ożenić i mieć życie ogromnie jasne, ogromnie szczęśliwe — że wszystko to zależało odemnie i żem wszystko to zmarnował li tylko przez nieudolność życiową. A wówczas zadaję sobie pytanie: czy nie mam początków pomieszania zmysłów — i czy istotnie mogłem mieć Anielkę na zawsze? Ale przecie pamiętam doskonale cały przebieg wypadków od chwili poznania się naszego aż do

2*

dziś. I powiedzieć, że ta kobieta byłaby moją i tak wierną mnie, jak jest tamtemu i stokroć jeszcze wierniejszą, bo mnie kochała całą duszą! Wrodzona nieudolność — tak jest! Ale choćby mnie to całkiem usprawiedliwiało we własnych oczach — co mi z tego, kiedy nie znajduję w tem żadnej pociechy? Trochę ulgi przynosi mi jedynie myśl, że tak potomkowie rodów przeżytych, jak i najbujniejszych, skończą na tem, że ich zasypią ziemią... To mi zmniejsza różnicę między mną a tak zwanymi dzielnymi ludźmi. Całym nieszczęściem istot, podobnych do mnie, jest ich wyłączność. Jak głupie pojęcie mają w ogóle nietylko romansopisarze, ale psychologowie fachowi i nawet fizyolodzy, o rodach przeżytych! Wyobrażają sobie zawsze, że wewnętrznej nieudolności życiowej odpowiada stale nikłość fizyczna, mały wzrost, słabe mięśnie, anemiczny mózg i licha inteligencya. Może tak czasem bywa, ale czynić z tego ogólną zasadę, to błąd i pedantyczne powtarzanie jednego w kółko. Potomkowie rodów przeżytych odznaczają się nie brakiem sił żywotnych, ale brakiem harmonii między niemi. Ja sam jestem fizycznie tegim człowiekiem i nie byłem nigdy głupcem — a znałem ludzi mojej sfery, zbud-

wanych jak antyki greckie, uzdolnionych, bystrych, którzy jednak nie umieli żyć i źle skończyli, właśnie z braku równowagi między, aż zbyt zresztą bujnemi, siłami żywotnemi. Są one w nas, jakby źle uorganizowane społeczeństwo, w którym niewiadomo: gdzie zaczynają się prawa jednych, a kończą drugich. Stoimy nierządem, a wiadomo powszechnie, że nierządem stać nie można. Każda z tych sił działa i ciągnie tylko w swoją stronę, często przeciąga wszystkie inne — stąd rodzą się tragiczne wyłączości. Ja właśnie jestem teraz chory na taką wyłączość, dzięki której po za Anielką nic mnie nie obchodzi, nic mnie nie zajmuje, o nic nie mogę życia zacząć. Ale ludzie nie rozumieją, że taki brak harmonii, że taka anarchia sił żywotnych, jest chorobą cięższą, niż fizyczna i moralna anemia. Oto rozwiązanie zagadki. Dawniej życie i stosunki społeczne przynosiły nam ratunek, bo żądały od nas czynów i poniekąd zmuszały nas do nich. Dziś, gdy usunęliśmy się od życia i gdy zatruwa nas filozofowanie i zwątpienie, choroba nasza zaostrza się jeszcze bardziej w tak niehygienicznych warunkach. Doszliśmy wreszcie do tego, że zdolni jesteśmy nie do czynów, ale tylko do wyskoków, skutkiem

czego właśnie najzdolniejsi i najbogaciej uposażeni z pośród nas kończą zawsze na jakimś szaleństwie. Ze wszystkiego, z czego się składa życie, pozostała nam naprawdę tylko kobieta — i jedno z dwojga — albo rozpraszamy się, wydając po groszu kapitał życiowy na rozpustę, albo też, uczepiwszy się za jakąś miłość, jak za gałąź, rosnącą nad otchłanią, wisimy w powietrzu, tembardziej narażeni na skrucenie karku, że najczęściej wybieramy miłość nieprawą, noszącą w istocie swej zarody tragedyi. Ja wiem, że uczucie moje dla Anielki musi się źle skończyć — i wiedząc o tem, nie próbuję już nawet bronić się od niego, bo zresztą obrona byłaby także zgubą.

28 Czerwca.

Kąpiele, a zwłaszcza chłodne tutejsze powietrze, służą pani Celinie. Codzień jest rzeświejsza — i ponieważ otaczam ją staraniami, ponieważ dbam o jej wygody, jakby była moją rodzoną matką, więc jest mi wdzięczna i lubi mnie coraz więcej. Anielka to uważa — i również nie może się obronić wdzięczności dla mnie, ale jestem pewny, że uczucie to miesza się z coraz większym żalem, albowiem daje jej

widzenie tego wielkiego szczęścia, jakiego używalibyśmy wszyscy, gdyby się to było stało, co się stać mogło. Mam teraz wszelką pewność, że ona Kromickiego nie kocha. Jest i pozostanie mu wierna — ale gdy ich widzę razem, dostrzegam na jej twarzy jakby przymus, jakby upokorzenie. Widzę, że ilekroć razy on, który jest może naprawdę zakochany, a może jeszcze bardziej chce, by uważano ich za zakochane w sobie małżeństwo, pieści jej ręce, gładzi jej włosy, całuje czoło — tylekroć, jestem pewien, ona wolałaby się pod ziemię zapaść, niż poddawać się tym pieścizdom wobec mnie i innych. Znosi je jednak, musi się uśmiechać, a i ja znośnię ten widok i także się uśmiecham; tylko, dla rozrywki, wkładam sobie wówczas w duchu ręce do wnętrzości i szarpie je. Czasem przychodzi mi także na myśl, że ta kapłanka Dyany jest zapewne swobodniejsza i mniej powściągliwa w okazywaniu swych uczuć, gdy jest z mężem sam na sam... Ale takiej rozkoszy, jaką dają podobne myśli, wystrzegam się, bo czuję, że kropelka jeszcze, a stracę równowagę i przestanę panować nad sobą. Stosunek mój do Anielki jest okropny i dla niej i dla mnie. Miłość moja przybiera pozory nienawiści, pogar-

dy, ironii. Męczy to Anielkę i przestrasza. Czasem spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: «Co ja winna» Ja sam powtarzam sobie często: «Co ona winna?» — ale nie mogę, na miły Bóg, nie mogę być dla niej inny! Im widzę ją bardziej skrepowaną, pogwałconą, tem większa budzi się we mnie zawziętość przeciw niej, przeciw Kromickiemu, przeciw sobie i całemu światu. I nie dzieje się tak z braku litości we mnie dla tej, równie jak ja, nieszczęśliwej istoty. Ale jak woda, zamiast gasić zbyt rozszalały pożar, podnieca go jeszcze więcej — tak i we mnie wszystkie uczucia podniecają jeszcze rozpacz. Ja, gdy okazuję tej jedynej i najdroższej kobiecie pogardę, gdy mam dla niej tylko gniew, tylko szyderstwo, sobie wyrządzam taką samą krzywdę, jak i jej — większą nawet, bo ona jest zdolna mi to przebaczyć, ale ja sam nie daruję sobie tego nigdy!

29 Czerwca.

Ten człowiek spostrzegł, że istnieje jakaś głęboka uraza między mną a jego żoną i wytłómaczył to sobie w godny siebie sposób. Zdaje mu się, że ja jej nienawidzę za to, że wołała jego odemnie. Widzi we mnie nienawiść dla niej,

płynącą z obrażonej miłości własnej — i nic więcej. Trzeba być na to... mężem. Tak patrząc, stara się nagrodzić jej to zwiększoną czułością, mnie zaś okazuje pobłażliwość wspaniałomyślnego zwycięzcy. Tylko miłość własna może do tego stopnia ludzi ogłupiać. Co to za dziwny człowiek! Chodzi codziennie do hotelu Straubingera, podpatruje pary przechadzające się pod Wandelbahnem i z pewną radością czyni o nich najgorsze przypuszczenia; ukazuje wszystkie swe popróchniałe zęby, wyśmiewając się z mężów oszukiwanych, wedle jego spostrzeżeń przez żony i każde nowe tego rodzaju odkrycie daje mu tak wyborny humor, że dziesięć razy na godzinę wypuszcza monokl z oka i wkłada go napowrót. I ten sam człowiek, który niewiarę małżeńską uważa jedynie za dobrą sposobność do robienia konceptów, uważałby ją za największą i najtragiczniejszą zbrodnię, gdyby chodziło o niego samego. O ile to tyczy innych, jest farsą, o ileby dotknęło jego, wołałoby o pomstę do nieba. Dlaczego, głupcze? Któż ty jesteś taki? Idź do lustra i przejrzyj się; zobacz swoje mongolskie oczy, swoje włosy, podobne do czarnej krynki, swój monokl, swoje długie piszczele; wejdź w siebie, zdaj sobie sprawę z całej lich-

ty swego umysłu, z całej pospolitości swego charakteru — i powiedz, czy taka kobieta, jak Anielka, powinna ci być choć przez godzinę wierna? Jakim sposobem doszedłeś do niej, ty fizyczny i duchowy parweniuszu? Czy raczej nie jest to potworne i przeciwne naturze, że ty jesteś jej mężem? Beatrycze Danta, oddająca rękę ostatniemu gburowi florenckiemu, zrobiłaby lepszą partyę!...

Przerwałem pisanie, bo znowu unoszę się, znów tracę równowagę, a jużem był tak doskonale zdrętwiał! Zresztą, niech się Kromicki pocieszy: naprawdę, nie mam się za lepszego od niego. Choćbym nawet przypuścił, że jestem ze szlachetniejszego kruszcu ulany — mała pociecha, gdy czyny moje są gorsze od jego czynów. On nie potrzebuje przedemną udawać — ja muszę przed nim udawać, muszę się z nim liczyć, muszę się ukrywać, muszę stosować do niego moje postępowanie, oszukiwać go, podchodzić. Czy może być coś więcej płaskiego nad to, że ja, zamiast go wziąć za gardło, wymyślam mu w tym pamiętniku? Takiej zaoicznej satysfakcyi może sobie pozwolić i niewolnik względem swego pana. Kromicki nigdy zapewne nie wydawał się sobie tak nikczemny, jak wydawałem się sobie ja, gdym

popelniał tysiące małości, gdym zdobywał się na mnóstwo lichych przebiegów, byle tylko umieścić go daleko od Anielki w najętej przemiesznie willi. W dodatku nie udało mi się. On jednym prostym frazesem: «Chcę być obok żony» — wypowiedzianym z całą otwartością, zdruzgotał wszystkie moje plany. I mieszka obok «żony»... Jest przytem wprost nie do zniesienia to, że Anielka rozumie sobie każdy mój postępek, zdaje sobie sprawę z każdego mego słowa i zamiaru. Myślę, że ona musi się często wstydzić za mnie. Wszystkie te rzeczy, razem wzięte, stanowią mój chleb powszedni. Nie sądzę też, żebym długo wytrzymał, bo jednak nie jestem na wysokości położenia, inaczej mówiąc, nie jestem tak podły, jak tego wymagają warunki, w których żyję.

30 Czerwca.

Zasłyszałem dziś z werendy taki koniec rozmowy, prowadzonej dość podniesionym głosem między Kromickim a Anielką:

— Ja — mówił Kromicki — sam z nim pomówię, ale ty musisz powiedzieć, jak rzeczy stoja, ciotce.

— Nigdy tego nie zrobię! — odpowiedziała Anielka.

— Ale ja cię bardzo proszę! — rzekł z naciskiem Kromicki.

Wszedłem do pokoju, nie chcąc być mimowolnym świadkiem dalszej rozmowy. Spostrzegłem na twarzy Anielki głęboką przykrość, którą, zobaczywszy mnie, starała się ukryć. Kromicki był blady z gniewu, ale wyciągnął do mnie z uśmiechem rękę. Przez chwilę porwał mnie niepokój i strach, że ona poczyniła mu wyznania. Bałem się nie Kromickiego, ale tego, że on może wywieźć Anielkę i oderwać mnie od moich udręczeń, upokorzeń, męki. Przecie ja tem tylko żyję; inaczej umarłbym z głodu. Raczej wszystko inne, niż nie widywać Anielki! Przez cały czas łamałem sobie głowę: o czem oni mogli rozmawiać? Chwilami wydawało mi się najprawdopodobniejszym, że ona mu coś powiedziała — ale w takim razie obejście się jego ze mną musiałoby się zmienić, tymczasem stało się ono prawie jeszcze uprzejmiejsze. Wogóle, gdyby nie nienawiść, jaką do niego czuję, nie mógłbym na niego narzekać. Jest dla mnie grzeczny, przyjazny serdeczny; ustępuje mi na każdym kroku, jak nerwowej kobiecie. Stara się

pozyskać moją ufność. Nie zraża go to, że czasem odpowiadam mu szorstko, albo ironicznie, że często zbyt bezwzględnie wydobywam na jaw jego brak wykształcenia lub brak subtelnych nerwów. Nie tracę żadnej sposobności, by wobec Anielki wykazać: o ile on jest pospolitszym jako umysł i jako serce. Ale on jest cierpliwy. Być może, że jest nim tylko ze mną. Dziś widziałem po raz pierwszy jego gniew na Anielkę i cerę miał zielonawą, jak ludzie, którzy umieją się gniewać na zimno, to jest bardzo zawzięcie. Anielka prawdopodobnie się go boi, ale ona się wszystkich boi — a teraz nawet i mnie. Nieraz trudno mi zrozumieć, skąd ta kobieta, mająca słodycz gołębia, czerpie w danym razie taką nadzwyczajną energię. W swoim czasie ludziłem się, że ona jest bierna i że gdy ją zechcę porwać, ona się nie obroni. Co za zawód! Opór jej jest tem większy, im bardziej niespodziewany. Nie wiem, o czem była mowa między nią i Kromickim, ale jestem pewien, że gdy mu zapowiedziała, iż nie zrobi tego, czego od niej wymaga, to będzie się trzęsła ze strachu, ale nie zrobi. Gdyby była moją, kochałbym ją tak, jak może kochać pies swoją panią. Nosiłbym ją

na rękę, zdmuchiwał przed nią proch, kochał-
bym ją na śmierć.

1 Lipca.

Zazdrość moja byłaby nędzną, gdyby nie to, że jest w niej ból wyznawcy, któremu profanują jego bóstwo. Jużbym się wyrzekł nawet dotknięcia jej ręki, gdybym mógł umieścić ją na jakiejś górze niedostępnej, do której nie wolno-
by się było nikomu zbliżyć.

2 Lipca.

Łudzilem się, żem zdrętwiał. To. co było chwilowym stanem nerwów, poczytałem za stały stan duszy. Zresztą, już wówczas podejrzewałem, że to nie będzie trwale.

3 Lipca.

Jednak coś między nimi zaszło. Ukrywają oboje urazę, jaką wzajem do siebie czują, ale ja ją widzę. Od kilku dni nie spostrzegłem, by on brał jej ręce, jak to miał zwyczaj czynić poprzednio — i podnosił je kolejno do ust, albo żeby gładził jej włosy, albo całował czoło. Miałem chwilę prawdziwej radości, ale zatrula ją sama Anielka. Zauważyłem, że ona usiłuje go

jakby przebłagać, wprowadzić w lepszy humor i wrócić do dawnych stosunków. Na ten widok ogarnęła mnie wściekłość, która odbiła się w mojem postępowaniu z Anielką. Nigdy nie byłem dla niej, a tem samem i dla siebie tak niemilosierny.

4 Lipca.

Dziś, wracając z Wandelbahnu, spotkałem ją na moście, naprzeciw kaskad. Zatrzymała się nagle i poczęła coś mówić, ale huk wodospadów zagłuszył jej słowa. Rozdrażniło mnie to, bo mnie teraz wszystko rozdrażnia, więc sprowadziwszy ją z mostu, w stronę naszej willi, rzekłem z niecierpliwością:

— Nie mogłem dosłyszeć coś do mnie mówiła.

— Chciałam się spytać — odpowiedziała ze wzruszeniem — czemu ty taki dla mnie jesteś? Czemu ty nie masz wcale dla mnie litości?

A mnie wszystka krew zbiegła do serca na te słowa:

— Czy ty nie widzisz — odrzekłem prędko — że cię kocham bez pamięci. Jak można za nic mieć takie uczucie! Słuchaj, ja już od ciebie niczego nie chcę. Powiedz mi tylko, że mnie

kochasz, oddaj mi swoją duszę, a wszystko zniósę, wszystko wytrzymam — i oddam ci w zamian życie i będę ci służył do ostatniego technienia. Anielko, ty mnie kochasz, powiedz! prawda? Ty mnie zbawisz tem jednym słowem — powiedz je!

Anielka stała się tak blada, jak piana wodospadów. Zdawało mi się, że powiał na nią lodowaty wiatr i ściał krew w jej żyłach. Przez chwilę nie mogła przyjść do słowa, wreszcie z największem wysileniem odrzekła:

— Proszę cię na wszystko, nie mów tak do mnie!

— Więc nigdy mi tego nie powiesz?

— Nigdy — odrzekła.

— Pomyśl tylko, że to ty nie masz dla mnie...

I urwałem. Przez głowę przeleciało mi, że gdyby Kromicki żądał od niej tego słowa, toby mu go nie odmówiła — i na tę myśl zadzwoniło mi z rozpaczy i wściekłości w uszach, a pociemniało w oczach. Straciłem całkiem przytomność. Wiem tylko, że cisnąłem jej w oczy tak straszne i cyniczne słowa, jakich żaden inny mężczyzna nie poważylby się powiedzieć bezbronnej kobiecie. Nie śmiem poprostu zapi-

sać ich w tym pamiętniku. Jak przez sen pamiętam, że przez chwilę patrzyła na mnie zdumionemi i przerażonemi oczyma, a potem chwyciła mnie za rękaw i potrząsając mojem ramieniem, poczęła pytać gwałtownie;

— Leonie, co tobie! co tobie!?

Mnie było to, że traciłem zmysły. Wyszarpnąłem jej rękę i odszedłem w drugą stronę. Po chwili wróciłem, ale już jej nie dostrzegłem. Wówczas zrozumiałem tylko jedno: że oto nadzedeł czas — i że trzeba skończyć. Ta myśl utworzyła natychmiast jakby jasną szczelinę w tej ciemności, która otaczała mi głowę. Był to dziwny stan jednostronnej przytomności. Nie zdawałem sobie dobrze sprawy z tego, co zaszło. Straciłem prawie zupełnie poczucie istnienia własnego i istnienia Anielki — natomiast o śmierci począłem myśleć, nietylko jak człowiek przytomny, ale jak człowiek spokojny. Wiedziałem np. doskonale, że gdy się rzucę ze skał w przepaść, to będzie mogło ujść za wypadek, ale jeśli się zastrzelę w swoim pokoju, to takiego ciosu ciotka moja nie przeżyje. Jeszcze dziwniejszem było to, że mając podobną świadomość, nie poczuwałem się do żadnego wyboru, jakgdyby związek między mojem rozumowaniem a moją wolą i płynąciami z niej

czynami, został już przerwany. Mając zupełnie jasne przekonanie, że lepiej jest rzucić się ze skał, niż się zastrzelić, szedłem jednak do willi po rewolwer. Dlaczego? Nie wiem. Wiem tylko, że spieszyłem się coraz bardziej i że wbiegłszy pędem po schodach na górę, począłem szukać klucza od kufra, w którym był zamknięty rewolwer. Nagle wytracił mnie z tej kolei wyłącznego myślenia o samobójstwie odgłos szybkich kroków po schodach. Błysnęła mi myśl, że to może Anielka odgała moje zamiary i spieszy im zapobiedz. Tymczasem drzwi otworzyły się gwałtownie i ujrzałem w nich ciotkę, która zawołała zdyszczanym głosem:

— Leonie, biegnij po doktora, Anielka zasła-
bla!

Usłyszawszy to, zapomniałem o wszystkim innem; wybiegłem z willi bez kapelusza i po upływie kwadransa sprowadziłem lekarza z hotelu Straubingera. Gdyśmy przybyli, było już wszystko dobrze. Doktor poszedł do Anielki, ja zaś zostałem z ciotką na werendzie i wypytywałem, co zaszło.

— Przed pół godziną — mówiła ciotka — Anielka wróciła z twarzą tak rozpaloną, że zaraz obie z Celiną poczęłyśmy pytać: co jej

jest? Odpowiadała: «nic! nic!» — jakby z niecierpliwością, ale widziałyśmy, że to nieprawda. Celina poczęła nalegać. Wówczas Anielka uniosła się, co pierwszy raz w życiu widziałam, i zawołała: «Czemu mnie tu wszyscy męczą!» Potem zaraz dostała jakichś spazmów, czy serdecznego śmiechu. Przeraziliśmy się okropnie i ja poleciałam do ciebie. Chwała Bogu, że to już przeszło. Płakało tylko biedactwo i poczęło przeproszać nas obie za swoje uniesienie...

Ja milczałam, bo mi się serce darło na strzępy. Ciotka poczęła chodzić wielkimi krokami po werendzie, nareszcie stanęła nademną i wzięwszy się pod boki, ozwała się:

— Wiesz, co mi się zdaje, mój chłopcze? Oto my tego Kromickiego wszyscy niedość lubimy — bo i Celina niebardzo go znosi. Dziwna rzecz, on aż nadto stara się wkupić w nasze łaski, a ciągle ma minę intruza. To źle z naszej strony. Anielka to widzi i cierpi nad tem...

— Czy ciocia myśli, że ona go tak bardzo kocha?

— O, zaraz: bardzo, bardzo!... Kocha go, bo jest jej mężem — i naturalnie, że jej przykro widzieć, jak go źle traktujemy.

— Ale kto go źle traktuje? Mojem zdaniem,

ona poprostu nie jest z nim szczęśliwa — i cała rzecz...

— A niechże Pan Bóg broni — odrzekła ciotka — nie przeczę, że mogła lepszą partyę zrobić, ale co znowu można mu tak dalece zarzuścić? Jest widocznie bardzo do niej przywiązany... Celina nie może mu wprawdzie przebaczyć sprzedaży Gluchowa, a i ja mu tego nie zapomnę nigdy, sama jednak słyszałam, jak Anielka broniła go zawzięcie.

— Może wbrew przekonaniu?

— Choćby, to tembardziej dowodzi, że ona go kocha. Co do jego interesów, bieda, że nikt dobrze nie wie, jak rzeczy stoją i stąd ciągle obawy Celiny. Ale tak naprawdę, czy to majątek daje szczęście? Zresztą ja ci już mówiłam, że nie zapomnę o Anielce i ty na to pozwalasz? co? pozwalasz? My oboje mamy dla niej pewne obowiązki, mój Leonie, nie mówiąc już o tem, że to jest kochane stworzenie, które zasługuje na naszą opiekę.

— Z całego serca, moja ciociu. Ponieważ nie mam siostry, więc póki żyję, nigdy Anielce nie dokuczają kłopoty materyalne.

— Tak liczę na to, że umrę spokojniej — odrzekła ciotka.

I poczęła mnie ścisnąć, ale dalszą rozmowę przerwał nam doktor. W kilku słowach uspokoił nas zupełnie. «Małe zburzenie nerwowe, które zresztą często się przy tych kąpielach z początku zdarza — przerwać kąpiele na kilka dni, dużo być na powietrzu. — oto czego trzeba! Organizm jest zdrow, sił dużo i wszystko będzie jaknajlepiej». Ponatykałem mu kieszenie za te słowa tak, że kapelusz włożył dopiero za kratą willi. Bylbym sprzedał kilka lat życia, by mózż pójść do Anielki i ucalować ją po nogach, przeprasząc za wszystko, com jej złego zrobił. Przysięgłem sobie być dla niej innym, znosić cierpliwie Kromickiego, nie burzyć się, nawet nie szemrać. Skrucha, skrucha zupełna i głęboka — oto był teraz stan mojej duszy. Kocham ją jednak niewypowiedzianie. Przed samem południem wrócił z dalekiej przechadzki po Kaiserwegu Kromicki. Zaraz spróbowałem być i dla niego serdeczniejszym. On to wziął za współczucie i był mi prawdziwie wdzięczny. Wraz z panią Celiną spędzili cały dzień przy Anielce. Ona po południu chciała się ubrać i wyjść, ale jej nie pozwolili. Ja także nie pozwoliłem sobie burzyć się z tego powodu. Nie pamiętam, żebym kiedy w życiu odniósł nad sobą tak wielkie zwycięstwo.

A mówiłem sobie: «To dla ciebie, moja ukochana!» Byłem w głupim usposobieniu przez resztę dnia. Ciągłe chciało mi się płakać, jak małemu dziecku. I teraz duszą mnie lży. Nabroilem, ale też pokutuję za to porządnie.

5 Lipca.

Po wczorajszych uniesieniach folga najzupełniejsza, jakby cisza po burzy! Chmury wyładowały całą swą elektryczność. Czuję się słabym i moralnie i fizycznie. Anielka ma się lepiej. Rano znaleźliśmy się sam na sam na werendzie. Posadziłem Anielkę na fotelu z biegunami i otuliwszy ją ciepłym szalem, bo tu poranki chłodne, rzekłem:

— Moja Anielko droga, przepraszam cię z całej duszy za to, com wczoraj powiedział. Przebacz mi i zapomnij — bo i tak ja sam sobie tego nigdy nie zapomnę.

— Ona odrazu wyciągnęła mi w odpowiedzi rękę, w którą wpilem się ustami. Musiałem użyć całej siły woli, aby nie jęczeć głośno, tak wielka była przepaść między moją miłością a moją nędzą. Anielka czuła to doskonale, bo nieprędko cofnęła mi rękę. Ona także starała się opanować wzruszenie, a może i opanować uczucie, które

popychało jej serce ku mnie. Szyja jej i piersi drgały, jakby łkanie chciało się gwałtem wyrwać na zewnątrz. Czula przecie, że ją kocham nad wszystko, że na taką miłość nie natrafia się codziennie i że to mógłby być skarb szczęścia na całe życie.

Ale po chwili przemogła się i twarz jej stała się pogodną. Widać w niej było tylko rezygnację i wielką dobroć.

— Już zgoda będzie między nami, nieprawda? — spytała.

— Tak jest! — odrzekłem.

— I raz na zawsze?

— Co ja ci odpowiem, mój ty aniele. Ty wiesz najlepiej, co się we mnie dzieje...

Jej znów zaszczyły oczy mgłą, ale znów się przemogła.

— Dobrze już! — rzekła — to ty jesteś dobry...

— Ja? — zawołałem ze szczerem oburzeniem — czy ty wiesz, że gdybyś wczoraj nie była nagle zaszła, to ja byłbym sobie...

Ale nie dokończyłem. Zrozumiałem nagle, że byłoby niegodziwością z mojej strony wyzyskiwać ją przez strach i groźbę. To nie była droga dla mnie. Ogarnął mnie wstyd tem większy, że

ona zaniepokoiła się zaraz i spojrzawszy na mnie bacznie, spytała:

— Co ty chciałeś powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć coś, co byłoby niegodne mnie i co zresztą nie ma już dziś znaczenia.

— Nie, Leonie, ja chcę wiedzieć koniecznie: inaczej nie będę miała chwili spokoju.

Wiatr zsunął jej promyk włosów na czoło — więc ja wstałem i począłem go zlekka układać na powrót na jej główce z taką troskliwością jakbym był jej matką i rzekłem:

— Anielko kochana, nie każ mi mówić tego, czegom mówić nie powinien. Jeżeli zaś chodzi o twój spokój, daję ci słowo, że nie potrzebujesz mieć na przyszłość żadnych obaw.

Ona podniosła ku mnie oczy.

— Dajesz mi na to słowo?

— Najwyraźniej i najsolennie. Co tam się troi w tej główce kochanej!

Dalszą rozmowę przerwał nam listonosz, który oddał całą paczkę listów. Były do Kromickiego ze Wschodu, do Anielki od Śniatyńskich (poznałem jego rękę na kopercie) i do mnie od Klary. Pocziwa Klara pisała niewiele o sobie, natomiast dopytywała się bardzo szczegó-

lowo o mnie. Powiedziałem Anielce, że mam od niej list, wskutek czego Anielka, chcąc wido-
cznie stworzyć zupełną pogodę między nami,
zaczęła mnie nią prześladować. Ja oddałem jej
pięknem za nadobne, mówiąc, że Śniatyński stracił
jakoś w ostatnich czasach głowę. Przez chwilę
śmialiśmy się oboje i żartowali. Dusza ludzka
jest jak pszczoła, która szuka słodczyzny nawet
na gorzkich kwiatach. Najnieszczęśliwszy czło-
wiek stara się wycisnąć choć odrobinę szczęścia
nawet z własnej męki i by to uczynić, chwytając
za lada cień, za lada pozór. Czasem myślę, że
ta niepohamowana potrzeba jest dowodem, iż
nam się jeszcze coś należy po śmierci. Jestem
przekonany, że pesymizm wymyślono także gwoli
tej potrzebie, dla pociechy, jaką mogło sprawić
ujęcie ogólnej niedoli w filozoficzną formułę. Było
to zaspokojeniem dążenia do świadomości i pra-
wdy, szczęście zaś nie jest niczem innym, jak
szeregiem zaspokojień.

A może też miłość jest tak ogromnem źród-
łem szczęścia, że nawet najciemniejsza jeszcze
jest przetkana promieniami; dość, że taki pro-
myk dziś zaświecił nam obojgu. Nie spodziewa-
łem się już tego. Nie spodziewałem się również,
żeby człowiek, który w pragnieniach swoich nie

ma granic i pożąda wszystkiego, mógł w prawdziwej biedzie poprzestawać prawie na niczem. Ale miałem tego przykład na sobie.

Zaledwie ukończyliśmy czytać nasze listy, gdy pani Celina, która już chodzi o własnej mocy, ukazała się we drzwiach, niosąc stołeczek pod nogi dla Anielki.

— Ach, mamó — rzekła zgorszona Anielka — czy to się godzi?

— A małoś to ty się nawysługiwała mnie, jak byłam chora? — odpowiedziała pani Celina.

Lecz ja wyjąłem jej z rąk taburecik i kłękąwszy przed Anielką, czekałem dopóty, dopóki nie postawiła na nim swych nówek — i to tylko, żem przez sekundę u nich kłęczał, napeliło mnie szczęściem na cały dzień. Tak jest! Człowiek bardzo a bardzo biedny żyje okruszynami i zbierając je, uśmiecha się jeszcze z wdzięcznością — przez lzy.

6 Lipca.

Posiadam serce kaleki, ale zdolne do kochania. Teraz dopiero rozumiem Sniatyńskiego. Gdybym nie był człowiekiem zwichniętym, niezrównoważonym, zatrutym przez sceptycyzm, krytykę samego siebie i krytykę tej krytyki, gdyby

moja miłość była prawidłową i prawą, byłbym znalazł w Anielce mój życiowy dogmat, za którym przyszłyby i inne. Ale nie wiem... może ja właśnie nie umiałbym inaczej kochać, jak krzywo, może w tem mianowicie leży moja nieudolność życiowa, dość, że to, co powinno się było stać mojem zdrowiem i zbawieniem, stało się śmiertelną chorobą i potępieniem. Dziwna rzecz, jak dalece nie brakło mi ostrzeżeń. Zdaćby się mogło, iż ludzie przewidywali, co mnie spotka. Toż ja sobie ciągle przypominam, że Śniatyński napisał mi jeszcze wówczas, gdy byłem w Pegli u Davisów, następane słowa: «Z życia musi coś wyrosnąć; bacz-że, żeby nie wyrosło coś takiego, coby się stało nieszczęściem dla ciebie i twoich bliskich». Wówczas śmiałem się z tego, a przecie niepodobna było lepiej przewidzieć przyszłości! Ojciec mój również kilkakrotnie przemawiał także tak, jakby chwilami przebijał wzrokiem tę zasłonę, która zakrywa przyszłość. Dziś są to wszystko wspomnienia spóźnione. Wiem, że nic mi z tych rozmyślań nie przyjdzie, ale nie mogę się od nich wstrzymać, bo mi żal nietyle siebie, ile Anielki. Ona byłaby ze mną stokroć szczęśliwsza, niż jest z Kromickim. Przypuszczając nawet, że byłbym ją z początku

poddawał analizie i powykrywał w niej liczne wady, to i tak kochałbym ją z całej duszy. Byłaby moją, a zatem weszłaby w sferę mego egoizmu. Na jej wady patrzyłbym, jak na swoje własne słabości, a sobie samemu człowiek wszystko wybacza — i choćby się jak najostrzej krytykował, nie przestaje jednak zabiegać wedle własnego dobra, a zatem, być sobie drogim. Tak byłaby mi drogą i ona — a ponieważ jest stokroć doskonalszą odemnie, więc czasem stałaby się moją chlubą, moją najlepszą, najszlachetniejszą częścią duszy i uznałbym, że na moją krytykę niema przy niej miejsca — i przeszedłbym na jej wiarę i był zbawiony przez nią.

To wszystko zmarniało, zepsuło się, zmieniło w tragedję dla niej — w zło i tragedję dla mnie.

7 Lipca.

Odczytuję, com wczoraj napisał — i uderza mnie to, co powiedziałem w końcu, że uczucie moje, które, gdyby było prawe, mogło stać się mojem zbawieniem, zmieniło się w źródło zła... Trudno mi się pogodzić z tą myślą. Jakim sposobem miłość dla istoty tak czystej, jak Anielka,

może rodzić zło? Ale jedno słowo wszystko tłómaczy: jestto miłość krzywa. Zresztą trzeba mi uznać fakt. Gdyby ktoś, dwa lata temu, powiedział mnie, człowiekowi ucywilizowanemu, posiadającemu estetyczne nerwy, żyjącemu w zgodzie z kodeksem karnym, już dlatego samego, że natura moralna nie pozwala mu żyć inaczej — gdyby mi ktoś, powtarzam, powiedział, że ja będę rozmyślał po całych dniach i nocach o usunięciu ze świata — choćby przez zabójstwo — człowieka, który mi zawadza, tobym takiego proroka poczytał za waryata. A jednak oto, do czego doszedłem! Kromicki zasłania mi świat, odbiera ziemię, wodę i powietrze. Nie mogę żyć właśnie dlatego, że on żyje — i z tego powodu piastuję w duszy myśl o jego śmierci, bez chwili przerwy. Jakieby to było proste i zupełne rozwiązanie wszystkich zawikłań, jakie zakończenie wszystkich nieszczęść, gdyby on umarł! Myślałem niejednokrotnie, że jeśli hypnotyzer może powiedzieć swemu medium: «śpij!» — i medium zasypia — czemuby ta sama siła jeszcze bardziej natężona, nie miała wystarczyć do uspienia kogoś snem wiecznym? Pozapisywałem sobie świeżo rozmaite książki o hypnotyzmie, tymczasem zaś mimowoli mówię Kro-

mickiemu każdym spojrzeniem: «umrzyj!» — i gdyby taka suggestya wystarczała, dawnoby go nie było na świecie. Skutek z tego dotychczas jest taki, że on ma się dobrze i jest, jak był, mężem Anielki, mnie zaś pozostaje przekonanie, iż moja intencya jest zarówno zbrodnicza, jak głupia, śmieszna, niegodna człowieka czynu — i pogardzam sobą coraz bardziej.

Nie przeszkadza mi to jednak hypnotyzować Kromickiego w dalszym ciągu. To znowu ta sama historia człowieka inteligentnego, który, opuszczony w ciężkiej chorobie przez lekarzy, udaje się do znachorów. Ja chcę zabić przeciwnika hypnotyzmem — że zaś przez to widzę tem dokładniej moją nicość, to tem gorzej dla mnie. Trzeba przytem wyznać, że ilekroć jestem samotny, tylekroć chwytam się na rozmyślaniach o usunięciu nienawistnego mi człowieka za pomocą wszelkich środków, jakie leżą w mocy ludzkiej. Przez długi czas pieściłem się z myślą zabicia go w pojedynku. Ale to droga do niczego! Anielka nie mogłaby zaślubić zabójcy swego męża — więc począłem rozmyślać, jak pospolity zbrodniarz, o innych sposobach. I co dziwniejsza, znalazłem mnóstwo takich, którychby nie wykryła żadna ludzka sprawiedliwość.

Głupstwo! marność! czysta teoria! Kromicki może sobie żyć bezpiecznie, bo podobne myśli nigdy nie staną się we mnie czynem. Nie zabiję go, choćbym wiedział, że nie będę za to więcej odpowiedzialny, niż za rozdeptanie pająka; nie zabiłbym go, choćbyśmy mieszkali na bezludnej wyspie — ale jednak, gdyby można rozciąć czaszkę ludzką, jak jabłko i wydobyć ukryte myśli, pokazałoby się, że robak zbrodni toczy mój mózg. Co więcej: czuję to doskonale, że jeśli w żadnym razie nie zamordowałbym Kromickiego, to nie z tych wyższych pobudek moralnych, ujętych w przykazaniu: «Nie zabijaj!» To przykazanie jam już w sobie zdeptał. Nie zabiłbym go tylko dlatego, że może jakieś resztki tradycji rycerskiej stanęłyby mi na przeszkodzie, dlatego, że moje wyrafinowane nerwy nie byłyby zdolne zdobyć się na czyn brutalny, żem zadaleko odszedł od pierwotnego dzikiego człowieka: słowem, dlatego, że nie umiałbym się fizycznie na to zdobyć. Ale moralnie ja go morduję codzien — i wobec tego pytam się siebie, czy przed jakimś sądem, wyższym nad sądy ludzkie, nie będę odpowiadał za ten postępek tak, jak gdybym go dokonał?

Być może wprawdzie, że gdyby tak jak już

powiedziałem, można było otwierać czaszki ludzkie, to w mózgu najcnotliwszego nawet człowieka znalazłyby się myśli, od których włosy powstawałyby na głowie. Pamiętam, iż gdy byłem małym chłopcem, przyszedł na mnie okres pobożności tak wielkiej, iż modliłem się całą duszą od rana do wieczora, a jednocześnie w chwilach największych religijnych uniesień, przelatywały mi przez głowę bluźnierstwa, tak zupełnie, jakby mi je wiatr nawiewał, albo jakby mi je podsuwał demon. Tak samo zdarzało mi się bluźnić przeciw osobom, które najmocniej kochałem i za które byłbym bez wahania oddał życie. Pamiętam również, że stanowiło to moją dziecinną tragedję i że cierpiałem z tego powodu prawdziwie. Ale mniejsza o to. Wracając do owych bluźnierczych albo zbrodniczych myśli, sędzę, że się za nie nieodpowiada, ponieważ płyną one ze świadomości zewnętrznej zła, nie ze zła, wszczepionego już w moralny organizm. I właśnie z powodu tej ich zewnętrzności, człowiekowi wydaje się, że mu je djabeł szeptem do ucha.

Człowiek zaś słucha ich — i nie chcąc zła, odpycha je — w czym jest może nawet zasługa. Ale ze mną jest rzecz inna. Myśl o pozbyciu

się Kromickiego nie przychodzi mi z zewnątrz, ale wykwita i tkwi we mnie. Jam moralnie już do tego dojrzał, jeżeli zaś nie zdobywam się i nie mógłbym się zdobyć na zamordowanie go, to jest tylko, jak wspomniałem, kwestyą nerwów. Rola mojego djabła ogranicza się tylko do tego, że drwi ze mnie, szepcząc mi w ucho, że czyn dowodziłby tylko energii, nie byłby zaś większą zbrodnią.

Oto są rozdroża, na których stoje, a na których nie spodziewałem się tak dalece nigdy stanąć, że spoglądam w głąb własnej istoty ze zdumieniem. Nie wiem, czy istotnie wyjątkowe moje udręczenia okupują, choć w części, mój upadek, wiem tylko, że komu życie nie mieści się w ten kodeks prosty, którego trzyma się Anielka i podobne do niej istoty, komu dusza z takiego naczynia wykipi, ten musi zmięszać się z prochem i błotem.

9 Lipca.

Dziś w czytelni Kromicki pokazał mi jakiegoś Anglika, w towarzystwie kobiety nadzwyczaj pięknej i opowiedział mi ich historię. Piękność ta jest z pochodzenia Rumunką i pierwotnie była za jakimś zrujnowanym bojarem wo-

łoskim, od którego Anglik kupił ją prosto w Ostendzie. Słyszałem podobne opowiadania z dziesięć razy w życiu. Kromicki mówił mi nawet, za jaką sumę piękna Kokona została nabyta. Opowiadanie to zrobiło na mnie dziwne wrażenie. Pomyślałem sobie: «I to jest sposób» — zapewne, że haniebny dla sprzedającego i kupującego, ale prosty. Kobieta może przytem w takich razach nie wiedzieć o układach, same zaś układy mogą osłonić się możliwie przyzwoitymi pozorami. Mimowoli począłem stosować te myśli do naszego położenia. «A nużby!» Cała rzecz przedstawiła mi się podwójnie: ze względu na Anielkę, jako ohydna profanacya, ze względu na Kromickiego, jako sposób nietylko możliwy, ale nasycający moją dla niego nienawiść i pogardę. Bo gdyby on się na to zgodził, dopieroż wykazałaby się cała jego nikczemność, dopieroż stałoby się jasnym, jaki to jest człowiek i jaką potwornością było oddawać mu Anielkę. Czułbym się wówczas odrazu usprawiedliwiony we wszystkich moich usiłowaniach odebrania mu żony. Lecz czyby się zgodził? Mówiłem sobie: «Nienawidzisz go, zatem przypuszczasz o nim wszystko złe». Z drugiej strony, starając się o nim myśleć nawet najobje-

ktywniej, nie mogłem zapomnieć, że ten człowiek sprzedał Głuchów, że uzyskał na to podstępem pełnomocnictwo Anielki, że poniekąd oszukał i ją i panią Celinę, że nakoniec chciwość pieniężna była najwidoczniej główną jego namiętnością. Nie ja jeden uważałem go za człowieka, mającego wprost gorączkę złota. Tak samo na niego patrzył Sniatyński, tak samo ciotka, tak samo pani Celina. Otóż tego rodzaju moralna choroba może zawsze doprowadzić do odpowiedniego upadku. Rozumiem swoją drogą, że wszystko będzie prawdopodobnie zależało od stanu jego interesów. Jaki jest ten stan, nikt dobrze nie wie. Ciotka robi przypuszczenia, że nie jest pomyślny; ja przypuszczam, że wszystko, co miał, zasiał w jakąś rolę, która ma przynieść bujne żniwo. Czy przyniesie? On sam zapewne jeszcze nie wie i stąd ten jego jakiś cią-gły niepokój, te tuziny listów, wysyłanych do młodego Chwastowskiego, który jest jego pełnomocnikiem na Wschodzie. Przyszło mi nagle do głowy, że właśnie przez tegoż Chwastowskiego możnaby się dowiedzieć, jak rzeczy stoją. Potrzebaby jednak na to długiego czasu. Być może, że pojedę na jeden dzień do Wiednia, obaczę się z doktorem Chwastowskim, który tam

pracuje w klinice, i przez niego czegoś się dowiem. Bracia muszą przecie do siebie pisywać. Tymczasem wybadam Kromickiego, ale z wszelką ostrożnością, by nie obudzić jego czujności, ani podejrzeń. Przedewszystkiem spytam go zaraz jutro, co on myśli o owym bojarze rumuńskim, który sprzedał żonę Anglikowi? Przewiduję, że nie zechce być ze mną szczery, ale mu do tego dopomogę w miarę możliwości, resztę zaś odgadnę. Cała ta suma myśli i zamiarów sprawiła, że cokolwiek odżyłem. Niema nic straszniejszego, jak cierpieć biernie — i wszystko mi jest dobre, co mnie z tego stanu wyprowadza. Powtarzam sobie: «Oto, przynajmniej jutro i pojutrze, będziesz coś przedsiębrał, będziesz coś próbował czynić dla swego uczucia» — i pokrzepiam się tem. Z zupełnej bezwładności przechodzę do jakiejś gorączki czynów. Chodzi o moją głowę, o moje zmysły, które się rozprzegają. Przrzekłem Anielce słowem honoru, że się na własne życie nie targnę, nie mam więc już i tego wyjścia. A tak, jak żyję, nie mogę żyć. Jeśli ta droga, na którą chcę wstąpić, jest haniebną, w każdym razie haniebniejszą będzie dla Kromickiego, niż dla mnie. Muszę ich rozłączyć, nietylko ze względu na siebie, ale ze

względu na nią. Naprawdę mam gorączkę. Wszystkim tu kąpiele służą, prócz mnie.

10 Lipca.

Gorące dni zdarzają się nawet tu, w Ga-steinie. Co za upał! Anielka nosi suknie z białej flaneli, takie, jakich Angielki używają do «lawn-tennis». Pijamy rano kawę na świeżem powietrzu. Ona przychodzi po kąpieli świeża, jasna, jak śnieg o wschodzie słońca. Wysmukłe jej ciało rysuje się wyraźniej, niż zwykle, pod miękką suknią. Poranne światło oświeca ją tak dokładnie, że widzę każdy włoszek jej brwi, rzęs i owego puszku, pokrywającego jej delikatne policzki. Włosy jej bywają, jakby mokre, ale w tym blasku zdają się jaśniejsze, niż zwykle, a źrenice są przeźroczystsze. Jaka ona młoda, jaka upajająca! W niej jest moje życie, w niej się streszcza wszystko, czego chcę. Nie odejdę, nie potrafię!

Patrzę na nią i tracę zmysły z upojenia, a zarazem i z bólu, że oto siedzi przy niej — mąż. To nie może tak zostać — niech nie będzie niczyją, byle nie była jego. Ona sobie zdaje, do pewnego stopnia, sprawę z tej męki, która mi skręca nerwy, jednak niedostatecznie. Męża

nie kocha, ale pożycie z nim uważa za prawowite — mnie zaś na samą myśl o tem chce się zgrzytać, bo mi się zdaje, że przyznając tę prawowitość, sama siebie upadła. A tego nie wolno, nawet jej! Niechby lepiej umarła. Wtedy będzie moją, bo ten prawowity mąż tu zostanie — a ja nie! Przez to samo jam jej prawowitszy, niż on. Dzieje się czasem ze mną coś dziwnego. Oto, gdy się bardzo zmęczę, wymorduję, gdy umysł mój, przez nateżone w jednym kierunku myślenie, widzi jakieś odległe przestrzenie, których w normalnym stanie dostrzedz nie można, przychodzą na mnie chwile takiej pewności, że Anielka należy się mnie, że w jakiś sposób jest, czy że będzie moją — iż gdy się budzę z tego stanu, przypominam sobie, jakby ze zdziwieniem, o istnieniu Kromickiego. Może w takich chwilach przechodzę tę granicę, której za życia zwykle się nie przechodzi i mam widzenie rzeczy doskonałych, takich, jakimi są w ideale i jakimi powinny być w objawach zewnętrznych? Dlaczego te dwa światy sobie nie odpowiadają — i jakim sposobem mogą sobie nie odpowiadać, nie wiem. Usiłuję to nieraz rozwiązać i gubię się i nie rozumiem tej nieodpowiedniości, czuję tylko, że w niej leży niedo-

skonałość i zło. To poczucie pokrzepia mnie — w takim razie bowiem przynależność Anielki do Kromickiego byłaby właśnie objawem zła.

11 Lipca.

Nowy zawód, nowa ruina zamiarów, lubo mam jeszcze iskrę nadziei, że nie zupełna. Mówiłem dziś z Kromickim o bojarze, który sprzedał żonę, przyczem zmyśliłem całą historję, w celu ułatwienia Kromickiemu szczerości.

Spotkaliśmy Anglika z kupioną żoną przy kaskadach. Począłem zaraz mówić o jej nadzwyczajnej piękności, wreszcie rzekłem:

— Opowiadał mi doktor tutejszy, jak się odbyło kupno i sprzedaż. Ty za surowo sądzisz tego bojara.

— On mnie przedewszystkiem bawi — odpowiedział Kromicki.

— Są okoliczności łagodzące. Był to nietylko bojar, ale i właściciel wielkich garbarni, które prowadził za pożyczone pieniądze. Nagle, z powodu zarazy, dowóz skór z Rumunii został przez sąsiednie państwa wzbroniony. Ten człowiek wiedział, że jeśli nie przetrzyma zakazu, nietylko sam zbankrutuje, ale pograży w ruinie setki rodzin, które mu zaufały. Mój kochany,

albo się jest kupcem, albo się nim nie jest. Być może, iż moralność kupiecka jest odmienna od ogólnej, ale gdy się raz na nią zgodziło...

— To ma się prawo sprzedać nawet żonę? — spytał Kromicki. — A nie! Nie wolno dla jednych obowiązków deptać drugich, kto wie, czy nie świętszych...

Kromicki nie mógł mnie rozczarować bardziej i zniecierpliwic bardziej, niż odzywając się, jak porządny człowiek. Ale nie straciłem odrazu nadziei. Wiem, że każde najmarniejsze indywiduum ma do rozporządzenia pewien zapas frazesów, pięknie brzmiących — więc mówiłem dalej:

— Nie uwzględniasz jednej rzeczy, mianowicie, że ten człowiek pograżyłby w nędzę razem ze sobą i tę kobietę. Przyznaj, że to jest dziwny sposób pojmowania obowiązków względem najbliższych — odbierać tym najbliższym ostatni kawałek chleba.

— A wiesz, nie wiedziałem, że ty jesteś tak djablo trzeźwy.

Ja zaś pomyślałem:

— Nie rozumiesz, głupcze, że to nie są moje poglądy, to są tylko pojęcia, które ci chcę podsunąć.

Głośno zaś odpowiedziałem:

— Staram się wejść w położenie tego przemyślowca. Ty przytem nie uwzględniasz jednej rzeczy: że ta kobieta mogła go nie kochać, mogła kochać swego dzisiejszego męża, a tamten mógł o tem wiedzieć.

— W takim razie oboje byli siebie warci.

— To inna sprawa. Patrząc nieco głębiej, jeśli ona, kochając tego Anglika, pozostała jednak wierną mężowi, to może jest więcej warta, niż myślimy. Co do twego bojara, może on być człowiekiem podłym, ale pytam, co w podobnym wypadku ma robić kupiec, do którego ktoś przychodzi i powiada mu tak: «Pan jesteś bankrut podwójny, bo masz długi, których nie możesz zapłacić i żonę, która cię nie kocha; ale rozwiedź się z tą kobietą, a ja 1-o zapewnię jej dostatek i możliwe szczęście, a powtóre zapłacę pańskie długi». Bo to się mówi: sprzedaż! sprzedaż! — a czy to właściwie jest sprzedaż? Pomyśl, że ten kupiec, który się na ów układ zgadza, uwalnia za jednym zamachem od nieszczęścia kobietę (a kwestya, czy to właśnie nie jest prawdziwym zrozumieniem obowiązku względem bliskich) — i od nędzy tych wszystkich, którzy mu zawierzyli...

Kromicki pomyślał chwilę, wypuścił monokl i odrzekł:

— Mój kochany, ja pochlebiam sobie, że na interesach znam się lepiej od ciebie, ale w rozprawy wdawać się z tobą nie mogę, bo mnie w kozi róg zapędzisz. Żebyś nie miał po ojcu milionów, a został adwokatem, byłbyś je i tak zrobił... Jak w ten sposób przedstawiłeś sprawę, dalibóg nie wiem, co mam o tym rumuńskim chłystku myśleć: wiem tylko, że tam był układ o żonę, a to, mów sobie, co chcesz, wygląda na szelmostwo. Powtóre, ponieważ sam jestem poniekąd kupcem, powiem ci jeszcze to: bankrut ma zawsze sposób wyjścia: albo zrobić drugi raz majątek i pospłacać dawne długi, albo strzelić sobie w łeb. W ten sposób płaci krwią; żonę zaś, jeśli ją ma, uwalnia od siebie i otwiera przed nią widoki nowego losu.

Miałem chwilę takiej wewnętrznej wściekłości, że dałbym nie wiem co, byle móżdż mu krzyknąć w ucho: «Tyś już bankrut, przynajmniej pod tym względem, że żona cię nie kocha. Widzisz tę wodospady? Skacz-że w nie na łeb i uwolnij ją od siebie i otwórz jej to nowe życie, w którym będzie stokroć szczęśliwsza!»

Alem milczał, przeżuważając to nowe przekonanie, pełne dla mnie goryczy, że Kromicki jest wprawdzie pospolitym człowiekiem, zdolnym nawet do takich postępków, jakim jest na przykład sprzedaż Głuchowa lub nadużywanie zaufania żony, ale nie jest tak nikczemną duszą, za jaką go miałem. Był to dla mnie i zawód i ruina planów, do których przyczepiłem chwilowo swoje istnienie. Znowu czułem się bezradnym, znowu zobaczyłem przed sobą pustkę, znowu zawisłem, jak w powietrzu. Nie chciałem jednak wypuścić z ręki ostatniej nici, bo rozumiałem dobrze, iż jeśli potrafię w jakikolwiek sposób działać, to jeszcze jako tako będę mógł żyć — w przeciwnym zaś razie, prawdopodobnie oszaleję. «Przygotuję sobie chociaż grunt na przyszłość i na wszelki wypadek — mówiłem sobie — oswoję Kromickiego z myślą rozstania się z Anielką». Nie wiedziałem, powtarzam, jak stoją jego sprawy majątkowe, w przypuszczeniu jednak, że kto spekuluje, tak dobrze może stracić, jak zyskać, począłem mówić:

— Nie wiem, o ile to, coś mi powiedział, odpowiada moralności kupieckiej, ale z przyjemnością ci przyznaję, że jest godne porządnego człowieka. Jeślim dobrze zrozumiał, twierdzisz,

że mąż, który stanie nad brzegiem ruiny, nie ma prawa pociągać za sobą żony w otchłań nędzy?

— Ja mówiłem tylko, że sprzedaż żony jest zawsze szelmostwem. Zresztą, żona powinna dzielić losy męża. Dziękuję ci za taką, która zgodzi się na zerwanie małżeństwa, dlatego tylko, że mąż stracił majątek.

— Przypuściwszy, że się nie zgodzi, on może przeprowadzić rozwód mimo jej woli. Każde w takim razie powinno pilnować swego tylko obowiązku... Przytem, jeśli ona widzi, że przez rozwód może w dodatku uratować męża, to dobrze zrozumiany obowiązek nakazuje zgodzić się.

— O tych rzeczach przykro nawet mówić.

— Dlaczego? Czy ci zaczyna być żal Rumuna?

— Nie! Dalibóg, zawsze go będę miał za szuję.

— Bo nie umiesz patrzeć obiektywnie. Ale to nic dziwnego. Taki, któremu wszystko idzie, jak po maśle, nigdy nie potrafi zdać sobie sprawy z psychologii bankruta, chyba byłby filozofem — a filozofia nie chodzi w parze z robotą milionów...

Nie chciałem dalej przedłużać tej rozmowy, bo i mnie moja przewrotność była nad wyraz przykra. Zdawało mi się, że rzucił jakieś ziarno — marne wprawdzie i zbyt może nędzne, by mogło zejść, ale chwyciłem przynajmniej znów za jakąś nitkę. Jedna rzecz dodała mi ducha. Oto w chwili, gdy zacząłem wmawiać w Kromickiego, iż to on jest zdania, że zrujnowany mąż powinien uwolnić od siebie żonę, dostrzegłem na twarzy jego jakby niepokój i przymus. Zauważyłem także, że przy wzmiance o jego milionach westchnął zcicha. Wyprowadzić z tego wnioski, że mu grozi ruina, byłoby wnioskować zbyt pośpiesznie, ale mogłem przypuszczać, że jego interesa nie są zupełnie pewne i że mogą się tak, albo owak obrócić.

Postanowiłem sobie to sprawdzić. Tymczasem czułem w sobie wyraźnie dwóch ludzi. Jeden mówił w duchu do Kromickiego: «Jeśli choć trochę się chwiejesz, to ja ci pomogę do upadku — i choćbym miał, ja także, stracić całą majątek, obalę cię jednym zamachem, a wówczas będę miał do czynienia z człowiekiem złamanym i zobaczymy, czy na pewnego rodzaju układy i warunki nie znajdziesz delikatniejszego terminu, niż szelmostwo.»

Zdawałem sobie jednak zarazem sprawę, że to są sposoby nie moje, ale jakieś obce, które przyszły mi drogą czytania lub słyszenia i których, gdyby nie rozpaczliwe moje położenie, nigdybym się nie chwycił, bo są mi wstrętne i wprost przeciwne mojej naturze. Pieniądze nie odgrywały nigdy roli w mojem życiu, ani jako środek, ani jako cel; uważam się za niezdolnego do władania podobną bronią; czułem, jakim jest poniżeniem dla mnie i dla Anielki wprowadzanie podobnego pierwiastku w nasze stosunki; sprawiało mi to tak niesłychane obrzydzenie moralne, że m sobie mówił: «Czy i tego rodzaju upadku sobie nie oszczędzisz, czy i z tego naczynia musisz się napić? Patrz, jak zstępujesz coraz niżej; dawniej do głowy nie przyszłyby ci podobne sposoby, które, nadomiar wszystkiego, mogą się na nic nie przydać, a zostawią ci ostateczną dla siebie samego pogardę».

Istotnie dawniej, gdy zdarzało mi się czasem słyszeć ciotkę, mówiącą o sprawach pieniężnych Kromickiego i wyrażającą swe wątpliwości co do ich pomysłnego stanu, sprawiało mi to zawsze przykrość. W przewidywaniu, że on może kiedyś zażądać odemnie pomocy, lub wezwać mnie do udziału w swych obrotach,

rozmyślałem, co w takim razie uczynię — i zawsze obiecywałem sobie, że stanowczo odmówię i pomocy i udziału — tak dalece nie chciałem, by w stosunek między mną i Anielką był wmięszany pieniądź. Pamiętam, że w tem widział pewną delikatność własnej natury i dowód szlachetności moich uczuć. Dziś doszło do tego, że chwytam za tę broń, jak gdybym był bankierem i całe życie wojował pieniędzmi!

Widzę z wszelką pewnością, że moje postęпки i moje myśli są gorsze odemnie — i często nie zdaję sobie sprawy, jakim sposobem się to dzieje? Prawdopodobnie dlatego, że nie mogę wyjść z manowców. Kocham kobietę szlachetną, miłość moja jest wielka, a jednak z tego zestawienia rodzą się krzywizny i błędne koła, w których gubi się mój charakter, zatracą się nawet szlachetność moich nerwów. Gdy dawniej, w chwilach upadku, rzucał w kąć moralność, zostawiało mi zawsze coś... jakieś poczucie estetyczne, za pomocą którego różniczkowałem samo zło. Dziś nie mam i tego, a raczej jestto we mnie bezsilne. Gdybym był przynajmniej zatracił jednocześnie w sobie świadomość szpetoty! Ale nie! Posiadam ją zawsze w równym stopniu, tylko, że przestała ona być hamulcem i służy

mi jedynie do spotęgowania udęczeń. Po za miłością dla Anielki niema we mnie miejsca na nic innego, ale świadomość nie potrzebuje miejsca. Gnieździ się ona i w miłości i w nienawiści i w bólu, jak rak gnieździ się w chorym organizmie.

Kto nie był w położeniu podobnem do mego, ten nie może mieć o niem pojęcia. Ja wiedziałem wprawdzie, że z miłosnych zawikłań mogą wyniknąć różne męki, ale wierzyłem w nie niedostatecznie. Nie myślałem, żeby były takie realne i takie nie do wytrzymania. Teraz dopiero rozumiem różnicę między «wiedzieć» i «wierzyć,» teraz rozumiem, dlaczego francuski myśliciel powiedział: «Wiemy, że musimy umrzeć, ale w to nie wierzymy».

12 Lipca.

Dziś mam pulsa rozbite i szum w głowie, bo zaszedł wypadek, na wspomnienie którego trzęsie się we mnie każdy nerw jak w febrze.

Dzień był piękny, a wieczór jeszcze piękniejszy i pełnia. Postanowiliśmy zrobić wycieczkę do Hofgastein, jedna tylko pani Celina wolała zostać w domu. Ciotka, ja i Kromicki zeszliśmy zaraz do bramy ogrodowej willi, stamtąd Kro-

micki poszedł po powóz do Straubingera, my zaś z ciotką czekaliśmy na Anielkę, która pozostała jeszcze w domu. Gdy jej długo nie było widać, pobiegłem po nią i znalazłem ją na krętych zewnętrznych schodach, prowadzących z pierwszego piętra willi do ogrodu.

Ponieważ księżyc oświecał drugą stronę willi, ta zaś była zupełnie ciemna, więc Anielka zstępowała bardzo powoli. Schody szły wężem, prawie prostopadle na dół. Przyszła chwila, gdy głowa moja znalazła się na wysokości stóp Anielki i zaledwem je dojrzałem, gdy objąłem je dłońmi z czcią największą i począłem przyciskać do nich moje spragnione usta. Miałem świadomość, że przyjdzie mi odcierpieć za te minuty szczęścia, ale nie potrafiłem i nie umiałem się ich wyrzec. Zresztą, Bóg widzi, ile było czci na moich ustach, których nie mogłem oderwać od tych kochanych nóg i za ile męki płaciła mi ta chwila. Gdyby nie opór Anielki, byłbym jej stopę postawił na swojej głowie, na znak, że jej się oddaję raz na zawsze w służbę i w niewolę. Ale ona cofnęła się zaraz ku górze, ja zaś zbiegłem w jednej chwili na dół i począłem wołać tak, aby mnie ciotka, stojąca u bramy, mogła dosłyszeć:

— Idzie już Anielka, idzie!

Nie pozostawało jej nic innego, jak zejść, co mogła uczynić bez wszelkiej obawy, bom poszedł naprzód. W tej chwili też zajechał Kromicki z powozem. Anielka jednak, połączywszy się z nami, rzekła:

— Ja przyszedłam ciocię przeprosić: rozmyślałam się i nie chcę mamy samej zostawiać. Jedźcie państwo, a ja poczekam z herbatą.

— Ależ Celina ma się doskonale — odrzekła z lekkim niezadowoleniem ciotka — i sama zaproponowała tę wycieczkę, głównie dla ciebie.

— Tak, ale... — zaczęła Anielka.

Wtem Kromicki zbliżył się do powozu i dowiedziawszy się o co idzie, rzekł sucho:

— Proszę nie robić trudności...

Anielka siadła za ciotką do powozu bez słowa odpowiedzi.

Mimo całego wzruszenia, zwróciłem uwagę i na ton Kromickiego i na milczące posłuszeństwo Anielki, a zwróciłem ją głównie dlatego, iż rano już zauważyłem, że przez cały dzień obejście się jego z nią było jeszcze chłodniejsze, niż poprzednio. Widocznie te same nieznanne mi powody nieporozumienia, które już raz rzuciły chłód między nich, powtórzyły się znowu z więk-

szą siłą. Ale nie miałem czasu o nich rozmyślać; świeże wrażenie tych pocałunków, które złożyłem na nogach Anielki ogarnęło mnie całkowicie. Odczuwałem zarazem rozkosz, radość i bojaźń. Z rozkoszy zdawałem sobie sprawę, bom ją odczuwał zawsze, ilekroć dotknąłem choćby jej ręki. Ale skąd brała się we mnie radość?... Z tego, iż odgadywałem, że ta nieugięta i niepokalana Anielka nie zdołała jednak uchronić się całkowicie przedemną i że w tej chwili musi sobie mówić: «I ja jestem na pochyłości i ja nie mogę patrzeć ludziom w oczy bez zmrużenia powiek: oto przed chwilą był u moich nóg człowiek, który mnie kocha, ja zaś muszę być poniekąd jego współniczką, bo jednak nie pójdę do męża i nie powiem mu: ukarż go — a mnie zabierz».

Ja także wiedziałem, że ona nie może tego zrobić bez narażenia stosunków rodzinnych, a choćby nawet mogła, nie zrobiłaby tego ze względu na zajście, jakie jej skarga musiałaby wywołać między mną a Kromickim. I jakiś głos szeptał mi pocichu: «Kto wie, kogo się ona boi więcej narazić?»

Położenie jej było istotnie wyjątkowe, ja zaś wyzyskiwałem je z całą świadomością, bez

większych skrupułów od skrupułów wodza, który w czasie wojny wyzyskuje niepomysłne położenie nieprzyjaciela. Zadałem sobie tylko pytanie: «Czy uczyniłbyś to samo, gdybyś wiedział, że Kromicki pociągnie cię do osobistej odpowiedzialności?» Ponieważ mogłem sobie sumiennie odpowiedzieć: tak! — więc sądziłem, że na inne względy nie potrzebuję uważać.

Nie!... Kromicki budzi we mnie bojaźń tylko przez to, że może zabrać Anielkę i wywieźć ją, Bóg wie gdzie. Rozpacz ogarnia mnie na samą myśl o tem.

Ale w tej chwili w tym powozie, bałem się przedewszystkiem Anielki. Co będzie jutro? jak ona to przyjmie? czy jako zuchwałość, czy jako poryw czci i ubóstwienia? Miałem uczucie psa, który zbroiwszy, boi się, że będzie obity. Siedząc naprzeciw Anielki, starałem się w chwilach, w których światło księżycy padało na jej twarz, wyczytać z niej, co mnie czeka. Poglądałem na nią tak pokornie, byłem tak biedny, że sam litowałem się nad sobą i zdawało mi się, że ona także powinna mieć nademną litość. Ale ona nie patrzyła we mnie, tylko słuchała uważnie lub udawała, że słucha tego, co do ciotki mówił Kromicki, który opowiadał obszer-

nie, coby zrobił i w jaki sposób osiągnąłby największe zyski, w razie, gdyby Gastein był jego własnością. Ciotka kiwała głową, on zaś powtarzał ustawicznie: «nieprawda — co?» Wido-
cznem było, iż chce wpoić w nią przekonanie, że ma obrotny rozum i że z każdego grosza potrafi zrobić dziesięć.

Droga do Hofgastein jest poprostu wrębem skalnym i kręci się nad przepaścią w licznych zawrotach. Światło księżyca padało, stosownie do skrętów drogi, naprzemian, to na nas, to na te panie. W twarzy Anielki widziałem tylko jakby łagodny smutek, ale już to dodawało mi otuchy, że wyraz jej nie był surowy. Nie otrzymałem ani jednego jej spojrzenia, pokrzepiałem się wszelako myślą, że gdy sama pogrążona jest w cieniu, a światło mnie oświeca, wówczas może ona patrzy na mnie, a może i mówi sobie: «Jednak nikt w świecie mnie tak nie kocha, jak on — i nikt zarazem nie jest tak nieszczęśliwy.» Bo to przecie była prawda.

Oboje milczeliśmy. Gadał ciągle tylko Kromicki; słowa jego mieszały się z szumem rzeki, płynącej na dnie przepaści i z przykrym zgrzytem hamulca, który woźnica co chwila zakładał pod koła. Zgrzyt ów drażnił bardzo moje

nerwy, ale uciszała je natomiast ciepła a jasna noc. Mówilem, że była pełnia; księżyc wybił się nad góry i płynął po przestworzu, rozświecając czuby Bocksteinkoglu, lodowce Tischlkaru i przepaściste boki Grankoglu. Śniegi na szczytach błyszczały jasno-zielonem, metalicznym światłem, a ponieważ stoki, leżące poniżej, zlewały się z ciemnością i nocą w jedną szarą masę, więc owe jasności śnieżne zdawały się wisieć w powietrzu, lekkie, jakby nie do ziemi należące. Taki był w tem urok i spokój i było coś tak kojącego w tych uśpionych górach, że mimowoli przyszły mi na myśl słowa:

- »O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,
- »Co mają sobie przebaczyć — przebaczą,
- »Co mają sobie zapomnieć — zapomną...«

A właściwie ona mi miała do przebaczenia tylko to, że ucałowałem jej nogi; gdyby była posągiem świętej i stała w kościele, jeszczeby nie miała prawa gniewać się i obrażać za taki dowód czci. Pomyślałem sobie, że gdy przyjdzie do wyjaśnień, to jej to powiem, bo ją to powinno przekonać.

Myślę często, że dzieje mi się wielka krzywda z tego powodu, iż ona, może nie zdając

sobie sprawy, nie nazywając rzeczy po imieniu, uważa jednak moją miłość za uczucie czysto ziemskie, za poryw zmysłów. I ja nie przeczę, że ono jest splecione z różnych pasm, ale Anielka tego zdaje się nie rozumieć, iż są w niem nici niesłychanie idealne, poprostu jakby z poezyi wysnute. Nieraz zmysły moje usypiają i kocham ją tylko duchowo, tak, jak człowiekowi wydaje się, że kocha w pierwszej młodości. Nieraz także, ten drugi człowiek, który we mnie siedzi i który wszystko rozbiera, sprawdza, a często i wyśmiewa, mówi mi: «Nie wiedziałem, że kochasz, jak student i jak romantyk!» Ale tak! Może to jest śmieszne, ale kocham w ten sposób i czuję, że to nie jest sztuczne i że właśnie dlatego miłość moja jest taka zupełna, a zarazem tem smutniejsza, im jednostronniej sądzona i bardziej zapoznawana.

I teraz właśnie przyszła na mnie chwila uśpienia zmysłów, więc mówiłem w duchu do Anielki: «Czy ty myślisz, że idealne struny we mnie nie grają? A oto w tej właśnie chwili kocham cię w ten sposób, że ty nawet możesz i powinnaś się na takie uczucie zgodzić i szkoda będzie, jeśli je zmarnujesz — bo sama nie straciłabyś nic, a mniebyś uratowała? Powie-

działbym sobie: oto jest mój świat, oto granice, w których mi żyć wolno — i miałbym choć cokolwiek i starałbym się przeistoczyć własną naturę, przejść na twoją wiarę i raz na zawsze się jej trzymać. »

Zdawało mi się, że ona może i powinna zgodzić się na taki układ, po którym nastąpiłby między nami i dla nas obojga wieczny spokój. Obiecywałem sobie, że jej to powiem i przedstawię, a gdy uznamy, że dusze nasze należą raz na zawsze do siebie, to potem będziemy mogli choćby nawet się rozjechać. Obudziła się we mnie nieprzeparta nadzieja, że na taki układ ona się zgodzi, bo zrozumie, że bez niego życie stanie się nam obojgu niemożliwe.

Była godzina dziewiąta, gdy dojechaliśmy do Hofgasteinu. We wsi było już spokojnie; ani jednego powozu przed hotelami, w domach ciemno. Świeciły się tylko okna w gasthausach, a u Megera jodlowało kilka wcale niezłych głosów męskich. Gdyśmy stanęli, wysiadłem z powozu, chcąc zaproponować śpiewakom, czyby się nie chcieli popisać przed hotelem, pokazało się jednak, że to byli nie wieśniacy, ale jacyś alpinisci z Wiednia, którym niepodobna było ofiarować zapłaty. Kupilem dwa bukiety z edel-

waisów i innych kwiatów alpejskich. Wróciwszy do powozu, oddałem jeden Anielce, drugi rozwiązałem, niby niechęć; tak, że rozrzuczone kwiaty spadły pod jej nogi.

— Niech tam leżą — rzekłem — widząc, że chce się po nie schylić.

I poszedłem po trzeci bukiet dla ciotki. Zbliżając się do powozu, usłyszałem następne zdanie Kromickiego:

— I tu, w Hofgasteinie, gdyby urządzić dobrze drugi zakład, możnaby mieć sto od sta.

— A ty zawsze o tem samym? — spytałem go spokojnie.

I zadałem to pytanie umyślnie, było to bowiem to samo, co powiedzieć Anielce: «Patrz, gdy cała moja istota tobą jest tylko zajęta, on, obok ciebie, myśli o pieniądzach — porównaj nasze uczucia — i porównaj nas.»

Jestem niemal pewny, że ona mnie zrozumiała.

W powrotnej drodze kilkakrotnie usiłowałem zawiązać rozmowę, ale nie udało mi się wciągnąć w nią Anielki. Gdyśmy stanęli przy bramie willi, Kromicki poszedł z paniami na górę, ja zaś zostałem, by zapłacić powóz. Wróciwszy, nie znalazłem już Anielki przy herbacie. Ciotka

powiedziała mi, że czuła się nieco zmęczona i poszła się położyć. Porwał mnie zaraz wielki niepokój i począłem czynić sobie wyrzuty, że to ja ją męczę. Nie może być nic bardziej gnębiącego dla człowieka, który prawdziwie kocha, jak to poczucie, że przynosi zło i szkodzi istocie kochanej. Piliśmy herbatę w milczeniu, bo ciotka była senna, Kromicki także jakiś niespokojny, ja zaś dręczyłem się coraz bardziej. «Musiała — myślałem sobie — wziąć bardzo do serca mój postępek. Ona wszystko bierze ze złej strony.» Czulem, że jutro będzie mnie unikała i że pokój, jaki zawarliśmy między sobą, uważa za zerwany przezemnie. Te myśli przejęły mnie strachem i postanowiłem nazajutrz jechać, a raczej uciekać do Wiednia, raz dlatego, że bałem się Anielki, powtóre, że chciałem zobaczyć Chwastowskiego, a potrzenie myślałem — i Bóg jeden wie, z jaką goryczą — że jednak lepiej będzie uwolnić ją od mojej osoby i dać jej, choć przez dwa dni, wypoczynek.

15 Lipca.

Cały szereg zdarzeń i wypadków! Nie wiem, od czego zacząć, bo ostatnie wrażenia najsilniejsze. Nigdy w życiu nie miałem tak jasnego

dowodu, że jednak ona nie jest dla mnie obojętna. Muszę się wysilać, żeby zachować porządek w opowiadaniu. Mam prawie pewność, że Anielka zgodzi się na te warunki, które jej przedstawię. Chwilami dostaję zawrotu głowy. Lecz oto zmuszam się do jakiegoś ładu w pisaniu i zaczynam od początku.

Byłem w Wiedniu. Wróciłem dziś wieczorem. Przywiozłem nieco wiadomości, o których pogadamy z ciotką.

Widziałem Chwastowskiego i rozmówiłem się z nim. Co to za dzielny chłopak!... Pracuje, jak wół, w klinice; zabrał się do pisania higieny dla ludu, którą brat jego, księgarz, ma wydawać w postaci kilkugroszowych małych broszurek; należy do różnych stowarzyszeń lekarskich i nielekarskich, których jest czynnym członkiem, a oprócz tego umie znaleźć czas na rozmaite wesołe, może zbyt wesołe, stosunki w okolicach Kärthnerstrasse. Nie wiem, do prawdy, kiedy ten człowiek sypia. Wygląda przytem bestya, jak Herkules jarmarkowy. Co za bujność życia: aż kipi!

Mówiłem z nim o powodach, które mnie sprowadziły do Wiednia, bez żadnych ogródek.

— Nie wiem, czy panu wiadomo — powiedziałem — że i ja i ciotka posiadamy dość znaczne kapitały; nie potrzebujemy spekulować, ale bądź co bądź, gdybyśmy mogli włożyć je w jakie obroty, przynoszące znaczne zyski, zyski te przyszłyby do kraju. Przypuszczam także, że panu Kromickiemu moglibyśmy oddać przysługę — byłaby więc dwustronna korzyść. Mówiąc otwarcie, osoba jego, jako taka, jest nam dość obojętna, ale ponieważ stał się naszym krewnym, więc radzibyśmy byli przyczynić się do powiększenia jego majątku, naturalnie, o ilebyśmy mieli pewność, że sami nie poniesiemy przytem szkód.

— I chcielibyście państwo wiedzieć, jak stoją jego sprawy?

— Oczywiście. On naturalnie ma jak najlepsze nadzieje i nie wątpię, że jest szczery. Chodzi tylko o to, czy się nie myli. Dlatego, jeśli panu brat pisał coś o tem, nie wymagając tajemnicy, to mi pan powiedz, a powtóre poproszę go pan, by umyślnie napisał do mnie i przedstawił mi jak najściślej cały stan rzeczy. Ciotka liczy w tym względzie na jego życzliwość dla siebie i na stosunki, które was łączą z nią dawniej, niż z Kromickim.

— Dobrze, powiem to bratu — odrzekł doktor. — On nawet pisał mi już coś o tem, ale co, to dobrze nie pamiętam, bo mnie to mało obchodziło.

To rzekłszy, począł szukać listu na biurku wśród mnóstwa innych; znalazł go z łatwością i czytał, co następuje:

«Mało się nie skręć. Kobiet tu nic, a przy-
stojnej ani na lekarstwo...»

Tu roześmiał się i rzekł:

— Nie, to co innego. Temu byłoby dobrze
w Wiedniu!...

I przewróciwszy stronnice, podał mi ją do czytania, ja zaś znalazłem małą tylko wzmiankę w kilku wierszach:

«Co się tyczy Kromickiego — z naftą była kłapa. Z Rotschildami wojna niemożliwa, a on z nimi zadarł. Wycofaliśmy się, ale ze znaczną stratą. Ogromne pieniądze włożyliśmy w dostawy i zdobyliśmy monopol, z tego jednak są milionowe zyski, albo może być i odpowiedzialność. Wszystko zależy od dobrej woli. Staramy się robić jak najuczciwiej, więc mamy dobrą nadzieję. Potrzebamy tylko pieniędzy i pieniędzy, bo nas płacą w stałych terminach, a ci, od których my bierzemy, żądają natychmiast, a w do-

datku często dają zły materyał. Wszystko teraz na mojej głowie» etc.

— To my dostarczymy pieniędzy — rzekłem, skończywszy czytać.

W powrocie do Gasteinu dużo nad tem rozmyślałem i odzywały się we mnie jakieś lepsze instynkta. «Co będzie, to będzie — myślałem sobie — a tymczasem zamiast gubić Kromickiego, czyby nie prościej i uczciwiej było pomóc mu? Przecie Anielka potrafiłaby ocenić taki postępek i musiałaby ją ująć moja bezinteresowność — a o przyszłości niech Opatrzność rozstrzygnie.»

Zastanowiwszy się jednak głębiej, spostrzegłem, że i w tych lepszych myślach egoizm mój gra pewną rolę. Oto przewidywałem, że Kromicki, dostawszy pieniędzy, wyjedzie zaraz z Gasteinu i uwolni mnie od wszystkich mąk, jakie mi zadaje obecność jego przy Anielce. Anielka zostanie sama wobec mego uczucia, z wdzięcznością w sercu dla mnie, z pewną niechęcią, a może i oburzeniem dla Kromickiego, choćby za to, że przyjął moją pomoc. Zdawało mi się, że położenie takie otwiera przedemną nowe widnokreśli. Przedewszystkiem jednak

chciało mi się pozbyć Kromickiego za wszelką cenę.

Jadąc, rozmyślałem nad moim stosunkiem do Anielki tak silnie, że anim się spostrzegł, kiedy przyjechaliśmy do Lend-Gastein. W Lend zastałem mnóstwo ludzi rannych i zabitych z powodu wypadku na bocznej linii do Zell am See; ale zaledwim siadł do powozu, i to wrażenie, jakie mi sprawił widok ran i krwi, przeszło bez śladu i znów myślałem tylko o naszym stosunku. Miałem poczucie, że potrzebuje on jakiejś reformy, że trzeba coś zrobić koniecznie, inaczej stanie się coś złego ze mną i z Anielką. Ale co należało uczynić? Widziałem jasno tylko jedno: że ona męczy i zabija mnie, a ja ją, bo gdy ja dążę do wszystkiego, a ona nie zgadza się na nic, tworzy się przez to takie rozdarcie między nami, taki dramat, że lepiejby dla niej było rzucić się w wodospady Achy, a dla mnie zlecieć wraz z powozem i końmi w przepaść. A oprócz tego doszedłem do przekonania, że nawet taka kobieta, która nie zgadza się na nic, musi wpaść w wewnętrzną straszną rozterkę, jeśli pokocha ją człowiek obcy. Bo oto Anielka nie zrobiła mi nigdy najmniejszego ustępstwa, a jednak ja od czasu do czasu całuję jej ręce i nogi,

jednak musi słuchać moich wyznań — i musi mieć cały szereg tajemnic przed matką i mężem; musi się przytem strzedz, pilnować, czuwać nad sobą i nademną, nigdy nie wiedząc, dokąd mogę się posunąć. Życie w tych warunkach staje się dla nas obojga niemożliwe. Trzeba to skończyć.

Nareszcie zdawało mi się, że znalazłem rozwiązanie. Niech Anielka — myślałem sobie — zgodzi się na to uczucie i uzna je; niech mi powie: «Jestem twoja! Sercem i duszą należę i będę wiecznie należała do ciebie. Ale na tem musisz poprzestać. Jeśli się na to zgodzisz, dusze nasze są od tej chwili poślubione.»

I oczywiście obiecywałem sobie zgodzić się. Wyobrażałem sobie, że podam jej rękę i powiem jej: «Biorę cię i przyrzekam, że więcej od ciebie nie będę żądał — że stosunek nasz będzie i pozostanie czysto duchowy — ale niemniej będę uważał te nasze wzajemne zobowiązania za ślub, ciebie zaś za moją żonę.»

Czy taki układ był możliwy i kończył mękę? Dla mnie równał on się ogromnemu ograniczeniu pragnień i nadziei, ale stwarzał mi świat własny, w którym Anielka należałaby do mnie niepodzielnie. Obok tego uprawniał on

moją miłość, a chodziło mi o to tak bardzo, że za to uznanie jej ze strony Anielki gotów byłem oddać zdrowie. Widzę w tem dowód, jak dalece kocham tę kobietę, jak wszystkiemi siłami duszy chcę, żeby w jakikolwiek sposób należała do mnie.

Tak jest! Jam się już tak dalece zmienił, tak dalece przenaturzył, że za tę cenę gotów byłem zgodzić się na wszelkie ograniczenia.

Więc począłem z największym wysileniem rozmyślać tylko nad tem, czy Anielka się zgodzi?

I zdawało mi się, że powinna.

Słyszałem naprzód siebie mówiącego do niej w sposób nieprzeparty:

— Jeśli rzeczywiście mnie kochasz — powiedz sama — nie jest-że wszystko jedno, czy to ustami wyznasz, czy nie? Co może być szlachetniejszego i świętszego nad taką miłość, jakiej od ciebie żądam? Ja i tak ci życie oddaję, bo nie mogę inaczej — zapytaj więc własnego sumienia, czy nie powinnaś mi przyznać choć tego? A przecie to jest stosunek Beatryczy do Danta. Takim uczuciem wolno się kochać nawet aniołom. Będiesz mi bliską tak, jak tylko dusza może być bliską drugiej duszy,

ale zarazem tak daleką, jakbyś żyła na najwyższym z tych szczytów. Jeśli to jest miłość nieziemską, jeśli zwyczajni ludzie nie mogą się na nią zdobyć, tembardziej jej nie odrzucaj, bo godząc się na nią, zostaniesz biała, jak śnieg, a uratujesz mnie, kupisz spokój zupełny i tyle szczęścia, ile go na świecie mieć można.

I czułem szczerze, że jest we mnie zasób na takie uczucie prawie mistyczne, wierzące, że z larwy ziemskiej i doczesnej wyrodzi się jakiś wieczny motyl, który, oderwany od warunków ziemskiego bytu, będzie leciał z planety na planetę, póki nie połączy się z duszą wszechistnienia. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ja i Anielka możemy, jako kształty, przejść, a miłość nasza może nas przetrwać, zostać i być właśnie naszą nieśmiertelnością. Kto wie — myślałem — czy to nie jest jedyna istniejąca forma nieśmiertelności, czułem bowiem najwyraźniej, że w mojem uczuciu jest coś wiecznego i wylamującego się z pod zmienności zjawisk. Trzeba bardzo kochać, żeby się uzdolnić do podobnych pocuć i widzeń, trzeba także być nieszczęśliwym, a może i stanąć na granicy obląkania.

Ja na granicy obłąkania chyba jeszcze nie stoję, ale coraz częściej zanurzam się w mistycyzm i nigdy nie czuję się szczęśliwszy, jak wówczas, gdy się tak zgubię, tak rozproszę, że nie mogę odnaleźć własnego ja. I rozumiem dlaczego tak jest. Moje zdwajanie się, moja krytyka wewnętrzna wystarczały mi zawsze do rujnowania wszystkich podstaw życia, a tem samem do psucia tego względnego szczęścia, jakie dać mogą owe podstawy. W tych zaś krajinach, gdzie zamiast sylogizmów występują poczucia i wizye, nie mam co ze swoją krytyką robić, więc wypoczywam i doznaję ulgi niezmiernej.

Tak wypoczywałem, dojeżdżając do Gasteinu. Widziałem siebie i Anielkę duchowo poślubionych, spokojnych. Doznawałem uczucia dumy na myśl, że jednak potrafił wydostać się z błędnego koła i że wynalazłem sposób do szczęścia. Byłem pewien, że Anielka poda mi z radością swoją ukochaną rękę na taką wspólną podróż.

Nagle zbudziłem się, jak ze snu, spostrzegłem bowiem, że moja własna ręka jest zupełnie zakrwawiona. Pokazało się, że powóz przewoził rannych wskutek kolejowego wypadku.

Na bokach siedzenia odnalazłem z zagięciach dużo krwi, której woźnica nie dostrzegł i nie wytarł. Mój mistycyzm nie idzie tak daleko, abym miał wierzyć w mieszanie się potęg nadziemskich do ludzkiego życia, zwłaszcza pod formą znaków, ostrzeżeń i wróżb. Ale jeśli nie jestem sam przesądny, umiem natomiast doskonale wejść na tor myśli człowieka przesądnego, a zatem zauważyć i zaznaczyć, co jest dziwnego w danem zdarzeniu. W tej chwili dziwnem było to, że w tym samym powozie, w którym zacząłem snuć obrazy nowego życia, prawdopodobnie dopiero co jakieś życie zagasło, a powtóre, że o zgodzie i pokoju myślałem z pokrwawionymi rękoma. Podobne zestawienia napelniają zawsze każdego nerwowego człowieka smutnemi — nie przeczuciami — ale wrażeniami — i mogą rzuć cię posepny cień na cały bieg jego myśli.

Niezawodnie też i moje sposepniałyby niebawem, gdyby nie to, że byłem już niedaleko od Wildbadu. Naraz, jadąc zwolna pod górę, spostrzegłem powóz, pędzący z pochyłości niezwykle szybko. «Znów mógłby być wypadek — pomyślałem — zwłaszcza, że na tej stromej drodze trzeba się mijać z wielkimi ostrożnościami.» Lecz w tejże chwili woźnica owego po-

wozu zahamował koła ze wszystkich sił, tak, że konie jego przeszły niemal w stępa... Nagle, z ogromnem zdziwieniem, zobaczyłem w owym powozie ciotkę i Anielkę, które na mój widok poczęły krzyczeć: «Jest! jest! Leonie! Leonie!» W jednej minucie byłem przy nich. Ciotka zarzuciła mi oba ramiona na szyję i powtarzając: «Chwała Ci, Boże!» — oddychała tak gwałtownie, jak gdyby piechotą biegła z Wildbadu. Anielka chwyciła moją rękę i nie puszczała jej. Nagle okropne przerażenie odbiło się w jej twarzy i krzyknęła:

— Tyś ranny!

Zrozumiałem o co idzie i odpowiedziałem natychmiast:

— Ani trochę! Nie byłem przy wypadku. Pokrwawiłem się o powóz, który przewoził rannych.

— Pewno? pewno? — pytała ciotka.

— Najpewniej.

— Co to za pociąg się rozbił?

— Idący do Zell am See.

— O Boże! Boże! A depesza przyszła, że wiedeński! Malom nie umarła. O Boże, co za szczęście! Chwała Bogu! chwała Bogu!

Ciotka poczęła ocierać pot z czoła; Anielka

była blada, jak płótno. Puściwszy teraz moją rękę, odwracała twarz, bym nie mógł dostrzedz jej drgania ust i lez w oczach.

— Byłyśmy same w domu — mówiła ciotka — bo Kromicki poszedł z Belgami do Nassfeld. Tymczasem przychodzi gospodarz i opowiada o nieszczęściu na kolei. Wiedziałam że dziś wracasz; wyobraź sobie, co się ze mną działo! Wysłałam gospodarza natychmiast po powóz; Anielka poczciwa nie chciała mnie jednej puścić... Co za chwile przeszliśmy, ale Bóg łaskaw, że się skończyło na strachu... Widziałeś rannych?

Ucałowałem ręce Anielki i ciotki, poczem zacząłem opowiadać, na com patrzył w Lend-Gastein. Pokazało się, że w depeszy, jaka przyszła do Kurhausu, były słowa: «W Lend-Gastein pelno rannych i zabitych». Stąd zrozumiano powszechnie, że wypadek zaszedł na linii Wiedeń-Salzburg. Opowiadałem piąte przez dziesiąte, bo w głowie miałem tylko jedną radosną myśl: oto, że Anielka nie chciała czekać w domu na powrót ciotki, ale wyjechała wraz z nią na moje spotkanie. Czy to uczyniła tylko dla ciotki? Byłem pewien, że nie. Widziałem jej niepokój i pomieszanie, jej strach, gdy zobaczyła krew na

moich rękach, jej rozjaśnioną, pełną radości twarz, gdy okazało się, że nawet nie byłem świadkiem wypadku; widziałem, że jeszcze była wzruszona i że chce się jej płakać ze szczęścia. Rozplakałabysię nawet niezawodnie, gdybym wziął jej ręce i powiedział jej, że ją kocham i prawdopodobnie jużby mi rąk nie cofnęła. A gdy wszystko to stało mi się jasne, jak dzień, zda wało mi się, że przyszedł koniec mojej męki, że życie moje przelamie się od tej chwili i że rozpocznę nowy okres istnienia. Nie próbuję nawet opisać, co czułem, jaka radość rozsadzała mi piersi. Od czasu do czasu spoglądałem na nią wzrokiem, w którym usiłowałem skupić całą moją ogromną miłość, a ona uśmiechała się do mnie. Dostrzegłem, że była bez rękawiczek i okrycia. Widocznie zapomniała o wszystkim w przerażeniu i pośpiechu. Że zaś czyniło się chłodno, więc okryłem ją własnym paltotem. Trochę się bronila, ale ciotka kazała jej wziąć go.

Za powrotem naszym do willi, pani Celina powitała mnie z wylaniem i serdecznością taką, jak gdyby w razie mojej śmierci Anielka nie była jedyną spadkobierczynią majątku: Płoszowskich. To są tak szlachetne i zacne kobiety, że ze świecą trzeba szukać podobnych. Nie

ręczę natomiast, czy Kromicki, gdy za powrotem z Nassfeld dowiedział się o całym przejęciu, nie westchnął z cicha i nie pomyślał, że jednak świat szedłby zwykłym biegiem, gdyby zabrakło na nim Płoszowskich.

Przyszeli zmęczony i kwaśny. Belgowie, których poznał i z którymi jechał do Nassfeld, byli to kapitaliści z Antwerpii. Nazwał ich kilkakrotnie idiotami za to, że zadawałniają się trzecim procentem od swoich kapitałów. Powiedział mi wreszcie na odchodnym, że jutro musi ze mną w ważnej sprawie pomówić. Dawniej byłbym się tem zaniepokoił, obecnie domyślam się, że to będą jakieś finansowe propozycje. Byłbym go natychmiast wezwał na tę rozmowę, alem chciał zostać sam z memi myślami, z mojem szczęściem, z moją Anielką w sercu i w duszy... Uścisnąłem jej rękę na dobranoc, jak człowiek, który kocha, a ona oddała mi równie gorąco uścisk. Czyś ty już moja naprawdę?

16 Lipca.

Rano, zaledwie skończyłem się ubierać, ciotka przyszła do mego pokoju i po powitaniu, rzekła bez żadnych wstępów:

— Wiesz, w czasie twej niebytności Kromi-

eki zaproponował mi, bym z nim weszła do spółki.

— A ciocia co mu odpowiedziała?

— Odmówiłam bez namysłu. Powiedziałam mu tak: mój kochany, ja z łaski Boga mam dosyć, a Leon po mojej śmierci będzie należał do zamożniejszych ludzi w tym kraju. Po co nam rzucać się w jakieś awantury i kusić Opatrzność? Jeśli ty na swoich przedsięwzięciach zrobisz miliony, zrób-że je dla siebie; jeśli stracisz — dlaczego mamy tracić razem z tobą? Ja się na tego rodzaju sprawach nie znam, a nie mam zwyczaju wdawać się w rzeczy, o których nie mam pojęcia. Czy miałam słuszność?

— Najzupełniej.

— Właśnie chciałam z tobą o tem pomówić i rada jestem, że tak samo na rzeczy patrzysz. On, widzisz, trochę się obraził za to, że nazywała jego roboty awanturami, począł mi jednak przedstawiać widoki, jakie ma na przyszłość — i tłómaczyć całą tę historję obszernie. Jeśli to wszystko prawda, to istotnie zrobi miliony — i życzę mu, by je zrobił. Ale spytałam go zaraz: jeśli ci tak dobrze idzie, na co ci spółki?... Powiedział mi, że im się więcej pieniędzy włoży, tem większe będą zyski — że tam się wszystko

robi forsa i że woli do zysków dopuścić rodzinę, niż obcych. Podziękowałam mu za te uczucia rodzinne, ale powtórzyłam odmowę. Widziałam, że mu to jest bardzo przykro. Zaczął ubolewać nad tem, że nikt się u nas nie rozumie na interesach, a wszyscy tylko zjadają to, co odziedziczyli. Powiedział mi bez ogródki, że to jest grzech względem społeczeństwa, na co ja znowu się rozgniewałam. «Mój kochany — powiadam — jam gospodarowała po kobiecemu, alem grosza nie straciła i jeszcze przynnożyłam majątku. a o grzechach społecznych, jeśli komu wypada mówić, to nie tobie, który sprzedałeś Głuchów. Chciałeś całej prawdy, to ją masz! Gdybyś był nie sprzedał Głuchowa, miałabym do ciebie więcej ufności. O twoich przedsiębiorstwach nietylko ja nic nie wiem, ale są one dla wszystkich ciemne; jedno tylko widzę jasno, że gdyby one naprawdę były tak dobre, jak mówisz, tobyś spółników nie szukał i nie brał tak do serca mojej odmowy. Szukasz, bo ci tego trzeba, ale i przed chwilą nie byłeś ze mną zupełnie otwarty, a ja tego nie lubię».

— I cóż on?

— On mi na to odrzekł, że przedewszystkiem nie rozumie, dlaczego na niego spada odpowie-

działność za sprzedaż Głuchowa. Głuchów wypuścił z rąk nie on, ale ci, co przez brak rozumu, niedołęstwo, lekkomyślność i rozrzutność uczynili jego sprzedaż konieczną. Anielka, wychodząc za niego, miała tylko długi. On uratował tyle, ileby nikt inny uratować nie potrafił, i za to, zamiast wdzięczności, spotyka się z przy-mówkami i... czekaj... jak to on się wyraził?... z patetyczną deklamacją.

— To nieprawda — rzekłem. — Głuchów można było uratować.

— To samo mu powiedziałam, a w dodatku jeszcze i to, że na Głuchów byłabym pożyczyla pieniędzy. «Mogłes (mówię) przed sprzedażą napisać słowa do Anielki, żeby ze mną o tem pomówiła, a Bóg widzi, czybym się była chwilę wahała... Ale to twój system, żeby nikt nic nie wiedział. Wszyscy wierzyliśmy w twoje miliony i dlatego tylko nie ofiarowałam pomocy.» On się począł śmiać ironicznie. «Anielka — powiada — jest za wielka pani i za idealna istota, żeby się miała zniżać do takich marności, jak są sprawy pieniężne, albo też przemówienie w interesie męża. Dwakroć teraz ją prosilem, by z ciotką pomówiła w kwestyi spółki i dwukrotnie odmówiła mi stanowczo. Co do ratunku

Głuchowa, łatwo teraz mówić, gdy sposobność pomocy mineła. Wnosząc z odmowy, jaka mnie dziś spotyka, mam prawo wątpić, czyby i z raktunkiem Głuchowa nie było tak samo.»

Począłem wsłuchiwać się z zajęciem, bo teraz stały mi się jasne te nieporozumienia między Kromickim i Anielką — ciotka zaś mówiła dalej:

— Jakem to usłyszała, tak powiadam: «Widzisz, mój kochany, jak w tobie mało szczerości; mówileś mi z początku, że tylko dlatego proponujesz mi spółkę, bo wolisz, iżby rodzina zyskała, niż obcy ludzie, a teraz pokazuje się, że to tobie samemu na tem zależy.» On, że to mu sprytu istotnie nie brak, odpowiedział mi, że w tego rodzaju sprawach korzyść powinna być dwustronna i że naturalną jest rzeczą, że mu także na tem zależy, by rozporządzał jak największymi kapitałami, bo interesa mają to do siebie, że im na szerszej wspierają się podstawie tem są pewniejsze. «Zresztą — dodał — biorąc Anielkę bez posagu, miałem nadzieję, że mogę liczyć na pomoc rodziny, przynajmniej w tych wypadkach, w których ta pomoc, będzie dla samej-że rodziny korzystną.» Zły był ogromnie, a zwłaszcza rozgniewał się, gdy mu

odpowiedziałam, że Anielki bez niczego nie wziął, bo ja jej zapiszę dożywotnią rentę.

— Powiedziała to ciocia?

— Tak jest. Powiedziałam wszystko, com miała pod sercem. «Anielkę kocham, jak rodzone dziecko — powiedziałam — i właśnie dlatego, by ją ubezpieczyć, zapisuję jej nie kapitał, ale rentę. Kapitał (mówię) mógłby przepaść w twoich przedsiębiorstwach, które, Bóg wie, jak wypadną, a renta zapewni Anielce przynajmniej środki do dostatniego życia. Jeśli (powiadam) będziecie mieli dzieci, to dzieci dostaną kapitał po śmierci Anielki — i oto jest moja pomoc główna, obok której jestem zresztą gotowa do wszelkich mniejszych usług.»

— I na tem skończyła się rozmowa?

— Prawie na tem. Widziałam, że jest ogromnie rozdrażniony. Myślę, że w duszy gniewało go i to, że Anielce zapisuję rentę, nie kapitał, bo z tego mógł odgadnąć, jak mało ufam jego przedsiębiorstwom. Odchodząc zapowiedział, iż postara się o spółników między obcymi, sądzi, bowiem, że nie znajdzie między nimi mniej życzliwości, a spodziewa się znaleźć dokładniejsze rozumienie interesów. Zniosłam tę przymówkę z cierpliwością. Wczoraj on poszedł na wycie-

czkę z Belgami, ale wrócił z niej niekontent. Domyślałam się, że chciał ich wciągnąć do spółki, i że również się zawiódł. Wiesz, Leonie, co ja teraz myślę? Oto, że jego sprawy źle stoją, skoro tak gorączkowo szuka spółników. I powiem ci, że ta myśl mnie gryzie — jeśli bowiem tak jest, to prosta ostrożność nakazuje nie przystępować do spółki, ale jeszcze prostszy obowiązek rodzinny nakazuje pomódz mu, choćby ze względu na Anielkę. Dlatego właśnie chciałam z tobą pogadać.

— Jego interesa nie są tak rozpaczliwe jak ciocia sądzi — odrzekłam.

I począłem opowiadać, czegom się dowiedział przez doktora Chwastowskiego. Powiedziałem ciotce, że jużem się dawno był domyślił z samego zachowania się Kromickiego, że on szuka i potrzebuje pieniędzy — i potrochu dlatego jeździłem do Wiednia. Ciotka tak była zachwycona moją przenikliwością i taktyką, że chodząc po pokoju, rozpoczęła ze sobą monolog, z nieodstępem zawsze pomrukiwaniem: «We wszystkim genialny!...» — nakoniec oświadczyła, że całą sprawę zdaje na mnie i że zrobi, co postanowię.

To rzekłszy, zeszła na dół, ja zaś przejrza-

łem jeszcze swój wczorajszy dziennik i w pół godziny później podążyłem również w jej ślady. Zastąpiłem całe towarzystwo przy herbacie, ale zaledwie rzuciłem okiem na twarze, spostrzegłem, że znowu musiało się zdarzyć coś niezwykłego, bo Anielka miała minę zaleknioną, pani Celina zboleła, a zacna twarz ciotki była zarumieniona od gniewu. Jeden Kromicki czytał niby spokojnie gazetę, ale był kwaśny i wyglądał przytem tak mizerny, jakby po chorobie.

— Czy wiesz — rzekła ciotka, ukazując na Anielkę — co ta bieda oświadczyła mi na dzień dobry?

— Nie wiem — odrzekłem, siadając do stolika.

— Ni mniej, ni więcej, tylko to, że za dwa tygodnie, jeżeli zdrowie Celiny pozwoli, wyjeżdżają sobie gdzieś do Odessy, czy jeszcze dalej.

Gdyby piorun uderzył był w tej chwili w stół, nie byłbym się więcej zdumiał i przeraził. W pierwszej chwili poprostu serce zamarło we mnie.

— Spojrzałem na Anielkę, która zaczerwieniła się, jakby złapana na jakimś niegodnym sobie uczynku i wreszcie począłem pytać: «Co? dokąd? czemu?»

— «Robią mi kłopot w Płoszowie» — rozumiesz — mówiła, przedrzeźniając Anielkę ciotka — «nie chcą mi być ciężarem» — miłośnierne dusze! Myślą widocznie, że mi potrzebna samotność i że, jeśli, gdy tobie wypadnie gdzie wyjechać, zostanę na starość sama, wśród czterech ścian w Płoszowie, to mi będzie zdrowiej i weselej... Naradzały się nad tem całą noc, zamiast spać.

Tu ciotka wpadła w gniew jeszcze większy i zwróciwszy się do Kromickiego, spytała:

— Czy to ty przyzadowałeś na tej naradzie?

— Bynajmniej — odrzekł Kromicki — wcale mnie nie wezwano, ale ponieważ przypuszczam, że moja pani małżonka postanowiła i dlatego wyjechać, żeby być mnie bliżej, więc muszę być jej wdzięczny za to postanowienie.

— To tylko projekt — ozwała się Anielka.

Ja, przepomniawszy wszelkich ostrożności, patrzyłem wciąż na nią, ona zaś nie śmiała oczu podnieść, co mnie tembardziej utwierdzało w przekonaniu, że to moja osoba wpłynęła głównie na ten zamiar. Słów mi brak na opisanie tego, com czuł w owej chwili i jakaś śmiertelna gorycz zalała mi serce. Anielka dobrze to wiedziała, że żyję tylko dla niej, istnieję tylko przez

nią, że wszystkie moje myśli należą do niej, wszystkie czynności ją tylko mają na celu, że ona jest dla mnie kwestyą życia lub śmierci — i pomimo to, z całym spokojem zrobiła sobie postanowienie wyjazdu. A czy ja zginę, czy sobie leć o mur rozbiję — o tem nie pomyślała. Takich rzeczy nie bierze się pod uwagę. Będzie spokojniejsza, nikt nie będzie wił się w jej oczach, jak chrapaszcz na szpilce, nikt nie będzie całował jej nóg, niepokoił jej cnotliwego sumienia — a to właśnie jest wszystko, czego jej trzeba. Jak można się wahać, gdy taki wyborczy spokój kupuje się za tak marną cenę, jak poderżnięcie gardła człowiekowi!

Podobne myśli przelatywały mi tysiącami przez głowę; czułem truciznę w ustach. «Jesteś cnotliwą i zostaniesz cnotliwą — mówiłem w duchu do Anielki — ale to dlatego, że ci brak serca. Gdyby pies przywiązał się tak do ciebie, jak ja się przywiązałem, jeszczeby mu się coś od ciebie należało. Nie zrobiłaś mi nigdy najmniejszego ustępstwa, nie ukazałaś mi nigdy iskry litości, nie przyznałaś nigdy nic, a odjęłaś zawsze, coś tylko mogła odjąć. Gdybyś mogła, odjęłabyś mi nawet możliwość patrzenia na siebie, choćbyś miała zupełną pewność, że bez

twego widoku, oczy moje zagasną raz na zawsze. Ale teraz rozumiem cię nareszcie dobrze, teraz wiem, że twoja nieugiętość jest właśnie dlatego tak wielką, że serce twoje jest tak małe. Jesteś suchą i zimną kobietą, a cnota twoja, to nic innego, jak tylko wygórowany egoizm, który chce przedewszystkiem pozostać spokojnym i dla swego spokoju gotów wszystko poświęcić.»

Przez cały czas śniadania nie ozwałem się ani słowa. Poszedłszy do siebie na górę, porwałem się za głowę i począłem myśleć swoim obolałym i zmęczonym mózgiem nad tem, co zaszło. Myśli moje nie traciły jednak goryczy. Kobiety o małym sercu pozostają częstokroć nieugięte przez pewne filisterstwo cnoty. Chcą przedewszystkiem mieć w porządku swoje księgi rachunkowe, tak, jak pierwszy lepszy sklepikarz. Boją się one tak miłości, jak episier boi się zaburzeń ulicznych, wojny, wielkich słów, egzaltowanych głów, zuchwałych myśli, zuchwałych zamiarów i polotów. Przedewszystkiem spokój, bo tylko w spokoju idą dobrze prawdziwe, pozytywne interesa. Co przekracza zwykłą, rozsądną, a zarazem pospolitą miarę życia, jest złem i zasługuje na pogardę ludzi rozsądnych. Cnota ma swoje góry i otchłanie, ale ma także

swoje płaszczyzny. Porąłem się teraz z pytaniem niesłychanie bolesnem, czy Anielka nie należy do takich płasko-enotliwych kobiet, które chcą być bezwarunkowo w kupieckim ze sobą porządku — i dlatego nie poddają się miłości, że to jest rzecz, przerastająca miarę ich serc i głów? Ogarniałem całą przeszłość — i szukałem w niej dowodów. Kto wie — mówiłem sobie — czy ten jej prosty kodeks, który mnie ubezwładnia i gniecie, nie wspiera się właśnie na takiej podstawie? Bo mnie się nieraz zdawało, że to jest istotnie jakaś wyjątkowa natura, różna od wszystkich innych kobiet, niedostępna, jak śnieżny szczyt alpejski, dlatego, że pozbawiona pochyłości i strzelająca prostopadłe ku niebu. Ale oto ta strzelista natura uważa za rzecz w zupełnym porządku, że pantofle męża depcą po owych śniegach. Co to jest? Ilekroć podobne myśli opadają mi głowę, czuję, że jestem bliski szaleństwa, czuję wściekłość i gdybym mógł jednym zamachem zwalić, a potem zdeptać i oplwać te ohydne formy życia, tobym zwałił, zdeptał i oplwał i pograżył w chaos cały świat i starł z jego powierzchni wszelkie istnienie. Budowałem, wracając z Wiednia, jakiś naziemski gmach, w którym miałem kochać

Anielkę taką miłością, jaką Dant kochał Beatrycę; zbudowałem go z cierpień, w których moja miłość oczyściła się, jak w ogniu, ze zrzeczeń się, z ofiar, byle tylko w jakikolwiek sposób, choćby zaświatowy, choćby poprostu anielski, należeć do niej i czuć, że ona należy do mnie. A teraz przyszło mi do głowy, że nawet nie warto jej mówić o tem, bo ona tego nie rozumie, że nie warto prowadzić ją na te wyżyny, bo jej tam zbraknie oddechu. Ona zgodziłaby się może w duszy na to, bym ją kochał i cierpiał — to zawsze gładzi miłość własną — ale na żaden układ, na żaden związek, nawet najbardziej duchowy, na żadną przynależność do mnie, choćby dantejską, ona się nie zgodzi, bo mnie nie pojmie, bo ona pojmuje jedną tylko przynależność i jedno prawa — takie, jakie daje szlafrok męża — i dusza jej nie jest w stanie wznieść się po nad płaską i nędzną buchalteryę małżeńską.

Ogarnął mnie żal ogromny, szczery i mocny, żem nie był w owym pociągu, który spadł z nasypu. Żal ten płynął zarówno z serdecznego oburzenia na okrucieństwo Anielki, jak i z wyczerpania, przechodzącego wszelką miarę sił, zarówno duchowych, jak fizycznych. Śmierć

przedstawiła mi się tak, jak się przedstawia wy-poczynek temu, kto przy kochanym chorym spędził kilkanaście bezsennych nocy. I przytem pomyślałem, że gdyby mnie przywieziono zakrwawionego do Gasteinu, to przecie możeby się w tej kobiecie coś poruszyło. A szło mi o to, nawet i w owej chwili, więcej niż o wszystko inne. Myśląc o tem, przypomniałem sobie nagle tę wczorajszą Anielkę, która wyjechała z ciotką naprzeciw mnie; przypomniałem sobie jej przerażenie, jej następną radość, te oczy, do których cisnęły się łzy, te roztargane włosy, i miłość niezmierna, stokroć rzeczywistsza od wszelkich sądów i rozumowań, ogarnęła mnie całego. Był to jakby gwałtowny, chwilowy odruch serca, które zaraz potem zaczęło znów zalewać się jadem zwątpień. To wszystko, com widział wczoraj w powozie, mogło tłómaczyć się inaczej.

Kto wie, czy moja osoba, czy też osoba ciotki odgrywała w tem większą rolę? Zresztą kobiety wrażliwe mają zawsze do rozporządzenia cały kapitał współczucia nawet dla obcych, nie dopiero dla krewnych, zwłaszcza, gdy jaka katastrofa zaskakuje je niespodzianie. Dlaczego i Anielka nie miała się przerazić wieścią o mo-

jej śmierci, a ucieszyć się, zobaczywszy mnie żywego? Gdyby zamiast niej bawiła przy ciotce pani Sniatyńska, prawdopodobnie przeleżałaby się, a następnie ucieszyła się tak samo i widziałbym ją tak samo bez rękawiczek, z włosami w nieładzie i bez kapelusza na głowie. Zdawało mi się, że pod tym względem nie mam się co ludzić. Anielka dobrze wiedziała, że jej wyjazd będzie i większą i wprost niebezpieczniejszą katastrofą, niż rozbicie głowy w pociągu, albo utrata ręki lub nogi — a jednak nie zawahała się ani na chwilę. Czulem doskonale, że to był jej pomysł. Chciała oto być bliżej małżonka, a co się ze mną stanie — to nie było wzięte w rachubę.

I znowu poczułem, że blednę z gniewu, zawiści, oburzenia i że krok jeden oddziela mnie od szaleństwa. «Czekaj — mówiłem sam do siebie, trzymając rękoma skronie — czekaj!... Może ona dlatego wyjeżdża, że cię kocha i że czuje, iż dłużej ci się nie oprze?» Ach tak! I takie myśli były we mnie, ale nie znalazły w tej chwili odpowiedniego gruntu i zginęły, jak owe nasiona, które padną na opokę, a poruszyły tylko rozpaczliwą ironię. Literalnie targałem w sobie wnętrze. «Tak — mówiłem w duchu — to

jest miłość podobna do tej troskliwości, przez którą wyciągają konającemu poduszkę z pod głowy, żeby mniej głośno chrapał i krócej się męczył. Ja będę krócej się męczył, a za to Kromickiemu będzie łatwiej odjeżdżać z pociechą, której ta idealna istota przywykła oczekiwać od małżonka.»

I Anielka stała mi się w tej chwili nienawistną. Pierwszy raz w życiu poczułem, że wolałbym, gdyby ona naprawdę kochała Kromickiego, — byłaby mi mniej wstrętną! Gniew i zawziętość odbierały mi przytomność, widziałem jasno tylko to jedno: że jeśli czegoś nie uczynię, jeśli nie zemszczę się nad nią w jakikolwiek sposób, to stanie się ze mną coś strasznego. Zerwałem się pod wpływem tej myśli, jakby dotknięty rozpalonem żelazem i chwyciwszy kapelusz, poleciałem szukać Kromickiego.

Nie znalazłem go w domu, ani w ogrodzie. Poszedłem pod Wandelbahn — następnie do czytelnicy, nie było go i tam. Przez chwilę przystanąłem na mostku przy wodospadach, namyślając się, gdziebym mógł go znaleźć. Wiatr wiał od strony kaskad i rzucał mi w twarz tumany wodnego pyłu. Sprawilo mi to ogromną ulgę i przyjemność. Zdjąwszy kapelusz, wystawilem

głowę na ów pył i wkrótce włosy moje były mokre. Czulem jakąś zwierzęcą rozkosz w tym chłodzie. Oprzytomniałem. Pozostała mi tylko wyraźna i stanowcza wola pomieszczenia zamiarów Anielki. Mówiłem do niej: «Wiedz, że nie pojedziesz, a potem będę się z tobą obchodził, jak człowiek, który cię zapłacił.» Widziałem też teraz jasno środki, które mogły mnie doprowadzić do celu i nie miałem obawy, abym popełnił jakie głupstwo, rozmawiając z Kromickim. Opanowałem się pod tym względem zupełnie.

Kromickiego znalazłem czytającego gazety przed hotelem Straubingera. Ujrawszy mnie, wypuścił monokl z oka i rzekł:

— Właśnie miałem iść do ciebie.

— Chodźmy na Kaiserweg.

I poszliśmy.

Nie czekając aż Kromicki zacznie, pierwszy przystąpiłem do rzeczy.

— Ciotka mówiła mi — rzekłem — o waszej wczorajszej rozmowie.

— Żałuję, że ona miała miejsce — odrzekł Kromicki.

— Boście oboje nie mówili tak spokojnie, jak się powinno mówić o interesach. Mój kochany, pozwolisz, że będę z tobą zupełnie otwarty. Trzeba

ciotkę znać. Ona jest najzacniejsza w świecie kobieta, ale ma jedną słabość, zresztą zupełnie zrozumiałą. Mając istotnie dużo trzeźwego rozumu, lubi zaznaczyć, że go ma — i dlatego na wszystko, co się jej przedstawia, woli patrzeć z niedowierzaniem, choćby nieco przesadnym. Z tego również powodu odpowiada zrazu najczęściej odmownie. Stary Chwastowski mógłby ci coś o tem powiedzieć. Trzeba jej zostawić czas do namysłu — a przede wszystkim nie zadrażnić jej, bo wówczas się zacina, ty zaś nie umiałeś tego uniknąć.

— Ale czem ja ją mogłem zadrażnić?... Jeśli kto, to ja umiem przecie gadać o interesach.

— Źleś zrobił, żeś wspomniał, iż wziąłeś Anielkę bez posagu. Ciotka dotąd o to zła.

— Powiedziałem to wówczas, gdy mi poczęła wymawiać sprzedaż Głuchowa. Zresztą, powiedziałem prawdę. Głuchów tak był obciążony, że Anielce nic się z niego nie należało.

— Właściwie mówiąc, po coś ty ten nieszczęśliwy Głuchów sprzedawał?

— Bom sobie mógł tem ująć kogoś, od kogo cały mój przyszły majątek, zatem cały los zależy. Jak się nie ma wyboru, to się robi to, co

się musi — co? Oprócz tego zapłacono mi dobrze.

— Więc mniejsza o to. Ciotkę twoje słowa ubodły tem więcej, że ona myśli o Anielce.

— Myśli jej zapisać rentę.

— Więc ci powiem pod sekretem, że bynajmniej. Wiem, że tobie tak wczoraj powiedziała, właśnie dlatego, żeś ją rozgniewał. Chciała ci dać przez to do zrozumienia, że twoim zdolnościom do interesów nie ufa. Ale bynajmniej. Ze mną nieraz o tem mówiła i ja, jako przyszły jej spadkobierca, mogę najlepiej o tem wiedzieć...

Kromicki spojrział na mnie bystro.

— I ty przecie tracisz na tem, jako przyszły spadkobierca.

— Tak — rzekłem — ale ja nie wydaję nawet swoich dochodów, dlatego mogę o tem mówić z taką zimną krwią. Ciebie, jako człowieka interesów, może to dziwi. Jeżeli inaczej sobie tego wytłómaczyć nie możesz, przypuść, że jestem oryginał. Bywają i tacy na świecie. Otóż zapowiadam ci, że po pierwsze: nie myślę ograniczać hojności ciotki, a powtóre, że wiem z pewnością, iż ciotka myśli wyposażyć Anielkę nie rentą, ale wprost gotowizną. Naturalnie, że mój wpływ na ciotkę mógłby odegrać ważną w tem

rolę, ale ci zapowiadam, chcesz wierzyć, chcesz nie wierzyć, że użyję go raczej na twoją korzyść, niż na szkodę.

Kromicki uściśnął mi silnie rękę. Ramiona jego poruszały się przytem zupełnie, jak ramiona drewnianego manekina. Był mi w wysokim stopniu wstrętny. Przypuszczam także, że miał mnie bardziej za głupca, niż za dziwaka, ale wierzył mi, o to zaś chodziło mi przede wszystkim. Wierzył zresztą słusznie, gdyż w tej chwili była to rzecz postanowiona w moim umyśle, że Anielka dostanie gotowiznę, nie rentę.

Czułem także, iż Kromickiego pali ochota zapytać mnie: ile? i kiedy? Zrozumiał jednak, że byłoby to zbyt niedelikatne i milczał, jak gdyby ze wzruszenia, ja zaś mówiłem dalej:

— Musicie tylko pamiętać, że z ciotką trzeba umieć postępować. Że ona ma zamiar wyposażyć Anielkę, za to mogę ci ręczyć, ale ostatecznie, póki ci posagu nie położy na stole, a ty go nie zagarniesz, wszystko zależy od jej woli, a nawet kaprysu. Tymczasem, co wy wyrabiacie? Wczoraj ty ją zagniewałeś, a dziś Anielka, i to w wysokim stopniu. Jako przyszły spadkobierca, powinienbym cieszyć się z tego i nie ostrzegać was, a jednak widzisz, że to czynię.

Ciotce był ogromnie przykry zamiar Anielki; zwróciła się do ciebie niby z gniewem, ale w duszy z nadzieją, że staniesz po jej stronie, tymczasem tyś niejako potwierdził pomysły tych pań...

— Mój drogi — rzekł Kromicki, ściskając mnie ponownie. — Powiem ci szczerze, że jeśli niby potwierdził, to trochę ze złości na ciotkę. W gruncie rzeczy, jest to projekt niedorzeczny. Czego nigdy nie mogłem znosić, to egzaltacji, a te obie panie mają jej powyżej głowy. Ciągłe im się zdaje, że nie powinny nadużywać waszej gościnności, że nie mogą siedzieć wiecznie w Płoszowie, et caetera. Mam tego póty... Tymczasem oto jak rzeczy stoją. Do Turkestanu brać ich przecie ze sobą nie mogę, a jak raz tam jestem, to czy Anielka mieszka w Odesie, czy w Warszawie, to już mi jest wszystko jedno. Gdy wycofam się z tych odległych interesów, i, jak mam nadzieję, z majątkiem, więcej niż znacznym, wówczas, oczywista rzecz, że urządzę się odpowiednio. Nastąpi to za rok najdalej. Za samo ustąpienie interesu powinienem przecie zyskać... Naturalnie, że gdyby nie było Płoszowa, musiałbym pomyśleć o jakimś tymczasowym pobycie dla tych pań, ale skoro ciotka ofiaruje

im gościnność i sama sobie życzy, by one u niej mieszkały, to głupstwem byłoby szukać schronienia gdzieindziej. Teściowa moja dopiero od kilku tygodni na nogach. Kto wie, co dalej będzie, a gdyby było źle, wówczas wszystkoby spadło na Anielkę, która jest kobietą młodą i nie-doświadczoną. Ja, teraz, nie mogę absolutnie być przy nich. Ja tu już i tak siedzę, jak na węglach i skoro mówimy tak otwarcie, to ci powiem, że tylko nadzieja wciągnięcia ciebie, albo ciotki, do spółki, zatrzymała mnie tutaj tak długo. Powiedziałem ci wszystko, com miał pod sercem — teraz ty powiedz, czy mogę w jakimkolwiek sposób liczyć na waszą dobrą wolę?

Odetchnąłem.

Zamiar Anielki był zburzony.

Napełniła mnie radość, postawiłem bowiem na swoim. Obok tego, jakkolwiek moja miłość dla Anielki była podobna w tej chwili do głębokiej nienawiści — nienawiść ta, stanowiąca teraz moją wyłączną podstawę życia, potrzebowała zarówno, jak i miłość pokarmu. Takim pokarmem mogła być dla niej tylko obecność Anielki. Wniosłem nakoniec ze słów Kromickiego, że za jednym zamachem mogę dokazać tego, co było najgorętszym mojem pragnieniem, to jest

pozbyć się go na czas niemal nieokreślony. Nie okazałem jednak najmniejszego wzruszenia, sądziłem bowiem, że będzie lepiej, gdy Kromickiemu nie pójdzie z nami zbyt łatwo i gdy pozwoli się trochę prosić. W tym celu rzekłem:

— Nie mogę ci z góry nic powiedzieć. Przedewszystkiem przedstaw mi dokładnie stan twoich interesów.

Kromicki począł mówić i mówił z pewną skwapliwością, dowodzącą, że tego rodzaju rozmowy stanowią jego ulubiony temat. Co chwila zatrzymywał się i brał mnie za guzik, lub przypierał do skalistej ściany. Gdy powiedział coś, co mu się zdawało bardzo przekonującym, nakładał z niesłychaną szybkością monokl i patrzył na mnie, jakby szukając na mojej twarzy wrażeń. Wszystko to, w połączeniu z jego drewnianym, nieco skrzypiącym głosem i z pytaniami: «co? co?» — któremi zarzucał mnie ustawicznie, było mi nieznośne, ale muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że nie zmyślał. Mówił mniej więcej to samo, com wyczytał w liście młodego Chwastowskiego. Sprawa przedstawiała się w sposób następujący: ogromne kapitały były już włożone w dostawy, zyski mogły być wielkie, tembardziej, że na mocy kontraktu, Kro-

micki miał sam jeden prawo do pewnych dostaw. Niebezpieczeństwo interesu leżało w tem, że kapitały, które trzeba było wyłożyć zaraz, wracały po przejściu całej procedury biurowej, zatem zwolna, a powtóre, że Kromicki miał do czynienia z poszczególnymi dostawcami, których interesem było dawać materyał jak najgorszy, cała zaś odpowiedzialność za to ciążyła na nim. Ten ostatni punkt zdawał go niejako na łaskę i niełaskę intendenty, która zresztą miała zupełne prawo przyjmować tylko materyał dobry. Bóg wie, jakie niebezpieczeństwa mogły z tego powodu grozić Kromickiemu.

Wysłuchawszy jego opowiadania, które trwało z godzinę, odrzekłem:

— Mój kochany, wobec tego, co przedstawiasz, ani ja, ani ciotka, nie możemy zostać twymi spółnikami...

Twarz Kromickiego zżółkła w jednej chwili.

— Powiedz mi, czemu?

— Bo jeśli ty, mimo wszelkich ostrożności, będziesz miał proces, my nie chcemy w nim figurować.

— Rozumując w ten sposób, nie zaczęłoby się żadnego interesu.

— My też nie mamy najmniejszego powodu

zaczynać. Chciałeś, byśmy przystąpili do spółki; powiedz mi, z jakim kapitałem?

— Co tu o tem mówić, ale gdybyście mogli włożyć choć siedmdziesiąt pięć tysięcy rubli...

— Nie, nie włożymy i nie poczuwamy się do obowiązku. Ponieważ jednak jesteś, a raczej stałeś się naszym krewnym, więc ci chcę pomóc. Krótko mówiąc, pożyczę ci siedmdziesiąt pięć tysięcy rubli na prosty kupiecki weksel...

Kromicki stanął i począł patrzeć na mnie, mrugając oczyma, jak człowiek, który śni. Ale trwało to chwilę. Widocznie przyszło mu do głowy, że okazać zbyt wielką radość, byłoby z jego strony niepolitycznie. Kupiecka przezorność — wobec mnie zresztą i śmieszna i niepotrzebna — wzięła w nim górę; uścisnął moją rękę i rzekł:

— Dziękuję ci. Na jaki procent?

— O tem pomówimy w domu. Teraz muszę wracać. Chcę pomówić z ciotką.

I pożegnałem go zaraz. Wracając, zastanawiałem się, czy Kromickiemu nie wyda się zbyt dziwnem moje postępowanie i czy się czegoś nie domyśli? Ale była to próżna obawa. Mężów zaślepia po większej części nie miłość do żon, ale miłość własna. Przytem Kromicki, patrząc na

nas ze swego kupiecko-pozytywnego stanowiska, poczytuje i mnie i ciotkę za dwoje ludzi fantastycznych, nie mających pojęcia o interesach, a natomiast przejętych nawskroś jakimiś przestarzałymi zasadami, do liczby których należy i poczucie solidarności rodziny. Jestto istotnie, pod wielu względami, typ zupełnie różny od nas — i z tego powodu, nawet mimowoli, uważamy go za intruza.

Wróciwszy do willi, spotkałem w ogrodzie Anielkę, kupującą od miejscowej chłopki poziomki. Przechodząc mimo, powiedziałem jej szorstko:

— Nie wyjedziesz, bo ja tego nie chcę!

I poszedłem do siebie.

Przy obiedzie wszczęła się znów rozmowa o wyjeździe tych pań. Tym razem Kromicki zabrał głos i mówił o tym zamiarze, wzruszając nad nim ramionami, jak nad dzieciństwem, z którego człowiek prawdziwie rozsądny może się tylko śmiać. Nie umiał być przytem dość delikatny ani dla żony, ani dla pani Celiny, bo natura jego nie jest w ogóle delikatną. Ja nie zabrałem wcale głosu, jak człowiek, którego cała rzecz zdaleka tylko obchodzi. Spostrzegłem, iż Anielka zdaje sobie jednak doskonale sprawę,

że Kromicki, jak pozytywka, wygrywa tylko tę nutę, na którą go nakręciłem. Widziałem, że jej było wstyd za niego i że sama czuła się głęboko upokorzona. Nosilem w sercu tyle urazy do niej, że sprawiało mi to przyjemność.

Zostałem jednak, co się zowie zraniony. Nie mogę się dotąd uspokoić i nie mogę tego Anielce przebaczyć. Gdybym był nie obmyślił w powrocie z Wiednia tego układu, gdybym był nie uczynił ofiary z tyłu swoich pragnień, namiętności, ze swoich zmysłów, ze swojej natury, nie czułbym tak głęboko zawodu. Ale to właśnie wypadło tak jakoś okrutnie, że gdym ja, z miłości dla niej, chciał się z gruntu przeistoczyć i gdym wchodził na jakieś wyżyny, na których dotąd nie bywałem, byle tylko być przy niej, ona chciała mnie bez żadnego względu, ni miłosierdzia, zepchnąć na samo dno rozpaczy — i nie wzięła w rachubę, czy też nie stanie się ze mną co złego... Te myśli zatruwają mi radość, płynącą z tego, że Kromicki wyjeżdża a ona pozostaje. Przyszłość przyniesie jakieś rozwiązanie, ale tak jestem wymęczony, że go nawet nie przewiduję. Byłoby — jedno — bardzo proste — gdybym dostał choroby mózgowej. Może i to z czasem przyjść, bo ja po całych

dniach dręcę się, a nocami, nie mogąc spać, pisuję. Wypalam przytem mnóstwo cygar, aż do odurzenia się — prawie codziem dosiaduję do białego dnia.

30 Lipca.

Nie pisałem przez dwa tygodnie. Jeździłem do Wiednia wraz z Kromickim, dla załatwienia interesów, potem wróciliśmy razem i on bawił jeszcze trzy dni. Dostałem w tym czasie tak silnych bólów głowy, że nie mogłem pisać. Kuracja pani Celinie ukończona od tygodnia; bawimy jeszcze w Gasteinie tylko dlatego, że wszędy na równinach panują ogromne upały. Wyjazd Kromickiego przyniósł wielką ulgę mnie, pani Celinie, którą on drażni do tego stopnia, że gdyby nie był jej zięciem, toby go nie znosiła, ciotce, a może i Anielce. Anielka nie może mu przebaczyć, że wciągnął mnie do swoich interesów. On, ani się domyślając, że między mną i jego żoną może istnieć co innego, jak zwykły towarzyski stosunek, nie robił wcale z tej pożyczki sekretu; ona zaś była jej przeciwna z całej duszy. Nie mogła mu oczywiście nic powiedzieć — może z obawy, by nie stracić reszty złudzeń co do niego, gdyby ją i w ta-

8*

kim razie pozostawił przy ciotce. Czasem myśle, że i ona i pani Celina, nie zdradzając się wzajem przed sobą, nie mają do niego, od czasu, jak sprzedał Głuchów, najmniejszego zaufania i że w głębi duszy przypuszczają, iż jest gorszy, niż jest rzeczywiście. Podług mnie, jestto przedewszystkiem duchowy parweniusz, z naturą suchą, drewnianą, niezdolną zarówno do delikatnych uczuć, jak do subtelnych myśli. Niema w nim także żadnej wspaniałomyślności; nie jestto dusza ani szlachetna, ani wrażliwa, ani głęboka, ale natomiast jestto w pospolitem, kodeksowem znaczeniu tego słowa, porządny człowiek. Dopomaga mu do tego pewien wrodzony pedantyzm, bo w nim pedantyzm łączy się w dziwaczny sposób z newrozą pieniężną, która nie jest znów niczem innym, jak zwyrodniałą fantazją, która przez ten kierunek znalazła sobie ujście.

Wogóle biorąc, jest mi tak niewypowiedzianie nienawistny i wstrętny, razem ze swoim monoklem, skośnemi oczyma, długością nóg i brakiem zarostu na żółtej twarzy, że i tak dziwię się, jak mogę się zdobyć na sąd o nim równie obiektywny. Myślę jednak, że jeśli on wszystkiego nie straci, to i ja nie stracę swoich

pieniędzy. Ale zapisuję z całą otwartością, że wolałbym, gdyby stracił pieniądze, rozum, życie — i przepadł raz na zawsze.

Chory jestem. Anielkę mało w ostatnich dniach widywałem. Częścią bóle głowy zatrzymywały mnie na górze, częścią umyślnie powstrzymywałem się od widywania jej, aby jej dać poznać mój gniew i urazę. A kosztowało to mnie niemało, bo oczy moje potrzebują jej, jak światła. Pisałem już, że ona, przy całej nieugiętości swego charakteru, posiada pewną płochliwość. Wprost nie znosi, żeby się ktoś na nią gniewał, boi się tego i stara się każdy gniew przejednać. Jest wtedy cicha, łagodna, patrząca w oczy, jak dziecko, które obawia się kary.

Wzruszało mnie to zawsze do najwyższego stopnia, ale i sprawiało mi rozkosz, albowiem karmiłem się złudzeniem, że byłem otworzył jej ramiona, to ona padnie w nie i głowę złoży na moich piersiach, choćby tylko dla prześlągnięcia gniewu. Tego rodzaju złudzeń nie umiem się pozbyć, a choć wiem, że je przyszłość rozprószy, i teraz jeszcze tai się w głębi mego serca nadzieja, że gdy się wreszcie przeprosimy, to przecie coś się stanie, to ona uczyni mi jakies ustępstwa, to będzie mi bliższa. Z drugiej stro-

ny, w samym tem rozdrażnieniu zobopólnem, widzę jakby mimowolne przyznanie, mimowolną zgodę Anielki na to, że mam prawo ją kochać; jeśli bowiem ona uznaje urazę, płynącą z miłości, to musi uznać i miłość samą. Są to prawa nikłe, jak sen, nie mające krwi i ciała — ale ja się niemi ratuję od zupełnej apatyi i niemi żyję.

2 Sierpnia.

Miałem znów list od Klary: Ona się chyba czegoś domyśla, bo tyle jest litości, tyle współczucia w jej słowach jakby wiedziała, do jakiego stopnia jest mi źle. Nie wiem i nie chcę dochodzić, czy ona mnie kocha jak siostra — czy inaczej, ale czuję, że bardzo mnie kocha. Odpisałem jej tak serdecznie, jak tylko potrafi człowiek nieszczęśliwy, pisząc do jedynej przyjaznej i współczującej duszy. Klara wybiera się do Berlina, a na początek zimy do Warszawy. Namawia mnie, bym przyjechał do Berlina, choć na parę dni. Nie pojedę, nie oderwę się od mojej troski, ale rad zobaczę Klarę w Warszawie.

Z Anielką rozmawiamy tylko o rzeczach potocznych, żeby nie zwrócić uwagi starszych

pań na ten rozbrat, jaki nas dzieli. Gdy zostajemy na chwilę sami, milczymy oboje. Widziałem kilka razy, że ona chciała coś mówić, ale bojaźliwość zamyka jej usta — ja zaś mam jej do powiedzenia tylko jeden wyraz: «kocham,» który wobec tego, co czuję, jest tak niedołężnym wyrazem, że prawie nic nie wypowiada. Bo teraz jest żal w mojem kochaniu. Gnębi mnie ciągle myśl, że jej dał Pan Bóg małe serce i że w tem leży tajemnica jej nieugiętości. Dziś, gdy myślę o wszystkim spokojniej, wracam do przekonania, że Anielka może i ma dla mnie jakieś uczucie, złożone z wdzięczności, litości, wspomnień, ale to uczucie nie ma żadnej siły czynnej, nie jest w stanie na nic się zdobyć, nawet na przyznanie, że istnieje. Ona nie ma dla siebie szacunku, uważa się za coś złego, wstydzi się siebie i zapiera, a w porównaniu z mojem wygląda tak, jak ziarnko gorczyczne przy tych Alpach, które nas otaczają. Od Anielki można wyczekiwać, że uczyni raczej wszystko dla ograniczenia, niż cokolwiek dla podniecenia uczucia. Ja od niej niczego się nie spodziewam, niczego nie wyglądam, a tak mi źle z tem przeświadczeniem!

4 Sierpnia.

Przez jakiś czas żywiłem na dnie serca nadzieję, że Anielka, pod wpływem oburzenia na męża, przyjdzie pewnego dnia do mnie i powie mi: «Kiedyś mnie zapłacił, to mnie masz!» Nowe złudzenie! Może takby postąpiło wiele kobiet o egzaltowanych głowach, wykarmionych na francuskich powieściach; postąpiłaby tak niewątpliwie każda, któraby miała ukrytą ochotę rzucić się w objęcia kochanka i szukała tylko dobrego pozoru. Nie! Anielka tego nie uczy ni i jeżeli mi mogła podobna myśl przyjść do głowy, to tylko dlatego, że i ja karmiłem się czytaniem tych pseudo-dramatów, jakie rozegrywają się w duszach kobiet, które w gruncie rzeczy mają przedewszystkiem nieklamanaą chęć puszczenia swej cnoty z wodą. Anielkę mogłoby popchnąć w moje objęcia tylko serce, ale nie sztuczny dramat, nie frazes, nie fałszywy patos. Więc też niema obawy, aby się to stało.

Jest wielką klęską dla człowieka pokochać prawdziwie i głęboko cudzą żonę, choćby to była żona najpospolitszego i najmarniejszego człowieka — ale prawdziwym nadmiarem nieszczęścia jest pokochać kobietę cnotliwą. Jest coś ta-

kiego w moim stosunku do Anielki, o czym nigdy nie słyszałem, ani nie czytałem; jest jakaś niemożność wyjścia i zakończenia. Rozwiązanie, czy jest katastrofą, czy uwieńczeniem pragnień, jest zawsze czemś — a tu jest męczące koło błędne. Jeśli ona bowiem pozostanie taką, jaką jest, a ja nie przestanę jej kochać, to będzie tylko męka — nic więcej. A jestem rozpaczliwie pewny, że ona wytrwa i ja także.

Ja, jeśli ma małe serce, niewiele to kosztuje. Ja chciałbym nieraz z całej duszy zrzucić to jarzmo, ale nie mogę. Nieraz mówię sobie, że trzeba; nieraz napracuję i nawysilam się nad sobą, jak się wysiła dla własnego ratunku człowiek tonący; nieraz mi się zdaje, że już do czegoś doszedłem, a potem niech zobaczę ją przez okno, niech obejmę ją oczyma, doznaję takiego wstrząśnienia w sercu, że cała niezmierną głębia mego uczucia odkrywa mi się nagle, zupełnie tak, jak w nocy odkrywają się w czasie burzy głębie chmur, gdy błyskawica rozedrze ciemność.

O! jaka to męka mieć do czynienia z cnotą nieubłaganą i zimną, jak litera prawa!

Ale choćby Anielka wcale nie miała serca,

jeszczebym ją kochał tak, jak kochałbym moje jedyne dziecko, choćby było kalekie.

Człowiek więcej się tylko wtedy lituje i więcej cierpi.

5 Sierpnia.

Jaka to licha i nędzna miara rozsądek, gdy przyjdzie nim mierzyć albo rzeczy bardzo wielkie, albo genialne, albo pełne grozy. Ten rozsądek, który tak dobrze posługuje w zwykłych warunkach życia, staje się wówczas starym błaznem, jak Polonius. Zdaje mi się, że równie zwyczajna mieszczańska etyka nie może być miarą dla wielkich namiętności. Widzieć w tak wyjątkowem, w tak ogromnem uczuciu, jak jest moje, tylko przestąpienie takich a takich paragrafów — i nie widzieć nic więcej, nie widzieć, że to jest żywioł, że to jest część tej siły wyższej nad wszelkie marne przepisy, siły boskiej, twórczej, niezmierzonej, na której opiera się wszechistnienie — to jest swego rodzaju ślepotą i małość... Niestety, Anielka tak tylko umie patrzeć na moją miłość! Przypuszczam, iż nieraz musi jej się wydawać, że bądź co bądź, powinienem ją za to szanować, a ja, Bóg widzi, nie dlatego to mówię, że chodzi o mnie, ale sądząc

najobjektywniej, muszę się często bronić od pogardy dla niej i często mówię jej w duszy: «Miej-że ty inną miarę, bo ta niegodna ciebie!» Szanowałbym ją i czcił stokroć więcej, gdyby umiała patrzeć inaczej, jeżeli nie na nasz stosunek, to na miłość w ogóle.

6 Sierpnia.

Ten Gastein daje jednak ludziom zdrowie. Dziś spostrzegłem, że Anielka opaliła się na tujejszych górskich powiewach i że wygląda zdrowo, co jest tem dziwniejsze, że i ona miała nie-mało trosk i zmartwień. Zmartwieniem dla niej były nieporozumienia z mężem, ambicya jej cierpiała na tem, że on wszedł ze mną w stosunki pieniężne; moja miłość wnosi także do jej duszy rozterkę i mąci jej spokój. Mimo to, w delikatnej jej twarzy widać zdrowie. Policzki jej mają żywszą barwę, niż przed przyjazdem tutaj. Pamiętam, jak ona nikła prawie w oczach na początku lata — i pamiętam, jak włosy powstawały mi na głowie, gdy myślałem, że zdrowie, a może i życie jej, jest zagrożone. Dziś przynajmniej ta obawa minęła. Gdybym wiedział, że na przyszłość będzie miała jeszcze mniej litości dla mnie, że będzie jeszcze mniej

brała w rachubę i mnie i moje uczucie, ale za to będzie zdrowa, powiedziałbym: «Niech lekceważy, niech nie ma litości, byle była zdrowa!» W skład prawdziwego uczucia wchodzi pragnienie szczęścia, ale wchodzi i tkliwość i troskliwość i przywiązanie wielkie.

Wczoraj Anielka ubrała się w jedną ze swoich panięskich sukien, albo w zupełnie podobną. Spostrzegłem to zaraz — i cała przeszłość stanęła mi, jak żywa przed oczami. Bóg wie, co się ze mną działo!...

7 Sierpnia.

Ciotki gniew na Anielkę minął już oddawna. Ona ją tak kocha, że gdybym ja umarł, ciotka miałaby się jeszcze o co w życiu zacząć, byle Anielka została przy niej. Dziś pocziwe moje ciotczysko ubolewało nad tem, że Anielka się nudzi, że przesiaduje ustawicznie w domu i że nie poznała tu nic więcej nad drogę z Wildbaidu do Hofgasteinu.

— Żeby mi nogi lepiej służyły — rzekła — chodziłabym wszędzie z tobą; ale kto powinien był ci przynajmniej bliższe okolice pokazać, to twój mąż, który latał od rana do wieczora.

Anielka poczęła upewniać, że jej dobrze

w domu i że nie potrzebuje więcej ruchu. Usłyszawszy to, ozwałem się tonem obojętnym:

— Ja nie mam nigdy nic do roboty, a chodzę dużo, więc mogę Anielce wszędzie towarzyszyć i pokazać jej, co jest ciekawego, przynajmniej w pobliżu.

Po chwili zaś dodałem jeszcze obojętniej: -

— Nie widzę w tem nic takiego, co by nie było powszechnie przyjęte. W miejscach kąpielowych nawet prości znajomi chodzą razem na przechadzki, a cóż dopiero krewni!

Anielka nie odpowiedziała, ale obie starsze panie przyznały mi zupełną słuszność, bo zresztą rzeczywiście tak jest, jak mówiłem.

Jutro mamy pójść razem do Schreckbrücke.

8 Sierpnia.

Układ nastąpił między nami i odtąd ma się rozpocząć dla nas obojga nowe życie. Ma to inne kształty, niż sobie wyobrażałem, ale przyszłość moja musi się w nie wcielić. Odtąd wszystko będzie jasne, określone. Nic już nie zajdzie nowego, niczego nie mogę oczekiwać, ale nie będę, jak człowiek bez dachu nad głową...

9 Sierpnia.

Wczoraj byliśmy przed wieczorem w Schreckbrücke.

Starsze panie towarzyszyły nam z początku, ale zaraz za wodospadami usiadły na pierwszej ławce, my zaś szliśmy dalej. Zdaje się, że oboje zrozumieliśmy, iż jakaś ważna rozmowa musi między nami nastąpić. Chciałem zrazu pokazywać Anielce rozmaite miejscowości i wymieniać ich nazwy, ale zaledwem wymienił Schareck, wydało mi się to zagadywanie tego, co nam leżało na sercu, tak dziwaczne, tak niestosowne do naszego nastroju, żem umilkł. Mogliśmy mówić tylko o nas samych, albo milczeć. I szliśmy w milczeniu dość długo, co zresztą było mi potrzebne i korzystne. Opanowałem się przez ten czas, jakem umiał, przewyciężyłem ten nerwowy niepokój, jaki człowieka ogarnia przed ważnymi chwilami życia i starałem się odzyskać zimną krew. Odzyskałem ją o tyle, że postanowiłem rozmyślnie mówić o mojej miłości, z takim spokojem, tak naturalnie, jakby o rzeczy wiadomej, stwierdzonej i uznanej. Doświadczenie nauczyło mnie, że w stosunkach z kobietami można wytworzyć dowolny nastrój. Nic tak nie

wpływa na kobietę, jak ton rozmowy i jeśli męczyzna, czyniąc wyznanie, czyni je tak, jakby potem świat się miał zawalić, to jest ze wzruszeniem, z przerażeniem i przekonaniem, że czyni rzecz niesłychaną, to ów przestach i to przekonanie, że staje się rzecz niesłychana, udziela się kobiecie. W razie przeciwnym dzieje się przeciwnie; wyznanie traci wówczas swój charakter wielki, ale też przechodzi gładziej i mniejszy budzi opór.

Zresztą, jam już wýznawał; chodziło mi więc tylko o zapobieżenie temu, by cała dusza w Anielce nie buntowała się za pierwszym mojem słowem o miłości. Ostatecznie, gdyby tak miało być zawsze, wszelka rozmowa stawała się niepodobną, a przecie trzeba nam było się rozmówić, bo trzeba było ułożyć jakoś nasze stosunki. Mając to wszystko na uwadze, rzekłem, o ilem mógł, spokojnie:

— Ty sobie może nawet nie zdajesz sprawy, Anielko, jak ty mnie zraniłaś swoim zamiarem wyjazdu. Wiem doskonale, że powody, które podawałaś, to tylko pozór i że naprawdę ja jestem przyczyną tego zamiaru. O jednej tylko rzeczy zapomniałaś, a mianowicie, co się stanie ze mną bez ciebie. Tego wcale nie wzięłaś w rachubę.

Czy wiesz, że sam wyjazd twój nie byłby mnie tak dotknął, jak ta właśnie myśl, że nic a nic nie liczysz się ze mną. Powiesz może, że chciałaś to uczynić dla mego dobra, dlatego, żeby mnie wyleczyć. Nie! daj pokój! Nie lecz mnie w ten sposób, bo mi takie lekarstwo może przynieść więcej złego, niż myślisz.

Policzki Anielki pokryły się w mgnieniu oka wypiekami. Widocznie moje słowa dotknęły ją do żywego. Nie wiem, coby mi była na razie odpowiedziała, gdyby nie zewnętrzny wypadek, który w tej właśnie chwili rozerwał pasmo jej myśli. Oto z boku drogi podniósł się nagle jeden z takich kretynów, jakich pełno jest w okolicy Gasteinu, z ogromną głową, z wolami na szyi, ze spojrzeniem zwierzęcia — i kiwając palcami, począł prosić o jałmużnę. Podniósł się on z wysokich traw tak niespodzianie, że Anielka krzyknęła z przestachu. Zanim ochłonęła i znalazła pieniądze, których ja przy sobie nie miałem, upłynęło kilka minut. Przez ten czas wrażenie słów moich osłabło w niej o tyle, że gdyśmy wreszcie poszli dalej, odrzekła mi po chwili milczenia, ze smutkiem, lecz i słodyczą:

— Ty często bywałeś dla mnie niesprawiedliwy, ale nigdy więcej, niż teraz. Ty sądzisz,

że mi wszystko łatwo przychodzi i że mi brak serca, a mnie wcale, a wcale nie lepiej, niż tobie...

Tu zbrakło jej głosu, mnie zaś wszystkie tętna poczęły bić, jak młotami. Zdawało mi się, że jeszcze jedno wysilenie z mej strony, a wyrwę jej z ust otwarte wyznanie.

— Na wszystko, co ci drogie — rzekłem — powiedz mi, co przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że skoro jestem nieszczęśliwą, pozwól mi zostać uczciwą. Mój Leonie kochany, ja cię błagam, miej litość nademną! Ty nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Jam ci wszystko gotowa poświęcić, prócz uczciwości. Nie chciej, bym ci oddała tę ostatnią deskę zbawienia, bo tego nie można, tego niewolno poświęcać! Mój Leonie, mój Leonie!...

I złożywszy ręce, patrzyła na mnie drżąca, jak liść, z prośbą i ze łzami, które wzbierały w jej oczach. Nie wiem... gdybym ją był w tej chwili porwał w ramiona, możeby potem umarła ze wstydu i zmartwienia, ale prawdopodobnie nie znalazłaby już w sobie siły na opór...

Lecz ja postąpiłem, jak człowiek, który sam kocha nad wszystko — to jest zapomniałem o sobie, a widziałem tylko ją. I rzuciłem jej

w tej chwili pod nogi moje zmysły, moją namiętność, mój egoizm. Co mi to wszystko znaczyło wobec niej? Kobieta kochana, która broni się łzami, płynąciami nie dla zachowania pozorów, ale z głębi prawdziwej boleści, jest niezwykczona. Wziąłem jej obie ręce i ucałowałem je ze czcią i uniesieniem, rzekłem:

— Będzie, jak ty chcesz, to ci przysięgam na tę miłość, jaką mam dla ciebie!

Oboje nie mogliśmy przez jakiś czas mówić. Jeśli mam wyznać całą prawdę, to czułem się w tej chwili lepszy i szlachetniejszy, niż kiedykolwiek. Byłem, jak człowiek, który przebywszy kryzys w ciężkiej chorobie, czuje słabość wielką, ale zarazem radosny powrót do życia. Po chwili zacząłem mówić i mówiłem spokojnie i łagodnie, nietylko jak zakochany, ale jak przyjaciel najbliższy, który ma przede wszystkim na widoku szczęście drogiej istoty.

— Nie chcesz iść na bezdroża — rzekłem — ale i ja już nie będę usiłował sprowadzić cię z twojej drogi. Tyś mnie zmieniła, a i te wszystkie męki, którem przeszedł, przerodziły mnie także. Zrozumiałem przez ciebie, że inna rzecz jest pożądać, a inna kochać. Nie przyrzekam ci, że cię przestanę kochać, bo nie mogę i skła-

małbym zarówno tobie, jak sobie, gdybym ci to obiecywał. W tobie jest moje życie. Mówię ci to nie w żadnej egzaltacji, ale jak człowiek, który umie patrzeć w siebie i który wie dobrze, co jest złudzenie, a co prawda. Ale będę cię tak kochał, jakbyś już umarła i jakbym kochał twoją duszę. Czy ty się na to zgodzisz, moja Anielko? Jestto miłość ogromnie smutna, ale anielska. Taką możesz przyjąć i taką możesz mi odpłacić. Ja ci ją ślubuję w tej chwili i ta przysięga jest dla mnie równie ważna, jakbym ją składał przed ołtarzem. Nigdy nie ożenię się z żadną inną kobietą, będę żył dla ciebie tylko i moja dusza będzie twoja. Ty także kochaj mnie tylko tak, jakbym już umarł. O nic więcej cię nie błagam, ale tego mi nie odmawiaj, bo to nie jest żaden grzech. Jeśli o tem wątpisz, to się na spowiedzi rozpytaj. Wszak ty czytałaś Danta? Przypomnij sobie, że on był żonaty, a jednak kochał Beatrycę taką właśnie miłością, jakiej ja chcę od ciebie; wyznawał to uczucie głośno, a jednak Kościół uważa jego poemat niemal za święty. Jeśli masz w duszy dla mnie takie uczucie, to mi daj swoją rękę i niech odtąd będzie między nami wieczny spokój i wieczna zgoda.

Anielka podała mi po chwili milczenia rękę.

— Ja taką przyjaźń — rzekła — zawsze miałam dla ciebie i z całej duszy, z całego serca ci ją przyrzekam.

Mnie, szczerze mówiąc, zabolął ten wyraz: przyjaźń. Dla mnie był on zamały i wydało mi się, że jest także zamały dla tej chwili. Zmili-
czałem jednak. «Ją — pomyślałem w duszy — wyraz: «miłość» jeszcze przestrasza; ona musi się do niego przyzwyczaić, więc skoro rzecz jest ta sama, czy warto, abym dla nazwy zakłócał tę zgodę i to szczęście, jakieśmy nareszcie wydobyli z całych pokładów nieporozumień, goryczy, zmartwień, udręczeń? Oboje jużesmy tak zmęczeni i tak nam należy się wypoczynek, że warto coś dla niego poświęcić.»

Był to zresztą cień, który zniknął przy świetle tej myśli, że ta ukochana istota należy jednak do mnie i że jestto moja żona duchowa i wierna. Byłbym oddał nie wiem co za to, gdybym mógł na wyraźne pytanie: «czy ty jesteś moja?» — usłyszeć jej twierdzącą odpowiedź. I pytałbym sto razy na dzień i nigdy-
bym nie miał dosyć odpowiedzi — ale w tej chwili bałem się ją zastraszyć. Ja, który wszystko potrafię wyrozumieć, nie miałebym wy-

rozumieć tego, że są słowa, które chociaż odbijają rzeczywistość istniejącą i uznaną, przechodzą jednak z trudnością przez usta kobiety i jeszcze takiej kobiety, jak Anielka. Wszakże to wszystko, co ona mówiła, było wyznaniem, że mnie kocha, wszakże zgodziła się na to, żeby dusze nasze należały do siebie — czegoż mogłem sobie życzyć więcej?

Doszedłszy do Schreckbrücke, wróciliśmy do domu. Po drodze rozglądaliśmy się w nowem naszym położeniu tak, jak ludzie rozglądają się w nowym domu i próbowaliśmy się do niego przyzwyczaić. Nie obeszło się to bez pewnych usiłowań, które krępowały cokolwiek naszą swobodę. Lecz mnie i to cieszyło, bo mi się zdawało, że to tak jest, jak bywa w pierwszych godzinach po ślubie, gdy nowożeńcy czują się na wieki związani, a jeszcze nie są ze sobą oswojeni. Mówiłem z nią jednak wiele o nas obojgu. Tłumaczyłem jej całą czystość i świętość takiego stosunku, jakim miał być nasz. Staralem się natchnąć ją ufnością i spokojem. Ona też słuchała mnie z twarzą pogodną i jasną, zwracając co chwila ku mnie swoje śliczne oczy. Pogoda na świecie odpowiadała pogodzie naszych dusz. Słońce już zaszło. Alpy okryły się zwy-

kłą swoją wieczorną purpurą, której blask odbijał się na jej twarzy.

Podąłem jej ramię, które przyjęła i szliśmy razem.

Nagle spostrzegłem, że ona ociąga się, idąc tak, jakby się czegoś bała — i że przytem pobladła, jak płótno. Trwało to jedną chwilę, ale było tak widoczne, że sam przestraszyłem się o nią ogromnie i począłem wypytywać, co jej jest?

Z początku nie chciała mi nic powiedzieć, lecz gdym począł bardzo nalegać, przyznała się, że to ów nieszczęśliwy kretyn przyszedł jej na myśl i że przez chwilę była pewna, iż on znów ukaże się niespodzianie.

— Sama nie wiem dlaczego — rzekła — ale zrobił na mnie okropne wrażenie — i wstyd mi się do tego przyznać, że mam takie niemądre nerwy. Nie mogę go zapomnieć i za nic nie chciałabym go znów zobaczyć.

Uspokoilem ją, że przy mnie nic jej nie grozi. Ona mimowoli spoglądała jeszcze czas jakiś niespokojnie na boki drogi, wkrótce jednak dalsza nasza rozmowa zatarła w niej to przykre wrażenie. Mrok już zapadał, gdy przyszedliśmy do wodospadów, ale wieczór był wyjątkowo cie-

pły. Na placu przed Straubingerem mnóstwo ludzi słuchało jakichś wędrownych harfiarek. Nie wiem dlaczego, ten zapadły wąż górski robił mi dnia tego wrażenie Włoch. Przypomniałem sobie, jak niegdyś, chodząc wieczorami po Pincio, w Rzymie, rozmyślałem, jaki byłbym szczęśliwy, gdybym miał koło siebie Anielkę. Teraz czułem jej rękę, wspartą na mojem ramieniu, a jeszcze bardziej czułem jej duszę przy swojej.

W zgodzie, pełni ukojenia i słodyczy, poszliśmy do domu.

10 Sierpnia.

Zastanawiałem się dziś cały dzień nad słowami, które Anielka powiedziała do mnie przy Schreckbrücke. Uderzył mnie szczególnie ten jeden okrzyk, który wyrwał się z jej ust: «Ty nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa!» Ile w tem było głębokiej boleści i skargi, jakie mimowolne przyznanie, że ona męża nie kocha, że nie może go kochać, a nakoniec, że serce jej, wbrew wszelkim wysiłkom woli, należy do mnie. Jeśli tak jest, to ona równie była nieszczęśliwa, jak ja. Mówię: «była,» bo dziś już nie jest. Dziś może sobie powiedzieć: «Dotrzy-

mam mu wiary, pozostaną zawsze uczciwą. —
a resztę zdać na wolę Bożą.

11 Sierpnia.

Przyszło mi do głowy, że ja nie miałem prawa wymagać i oczekiwać od niej, by mi poświęciła wszystko. To nie prawda, że dla miłości wszystko się poświęca. Gdybym ja, na przykład, miał jakie zajście z Kromickim i gdyby ona, w imię naszej miłości, kazała mi klęknąć przed nim i na kolanach prosić go o przebaczenie, tobym tego nie uczynił. Jestto niedorzeczne i fantastyczne przypuszczenie, a jednak, na samą myśl o tem, krew napływa mi do głowy. Nie, Anielko, ty masz słusność, że są rzeczy, których dla miłości nie można i nie wolno poświęcać.

12 Sierpnia.

Byliśmy dziś rano na Windischgraetzhoehe. Piechotą idzie się tam trzy kwadranse, więc wystarałem się dla Anielki o konia, którego prowadziłem za uzdę. Idąc, opierałem jedną rękę na karku końskim, przyczem dotykałem jej sukni. Przy wsiadaniu, ona przez chwilę wsparła się na mnie i natychmiast ozwał się we mnie

dawny człowiek. Chcąc go w sobie zabić, musiałbym zniszczyć własne ciało i zostać tylko duchem. Jam się zobowiązywał trzymać moje zmysły i moje porywy na wodzy — i trzymam, ale nie zobowiązywałem się ich nie mieć, tak dobrze, jak nie mógłbym się zobowiązać, że nie będę oddychał. Gdyby dotknięcie ręki Anielki nie wstrząsało mną silniej, jak dotknięcie kawałka drzewa, byłby to znak, że jej już nie kocham, a wówczas wszelkie zobowiązania byłyby niepotrzebne. Mówiąc Anielce, że się pod jej wpływem przerodził, nie chciałem kłamać, ale nie określiłem dokładnie tego, co się ze mną stało. Naprawdę, jam się tylko opanował. Wyrzekłem się zupełnego szczęścia, by posiadać choć jego połowę. Wolałem mieć Anielkę w ten sposób, niż nie mieć jej wcale, i sędzę, że każdy, kto wie, co to jest kochać kobietę, zrozumie mnie z łatwością. Jeśli namiętności są, jak mówią poeci, psami, to ja te psy powięzywałem i będę je morzył głodem, ale nie w mocy mojej zabronić im, by nie targały za powrozy i nie wyły.

Wiem dobrze, com przyrzekł — i dotrzymam — bo zresztą muszę. Wobec niezłomności Anielki niema miejsca na moją złą lub dobrą

wolę. Wystarczy jako hamulec dla mnie i obawa, by mi nie odjęto tego nawet, co mi przyznano. Raczej przesadam teraz w ostrożności, by nie spłoszyć tego ptaka, który dla mnie zwie się: duchową miłością, a dla niej: przyjaźnią. Pamiętam to jej wyrażenie, bo było ono jak małe ukłócie, które zrazu nieznaczące, zaczyna się później jątrzyć. Na razie wyraz wydał mi się zamały, teraz wydaje mi się nadto przezorny i zbyt pełen zastrzeżeń. Jaką dziwną cechą natury kobiecej jest ten strach przed nazwaniem istoty rzeczy po imieniu. Jam przecie jasno powiedział Anielce, o co ją błagam i ona zrozumiała równie jasno, a jednak nazwała to uczucie przyjaźnią, jakby chcąc w danym razie zasłonić się przedemną, przed sobą i przed Bogiem.

Prawda z drugiej strony, że takie oderwane od ziemi uczucia można chrzcić, jak się komu podoba. Jest dużo goryczy i smutku w tej myśli. Ta przezorność, właściwa kobietom bardzo czystym, płynie niezawodnie z ich ogromnej wstydlivosti, ale nie pozwala im być wspaniałomyślnymi. Mógłbym oto przyjść do Anielki i powiedzieć jej: «Bądź co bądź, jam się wyzrekl dla ciebie połowy mojej istoty, a ty mi

odmierzasz wyrazy; czy to się godzi?» I w duchu mówię jej to z wielkim żalem. Miłość tak trudno zrozumieć bez wspaniałomyślności, bez chęci przyniesienia czegokolwiek na ofiarę.

Dziś na Windischgraetzhoehe rozmawialiśmy, jak dwie istoty bliskie, przyjazne, kochające się, ale ostatecznie tak samo mogło rozmawiać kochające się rodzeństwo. Gdybyśmy odbyli taką wycieczkę przed naszym układem przy Schreckbrücke, byłbym próbował całować jej ręce, nogi, byłbym starał się niechybnie pochwycić ją choć na chwilę w ramiona — dziś zaś szedłem spokojnie, patrząc jej w oczy, jak człowiek, który się boi każdego zmarszczenia brwi. Co więcej, nie mówiłem prawie nic, nawet o tej naszej duchowej miłości. Po części wstrzymywałem się umyślnie, sądząc, że zaskarbię sobie tem jej ufność i łaskę. Przez to milczenie chciałem jej powiedzieć: «Nie zawiedziesz się na mnie: raczej pozwolę sobie mniej, niż mi wolno — niż bym miał złamać naszą umowę.»

Trochę się jednak człowiek czuje pokrzywdzonym, gdy jego ofiarę przyjmują równie chętnie i skwapliwie, jak on ją przynosi. Mimowoli mówi się wówczas w duszy kochanej istocie: «Teraz ty nie daj się prześcignąć.»

I ja to mówiłem — ale napróżno.

Co z tego wypadnie? Oto pewien zawód dla mnie. Sądziłem, że gdy podobny układ stanie między nami, to już będę w jego zakresie swobodny, jak ptak, że będę powtarzał słowo: «kocham» od rana do wieczora i od rana do wieczora będę je słyszał, że sobie zapłacę za wszystkie męki, za cały ten czas istotnych cierpień, że będę królem w tem mojem królestwie; tymczasem dotychczas tak się jakoś składa, że mój widnokrąg się zacieśnia, a w duszy powstaje wątpliwość, streszczająca się w pytaniu: coś ty zyskał?»

Ale staram się ją odpędzić. Nie! coś jednak zyskałem. Zyskałem widok jej szczęśliwej i rozpromienionej twarzy, zyskałem jej uśmiech, zyskałem to, że jej przeźrocyste oczy śmiało zanurzają się spojrzeniem w moich. Jeśli mi dotąd ciasno i nieswojo w tym nowym domu, to dlatego, że nie umiem jeszcze w nim mieszkać.

Zresztą, byłem dawniej bez dachu nad głową — i jeśli nie widzę jasno, com zyskał, wiem za to doskonale, że nic nie mógł stracić. O tem nie zapomnę nigdy.

14 Sierpnia.

Ciotka poczyna mówić o powrocie. Coraz jej bardziej tęskno bez Płoszowa. Pytałem się Anielki, czy chętnie powróci. Powiedziała, że tak — więc i mnie już pilno. Dawniej przywiązywałem zawsze jakieś dziwne i niewytłómaczone nadzieje do zmiany miejsca. Teraz niczego się już nie spodziewam, ale w tym Płoszowie tyle jest dobrych wspomnień, że z radością go zobaczę.

16 Sierpnia.

Dnie poczynają mi płynąć jednostajniej. Rozmyślam i wypoczywam. Rozmyślenia moje często bywają smutne, czasem nie pozbawione gorzkości, ale dusza moja była już tak zmęczona, że lubuję się w tym wypoczynku. Przez niego głównie odczuwam: o ile mi jest jednak lepiej, niż było przedtem. Dużo teraz jesteśmy razem z Anielką; czytamy i rozmawiamy o tem, cośmy przeczytali. Wszystko, co mówię, jest tylko określeniem naszej miłości, rozwinięciem jej, wszystko się do niej odnosi, ale dziwna rzecz, spostrzegam, że prawie nigdy nie mówię wprost o niej, jakby ten kobiecy strach nazywania

rzeczy po imieniu udzielił się i mnie. Sam nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak jest. I martwi mnie to, czasem nawet martwi bardzo — i raduje, bo widzę, że Anielka z tego zadowolona i co więcej, czuję, że mnie za to kocha. Chcąc wytworzyć między nami jak najściślejszy związek duchowy, zacząłem z nią mówić o sobie; myślałem, że po naszym układzie nie powinienem mieć dla niej nic skrytego. Zamilczałem przed nią tylko o takich sprawach, które mogły obrażać delikatność uczuć i czystość jej myśli, ale próbowałem natomiast wcielić ją w ten mój dramat wewnętrzny, płynący ze sceptycyzmu i z braku jakiegokolwiek podpory życiowej. Powiedziałem otwarcie, że nie mam nic na świecie, prócz jej duszy. Opowiadałem przytem, co się ze mną działo po jej zamążpójściu, przez jakie zmiany i wstrząśnienia przechodził mój umysł i moje serce od czasu powrotu do Płoszowa, a opowiadałem tem chętniej, że to był, pod pozorem zwierzeń, szereg wyznań, że to wszystko znaczyło: kochałem cię i kocham zawsze nadewszystko. Ją złudził ten pozór zwierzeń i słuchała tego, jakby nie o niej była mowa — ze wzruszeniem, współczuciem, a może i z nieświadomą rozkoszą. Widziałem, jak oczy

jej zachodziły nieraz łzami, jak pierś wzbierała, jak cała jej istota duchowa szła ku mnie z otwartymi ramionami, jakby mi chcąc powiedzieć: «Chodź, bo ci się należy trochę szczęścia!» Widząc to, mówiłem jej oczami: «Ja sam już się o nic nie upomnę i zdaję wszystko na twoją łaskę.»

Czyniłem te zwierzenia jeszcze i dlatego, by zaprowadzić między nami ten zwyczaj, by wszczepić w Anielkę poczucie, że w naszym stosunku tak być powinno. Chciałem ją zmusić niejako, by odplaciła mi wzajemnością i opowiedziała mi także, co się działo przez cały ten czas w jej głowie i sercu. Ale nie mogłem tego dokazać. Próbowiałem pytać, lecz słowa przechodziły jej przez usta z taką trudnością, taki znać było po niej przymus, żem pytać poniechał. Ona, chcąc być zupełnie otwartą, musiałaby mówić, co czuła dla mnie i jaki był jej stosunek do męża. Ja właśnie chciałem ją do tego przywieść — ale na to nie pozwalała, po pierwsze, jej wstydlivość, powtóre, uczucie lojalności względem Kromickiego.

Rozumiem te rzeczy doskonale, a jednak nie mogę się obronić wielkiej przykrości; mój pesymizm mówi mi bowiem: «Ty wyłącznie ponosisz kosztą stosunku; ty dajesz jej wszystko,

a otrzymujesz w zamian prawie nic; ludzisz się, że jej dusza jest twoją, tymczasem nawet ta dusza pozostaje dla ciebie zamkniętą — co więc właściwie posiadasz?*

Uznaję prawdę tego głosu — i liczę tylko jeszcze na przyszłość.

17 Sierpnia.

Częstokroć przypominają mi się teraz słowa Mickiewicza: «I doznałem, niestety, tylko pół-zbawienia.» Ale gdybym nawet w tem pół-zbawieniu nie widział tych licznych braków, które widzę, jeszczebym nie doszedł do zupełnego spokoju. Byłoby to możliwe tylko w takim razie, gdybym nie pożądał niczego więcej, to jest, gdybym przestał kochać. Coraz częściej przychodzą na mnie chwile zniechęcenia, w których sobie powiadam, że jestem tylko w nowem kole błędnem. Doznałem ulgi w tej męce, której już nie mogłem wytrzymać — to prawda! Ale ulga w bólu nie jest jego usunięciem. Gdy spragniony Arab w pustyni bierze do ust kamyki, zamiast wody, nie gasi przez to pragnienia, tylko je oszukuje. Pytanie, czy ja nie oszukuję siebie? Znowu jest we mnie dwóch ludzi: widz i aktor, i znów pierwszy poczyna drugiego krytykować,

a często z niego drwić. Ten Płoszowski sceptyk, ten Płoszowski, który nie ma zupełnej i niezachwianej wiary w istnienie duszy, a zakochany tylko w duszy, wydaje mi się śmiesznym. Co to jest ten nasz stosunek? Czasem widzę w nim tylko sztuczny płód mojej chorej egzaltacji. Teraz dopiero jestem naprawdę, jak ów ptak, który wlecze jedno skrzydło po ziemi. Skazałem na paraliż pół własnej istoty, żyję tylko pół-życiem i nakazuję sobie kochać tylko połową miłości. Próżny nakaz! Oddzielić pożądanie od kochania jest takim samym niepodobieństwem, jak oddzielić myślenie od bytu. Mogę myśleć tylko jako człowiek, tak samo i kochać mogę tylko jako człowiek. Nawet uczucia religijne, najidealniejsze ze wszystkich, objawiają się przez słowa, klęczenie, całowanie rzeczy świętych; jam zaś chciał, żeby miłość do kobiety wyrzekła się wszelkiego wcielenia, wszelkiego związku z ziemią i istniała na świecie w sposób zaświatowy.

Czem ona jest? — pożądaniem i dążeniem. Com ja usiłował jej odjąć? — pożądanie i dążenie. Tak samo mógłbym przyjsć do Anielki i powiedzieć jej: ponieważ cię kocham nad wszystko, więc ci przyrzekam, że cię nie będę kochał.

Jest w tem jakaś ogromna omyłka. Byłem istotnie tak zablakany, jakby w pustyni, więc nic dziwnego, że dojrzałem «fata morgana.»

18 Sierpnia.

Wczoraj zmęczyły mnie i pognębiły różne myśli. Nie mogłem spać, żeby zaś nie drażnić się więcej, przestałem zstępować, w głębie pesymizmu, a począłem myśleć o Anielce i wyobrażać ją sobie. Przynosi mi to zawsze ulgę. Natężona wyobraźnia przedstawia mi Anielkę, jak żywą, tak, iż chce mi się do niej przemówić. Przypomniałem sobie ową zabawę, w czasie której ujrzałem ją po raz pierwszy, jako dorosłą pannę. W pamięci mojej odcisnął się taki dokładny obraz, jakby to było wczoraj. Pamiętam białą suknię, przybraną fiołkami, nagie ramiona, tę twarz, nieco zadrobną, ale świeżą, jak poranek, a tak oryginalną przez śmiały rysunek brwi, niezwykłą długość rzęs i obfitość puszków na bokach twarzy! Zdaje mi się, że słyszę jeszcze jej głos pytający: «Nie poznajesz mnie, Leonie?» Napisałem w swoim czasie, że twarz ta czyniła na mnie wrażenie muzyki, przetłómaczonej na rysy ludzkie. Był w niej jednocześnie urok dziewczyny i ponętnej kobiety. Nigdy

żadna inna nie pociągała mnie silniej ku sobie i trzeba było takiej Cyrce, jak Laura, żebym sobie pozwolił zabrać tę moją wybraną i prawie już narzeczoną.

Nikt w świecie nie odczuwa lepiej odemnie, że słowa: «Twój czar nademną trwa» — mogą nie należeć do poetycznych urojeń, ale być ciężką rzeczywistością. Jej czar nademną trwa. Ja ją nietylko kocham, nietylko jej pragnę, ale ją najmocniej lubię; ona napętnia po brzegi wszystkie moje upodobania, wszystkie wyobrażenia o kobiecym wdzięku, uroku; ona mnie pociąga ku sobie z taką niewytlómaczoną siłą, z jaką magnes pociąga żelazo. I nie może inaczej być: przecie to ta sama Anielka; nie zmieniła się nic! To ta sama twarz dziewczynki z ponętami kobiety, to samo spojrzenie, te same rzęsy, brwi, usta, ramiona, ta sama wysmukła postać. Teraz ona ma tylko jeden więcej urok: raju utraconego.

Ale za to, co za olbrzymia przepaść między naszym dawnym stosunkiem a dzisiejszym!

Kiedy sobie przypomnę tę dawną Anielkę, która oczekiwała, jak zbawienia, żebym jej powiedział: «Bądź moją» — prawie mi się nie chce wierzyć, żeby takie czasy mogły niegdyś

istnieć. Myśląc o tem, mam uczucie, jakie mieć musi zrujnowany magnat, który w latach blasku rozrzucił pieniądze na wszystkie strony i dziwił świat, a któremu później przyszło żyć z łaski jałmużny.

Tej nocy gdym rozmyślał o Anielce i wpa-trywał się w nią oczyma duszy, przyszło mi do głowy, że nie istnieje żaden jej portret i nagle oparowała mnie nieprzeparta chęć posiadania jej podobizny. Chwyciłem się tej myśli oburącz i tak mnie ona uszczęśliwiła, że wobec niej odechciało mi się spać do reszty. «Będę cię miał — mówiłem — będę mógł przyjść, ucałować twoje ręce, oczy, usta — a ty nie odpędzisz mnie od siebie.» Począłem zaraz rozmyślać, jak to przeprowadzić? Nie mogłem przyjść do Anielki i powiedzieć jej: «Każ zrobić swój portret, a ja poniosę kosztą,» ale z ciotką robiłem zawsze com chciał i mogłem ją namówić, by ona objawiła chęć posiadania portretu Anielki. W Płoszowie istnieje cała galerya portretów rodzinnych, stanowiących dumę ciotki, a moją rozpacz, niektóre bowiem są okropne — ciotka jednak bardzo stoi o to, by tam nikogo bliższego nie brakło. Wziąwszy na uwagę jej głębokie przywiązanie do Anielki, byłem pewien, że ją nawet uraduje,

podsunąwszy myśl o portretowaniu Anielki. Z tej strony pięć minut rozmowy wystarczyło i sprawę można było uważać za skończoną; począłem tylko zastanawiać się nad tem, komu powierzyć wykonanie portretu. Z westchnieniem pomyślałem, że w żadnym razie nie namówię tych pań do Paryża, gdzie miałbym wybór między dokładnością i obiektywizmem Bonnata, zachwałym rozmachem Karolusa Duran i słodyczą Chaplain'a. Przymknąwszy oczy, wyobrażałem sobie, jak każdy z nich wywiązałby się z zadania i lubowałem się wyobrażeniem. Ale zresztą nie było to możliwe do przeprowadzenia. Przewidywałem, że ciotka zechce, by Anielkę malował polski malarz. Nie miałbym nic przeciw temu, albowiem przypominałem sobie, że na wystawach w Warszawie i Krakowie widziałem kilka portretów, wcale nie gorszych od sławnych płócien zagranicznych. Przestraszała mnie tylko zwłoka. Pod względem zachceń, jak pod wielu innymi, mam usposobienie kobiece: gdy o czem pomyślę dziś, chcę, by to się stało jutro. Ponieważ byliśmy w Niemczech, w pobliżu Monachium i Wiednia, zacząłem więc przebierać myślą między niemieckimi malarzami. Wyłowilem nareszcie dwa nazwiska: Lenbach i Angeli.

Lenbacha widziałem znakomite portrety, ale tylko męskie, zresztą gniewała mnie jego pewność siebie i pobieżność, na którą, jako rozmiłowany we francuskiem malarstwie, pozwalałem tylko Francuzom. Twarze kobiece Angelego również nie zadawałniały mnie całkowicie, ale, bądź co bądź, musiałem mu przyznać delikatną rękę, a takiej właśnie wymagała twarz Anielki. Przytem do Lembacha trzebaby zbaczać, Angeli był po drodze — okoliczność, o której wstyd mówić człowiekowi, nie chcącemu uchodzić za filistra! Ale tym razem chodziło mi o czas. «Umarli prędko jada» — powiada poeta — ale rozkochani jeszcze prędzej. Zresztą i tak bym wybrał Angelego, więc ostatecznie postanowiłem, że on będzie malował portret Anielki. Wogóle nie lubię portretów w balowych sukniach, ale Anielkę postanowiłem koniecznie mieć w białej z fiołkami. Wolę, bym patrząc na nią, miał złudzenie, że ona jest moją dawną Anielką. Nie chcę niczego, coby mi przypominało, że jest panią Kromicką. Przytem, taka suknia jest mi droga, jako wspomnienie.

Nie mogłem się doczekać końca nocy, tak mi było pilno pomówić z ciotką. Zmieniłem jednak zamysł. Pomyślałem, że jeśli ciotka każe

robić portret, będzie się bardzo upierała przy polskim malarzu — postanowiłem więc, że to ja ofiaruję ciotce podobiznę Anielki na imieniny, które przypadają w końcu października. W ten sposób Anielka nie może odmówić. Oczywiście każe zrobić drugi egzemplarz dla siebie.

Nie spałem prawie wcale, ale liczę tę noc do dobrych, bo wszystkie godziny miałem wypełnione owymi zamysłami. Zdrzemnąłem się dopiero koło piątej, ale o ósmej byłem już na nogach. Poszedłem do Straubingera i wysłałem depeszę do biura Künstlerhausu z zapytaniem, czy Angeli jest w Wiedniu; potem, wróciwszy do domu na herbatę, zastałem te panie już przy stole i przystąpiłem wprost do rzeczy.

— Anielko — rzekłem — muszę się przyznać do jednej winy względem ciebie: oto dzisiejszej nocy, zamiast spać, rozporządzałem twoim losem, a teraz zanoszę prośbę, byś się na te rozporządzenia zgodziła.

Anielka spojrzała na mnie z pewnym przestachem. Może jej przyszło do głowy, że tracę zmysły, albo, że zdobywam się na jakąś desperacką otwartość wobec starszych pań — widząc jednak moją twarz spokojną, a nawet obojętną, spytała:

— Cóżś to o mnie postanowił?

Ja zaś zwróciłem się do ciotki.

— Chciałem z początku, żeby to była niespodzianka — rzekłem — ale widzę, że to żadną miarą nie da się przeprowadzić, wolę więc otwarcie cioci powiedzieć, jakie wiązanie obmyśliłem jej na imieniny.

I powiedziałem, o co mi chodzi. Ciotce, która mój portret, i to bardzo dobry, miała już od lat trzech — nie mogłem istotnie zrobić miłszego podarunku, więc też dziękowała mi odpowiednio. Uważałem, że i Anielka była uradowana, a to jedno starczyło mi za wszystko. Zaraz też poczęliśmy bardzo żywą rozprawę, kiedy i przez kogo portret będzie malowany, jak Anielka powinna być ubrana i t. p. Takimi rzeczami kobiety interesują się nadzwyczajnie. Miałem też gotowe odpowiedzi na wszelkie pytania, przytem spostrzegłem, że mogę pod pozorem portretu zyskać coś jeszcze, prócz portretu.

— Nie zajmie to dużo czasu — mówiłem. — Depeszę z zapytaniem o Angelego już posłałem — i nie sądzę, żeby nasz wyjazd do Płoszowa miał się z powodu portretu bardzo opóźnić. Anielka da Angelemu cztery lub pięć posiedzeń, że zaś i tak mieliśmy zabawić kilka

dni w Wiedniu dla Notnagla, więc to prawie na jedno wypadnie. Suknię może Angeli odmalować później na modelu, twarz zaś w pięciu posiedzeniach może skończyć. Trzeba tylko zaraz posłać fotografię Anielki, tę naprzykład, którą ciocka Celina ma ze sobą i promień jej włosów. O włosy będę zaraz Anielkę prosił. Zanim przyjedziemy, Angeli zrobi ogólny zarys, podmaluje — a potem będzie tylko kończył.

Mogło do pewnego stopnia tak być, jak mówiłem, prosząc jednak o promień włosów Anielki, liczyłem na to, że żadna z tych pań nie zna się dokładnie na procederze malowania portretów — promień ów bowiem chciałem mieć dla siebie, nie dla Angelego, któremu mógłby on się na coś przydać wyłącznie w takim razie, gdyby portret miał być malowany tylko z fotografii, czegooby znów Angeli nie chciał się podjąć. Ale ja przedstawiłem rzecz tak, jakby od tego pułka zależały losy portretu. W dwie godziny po śniadaniu otrzymałem odpowiedź na moją depeszę: Angeli bawił w Wiedniu, gdzie kończył portret księżny M. Napisałem do niego zaraz i dołączyłem fotografię Anielki, którą zabrałem pani Celinie; poczem, widząc Anielkę, przechadzającą się po ogrodzie willi, zeszedłem do niej.

— A twoje włosy? — rzekłem. — Chcę przed drugą wysłać list.

Ona pobiegła do siebie i po chwili wróciła z promykiem włosów. Mnie trochę ręka drżała, gdym go od niej odbierał, ale patrzyłem jej prosto w oczy i pytałem spojrzeniem:

— Czy ty się domyślasz, że ja dla siebie chcę twoich włosów, że one będą dla mnie czemś najdroższem ze wszystkiego, co posiadam?

Anielka nie odrzekła nic, ale spuściła powieki i zaczerwieniła się, jak dziewczyna, która pierwszy raz w życiu słyzy wyznanie. Odgağła. Ja pomyślałem, że za jedno dotknięcie ustami jej ust zupełnieby było warto oddać życie. Miłość dla niej potęguje się we mnie czasem do tego stopnia, że przechodzi w ból.

Mam teraz cząstkę i jej fizycznej istoty. Zdobyłem ją podstępem. Ja, życiowy przehera, ja sceptyk, ja, który w każdej chwili widzę się i analizuję — zdobywam się na podstępny, czyny i uczucia goethowskiego Siebla.

Ale mówię sobie: w najgorszym razie jestem sentymentalny i śmieszny. Kto wie, czy nie sto-kroć głupszy, śmieszniejszy i nędzniejszy jest we mnie ten drugi, niesentymentalny człowiek,

który wszystko doprowadza do świadomości i rozbiera. Analiza jest czemś podobnem do osku-bywania kwiatu. Psuje się przez nią najczęściej piękność życia. — a zatem i szczęście, czyli to, co jedynie ma sens.

22 Sierpnia.

Po ukończeniu kuracyi pani Celinę czekaliśmy całe tygodnie, aż upały w równinach prze-miną i doczekaliśmy się okropnej niepogody. Teraz znów czekamy na pierwszy jaśniejszy dzień, by wyruszyć do Wiednia. Od trzech dni panują tu egipskie ciemności. Chmury, które już na tydzień przedtem zbierały się na szczy-tach, wysiadując tam śniegi i deszcze, spelzły z owych wysokich gniazd i spuściwszy się na Gastein, pokryły swoim ociężałym łonem całą dolinę. Żyjemy w takiej mgle, że w południe trudno trafić do naszej willi od Straubingera. Wszystko przesłonięte: domy i drzewa, góry i wodospady. Kształty stopiły się i znikły w je-dnym białawym wilgotnym tumanie, który ciąży na rzeczach, a poniekąd i na duszach. Od go-dziny drugiej po południu siedzimy przy zapalonych lampach. Moje panie kończą się pako-wać. Bylibyśmy już wyjechali, mimo mgły,

gdyby nie to, że strumienie górskie popsuly w jednym miejscu za Hofgastein drogę. Pani Celinie wróciła migrena; ciotka otrzymała list od starego Chwastowskiego o przebiegu żniw, wskutek czego przechadzała się przez większą część dnia wielkimi krokami po jadalnym pokoju, rozprawiając z Chwastowskim i lając go. Anielka dziś zrana była bardzo mizerna. Przyznała się nam, że z wieczora przyśnił się jej ów kretyn, którego spotkałiśmy po drodze do Schreckbrücke. Zbudziwszy się, nie mogła już zasnąć i resztę nocy spędziła w nerwowym strachu. Dziwna rzecz, jakie wrażenie uczynił na niej widok tego nieszczęśliwego. Staralem się zatrzeć je wesołą rozmową, co mi się w części udało, od czasu bowiem naszego układu przy Schreckbrücke, Anielka jest nierównie weselsza, spokojniejsza i szczęśliwsza.

Ja zaś, wobec tego, nie mam nawet odwagi szemrać, choć nieraz przychodzi mi do głowy, że stosunek między nami polega na tem, że go niema. Zawierając układ, wiedziałem dokładnie, czegom chciał i jakie nasze uczucie przybierze kształty; a teraz owe kształty rozpraszają się coraz bardziej nieuchwytne i nieokreślone, jakby przesłaniała je taka sama mgła, jaka w tej

chwili przesłania Gastein. Mam ciągle poczucie, że mi Anielka nie przyznaje tego, co mi się należy, a nie śmiem się o nic upomnieć. Nie śmiem może dlatego, że każda walka nuży, a cóż dopiero walka o osobę ukochaną; ja zaś prowadziłem ją od pół roku i nie zgoła nie wywalczywszy, wyczerpałem się do tego stopnia, że obecnie wolę być jaki spokój, niż dawne bezowocne wysiłki.

Lecz może jest i drugi powód. Jeśli ten stan rzeczy nie odpowiada moim oczekiwaniom, widzę jednak, że on zjednywa mi Anielkę. Jej się wydaje, że ja ją kocham teraz szlachetniej, więc i ona ceni, nie śmiem powiedzieć: kocha, mnie za to więcej. Mimo zupełnego braku objawów zewnętrznych, czuję, że tak jest i to dodaje mi sił, albowiem mówię: «Ponieważ w ten sposób jej uczucie wzrasta, więc wytrwaj, więc się go trzymaj, a może doczekasz czasu, w którym ono przerośnie jej siłę oporną.»

Ludzie w ogóle, a zwłaszcza kobiety, sądzą, że tak zwana miłość platoniczna jest jakimś osobnym gatunkiem miłości, niezmiernie rzadkim i niezmiernie szlachetnym. Jestto proste pomieszanie pojęć. Może istnieć platoniczny stosunek, ale miłość platoniczna jest takim samym non-

sensem, jak np. nieświecące światło. Nawet miłość dla osób zmarłych składa się z tęsknoty, zarówno za ich duszą, jak za ich ziemską postacią. Między żyjącymi, tego rodzaju stosunek, to rezygnacya. Ja nie chciałem klamać, mówiąc Anielce: «Będę cię tak kochał, jakbyś już umarła.» Ale rezygnacya nie wyłącza nadziei. Mimo tylu zawodów, mimo całego przeświadczenia, że wszelka nadzieja jest płonna, na dnie serca miałem i mam nadzieję, iż nasz dzisiejszy stosunek, to tylko etap na drodze naszej miłości. Mogę sobie sto razy powtarzać: «złudzenie! złudzenie» — nie umiem się jednak pozbyć nadziei, póki nie pozbędę się pragnień. Te rzeczy są nieodłączne. Zgodziłem się na taki stosunek, bo musiał, bo wolałem taki, niż żaden, ale mimo całej szczerości, prawie mimowoli uważam go za moją grę, za moją dyplomacyę, której celem jest zupełne, nie połowiczne szczęście.

Co mnie jednak zastanawia, dziwi i martwi, czego poprostu nie rozumiem, to, że ja i na tej drodze jestem pobity. Zwycięstwa moje leżą w mgłę przyszłości — i są podobne do jakichś majaków, do uludy, tymczasem w czasie obecnym, ja, z całą moją przebiegłością, z całą znajomością życia, uczuć, ich dyplomacyi, zostałem

poprostu pobity przez tę istotę, nieskończenie prostszą odemnie, mniej świadomą taktyki życiowej, mniej przezorną i mniej obliczającą każdy krok. Zostałem pobity — niema gadania! Czem bowiem jest nasz obecny stosunek? Oto, w rzeczywistości, stosunkiem kochającego się rodzeństwa, zatem tem, czego ona chciała, a czego ja — nie chciałem. Dawniej płynąłem z burzą i rozbijałem się ustawicznie, alem przynajmniej sam sterował moją łodzią. Teraz Anielka steruje obiema — i płynę ciszej, równiej, tylko ja czuję, że płynę tam, dokąd sobie płynąć nie życzę. Teraz rozumiem, dlaczego zaledwim jej wspomniał o miłości Danta do Beatryczy, wyciągnęła do mnie obie ręce. Dlatego, żeby mnie prowadzić. Czy ona lepiej i głębiej obrachowywa wszystko odemnie?

Nie! nie znam istoty mniej zdolnej do jakichkolwiek wyrachowań, więc nie mogę tego dopuścić; ale nie mogę także pozbyć się myśli, graniczącej z czemś mistycznym, że to tak wygląda, jakby ktoś obrachowywał za nią.

Wszystko co mnie otacza, jest jakieś dziwne. Dziwnem jest i to, że ja się daję ograniczać, żem sam wymyślił ten stosunek, taki przeciwny mojej naturze, moim poglądom, moim

najgorętszym pragnieniom. Gdyby mi ktoś przed poznaniem Anielki powiedział, że ja wpadnę na tego rodzaju pomysły, poczytałbym go za waryata i miałbym przez jaki miesiąc temat do drwin i z takiego proroka i z siebie samego. Ja — w stosunku platonicznym! Jeszcze i teraz chce mi się czasem śmiać i drwić.

Tylko czuję, że do tego doprowadziła mnie nędza.

23 Sierpnia.

Jutro wyjeżdżamy. Niebo się przeciera i wiatr wieje z zachodu, co wróży pogodę. Mgła pozwijała się w długie białawe wały, które wyciągnęły się po bokach gór i posuwają się zwolna, w poprzek stoków, nakształt olbrzymich lewiatantów. Chodziliśmy z Anielką na Kaiserweg. Zrana przyszło mi do głowy pytanie, coby się stało, gdyby ten stosunek, w jakim żyjemy, przestał samej Anielce wystarczać? Ja nie mam prawa przestąpić granicy i boję się, a nużby znów ona tak samo myślała? Wrodzona jej wstydlivość i nieśmiałość stanowiłyby i tak nieprzewyciężoną dla niej przeszkodę, gdyby zaś jeszcze sądziła, że ją układ tak samo obowiąz-

zując, jak mnie — nie porozumielibyśmy się nigdy — i cierpielibyśmy nadaremnie.

Zastanowiwszy się jednak nad tem głębiej, zrozumiałem całą czczość podobnych obaw. Ona, której nawet ten platoniczny stosunek wydaje się za obszernym, która go z wiedzą lub bez wiedzy zacieśnia, która w tych nawet granicach nie przyznaje mi tego, co mi się należy, miałaby się dobrowolnie, pierwsza, zgodzić na przyznanie mi większych praw?!

A jednak dusza ludzka, chyba nawet i w piekle, będzie jeszcze żyła nadzieją. Mimo oczywistego niepodobieństwa, postanowiłem ubezpieczyć się na wszelki wypadek i powiedziałem Anielce, że układ obowiązuje tylko mnie — a zresztą wszystko zależy od jej laski.

Chciałem powiedzieć jej także wiele innych rzeczy, a mianowicie, że mi się krzywda dzieje, że dusza moja potrzebuje koniecznie i bezwzruszowo słyszeć z jej ust słowo: «kocham» i to nie raz, ale często, ale codzien; że tem tylko może żyć i tem tylko utrzymać się na wysokościach. Ale Anielka była tego poranku tak wesola, tak swobodna i tak serdeczna dla mnie, że zbrakło mi odwagi do zamącenia tej pogody. Wczoraj nie mogłem zrozumieć, dlaczego ta

istota, tak pełna prostoty, opanowuje mnie i zwycięża nawet na tych polach, na których ja, według wszelkich ludzkich pojęć, powinienem być zwycięzcą. Dziś mi to jest jaśniejsze — i mam gotową, bardzo smutną hipotezę: oto ja więcej ją kocham, niż ona mnie.

Znałem człowieka, który miał przysłowie: «Mniejsza o moje.» Nie byłoby nic dziwnego, gdybym ja zaczął je teraz powtarzać. Bo jeśli czasem mam ochotę wyrzucić coś z siebie, co mi pali usta, jak rozżarzony węgiel, a spostrzegam, że mogę tem spłoszyć jej wesołość, jej uśmiech, zmienić jej dobre usposobienie — to i milczę. Ileż razy się tak zdarza!

To, że ja ją więcej kocham, niż ona mnie, przychodziło mi już ze sto razy do głowy, ale ja o tych stosunkach wczoraj myślałem to, dziś owo, błąkam się, gubię, zaprzeczam sam sobie, każdą rzecz widzę codzien inaczej. Raz mi się zdaje, że ona i mnie nie bardzo kocha i w ogóle nie jest bardzo zdolną do kochania — drugi raz nie tylko myślę, ale i czuję, że jestto jedno z najgłębszych i najmocniej kochających serc, jakie w świecie spotkałem. I mam zawsze dowody na obie strony. Bo mówię sobie tak: gdyby na przykład jej miłość dla mnie stała się trzy, cztery,

dziesięć razy większą, czyby nareszcie nie przyszła chwila, że stałaby się zarazem większą od jej oporu? Tak! Więc to jest kwestya tylko wielkości uczucia? Nie! Bo gdyby uczucie było naprawdę małe, albo żadne, to ona nie byłaby tyle cierpiała, a widziałem ją tak nieszczęśliwą, jak prawie ja sam. Na wszystkie przeciw niej rozumowania mam tylko jedną odpowiedź: widziałem!

Dziś wyszło z jej ust zdanie, które zapamiętam bo stanowiło także odpowiedź na moje wątpliwości. Nie byłaby nic podobnego powiedziała, gdybym był mówił wprost o nas i o naszej miłości. Ale ja mówiłem ogólnie, jak zwykle teraz mówię. Dowodziłem, że w naturze uczucia leży czyn, że ono jest siłą powodującą i wytwarza bezwarunkowo jakieś akty woli. Ona, wysłuchasz rzeła:

— Albo też się cierpi.

I naturalnie, że się cierpi. Ale ona temi kilkoma słowami zamknęła mi usta, a natomiast napęłniła mi serce czcią dla siebie. W takich chwilach jestem szczęśliwy i nieszczęśliwy, bo mi się znów wydaje, że ona mnie tak samo kocha, jak ja ją — tylko cała rzecz w tem, że chce zostać czystą przed Bogiem, ludźmi i sobą. A ja tego kościoła nie zburzę.

Ostatecznie, analiza jej serca i uczuć nie doprowadza mnie do żadnych pewników. Ciągłe stoję na rozdrożu. Do moich „nie wiem“ religijnych, filozoficznych, społecznych, przybywa jeszcze jedno, osobiste, stokroć dla mnie ważniejsze, to bowiem rozumiem doskonale, że przez takie „nie wiem“ można kark skrócić.

Sam kulem ten łańcuch, który mnie do Anielki przywiązuje, ale też przywiązuje bez cienia podobieństwa, żeby kiedykolwiek prysnął. Kocham ją rozpaczliwie, lecz pytanie, czy i nie chorobliwie zarazem? Gdybym był młodszy, zdrowszy na duszy i ciele, mniej zwichnięty, normalniejszy, tobym się może urwał, a przynajmniej wobec tej pewności, że nigdy do niczego nie dojdę — że, mówiąc grubo, nie nie wskóram — że jej ramiona nigdy nie otworzą się dla mnie, starałbym się potargać te więzy. Ale dziś nie czynię nawet usiłowań. Kocham ją tak, jak człowiek chory na nerwy, bliski manii, albo jak kochają ludzie starzy, którzy, gdy się uczeplią miłości, to trzymają się jej ze wszystkich sił. Albowiem staje się ona dla nich kwestyją życia. Podobnie czepiają się ludzie gałęzi, wiążąc nad przepaścią.

Z mojego życia to jedno wykwitło, więc też

i wybujało nadnaturalnie. Taki objaw jest zupełnie zrozumiały i będzie się powtarzał tem częściej, im będzie więcej ludzi na świecie podobnych do mnie, to jest przeanalizowanych sceptyków i zarazem historyków, mających w duszy wielkie nic, a we krwi wielką newrozę. Taki nowożytny produkt epoki, która się kończy, może wcale nie kochać, może utożsamiać miłość z rozpustą, ale gdy w jakimś uczuciu zestrzela się wszystkie jego siły żywotne, gdy podstawą się ono w jego newrozę, to go opanuje zupełnie i stanie się tak uporczywe, jak uporczywe bywają tylko choroby. Tego może dziś jeszcze psychologowie nie rozumieją, a z pewnością nie rozumieją dotąd powieściopisarze, zajmujący się analizą nowożytnej duszy ludzkiej.

Wiedeń, 25 Sierpnia.

Przyjechaliśmy dziś do Wiednia. W drodze wysłuchałem rozmowy między panią Celiną i Anielką, którą zapisuję z powodu szczególniejszego wrażenia, jakie ona na Anielce uczyniła. Było nas tylko czworo w wagonie i rozprawialiśmy o portrecie Anielki, mianowicie zaś o tem, że trzeba się będzie wyrzec białej sukni, bo zrobienie jej wymagałoby zbyt długiego czasu,

Nagle pani Celina, która pamięta wszelkiego rodzaju daty i wiecznie je cytuje, rzekła, zwróciwszy się do Anielki:

— Wszak to dziś upływa dwa miesiące, jak twój mąż przyjechał do Płoszowa.

— Zdaje się — odrzekła Anielka.

I w tej samej chwili zaczerwieniła się tak silnie, że chcąc to ukryć, wstała i poczęła zdejmować woreczek podróżny z siatki wagonowej. Gdy się odwróciła, rumieniec nie zeszedł jeszcze zupełnie z jej twarzy, ale był na niej natomiast wyraz ogromnej przykrości. Starsze panie nie spostrzegły tego, bo się zaraz zaczęły sprzeczać o dzień przyjazdu Kromickiego, lecz ja spostrzegłem i odczułem, bo mi przyszło na myśl, że tego samego dnia ona musiała znosić jego pieszczoty, pocałunki — i ogarnęło mnie uczucie wściekłości, a zarazem było mi wstyd za ten jej rumieniec. W mojej miłości jest mnóstwo wielkich cierni, ale jest także mnóstwo małych i ohydnych. Przed tą uwagą pani Celiny byłem prawie szczęśliwy, miałem bowiem złudzenie, że tak podróżujemy z Anielką i tak ze sobą jesteśmy, jak para narzeczonych. Teraz, w jednej chwili to dobre usposobienie znikło. Czulem urazę do Anielki i moje obejście się z nią zmieniło się

zupełnie. Ona natychmiast to spostrzegła i w Wiedniu już, gdy zostaliśmy przez chwilę sam na sam w sali na dworcu, spytała mnie:

— Czy ty się na mnie o co gniewasz?

— Nie, ale cię kocham! — odpowiedziałem jej szorstko.

To znowu ją zasmuciło. Może pomyślała sobie, że mi się uprzykrzył ów pogodny stosunek i że staję się znów dawnym Leonem. Jam zaś był podwójnie zły, bo przyszło mi na myśl, że moje zdwajanie się i moja świadomość nie służy mi nawet do tego, żebym umiał zapanować nad jakimś jednym przykrem wrażeniem. Tylko następne wrażenia są lekarstwem na poprzednie, a moja filozofia jest zupełnie na nic.

Zaraz po przyjeździe byłem u Angelego, ale nimem do niego zajechał, wybiła szósta i pracownię zastałem zamkniętą. Anielka do jutra wypocznie, więc pójdę z nią. Rozmyśliłem się. Nie chcę już jej stanowczo w białej sukni. Nie będę miał na portrecie jej szyi i ramion, ale będę miał ją taką, jaką jest codzien, to jest taką, jaką ją kocham najbardziej.

Wieczorem odwiedził nas doktor Chwastowski. Zdrow i tegi zawsze.

26 Sierpnia.

Miałem obrzydliwy sen. Zaczynam od niego opis dzisiejszego dnia, bo jakkolwiek sam sen jest głupstwem, mam jednak przekonanie, że zdrowy mózg nie może śnić w podobny sposób. Bezsensowność trapi mnie oddawna, wczoraj zaś, ledwie oczy zamknął, zapadłem jakby w odrętwienie. O której godzinie przyśniły mi się te głupstwa, nie wiem; zdaje mi się, że dopiero nad ranem, bo gdy się obudziłem, było już widno, a nie musiałem śnić długo. Zobaczyłem masy chrząszczy i żuków, wychodzących z boków, ze szpar między materacem i łóżkiem. Były tak duże, jak pudelka od zapalek. Wkrótce ujrzałem je, idące w górę po ścianie. Dziwna rzecz, jak podobne sny są realne; słyszałem najwyraźniej szelest papierowego obicia pod haczykami nóg. Podniósłszy oczy, zobaczyłem w kącie pod sufitem całe grona chrząszczy, tylko nieco odmiennych, bo jeszcze większych i białych w czarne plamy. U niektórych widziałem podbrzusza z dwoma szeregami nóg, które wyglądały jakby żebra. We śnie wydawało mi się to wszystko naturalne i zarazem ohydne. Byłem pełen wstrętu, ale ani się bałem, ani dziwiłem. Dopiero po prze-

budzeniu się, gdy począłem myśleć świadomie, wstręt ten stał się nieznośny i zmienił się w dziwnego rodzaju strach, bo strach śmierci. Pierwszy raz odczuwałem coś podobnego i ta bojaźń śmierci formułowała się tak: «Kto wie, jakie tam mrowienie przeohydne może istnieć w tych ciemnościach z drugiej strony życia?» Później przypomniałem sobie, że takie olbrzymie, białe z czarnymi plamami chrząszcze, widziałem w jakimś muzeum, ale na razie wydały mi się one widzeniem rzeczy niebywałych, należących do pozagrobowej ohydy. Zerwałem się, podniosłem rolękę i widok światła uspokoił mnie zupełnie. Na ulicy już był ruch; psy ciągnęły wózki z wozem, służące szły na targ, robotnicy do fabryk. Widok normalnego życia ludzkiego jest najlepszym przeciwśrodkiem na tego rodzaju fantasmagoryę. Ja teraz czuję ogromną potrzebę światła i życia. Ostateczny wniosek z tego wszystkiego, że nie jestem zdrow. Moja tragedia toczy mnie od wewnątrz, jak robak. Że spostrzegam na brodzie i głowie białe nitki, to leży w porządku rzeczy; ale twarz moja, zwłaszcza zrana, ma tony woskowe i ręce są trochę przeźroczyste. Nie chudnę, raczej przeciwnie — a z tem wszystkim mam świadomość swojej anemii, tak

samo jak mam świadomość swoich stanów psychicznych i czuję, że moja żywotność przesila się — i że idę ku czemuś złemu.

Nie zwaryjuję nigdy. Zupełnie nie wyobrażam sobie, jak mógłby nadejść taki czas, w którym przestałbym siebie kontrolować. Zresztą znakomity jeden lekarz, a co więcej rozumny przytem człowiek, powiedział mi, że przy pewnym stopniu w rozwoju świadomości, jestto rzecz niemożliwa. Zdaje mi się nawet, że o tem pisał. Lecz nie warując, mogę dostać jakiejś ogromnej choroby nerwowej — a że wiem trochę, co to jest — więc zupełnie szczerze mówię, że wolałbym każdą inną.

Ogólnie biorąc, nie wierzę w doktorów, zwłaszcza takich, którzy wierzą w medycynę, ale być może, że trzeba się będzie poradzić, zwłaszcza, że i ciotka sobie tego życzy. Wiem zresztą jedno lekarstwo niezawodne: gdyby Kromicki umarł i gdybym się ożenił z Anielką, to byłbym zdrow. Choroby, płynące z nerwów, należy leczyć przez nerwy.

Ale ona nie zechce być moim lekarzem, choćby chodziło o moje życie.

Byłem z nią i ciotką u Angelego. Dziś odbyło się pierwsze posiedzenie. Jaką ja jednak

miałem słuszną, twierdząc, że ona jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałem, dlatego, że w jej piękności niema nic pospolitego. Angeli wpatrywał się w nią z takim upodobaniem, jakby patrzył na wysokie i szlachetne dzieło sztuki. Wpadł w doskonały humor, rysował z zapalem i nie ukrywał nam wcale powodów swego zadowolenia.

— W moim zawodzie — mówił — podobny model jest rzadkością. Jak się ma taki wzór, to się inaczej pracuje... Co za twarz! co za wyraz!

A wyraz był mniej zachwycającym, niż zwykle, bo to nieśmiałe stworzenie czuło się zmieszane, zawstydzone i z trudnością przychodziło mu zachowywać twarz i postawę naturalną. Ale Angeli to rozumiał.

— Na następnych posiedzeniach będzie coraz lepiej — mówił — z tem, jak ze wszystkim, trzeba się oswoić.

I co chwila wykrzykiwał:

— To powinien być portret!

Spoglądał także z przyjemnością na ciotkę, która ma rysy szlachetne, pełne charakteru, energii, a zarazem dziwnej zamaszystości. Obejście się jej z Angelim, było w swoim rodzaju czemś nie-

porównaniem. Była w niem jakaś naiwna bezceremonialność wielkiej damy, będącej zawsze w zgodzie z dobrym smakiem, ale nie robiącej sobie nic z nikogo. Angeli, człowiek przywykły do holdów, ale bardzo zarazem sprytny, poznał się na tem i widziałem, że go to bawiło.

Zdecydowaliśmy się na czarną jedwabną suknię, nadzwyczaj zresztą wykwintną. Szczególniej figura Anielki ślicznie się w niej wydaje. Widać jej smukłość i zarazem pełność. Nie mogę o tem ani myśleć, ani pisać spokojnie. Angeli, mówiąc do Anielki, użył wyrazu: «mademoiselle». Kobięca natura jest dziwna, choćby nawet była anielska. Widziałem, że to mojemu kochanemu stworzeniu zrobiło przyjemność, a jeszcze większe zadowolenie ujrzałem w jej ślicznej twarzy, gdy Angeli, poprawiony przezemnie, odpowiedział:

— Ależ ja się będę ciągle mylił! Patrząc na panią, niepodobna się nie omylić...

Rzeczywiście, z temi rumieńcami, bijącemi jej na twarz, była tak zachwycająca, że mi się przypomniał — i przypomniał dokładniej, niż poprzednio — ów wiersz, który pisałem niegdyś, a którego każda zwrotka kończyła się słowami:

»I dziwię się tylko, że kwiaty
Pod twemi stopami nie rosna,
Ty złoty mój ptaku skrzydlaty,
Ty maju, ty raj, ty wiosno«!

Wychodząc, gdyśmy oddalili się nieco od ciotki, szepnąłem jej do ucha:

— Anielko, ty nie wiesz, ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakaś ty piękna.

Nie odpowiedziała nic, tylko spuściła powieki, jak czyni w takich razach zwykle. Jednakże przez cały dzień widziałem w jej obejściu się ze mną mimowolny, leciuchny odcień kokieteryi. Słowa Angelego i moje nastroiły ją w taki sposób. Czowała, że ją podziwiam z całej duszy i była mi za to wdzięczną.

A ja nietylkom ją podziwiał — ale mówiłem sobie w duszy, a raczej krzyczałem:

— Niech dyabeł porwie wszelkie układy! Kocham ją bez ograniczeń i zastrzeżeń!..

Wieczorem byliśmy na «Fliegende Holländer» Wagnera. Zaledwie słyszałem cośkolwiek, albo inaczej mówiąc, słyszałem tylko uczuciem, rozumiałem tylko przez moją miłość.

Zadawałem pytanie Wagnerowi: «jaki ty na niej czynisz wrażenie? czy twoja muzyka wnika w nią, czy ją usposabia do kochania, czy ją

przenosi w jakieś światy, gdzie miłość jest najwyższym prawem?» To tylko mnie obchodziło.

Kobiety nie umieją chyba kochać tak wyłącznie. One zostawiają zawsze jakąś część duszy dla siebie, świata i jego wrażeń.

27 Sierpnia.

Ciotka objawiła zamiar wyjazdu. Pilno jej do Płoszowa i powiada, że obecność jej tu na nic niepotrzebna, że nawet będzie lepiej, gdy wyjedzie, bo się nie będziemy za nią oglądali i zostaniemy tak długo, jak będzie wymagała robota portretu. Trochęśmy się wszyscy opierali temu zamiarowi, ze względu na to, że osoba w wieku nie powinna jednak puszczać się w drogę sama. Czulem się w obowiązku — choć przyszło mi to niełatwo — powiedzieć ciotce, że jeśli koniecznie chce wyjechać, to będę jej towarzyszył. Przyznaję, że z pewnym drżeniem wewnętrznym oczekiwałem jej odpowiedzi. Na szczęście, moje poczciwe ciotczysko odpowiedziało z wielką żywością:

— Ani o tem myśl. Jak Celina będzie słaba, albo zmęczona, to kto zaprowadzi Anielkę do pracowni? Sama przecie nie może tam iść.

Tu poczęła grozić Anielce i dodała z uśmiechem na ustach a marsem na czole:

— Zwłaszcza, że ten malarz patrzy na nią więcej, niż robota portretu wymaga — a ona to widzi i rada. Oho! trzeba ją znać!

— Przecie on już nie młody — odpowiedziała Anielka, śmiejąc się i całując ciotki ręce.

Ciotka zaś poczęła mruzczyć:

— Ty przylepko, ty! Nie młody, ale komplimenta gada. Leonie, pilnuj mi ich obojga.

Ja z rozkoszą ustąpiłem od jazdy do Płoszowa wobec powodów, przytoczonych przez ciotkę. Pani Celina poczęła namawiać ją, żeby wzięła przynajmniej pannę służącą, która była z nami w Gasteinie. Ciotka opierała się z początku i temu, ustąpiła jednak, gdy Anielka powiedziała jej, że w hotelu dadzą sobie doskonale radę bez służącej.

Zaraz kazała pakować swoje kufry. Ciotka lubi wszystko prędko robić i chce jechać jutro rano. Przy obiedzie drażniłem ją, twierdząc, że woli swoje konie wyścigowe od nas i że to do nich jej tak pilno. Powtarzała: «Ach, jaki niemądry! cicho bądź!» — ale po chwili, zapomniawszy się, zaczęła ze sobą głośną pogawędkę o stadninie.

Posiedzenie trwało dziś bardzo długo. Anielka pozowała lepiej. Twarz jest już podmalowana.

28 Sierpnia.

Ciotka wyjechała rannym pociągiem z Wiednia. Na posiedzeniu byliśmy razem z panią Celiną, która ujrzawszy twarz Anielki, dopiero podmalowaną, ledwie że zdołała powstrzymać okrzyk oburzenia. Ona nie ma pojęcia o malarstwie i wszystkich fazach, przez jakie przechodzić musi portret, sądziła więc, że twarz już taka zostanie — to jest brzydka i niepodobna. Musiałem ją uspokajać; potem Angeli domyślił się także o co idzie i śmiejąc się, zapewnił ją również, że to, co widzi, jest tylko poczwarką, z której się wylęgnie motyl.

Na pocieszenie rzekł sam w końcu:

— Myślę, że to będzie jeden z najlepszych moich portretów, bo dawno nie malowałem tak «con amore.»

Oby się jego słowa sprawdziły!

Po skończonem posiedzeniu poszedłem po bilety do opery. Gdy z nimi wróciłem, zastałem Anielkę samą — i nagle pokusy ogarnęły mnie, jak huragan. Pomyślałem, że gdyby ona chciała pójść teraz w moje ramiona, to byłaby dobra:

chwila, i na tę myśl uczułem, że blednę, że pulsa poczynają mi bić gwałtownie, że drzę na całym ciele i tchu mi braknie. W pokoju był półmrok, firanki nawpół zasłonięte. Czyniłem nadludzkie wysilenia, by przewyciężyć te siły niepohamowane, które mnie parły ku niej. Zdawało mi się, że bije od niej ku mnie żar — i że takie same myśli burzą i jej duszę. Mogłem ją przecie porwać i przycisnąć do piersi, całować jej oczy, usta. Jakiś głos począł mi mówić: «Choćby potem zginąć!» Ona spostrzegła nachmiast mój stan niezwykle, w oczach jej mignął przestrasz, lecz zaraz opanowała się i rzekła spiesznie:

— Musisz być moim opiekunem do powrotu mamy; dawniej balam się ciebie, a teraz tak ci ufam i tak mi z tobą dobrze...

Ja począłem całować ją po rękach i powtarzać stłumionym głosem:

— Żebyś ty wiedziała, żebyś ty wiedziała, co się ze mną dzieje!...

Ona zaś odrzekła ze współczuciem i smutkiem:

— Ja wiem... i tem jesteś lepszy, tem szlachetniejszy...

Chwilę jeszcze zmagalem się sam z sobą, wreszcie rozbroiła mnie. Nie śmiałem. Za to

przez całą resztę dnia starała mi się to wynagrodzić. Nigdy w jej spojrzeniu nie czytałem więcej przywiązania, nigdy nie była dla mnie tak tkliwa. Czy to jest może najlepsza droga, jaką mam przed sobą? czy w ten właśnie sposób uczucie najbardziej wzbierze w sercu Anielki i najprędzej ją zwycięży? — nie wiem, i tracę głowę...

Bo z drugiej strony, idąc taką drogą, poświęcam na każdym kroku z miłości, samą miłość.

29 Sierpnia.

Stało się coś dziwnego i przestraszającego. W czasie posiedzenia, Anielka, pozując najspokojniej, wzdrygnęła się nagle, twarz jej oblała się rumieńcem, a potem stała się blada, jak opłatek. Obaj z Angelim przeraziliśmy się ogromnie. On przerwał w tej chwili robotę i prosił Anielkę, by odpoczęła; ja podałem jej wody. Po chwili to przeszło. Chciała pozować dalej, ale widziałem, że się do tego zmusza i że jest w niej jakiś niepokój. Być może, iż się zmęczyła. Dzień był dziś bardzo duszny; mury są rozpalone. Odprowadziłem ją do domu rychlej, niż w dniu wczorajszym. Przez drogę nie odzyskała zwykłego usposobienia. Podczas obiadu znów się na-

gle zaczerwieniła. Poczuliśmy z panią Celiną wypytywać, co jej jest? Zaręczała nam, że nic. Na moje pytanie, czy nie sprowadzić jej doktora, odpowiedziała z niezwykłą żywością, a nawet jakby z rozdrażnieniem, że niema najmniejszej potrzeby i że się czuje doskonale. Ale przez resztę dnia była blada; jej czarne brwi ściągają się co chwila, a twarz przybiera wyraz jakiejś surowości. Dla mnie była obojętniejsza, niż wczoraj — i chwilami zdawało mi się, że unika mego wzroku. Nie rozumiem, co to jest. Jestem ogromnie niespokojny. Nie będę znów spał, a gdybym nawet zasnął, czuję, że miałbym jakieś sny, w rodzaju tego, o którym pisałem.

30 Sierpnia.

Dzieje się koło mnie coś niezrozumiałego. O południu zapukałem do tych pań, chcąc zabrać Anielkę na posiedzenie; tymczasem nie było ich w domu. Służba hotelowa powiedziała mi, że kazały sobie przed dwoma godzinami sprowadzić powóz i wyjechały na miasto. Zdziwiony trochę, postanowiłem na nie czekać. Jakoż, po upływie pół godziny, wróciły, ale Anielka przeszła tylko koło mnie i podawszy mi w milczeniu rękę, udała się do swego pokoju. Przez tę

chwile udało mi się jednak dostrzedz, że twarz jej jest wzburzona. Myślałem, że idzie się tylko przebrać, tymczasem pani Celina rzekła:

— Mój kochany Leonie, bądź łaskaw pójść do Angelego i przeprosić go, że Anielka dziś nie przyjdzie. Anielka taka jest znerwowana, że żadną miarą nie mogłaby pozować.

— Co jej jest? — spytałem z największym niepokojem.

Pani Celina zawahała się przez chwilę, wreszcie odrzekła:

— Nie wiem; zawiozłam ją do doktora, aleśmy go nie zastały. Zostawiłam mu kartkę z prośbą, by zechciał przyjechać do nas do hotelu... Zresztą... nie wiem...

Nic więcej nie mogłem się dowiedzieć. Wziąłem dorózkę i pojechałem do Angelego. Gdy mu mówiłem, że Anielka nie przyjdzie, zdawało mi się, że spojrzał na mnie z nieufnością. Zresztą, wobec mego widocznego niepokojem, byłoby to naturalne. Ale przyszło mi do głowy: nuż on nas podejrzewa, żeśmy się rozmyśli i chcemy wykręcić się od portretu? On nas przecie nie zna — mógłby nawet pomyśleć, że to jakiś kłopot pieniężny jest przyczyną mego pomieszczenia. Chcąc więc zapobiedz podobnym podejrzewaniom,

postanowiłem go z góry zapłacić. On, usłyszawszy o tem, począł się bronić bardzo żywo i oświadczył, że zapłaty inaczey nie przyjmuje, jak po ukończeniu portretu, ale ja odrzekłem, że jestem tylko depozytaryuszem sumy, zostawionej przez ciotkę, a ponieważ prawdopodobnie przyjdzie mi wyjechać, więc wolę się pozbyć kłopotu. Po długich sporach, które mnie znudziły, stanęło na mojem. Umówiliśmy się, że posiedzenie odbędzie się nazajutrz, o zwykłej porze; gdyby zaś nie mogło mieć miejsca, ze względu na zdrowie pani Kromickiej, to mu dam znać przed dziesiątą.

Wróciwszy do hotelu, poszedłem zaraz do tych pań. Anielka była u siebie; pani Celina powiedziała mi, że doktor dopiero co odjechał, ale nie powiedział nic stanowczego, nakazał tylko spokój. Nie wiem dlaczego, zdawało mi się, że znów widzę w jej twarzy jakieś wahanie się. Może to był tylko niepokój, który zresztą łatwo mi zrozumieć, bo i ja go odczuwam.

Poszedłszy do siebie, zacząłem sobie robić gorzkie wyrzuty, że jednak nasz stosunek, ta walka wewnętrzna, która musi odbywać się w Anielce, to odgadywanie mojej miłości i moich cierpień, nie może być bez złego wpływu

na jej zdrowie. Myśląc o tem, doznawałem uczucia, które w słowach dałoby się wyrazić tak: «Lepiejbyś ty przepadł, niżby ona miała chorować!»

Myślałem z takim strachem, że ona pewnie nie zejdzie na obiad, jakby od tego Bóg wie co zależało. Na szczęście, zeszła — nie przestała mnie jednak dziwić. Naprzód zmięszała się na mój widok — potem usiłowała być taką, jak zwykle, a była inną. Robiła na mnie wrażenie osoby, która ukrywa zmartwienie. Musiała być przytem chyba bledsza, niż zwykle, bo ona ma przecie zaledwie ciemne włosy, a wydawała mi się prawie brunetką.

Łamię sobie głowę, czy te panie nie odebrały jakich niepomyślnych nowin od Kromickiego? A jeśli tak, to co to mogą być za nowiny? Może moje pieniądze są w niebezpieczeństwie. A pal-że je lichy! Wszystko co mam, nie warto, żeby się Anielka przez pięć minut martwiła.

Muszę to jutro wyjaśnić. Jestem prawie pewny, że to są jakieś powody natury moralnej i że wszystko stoi w związku z Kromickim. Co on tam mógł nowego urządzić? Przecie dru-

giego Głuchowa nie sprzedał, dla tej dobrej przyczyny, że go nie ma.

Berlin, 5 Września.

Jestem w Berlinie, a jestem tu dlatego, że ucieklszy z Wiednia, musiałem gdzieś pojechać. Do Płozowa nie mogłem — tam ona przyjeżdża.

Byłem tak przekonany, że mnie żadna siła ludzka od niej nie oderwie, iż sama myśl zerwania tego stosunku wydawała mi się dziką. A no! pokazuje się, że niczego nie można przewidzieć, bo oto odjechałem i wszystko skończone. Jestem w Berlinie. Zdaje mi się, że mam w głowie koło rozpedowe jakiejś maszyny. Tak się to wszystko obraca, że aż boli — ale nie zwaryowałem! Wszystko wiem, wszystko pamiętam. Mój lekarz miał słuszność: warjują tylko słabe głowy. Mnie się to nie mogło przytrafić także i dlatego, że to czasem może być bajecznym szczęściem.

6 Września.

Jednak chwilami myślę, że mój mózg wykipi. Bo, że porządna kobieta, która spędziła z mężem kilka miesięcy, może poczuć się w stanie

odmiennym, to jest ogromnie naturalne, a mnie ten naturalny porządek wydaje się czemś tak potwornem, że mi wysadza mózg z głowy. Nie można przecie jednocześnie myśleć, że coś jest zwykłym prawem natury i zarazem potwornością. Tego żadna głowa nie wytrzyma. Co w tem jest? Zbieram oto całą przytomność i pojmuję, że tych, co mają być zdruzgotani, druzgocze siła nadzwyczajnych zdarzeń; ale ze mną jest co innego. Mnie rozdziera zwyczajny tryb rzeczy.

I im to jest bardziej naturalne, tem straszniejsze.

Same sprzeczności. Ona nie jest za to odpowiedzialna — rozumiem, bom nie zwarjowa! Nie przestała być cnotliwą — a jednak jabym jej prędzej przebaczył każdą zbrodnię. I nie mogę, na miły Bóg, nie mogę ci przebaczyć właśnie dlatego, że cię tak kochałem! Czy ty uwierzysz, że na świecie niema kobiety, którą-bym obecnie tak pogardzał, bo ostatecznie tyś miała dwóch: mnie od miłości platonicznej, a Kromickiego od — małżeńskiej!

I, widzisz, chce mi się wprawdzie łbem o ścianę tłuc, ale dalibóg! chce mi się i śmiać...

Anim się spodziewał, że był jednakże sposób oderwania mnie od ciebie! Był i udał się!

8 Września.

Jak pomyśle, że wszystko skończone, zerwane, że nic nie zostało, że ja już wyjechałem — na zawsze — nie chce mi się w to wierzyć. Niema już dla mnie Anielki! A co jest? — nic!

Więc po co ja żyję? Nie wiem! Przecie nie dla tej ciekawości, czy pan Kromicki będzie miał syna, czy córkę!

Ciągle myślę: jakie to wszystko naturalne — i głowa mi pęka.

To dziwna rzecz: ja powinienem był być na to przygotowany, a nigdy nic podobnego przez myśl mi nie przeszło. Byłbym się prędzej spodziewał, że we mnie piorun trzaśnie.

Kromicki jednakże zaraz z Warszawy pojechał do Płoszowa, bawił tam kilka dni, a potem byli razem w drodze, razem w Wiedniu, razem w Gasteinie.

A ja wytwarzałem nastrój miłosny. Nerwy pani były poruszone i serce wezbrane. Dalibóg że to ma swoje okropnie śmieszne strony.

Jestem przeraźliwie głupi. Bo skorom mógł znieść wspólny pobyt państwa Kromickich, to

powiniennem umieć znieść jego następstwa. Ale, na Boga żywego, to nie umysł, to moje nerwy nie godzą się na te następstwa. Są ludzie, w których te dwie siły idą zgodnie; we mnie gryzą się, jak psy. To jedno więcej nieszczęście.

Dlaczego właśnie jam nigdy nie przewidywał czegoś podobnego? Powinno mi było przyjść do głowy, że jeżeli istnieje jakiś zbieg rzeczy straszny, jakiś cios boleśniejszy od wszystkich dotychczasowych, to oczywiście mnie nie minie.

Czasem wydaje mi się, że jestem poprostu ścigany przez Opatrzność i że ona, postanowiwszy logikę faktów, która sama przez się umie się mścić, nie poprzestaje jednak na tej zemście, tylko jeszcze osobno wgląda w moje sprawy i osobno mnie karze. Ale skąd taka zawziętość przeciw mnie? Iluż to ludzi kocha się w cudzych żonach, czy więc dlatego mniej cierpią, że mniej, lekkomyślniej, nieuczciwiej kochają? Coby to była za sprawiedliwość?

To też nie! W tych rzeczach niema żadnej świadomej siebie myśli i wszystko się spełnia tak, jak musi, jak wypadnie.

10 Września.

Ciągle tkwi we mnie myśl, że dotąd tragedia ludzka wynikała z wyjątkowych zdarzeń i nieszczęść, a moja wynika właśnie z naturalnego biegu rzeczy. Doprawdy, nie wiem, co jest gorsze. Taka naturalność jest przecie nie do wytrzymania.

11 Września.

Podobno człowiek, rażony piorunem, sztywnieje i nie upada odrazu. Ja także trzymałem się dotąd siłą tego piorunu, który we mnie uderzył — myślę jednak, że teraz zwalę się z nóg. Jest ze mną źle. Jak tylko mrok zaczyna zapadać, dzieje się ze mną coś dziwnego: odczuwam duszność, czynię usiłowania, żeby wstchnąć — i zdaje mi się, że powietrze nie chce wchodzić do głębi mych płuc, że oddycham tylko ich częścią. We dnie i w nocy chwyta mnie od czasu do czasu jakaś nieokreślona trwoga — trwoga przed niczem. Zdaje mi się, że stanie się coś strasznego, bez porównania gorszego, niż śmierć.

Wczoraj zadałem sobie pytanie, coby też się stało, gdybym nagle w tem obcem mieście za-

pomniat, jak się nazywam, gdzie mieszkam i powędrował wśród ciemności wprost przed siebie, bez celu, w obłąkaniu...

Są to przypuszczenia chorobliwe. Zresztą, w takim razie stałoby się z mojem ciałem tylko to, co się już stało z duszą, bo w znaczeniu moralnem ja nie wiem, gdzie mieszkam; idę w ciemnościach, bez celu, w obłąkaniu.

I boję się wszystkiego — z wyjątkiem śmierci. A ściśle mówiąc: mam takie dziwne uczucie, że to nie ja się boję, tylko że trwoga zamieszkała we mnie, jakby jakaś osobna istota — i drży.

Nie znoszę teraz zupełnie ciemności. Wieczorem chodzę aż do zupełnego znużenia po ulicach, oświetlonych elektrycznością. Gdybym spotkał kogo znajomego, uciekłbym na koniec świata; ale tłum jest mi potrzebny. Gdy na ulicach zaczyna się przeredzać, robi mi się straszno. Z przerażeniem myślę zawsze o nocy. A te noce takie już okropnie długie.

Czuję prawie ciągle metaliczny smak w ustach. Pierwszy raz uczułem go, gdy po odprowadzeniu Klary na kolej, wróciliśmy do domu i zastałem u siebie Kromickiego; drugi raz teraz,

w Wiedniu, gdy pani Celina powiedziała mi «wielką nowinę.»

Co to był za dzień! Przyszedłem po drugiej wizycie doktora spytać o Anielkę. Przez głowę mi nie przeszło podobne podejrzenie; nie rozumiałem nic, nawet i wów^zas, gdy pani Celina powiedziała mi:

— Doktor zapewnia, że to są objawy czysto nerwowe, prawie bez związku z jej stanem.

Ona zaś, widząc, że się niczego nie domyślałam, zaczęła mówić z zakłopotaniem:

— Bo muszę ci powiedzieć wielką nowinę...

I powiedziała mi «wielką nowinę.» Usłyszawszy ją, poczułem cynę w ustach i zrobiło mi się zimno w mózgu — zupełnie jak wówczas, gdym zobaczył niespodzianie Kromickiego.

Wróciłem do hotelu. Pamiętam doskonale, że między różnymi uczuciami, jakie mną targały, była i potrzeba śmiechu. Ta idealna istota, której nawet i miłość platoniczna wydawała się czemś niedozwolonym, która zamiast: «miłość,» mówiła: «przyjaźń!...»

Czułem potrzebę śmiechu — a także i rozbięcia głowy o mur.

Zachowałem jednak jakąś mechaniczną przytomność... Dało mi ją poczucie, że skończyło

się wszystko, raz na zawsze i że muszę wyjechać, że nie mogę nie wyjechać... To poczucie zrobiło ze mnie automata, spełniającego doskonale wszystkie czynności, odnoszące się do wyjazdu. Byłem do tego stopnia przytomny, że nawet ocaliłem pozory. Po co — nie wiem! Nic mi na tem nie zależało. Były to zapewne mechaniczne odruchy mózgu, który przez całe miesiące, lata przywykł do ukrywania prawdy i ratowania pozorów. Powiedziałem pani Celinie, że byłem u doktora, że jestem chory na serce, że kazał mi jechać, nie tracąc minuty, do Berlina — i ona uwierzyła.

Anielka, nie! Widziałem jej oczy — rozszerzone z przestachu, widziałem wzrok shańbio-nej męczennicy i było we mnie dwóch ludzi: jeden mówił: co ona winna? — drugi miał chęć w twarz jej plunąć.

O, czemu ja tę kobietę tak kochałem!

12 Września.

To już blisko dwa tygodnie, jakem wyjechał. One pewnie już wróciły do Płoszowa. Pisałem dziś do ciotki, bo bałem się, że się o mnie zęknie i tu przyjedzie. Czasem dziwnie mi pomy-

śleć, że jest istota, którą ja tak naprawdę obchodzę.

13 Września.

Są ludzie, którzy uwodzą cudze żony, oszukują je, potem depcą, rzucają i odchodzą spokojni. Ja tego wszystkiego nie uczyniłem, a gdyby ona była stała się moją ofiarą, tobym prochy przed nią zamiatał, toby mnie teraz żadna siła ludzka nie oderwała od jej nóg. Są więc uczucia występniejsze od mojego; ale na mnie zwałilo się takie brzemień, że mimowoli mam wrażenie jakiejś wyjątkowej kary i mierząc, również mimowoli, wielkością kary winę, nie mogę się obronić poczuciu, że moja miłość była strasznym występkiem.

Jestto rodzaj instynktownej trwogi, od której sceptycyzm nie uwalnia.

A przecież wszelka moralność musi się zgodzić na to, że większą winą byłoby ciągnąć ku sobie kobietę, nie kochając jej; czynić to wszystko na zimno, co ja czyniłem z głębi serca. Odpowiedzialność nie może być cięższa za uczucia wielkie i porywające, niż za małe i nikczemne.

Nie! To też moja miłość jest przede wszystkim strasznym nieszczęściem.

Człowiek, pozbawiony przesądów, może sobie wyobrazić, coby w danym wypadku czuł, gdyby był przesądny; tak samo człowiek, który wątpi, może odczuć, jakby się modlił, gdyby był wierzącym. Ja nietylko to odczuwam, ale łączy się to we mnie z taką skargą, że się prawie szczerze modlę. I mówię: «Jeślim zawinił, Panie Boże, tom też tak za to odpokutował, że trochę miłosierdzia jużby mnie nie zdziwiło.»

Ale nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłoby się objawić nademną miłosierdzie. To jest zupełnie niemożliwe.

14 Września.

One już pewno wróciły do Płoszowa. Myślę o niej jeszcze często, bo tylko w takim razie można się oderwać od swej przeszłości, gdy się ma coś przed sobą, a ja nie mam nic i nic. Gdybym był człowiekiem wierzącym, zostałbym księdzem, gdybym był człowiekiem, który stanowczo przeczy istnieniu Boga, możebym się nawrócił. Ale we mnie te organa duszy, które mi się wierzy, uschły tak, jak może uschnąć

ręka. Nic nie wiem, prócz tego, że w cierpieniu niema dla mnie pociechy w religii.

Gdy Anielka wyszła za Kromickiego, myślałem, że między nami wszystko skończone. Tymczasem to nie była prawda. Teraz dopiero mam zupełne przekonanie, że wszystko skończone, bo rozdziela nas nie tylko nasza wola, nie tylko mój wyjazd, ale coś, co leży po za nami, niezależna od nas siła rzeczy.

To są odmienne całkowicie koleje, których nic zbliżyć nie może, nawet nasza wola. W kolejach Anielki będą cierpienia, ale będą nowe światy, nowe uczucia, nowe życie, przedemną zaś jest zupełnie pusto. Ona niezawodnie rozumie to tak dobrze, jak ja.

Ciekawym, czy ona sobie czasem mówi: tego człowieka zgubiłam — może bez winy — ale go zgubiła.

Nic mi z tego nie przyjdzie, a jednak chciałbym, żeby mnie choć żałowała.

I być może, że będzie, póki jej dziecko nie przyjdzie na świat. Potem wszystkie jej uczucia popłyną innym korytem — a ja przestanę dla niej istnieć. To także siła rzeczy, to także prawo natury.

Wysmienite prawa!

16 Września.

Zobaczyłem dziś na afiszu wydrukowane olbrzymiemi literami nazwisko Klary Hilst. Zapomniałem, że jeszcze w Gasteinie odebrałem od niej list z oznajmieniem, iż będzie w Berlinie. Otóż jest — i występuje z kilkoma koncertami. Na razie, ani mnie to ucieszyło, ani nie ucieszyło. Teraz, ponieważ już ogarnął mnie mój zwykły nerwowy niepokój, więc wrażenia moje rozdwarzają się; myśl, że jakaś znajoma i przyjazna dusza mieszka w tem samym mieście, dodaje mi, sam nie wiem dlaczego, pewnej otuchy — ale ta myśl wystarcza mi. Wolalbym Klary nie widzieć i gdy sobie mówię, że trzeba będzie pójść do niej, doznaję uczucia przykrości. Klara ma tę ciekawą troskliwość, która chce wszystko wiedzieć i dopytuje. Skłonna jest do romantycznych przypuszczeń i posiada wiarę, że przyjaźń może uleczyć wszelkie cierpienia. A dla mnie mówić cokolwiek byłoby zupełnem niepodobieństwem. Mnie często brak sił nawet do myślenia o tem, co zaszło.

17 Września.

Dlaczego ja rano się budzę? po co istnieję? co mnie mogą obchodzić znajomi, albo ludzie w ogóle? Nie poszedłem do Klary, bo wszystko, co ona mi może powiedzieć, nie obchodzi mnie także, a z góry nuży mnie. Cały świat jest mi tak dokładnie obojętny, jak ja jemu.

18 Września.

Jak dobrze zrobiłem, żem napisał do ciotki. Gdyby nie to, byłaby tu przyjechała, bo oto, co mi donosi:

«List twój przyszedł w dniu, w którym przyjechała Celina z Anielką. Jakże się masz teraz mój najdroższy? Mówisz, że dobrze, ale czy zupełnie dobrze? Co ci powiedzieli doktorzy w Berlinie i jak długo tam zabawisz? Przyślij mi depeszę, czy cię tam jeszcze zastanę, a przyjadę natychmiast. Celina mówiła mi, żeś wyjechał tak nagle, iż obie z Anielką były ogromnie przestraszone. Gdybyś mi był doniósł, że prawdopodobnie przepiszą ci podróż morską, byłbym natychmiast, po otrzymaniu twego listu, wyruszyła do ciebie. Przecie to tylko kilkanaście godzin, ja zaś czuję się tak zdrowa, jak

13*

nigdy. Kongesty, których doświadczałam dawniej, nie powtórzyły się ani razu. Boję się dla ciebie i tej podróży morskiej. Tyś wprawdzie do tego przyzwyczajony, ale mnie dreszcze biorą na samą myśl o okrętach i burzach.

«Celina ma się dobrze, Anielka nieźle. Słyszałam, że już wiesz o nowinie. Przed odjazdem z Wiednia wezwały jeszcze raz specjalistę, który powiedział, że stan Anielki nie ulega najmniejszej wątpliwości. Celina szczęśliwa ogromnie, a ja takżem rada. Może to skłoni Kromickiego do porzucenia tych spekulacyj na końcu świata i do zamieszkania w kraju. Anielka będzie niezawodnie szczęśliwa, mając cel w życiu. Po powrocie wygląda jakby zmęczona i jakby przybita, może być jednak, że to skutek drogi. Sniatyńskim dziecko chorowało silnie na krup, ale już jest zdrowe.»

Czytając list ciotki, miałem jedno wrażenie, że dla mnie niema tam miejsca między niemi, niema zwłaszcza przy Anielce. Jej wkrótce będzie przykre nawet moje wspomnienie.

19 Września.

Nie umiem sobie wyobrazić siebie za rok, za dwa, lub trzy. Co ja będę robił? Zupełna

bezcelowość powinna wyłączać życie. Właściwie mówiąc, dla mnie niema miejsca nigdzie.

20 Września.

Nie poszedłem do Klary, ale spotkałem ją na Friedrichstrasse. Ujrzawszy mnie, pobladła z radości i wzruszenia, witała zaś z takim wy-laniem, że mnie to zarazem ujmowało i zara-zem było mi przykre, bom czuł, że moja serdeczność dla niej jest tylko zewnętrzna i że nie doznaję nawet radości z jej spotkania. Gdy ochłonęła nieco, zaniepokoiły ją zaraz zmiany, jakie spostrzegła w mojej twarzy. Rzeczywiście, nie wyglądałam świetnie i trochę posiwiałem. Zaczęła mnie wypytywać o zdrowie, ja zaś, mimo całej wdzięczności i przyjaźni dla Klary, czułem, że zbyt częste stosunki z nią przecho-dziłyby absolutnie moje siły, chcąc się więc od nich zabezpieczyć, powiedziałem jej, że jestem chory i że wkrótce przyjdzie mi wyjechać do cieplejszego klimatu. Następnie zaciągnęła mnie do siebie. Rozmawialiśmy o ciotce, Anielce i pa-ni Celinie. Zbywałem ją ogólnikami. Mówilem sobie, że to jest może jedyna w świecie istota, któraby mnie zrozumiała, a jednocześnie czu-łem, że za nic w świecie nie otworzę jej serca.

A jednak, ja odczuwam ludzką dobroć. Chwilami, gdy poczciwe niebieskie oczy Klary wpatrywały się we mnie z największym przywiązaniem i z taką uwagą, jakby mnie chciały do głębi duszy przejrzeć, dobroć ta upokarzała mnie do tego stopnia, że chciało mi się płakać. Klara wreszcie, mimo wszelkich moich wysiłków, spostrzegła, że ja jestem zupełnie innym, niż dawniej. człowiekiem; instynktem kobiecym odgadła, że żyję, mówię i myślę niemal mechanicznie, a zaś dusza moja jest nawpół zabita. Spostrzegłszy to, zaniechała natychmiast badań i wypytywań, stała się tylko jeszcze tkliwszą.

Widziałem jej obawę i usiłowania, żeby mnie nie znużyć. Starła się dać mi do poznania, że w tej tkliwości, jaką mi okazuje, chodzi jej nie o to, by mnie zjednać dla siebie, ale jedynie, by mi przy niej było dobrze.

I było mi dobrze, ale się jednak znużeniu nie mogłem oprzeć. Umysł mój nie jest teraz zdolny do żadnego skupienia się i do żadnych wysiłków, nawet do tak małych, jakich wymaga zwyczajna rozmowa z przyjaciółką. A oprócz tego, gdy raz mój wielki cel zniknął mi z oczu, wszystko wydaje mi się tak niesłychanie czeze,

że ciągle mam w duszy pytanie: na co to? co z tego przyjdzie?

21 Września.

Nigdy dotąd nie spędziłem nocy tak strasznej. Miałem wrażenie takiej trwogi, jakbym schodził po nieskończonych schodach w coraz głębsze ciemności, w których dzieją się rzeczy równie okropne, jak niewyraźne. Postanowiłem opuścić Berlin, bo pod tem niebem ołowianem można się udusić. Wrócę do Rzymu, do mego domu na Babuino — i tam się już osiedlę na stałe. Myślę, że rachunki moje nietylko z Anielką, ale z całym światem, są już zupełnie ukończone i mogę sobie wegetować spokojnie w Rzymie, póki na mnie nie przyjdzie czas. Oby przynajmniej spokojnie! Wczorajsza wizyta u Klary przekonała mnie, że choćbym chciał, nie potrafię już żyć z ludźmi i że nie mam im się czem wypłacić nawet za ich dobroć. Zostałem wyłączony z ogólnego życia, stoję na zewnątrz i chociaż czuję pustkę nieopisaną, nie mam już ochoty wracać.

Myśl o Rzymie, o mojej pustelni na Babuino, uśmiecha mi się — wprowadzie blado i smutnie — ale wolę to, niż co innego. Stamtąd wy-

leciałem na świat, jak ptak z gniazda — tam też wypada mi się dowlec na połamanych skrzydłach — i czekać końca.

Pisuję teraz rankami, bo wieczorem zstępuję zawsze do tych moich podziemi, w których mieszka trwoga. Dziś będę na koncercie Klary, pożegniam ją i jutro wyjadę. Po drodze zatrzymam się w Wiedniu. Być może, iż wstąpię do Angelego — nie jestem pewny. Ja teraz nigdy nie jestem pewny, co nazajutrz będę czuł i czynił.

Odebrałem dziś list od Klary, w którym prosi mnie, bym przyszedł do niej po koncercie. Na koncert pójdę, bo tam takie mnóstwo zdrowych ludzi, że czuję się przy nich bezpieczniejszy — a nie męczy mnie, bo nie znam nikogo i widzę tylko ogół. Ale do Klary nie pójdę. Jest nadto dobra. Mówią, że ludzie umierający z głodu, na pewien czas przed śmiercią nie mogą już znieść pokarmu. Tak samo mój organizm duchowy nie znosi już dobroci i pociechy.

Nie znosi także przypomnień. To mała rzecz, ale teraz wiem, że prócz moralnych, były i inne powody, które mi uczyniły wizytę u Klary tak ciężką. Oto ona używa takich samych perfum, jakie przywiozłem Anielce z Wiednia do Ga-

steinu. To już nieraz zauważyłem, że jeśli dana osoba używa pewnej perfumy, to potem nic jej tak realnie nie przypomina, jak taki sam zapach.

22 Września.

Chory jestem zupełnie. Zaziębilem się wczoraj, wracając do domu, bo w sali koncertowej panował niesłychany upał — było mi duszno, więc wyszedłszy na świeże powietrze, nie nałożyłem paltota i wróciłem skostniały do hotelu. Każde odetchnięcie sprawia mi takie wrażenie, jakby płuca moje, rozszerzając się, trafiały na ostrza ukrytych pod łopatkami szpilek. Robi mi się naprzemian to gorąco, to zimno. Nie mogę ugasić pragnienia. Ogarnia mnie chwilami wielka niemoc i czuję, iż nie zdołałbym zejść ze schodów. O wyjeździe nie może być i mowy. Nie potrafiłbym wsiąść o własnej mocy do wagonu. Pisząc, słyszę swój własny oddech, trzykroć szybszy i głośniejszy, niż zwykle. Jestem przekonany, że gdyby stan moich nerwów był inny, oparłbym się temu wczorajszemu chładowi i nie zaziębił, ale w obecnym stanie rzeczy, straciłem wszelką oporność. Dostałem niezawodnie zapalenia płuc.

Będę się jednak trzymał na nogach, póki będę mógł. Rano, jakem się tylko poczuł chorym, napisałem co prędzej do ciotki, że się czuję zdrów i że za parę dni wyjeżdżam. A za parę dni, jeśli zostanę przytomny i będę miał dość sił, znów napiszę toż samo. Prosiłem ciotki, żeby listy i depesze, jakie do mnie nadejdą, kazała przesłać do bankiera B. w Berlinie. Będę się starał, by nikt w Płoszowie nie dowiedział się o mojej chorobie. Jak to dobrze, żem się wczoraj pożegnał z Klarą.

23 Września.

Gorzej mi, niż wczoraj, alem się jeszcze nie położył. Mam gorączkę i mam świadomość, że chwilami w myśli moje podsuwają się gorączkowe widzenia. Zwłaszcza, gdy przymknę oczy, granica między rzeczywistością a tem, co płodzi mój chory mózg, zaciera się prawie zupełnie. Jednak przez większą część dnia kontroluję się jeszcze, ale boję się, że ta gorączka mnie zmoże — i że stracę zupełnie przytomność.

Przychodzi mi do głowy jedna rzecz: oto ja, człowiek uposażony lepiej, niż inni od losów, który mógł stworzyć sobie ognisko domowe, rodzinę, otoczyć się kochającymi sercami — sie-

dzę teraz samotny i chory w obcym mieście i nie ma mi kto szklanki wody podać. Anielka byłaby może także ze mną. Nie mogę dłużej...

14 Października.

Biorę się do pióra po trzech tygodniach przerwy. Klary niema przy mnie. Uspokoiwszy się stanowczo o moje zdrowie, wyjechała do Hanoweru, ale wróci za dziesięć dni. Pilnowała mnie przez cały czas choroby. Ona sprowadziła lekarzy — i gdyby nie jej opieka, byłbym zapewne umarł. Nie pamiętam już dokładnie, czy trzeciego, czy czwartego dnia mojej choroby, pojawiła się u mnie. Byłem przytomny, ale zarazem tak chory, że na jej widok pozostałem zupełnie obojętny, jakby nie do mnie przyszła, albo jakby jej przyjście było najzwyczajniejszą rzeczą. Weszła z lekarzem — i co zajęło moją uwagę, to jego niezmiernie obfita, biała i kręcona czu-pryna. Byłem istotnie w dziwnym stanie. Lekarz, po opatrzeniu mnie, począł zadawać mi rozmaite pytania, naprzód po niemiecku, a następnie po francusku, ja zaś, rozumiejąc doskonale, nie odpowiadałem wcale, bom nie odczuwałem najmniejszej potrzeby odpowiadania i nie

zdołałem jej w sobie wzbudzić, jakby i wola moja była równie bezsilną, jak ciało.

Zmęczono mnie tego dnia bańkami, potem leżałem spokojnie, bez wrażeń. Chwilami myślałem, że pewno umrę, ale nie przywiązywałem do tego większej wagi, jak do innych rzeczy, które działy się koło mnie. Być może, iż w każdej cięższej chorobie, nawet zachowując przytomność, traci się poczucie różnicy między sprawami większemi i mniejszemi, uwaga zaś, niewiadomo dlaczego, przywiązuje się do drobiażgów. Mnie dnia tego, prócz czupryny doktora, zajęło głównie odsuwanie górnej i dolnej zasuw od drzwi przyległego pokoju, w którym postanowiła zamieszkać Klara. Pamiętam, że mój oka nie spuszczał z tej czynności, jakby mi na niej coś zależało.

Wkrótce potem nadszedł felczer, który miał mnie doglądać pod nadzorem Klary. Zaczął coś zaraz mówić do mnie, ale Klara nakazała mu milczenie.

Jednak męczy mnie jeszcze długie pisanie — więc przerywam.

16 Października.

Nerwy moje uspokoiły się przez tę chorobę; nie doznaję już tych trwóg, które dawniej tak

mnie dręczyły; chciałbym tylko, żeby Klara wróciła jak najprędzej. Nie jest to tęsknota, tylko egoizm człowieka chorego, który czuje, że takiej opieki i troskliwości, jaką miał, nie mu nie zdoła zastąpić. Wiem, że Klara nie będzie już mieszkała obok mnie, ale obecność jej pokrzepiłaby mnie. Słabość i bezradność przywiązuje się tak do opiekuńczej siły, jak dziecko przywiązuje się do matki. Jestem przekonany, że żadna inna kobieta nie uczyniłaby dla mnie tego, co Klara i że każda wolalaby zachować konwenanse, niż ratować człowieka. Myśląc o tem, mam gorycz w ustach, a w myśli jedno imię... Ale to są rzeczy, których lepiej nie dopuszczać do głowy, póki niema sił, żeby się z nimi rozprawić... Klara sypiała nierozzebrana, na sofce, w przyległym pokoju i przy otwartych drzwiach. Za każdym mojem ruszeniem była natychmiast przy mnie. Widywałem ją w nocy schyloną nad mojem łóżkiem, z włosami w nieładzie, mrugającą ze zmęczenia i bezsenności. Sama podawała mi lekarstwa, sama podnosiła mnie na poduszkach. Gdym w chwilach przytomności chciał jej dziękować, kładła palce na ustach, na znak, że doktor zabronił mi mówić. Nie wiem, ile nocy nie spała. Była

tak znużona, że w dzień, siedząc koło mnie na fotelu, zasypiała czasem w połowie rozpoczętego zdania. Zbudziwszy się, uśmiechała się do mnie i znów poczyniała drzemać. Nocami chodziła czasem bardzo długo po swoim pokoju, żeby się bronić od snu, ale tak cicho, że byłbym o tem nie wiedział, gdyby nie to, że przez otwarte drzwi widział jej cień, poruszający się na ścianie. Raz, gdy była przy mnie, nie wiedząc, jak się jej wywdziękzyć, podniosłem jej rękę do ust; wówczas ona schyliła się szybko i ucałowała moją, zanim mogłem ją cofnąć. A trzeba wiedzieć, że nie zawsze umiałem być dla niej wdzięczny. W chorobie byle co drażni — mnie zaś drażnił jej wysoki wzrost. Czulem do niej jakby urazę za to, że nie jest taka jak Anielka. Płynęło to zapewne z tego, że przez tyle czasu przyzwyczaiał się uznawać wdzięk i piękność o tyle, o ile zbliżały się do wdzięku i piękności tamtej. Czasem, patrząc na Klarę, rozdrażniałem się wewnętrznie szczególniejszem poczuciem, że ona jest piękna nie dlatego, że natura chciała ją rozmyślnie uczynić piękną i nie z prawa rasy, ale jakoby ze szczęśliwego wypadku. Nie raz zresztą piękna głowa kobieca sprawiała mi podobne wrażenie. Są w tych rzeczach odcie-

nia, pochwytnie tylko dla bardzo wyrobionych i wrażliwych nerwów.

Były jednak chwile, zwłaszcza nocami, w których, gdy patrzyłem na twarz Klary wychudłą, zmniejszoną i zmizerniałą od czuwania, miałem złudzenie, że widzę tamtą... Działo się tak zwłaszcza, gdy siedziała w mroku, opodal od mego łóżka. Do uludy pomagała mi gorączka i chory mózg, dla którego niemożliwość nie istnieje. Od czasu do czasu majaczyłem zupełnie — i bodajem zginął! — ale wołałem na Klarę imieniem tamtej i rozmawiałem z nią, jak z tamtą. Pamiętam to, jak przez sen.

17 Października.

Bankier B. odesłał mi kilka listów ciotki. Ciotka dopytuje się o mnie, o moje zamiary na przyszłość. Pisze nawet o omłotach, tylko o ludziach w Płoszowie nic. Nie wiem nawet, czy żyją, czy pomarli. Co za dziwny i drażniący sposób pisania listów! Wielce mnie zaiste zajmują omłoty i całe gospodarstwo płoszowskie. Odpisałem zaraz i nie umiałem ukryć niezadowolonia.

18 Października.

Dziś odesłano mi depezę Kromickiego, adresowaną do Warszawy. Ciotka, zamiast zatelegrafować jej treść, zamknęła ją do koperty i wysłała pocztą. Kromicki błaga, bym dla ratowania własnych pieniędzy i jego całego losu, nadesłał jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Przeczytawszy, wzruszyłem tylko ramionami. Co mnie teraz może obchodzić Kromicki i moje pieniądze! Niech sobie giną. Gdyby Kromicki wiedział, dla jakich powodów przyszedłem mu pierwszym razem z pomocą, nie byłby teraz niczego żądał. Niechże zniesie swoje straty tak spokojnie, jak ja zniosę moją. Zresztą czeka go «wielka nowina,» która mu będzie pociechą. Cieszcie się, ile chcecie, miejcie dzieci, ile wam się podoba, jeśli jednak żądacie odemnie, bym ja myślał o ich losie — to, doprawdy, za dużo żądacie.

Gdyby ona przynajmniej nie była mnie poświęcała z takim bezwzględny egoizmem, dla tak zwanych swoich zasad... Ale dość o tem, bo mi się mózg przewraca w głowie. Niech mi będzie wolno przynajmniej spokojnie chorować...

20 Października.

Nie! Znaleźli mnie i tu. Znow od dwóch dni nie mam spokoju, znow się rękoma trzymam za głowę, żeby mi czaszka nie pękła od tego koła rozpędowego, które się w niej obraca. Myślę znow o Płoszowie i o niej — i o mojej pustce w przyszłości. Jaka to jest przeraźliwa rzecz, gdy komu zbraknie nagle tego, czem żył wyłącznie i jedynie! Nie wiem, czy choroba osłabiła mój umysł, ale poprostu nie rozumiem różnych zjawisk, które w sobie dostrzegam. Oto zdaje mi się, że moja zazdrość przeżyła moją miłość.

I to jest zazdrość podwójna, bo nietylko o fakta, lecz o uczucia. Rwie się wszystko we mnie na myśl, że to dziecko, które ma przyjść na świat, zabierze serce Anielki dla siebie, a co więcej — o co głównie mi idzie — nakłoni je ku Kromickiemu.

Jabym tej kobiety, gdyby była wolna, już teraz nie chciał, ale nie mogę znieść przypuszczenia, że ona będzie kochała męża. Oddałbym resztę życia za to, by nikt jej już w życiu nie kochał i ona nikogo. Pod tym warunkiem jeszczebym potrafił istnieć.

21 Października.

Jeśli mnie ten sposób, który mi chodzi po głowie, nie wyratuje, to znowu zapadnę w jaką chorobę, albo oszaleję. Oto robię ze sobą obrachunek! Co mi się jeszcze należy w życiu? — nic! Co mnie czeka? — nic! A jeśli tak, to nie istnieje żaden powód, dla któregobym nie miał uczynić ze siebie podarunku komuś, kogo taki podarunek może uszczęśliwić. Za moje życie, za mój umysł, za zdolności, za siebie całego, nie dałbym obecnie trzech złamanych groszy; w dodatku nie kocham Klary, ale jeśli ona mnie kocha, jeśli we mnie widzi szczęście najwyższe życia, to byłoby okrucieństwem odmawiać jej tego, co ja sam tak mało cenię. Poczowałbym się tylko do obowiązku powiedzenia jej, kim jestem, by wiedziała, co bierze. Tem gorzej dla niej, jeśli się tem nie zrazi — ale to jej sprawa.

Mnie w tym zamiarze nęci tylko jedna rzecz, a mianowicie, że przez to powiększy się jeszcze przepaść, jaka mnie dzieli od tamtej kobiety. I pokażę jej, że jeśli ona rozkopywała tę przepaść ze swego brzegu, to i ja ze swego potrafię. Wtedy będzie już koniec nad końce, bo jeszcze dziś ja o niej myślę. Widzę to i stwierdzam ze złością.

Być może, iż to już jest nienawiść, ale to jeszcze nie obojętność.

Pani Kromicka sądziła zapewne, że odrywam się od niej dlatego, że muszę — ja jej dowiedę, że także chcę. A myślę, że im grubszy mur między nami postawię, im bardziej on mi ją zasłoni, tem prędzej i dokładniej o niej zapomnę.

Co do Klary, powtarzam, że nie kocham jej, ale wiem, że ona mnie kocha. Prócz tego winienem jej wdzięczność. W chorobie miewałem takie chwile, że jej czuwanie nademną nazywałem w duchu sentymentalizmem niemieckim, ale swoją drogą, na taki sentymentalizm tamtaby się nie zdobyła. Byłoby przecie godniejszym tej wysokiej cnoty dać człowiekowi skonać bez pomocy, niż zobaczyć go bez krawata, bo taki przywilej przysługuje tylko prawnie poślubionemu małżonkowi. Klara nie zważała na nic; zaniedbała dla mnie muzykę, naraziła się na trud, na bezsenność, prawdopodobnie na obmowę ludzką i wytrwała przy mnie.

Zaciągnąłem względem niej dług — i spłacam go. Spłacam źle i ze złą wiarą, bo ofiaruję się dlatego, że sam o sobie nie stoję, że mi teraz wszystko jest obojętne i że jestem tylko

strzępem człowieka, nie człowiekiem. Ale skoro ona ten strzęp ceni nad życie własne — niechże on należy do mej.

Dla ciotki jednej będzie zmartwienie; zrani to i jej uczucia narodowe i rodowe. Gdyby jednak ciotka mogła odczytać, co działo się w ostatnich czasach w mojem sercu, wolałaby to małżeństwo, niż tamtą miłość. Pod tym względem nie mam najmniejszej wątpliwości.

A cóż z tego, że przodkowie Klary byli prawdopodobnie tkaczami! Ja zasad nie mam żadnych, mam tylko nerwy, moje zaś przygodne poglądy są raczej liberalne. Dawno myślę, że jeżeli ludzie, wyznający zasady liberalne, są często jeszcze ciaśniejsi od konserwatystów, to natomiast zasady liberalne, same w sobie, są szersze od konserwatywnych i zgodniejsze z nauką Chrystusa — co mi jest zresztą wszystko jedno.

Ale o tych względach nawet mówić nie warto. Dopiero w nieszczęściu czuje się całą ich nicość.

Mimowoli myślę ciągle, jak Anielka przyjmie wiadomość o mojem postanowieniu? Tak przywykłem odczuwać wszystko przez nią, że mi ten bolesny nałóg jeszcze pozostał.

22 Października.

Dziś rano wysłałem list do Klary. Odpowiedź otrzymam jutro — albo być może, iż sama Klara przyjedzie jeszcze dziś wieczór.

Po południu odesłano mi drugą depezę Kromickiego. Ile rozpaczy może się mieścić w kilkunastu wyrazach, tyle w niej jest. Musiało się tam wszystko jak najgorzej obrócić, bo nie spodziewałem się, żeby ruina przysłała tak prędko. Zaszły chyba jakieś niespodziewane okoliczności, których nie przewidywał sam Kromicki.

Strata, jaką ponoszę, nie czyni wielkiego uszczerbku w mej fortunie — i mimo tej straty pozostanę zawsze więcej niż zamożnym człowiekiem — ale Kromicki!...

Dlaczego mam się zwodzić! Jest w sercu mojem zakątek, w którym wyległo się zadowolenie z tej ruiny. Pomyśleć, że jeśli ci ludzie będą mieli w przyszłości z czego żyć, to tylko dzięki ciotce, która, jak sama mówi, jest administratorką majątku Płoszowskich.

Tymczasem nie mam zamiaru odpowiadać Kromickiemu. Gdybym jednak się na to zdecydował, za całą odpowiedź powinszowałbym mu potomka. Potem będzie co innego! — potem dam obojgu chleb — nawet obfity.

23 Października.

Klara wczoraj nie przyjechała, a dziś, do tej godziny, to jest do wieczora, nie przyszła jej odpowiedź. Jestto tem osobliwsze, że dotąd pisywała codziennie, dopytując się o moje zdrowie. Jej milczenie nie dziwiłoby mnie, gdybym mógł przypuścić, że się będzie namyślała chociaż przez dziesięć minut.

Będę czekał cierpliwie — lepiejby jednak uczyniła, nie zwłócząc. To jedno wiem i czuję, że gdyby mój list nie był wysłany, może być, że wysłałbym drugi podobny, ale gdyby tamten można cofnąć, to prawdopodobniebym go cofnął.

24 Października.

Oto, co Klara mi pisze:

«Drogi mój panie Leonie. Po otrzymaniu listu pańskiego, byłam jak odurzona ze szczęścia i chciałam zaraz wracać do Berlina. Ale właśnie dlatego, że pana bardzo głęboko kocham, posłuchałam głosu, który mi mówił, iż najwyższa miłość nie powinna być najwyższym egoizmem i że mi nie wolno poświęcać pana dla siebie.

«Pan mnie nie kocha, panie Leonie. Oddała-

bym życie za to, gdyby było inaczej — ale pan mnie nie kocha. List pański jest tylko porywem wdzięczności i jakiejś rozpacz. Od pierwszej chwili spotkania się naszego w Berlinie spostrzegłam, że pan nie jest ani zdrów, ani szczęśliwy — i jak dalece niepokoiłam się o pana, dowód w tem, że chociaż się pan ze mną pożegnał i zapowiedział swój wyjazd, posłałam jednak do hotelu dowiedzieć się, czy pan naprawdę wyjechał i posyłałam następnie codzień, póki mi nie odpowiedziano, że pan chory. Potem, pilnując pana w czasie choroby, przekonałam się, że i druga moja obawa była słuszna i że pan ma jakieś ukryte wielkie zmartwienie, czy też doznał pan jednego z takich bolesnych zawodów, po których trudno się z życiem pogodzić.

«Teraz mam przekonanie — i Bóg jeden widzi, jak mi z niem ciężko — że pan chce związać swój los z moim, żeby się zagłuszyć, żeby o czemś zapomnieć, żeby sobie zamknąć jakieś drogi. A wobec tego podejrzenia, czy ja mogę się na to zgodzić? Odrzucając pańską rękę, będę, w najgorszym razie, przez całe życie bardzo nieszczęśliwa, ale nie powiem sobie nigdy: jesteś mu ciężarem i kulą u jego nogi. Ja pana pokochałam nad wszystko, od pierwszej chwili po-

znania, zatem oddawna, więc już przywykłam do tego smutku i do tych zmartwień, jakie płyną z rozłączenia, z braku nadziei i z tej pewności, że się nie jest kochaną. Źle mi z tem żyć, ale to jeszcze mogę wypłakać, czy przez łzy, jak zwykła kobieta, czy przez muzykę, jako artystka. Zawsze zostaje mi ta pociecha, że gdy pan czasem pomyśli o mnie, to pomyśli: «moja dobra siostra.» I tem żyję. Ale gdybym została żoną i gdybym spostrzegła, że pan żałuje swego porywu, że pan nie jest szczęśliwy, że mnie znienawidził, tobym umarła z pewnością.

«Przytem, ja sobie mówię: coś ty takiego uczyniła, czem się tak zasłużyłaś, żeby być tak bez miary szczęśliwą? Bo aż strach bierze, gdy się o takim szczęściu pomyśli. Czy pan to rozumie, że można kochać nietylko z całej duszy, ale i z pokorą? Ja wiem, że można, bo tak kocham.

«I już to wydaje mi się zuchwalstwem, że jednak nie mam odwagi wyrzec się zupełnie nadziei. Ale niech mi pan tego nie bierze za złe: Pan Bóg jest taki miłosierny, a człowiek tak bardzo pragnie szczęścia, że sił mu brak, by zamknąć przed niem drzwi raz na zawsze. Jeżeli mi pan powtórzy, czy za pół roku, czy za

rok, czy kiedykolwiek w życiu, że mnie pan chce jeszcze, wówczas wszystko mi się nagrozi — i to, co już przecierpiałem i te lzy, których nie mogę wstrzymać teraz.

Klara. »

Jest we mnie człowiek, który umie odczuć i ocenić każde słowo tego listu. Nic z niego dla mnie nie ginie i mówię sobie: tembardziej warto wrócić, im bardziej to serce jest uczciwe, proste i kochające.

Ale jest we mnie także człowiek zmęczony, któremu odebrano siłę życia, który, współczując, nie kocha, bo w tamto uczucie włożył wszystko, co w nim było — i który widzi jasno, że gdy raz odejdzie, to już mu będzie niepodobieństwem wrócić.

28 Października.

Jestem zupełnie pewny, że Klara wcale nie wróci do Berlina, a co więcej, że ona, wyjeżdżając do Hanoweru, wyjeżdżała już ze stanowczym zamiarem nie wracania. Chciała uniknąć moich podziękowań. Myślę o niej z żalem i wdzięcznością, a żal mi najbardziej tego, że ona nie trafiła na innego, niż ja, człowieka. Jest w tem

wszystkiem jakaś ironia losu; gdybym ja Klarę choć w setnej części tak kochał, jak kochałem Anielkę, możnaby z tego stworzyć cały świat szczęścia. Ale co mi z tego przyjdzie, jeżeli będę sam siebie ludził? Ja dotąd jestem pod jarzmem wspomnień. Przypominam sobie tę Anielkę taką, jaką była w Płoszowie, w Warszawie, w Gasteinie — i od tej przeszłości nie mogę oderwać myśli. Zresztą tyle weszło w nią sił i życia, że się nawet sobie nie dziwię. Jak może być inaczej? Człowiekowi najtrudniej jest niepamiętać.

Co chwila chwytam się na rozpamiętywaniach o Anielce — i chcąc się od nich uwolnić, muszę sobie przypomnieć, że ona już jest inna, że uczucia jej popłyną, a prawdopodobnie już popłynęły, w zupełnie innym kierunku i że ja jestem już dla niej niczem.

Dawniej wołałem o tem nie myśleć, bo mi głowa pękała, teraz czasem czynię to umyślnie, bo inaczej nie umiem się bronić głosem, które podnoszą się we mnie i coraz częściej pytają: «Co ona winna, że jej narzucono to dziecko? skąd wiesz, co się dzieje w jej sercu? nie byłaby kobietą, gdyby nie pokochała dziecka, skoro ono na świat przyjdzie, ale kto ci powie-

dział, że nie czuje się teraz równie nieszczęśliwa, jak ty?»

I chwilami zdaje mi się, że ona może być jeszcze nieszczęśliwszą, a wówczas chciałbym dostać drugiego zapalenia płuc. Życie z takim chaosem myśli jest niemożliwe.

30 Października.

Im czuję się zdrowszy, tem częściej wracam do dawnego błędnego koła. Doktor twierdzi, że za kilka dni będę mógł wyjechać. I pojedę, bo tu mi jest za blisko do Warszawy i Płoszowa. Jestto może jedno z moich nerwowych dziwactw, ale wydaje mi się, że w Rzymie, na Babuino, będzie mi spokojniej. Nie obiecuję sobie nie myśleć o przeszłości — owszem, będę o niej myślał od rana do wieczora, ale to już będą rozmyślania, podobne chyba do takich, jakie się snują za kratą klasztorną. Zresztą, czy ja wiem, co będzie?! — wiem tylko, że tu nie wysiedzę. Po drodze wstąpię do Angelego. Muszę w Rzymie mieć jej portret.

2 Listopada.

Porzucam Berlin, wyrzekam się Rzymu i wracam do Płoszowa. Dawniej już napisałem:

«To nietylko najbardziej kochana kobieta, to już moja najdroższa w świecie głowa.» Tak jest! tak jest! Niech to się sobie nazywa newrozą, czy szaleństwem starczem, czy czem chce, wszystko mi jedno: ja mam to już we krwi i w duszy. Pojadę do Płoszowa, będę jej służył, będę jej doglądał, pilnował — i za całą nagrodę chcę tylko patrzeć na nią.

Dziwię się, jak mogłem przypuszczać, że potrafię żyć bez jej widoku. Jeden list ciotki wyprowadził na jaw to, co było we mnie. Ciotka mówi: «Nie rozpisywałam się o nas, bo nie mogłam ci donieść nic wesołego, a że nie umiem kłamać, więc wołałam milczeć, niż cię niepokoić, wiedząc, że nie jesteś zdrow. Mam wielkie zmartwienie z powodu Kromickiego i chciałybym zasięgnąć twej rady. Stary Chwastowski pokazywał mi list syna, w którym ten donosi, że interesa Kromickiego są w najokropniejszym stanie, a on sam zagrożony odpowiedzialnością sądową. Wszyscy go tam zawiedli. Zażądano nagle olbrzymich dostaw, że zaś termin był krótki, więc on nie mógł sprawdzić, czy materiały, jakiego mu dostarczono, był dobry. Otóż wszystko okazało się złe, zepsute i fałszywe — i wszystko zostało odrzucone — a w dodatku

wisi nad Kromickim proces o oszustwo. Oby Bóg dał, żeby choć to na niego nie spadło, tembardziej, że jest zupełnie niewinny. Mniejsza o ruinę, byleby nie było hańby. Ale ja tracę głowę, co zrobić i jak go ratować? Boję się narazić tej sumy, którą przeznaczyłam dla Anielki, a tu trzeba koniecznie uwolnić go przynajmniej od procesu. Radź, Leonie, bo ty masz rozum i zawsze umiesz jakiś plan wymyślić. Ani Celinie, ani Anielce, nie powiedziałam dotąd ani słowa, bo zwłaszcza Anielka niepokoi mnie okropnie. Nie wyobrazisz sobie, co się z nią teraz dzieje. Celina jest zacna kobieta, ale zawsze przesadzała w pruderyi i tak samo wychowała Anielkę. Nie wątpię, że Anielka będzie najlepszą matką, ale teraz aż złość mnie czasem bierze, bo kiedy się wychodzi za mąż, to trzeba być gotową na następstwa, a tymczasem Anielka jest w takiej rozpacz, jakby to była hańba. Codziem widuję na jej twarzy ślady lez. Litość bierze patrzeć na jej zmizerowaną twarz, podbite oczy, na tę gotowość do płaczu, na ten wyraz jakiejś boleści i upokorzenia, który ma w oczach. Jak życie moje, nie widziałam, żeby kobieta tak znosiła ten stan. Próbowałam perswazyi i łajania, ale to nic nie pomaga. Powiem

ci szczerze, że nadto ją kocham, a może być, iż na starość tracę dawną energię. Przytem, to takie skądinąd pocziwe! Żebyś ty wiedział, jak ona codziennie dopytuje się o ciebie, czy nie było listu, czyś zdrow, gdzie zamierzasz jechać, jak długo zabawisz w Berlinie? Ona wie, że ja lubię rozmawiać o tobie i umyślnie po całych godzinach rozmawia. Żeby tylko Bóg zlitował się nad nią i dał jej siłę do zniesienia tych zmartwień, które ją czekają. Ja wprawdzie, tak boję się o jej zdrowie, że nie mam odwagi jednem słowem jej napomknąć o położeniu męża. Ale przecie prędzej, później, musi to wyjść na jaw. Nie mówiłam nic także i Celinie, bo ona ogromnie przybita rozdrażnieniem Anielki i zachodzi w głowę, dlaczego Anielka bierze tak tragicznie swój stan?»

Dlaczego? Ja jeden w świecie to rozumiem, ja jeden mógłbym odpowiedzieć na to pytanie — i dlatego — wracam do Płoszowa.

Nie! Ona nie swój stan bierze tragicznie, ale moją ucieczkę, moją rozpacz, której się domyśla, ale potarganie tego stosunku, który stał jej się drogim od czasu, jak po tylu trudach, tylu cierpieniach i wysileniach, zdołała go wreszcie zmienić na czysty. Teraz oto wchodzę

w jej duszę i myślę za nią. Jej tragedia jest warta mojej. Od chwili, gdy wrócił do Płoszowa, uczucie walczyło w tej niepowszednio szlachetnej istocie z obowiązkiem. Chciała pozostać czystą i wierną temu, komu zaprzysięgła wiare, bo natura jej duchowa wyłącza brud i kłamstwo, a jednocześnie nie mogła oprzeć się uczuciu dla człowieka, którego pokochała pierwszą miłością — i nie mogła tembardziej, że ten człowiek był przy niej, że ją kochał i był nieszczęśliwy.

Cale miesiące płynęły jej w najstraszniejszej rozterce. Nareszcie, gdy nastala chwila uspokojenia, gdy wydało się jej, że to uczucie przeszło w związek dusz tak nadziemski, iż ani czystość myśli, ani zaprzysiężona wiara na nim nie tracą — nagle wszystko rozerwało się i ona została sama, z taką pustką przed sobą, jak moja. Oto powód jej terażniejszej niedoli.

Czytam obecnie w jej duszy, jak w książce — i dlatego wracam.

Również, widzę dopiero teraz, że ja prawdopodobnie nie byłbym jej opuścił, gdybym był miał zupełną pewność, że jej uczucie dla mnie przetrwa wszelkie wypadki. Sama zwierzęca zazdrość, która przepelnia serce wściekłością,

a wyobraźnię ohydnyemi widzeniami tych praw, z których korzystał kto inny, nie miałyby dość siły, aby mnie oderwać od tej kobiety, w której był mój świat. Ale ja sądziłem, że to dziecko, zanim jeszcze przyjdzie na świat, już owładnie wszystkimi jej uczuciami, że zbliży ją do męża, a mnie wymaże na zawsze w jej sercu z listy żyjących.

I nie ludzę się; wiem, że nie będę dla niej tem, czem byłem, a zwłaszcza czem mogłem zostać, gdyby nie ten zbieg rzeczy. Mogłem bowiem zostać jej jedyną drogą istotą, wiążącą ją z życiem i szczęściem — teraz zaś tak już nie będzie. Ale póki będzie się w niej tliła choć isierka uczucia dla mnie, nie odejdę, bo odejść nie mogę i nie mam dokąd.

Więc wrócę i zacznę tę iskrę rozdmuchiwać i zacznę się rozgrzewać przy niej. Gdybym tego nie uczynił, zmarzłbym niechybnie.

Odczytuje jeszcze raz te słowa ciotki: «Żebyś ty wiedział, jak ona codzień dopytuje o ciebie, czy nie było listu, czyś zdrów, jak długo zabawisz w Berlinie» — i nie mogę się niemi nasycić. Zupełnie mi jest tak, jakbym umierał z głodu i jakby mi ktoś niespodzianie przyniósł kawałek chleba. Jem — i z wdzięczności chce

mi się płakać. Może to już miłosierdzie Boże zaczyna się nademną?

Bo jednak czuję, że ja się zmienił przez te ostatnie dni — i że dawny człowiek zmarł we mnie. Ja już się nie będę burzył przeciw jej woli, przeniosę wszystko, uspokoję ją, uciszę, wyratuję nawet jej męża...

4 Listopada.

Po namyśle zatrzymałem się jeszcze w Berlinie przez dwa dni. Jestto z mojej strony ofiara, bo ledwie mogę tu usiedzieć, ale trzeba było koniecznie wysłać naprzód list, donoszący, że przyjeżdżam. Depesza mogła Anielkę nastraszyć, równie jak moje niespodziewane przybycie. Wysłałem list wesoly, a zakończyłem go tak serdecznem pozdrowieniem dla Anielki, jakby nigdy nic między nami nie zaszło. Chcę, żeby zrozumiała, iż pogodziłem się z moim losem i że wracam takim, jakim byłem dawniej.

Ciotka zapewne spodziewała się trochę mego przyjazdu.

Warszawa, 6 Listopada.

Przyjechałem dziś rano. Ciotka uprzedzona moim listem, czekała mnie w Warszawie.

W Płoszowie nieźle, Anielka spokojniejsza. Od Kromickiego nie było żadnych w ostatnich czasach wiadomości.

Biedne ciotczysko powitało mnie okrzykiem: «Co się z tobą stało, Leonie!» Nie wiedziała nic, żem chorował, a oczywiście tak długa choroba musiała mnie mocno wycieńczyć. Prócz tego, włosy moje posiwiały tak przy skroniach, że waham się czy ich sztucznie nie przyciemniać. Nie chcę teraz być starym, ani wyglądać na starego.

Ale i ciotka zmieniła się w ostatnich czasach ogromnie. Przecie nie tak dawno, jakeśmy się rozłączyli, a znalazłem ogromną różnicę. Twarz jej straciła jakos dawny stanowczy wyraz, rysy stały się jednak więcej nieruchome. Zauważyłem zaraz, że głowa poczyna jej się nieco trząść, co się szczególnie daje widzieć, gdy czego słucha z uwagą. Gdym jej się pytywał z niepokojem, jak się ma, odpowiedziała mi z całą, właściwą sobie otwartością:

— Po powrocie z Gasteinu miałam się wybornie — ale teraz obróciło się wszystko na złe i czuję, że już na mnie czas.

Po chwili zaś dodała:

— Wszyscy Płoszowscy kończą na paraliż —

mnie zaś lewa ręka drętwieje co rano. Ale nie warto o tem mówić — wola Boska.

I nie chciała więcej mówić. Natomiast naradzaliśmy się obszernie, jak przyjść w pomoc Kromickiemu i postanowiliśmy nie dopuścić do procesu, choćby kosztem największych ofiar. Ratować go od ruiny nie mogliśmy, chyba za cenę naszej własnej ruiny, na co niepodobna się było zgodzić ze względu na Anielkę. Uczynilem projekt sprowadzenia, po usunięciu procesu, Kromickiego do kraju i osadzenia go na gospodarstwie. Bóg widzi, że cała dusza wzdrygała się we mnie na samą myśl jego obecności przy Anielce, ale żeby ofiara była zupełną, postanowiłem wypić i tę truciznę.

Ciotka ofiaruje się oddać mu jeden ze swoich folwarków, przyległych do Płoszowa, ja dostarczę odpowiedniego kapitału i wszystko to, razem wzięte, utworzy wiano Anielki. Kromicki musi się tylko zobowiązać do porzucenia raz na zawsze spekulacyj.

Tymczasem wysłamy mu w pomoc jednego z adwokatów tutejszych, zaopatrzonego we wszelkie środki, potrzebne do umorzenia procesu.

Skończywszy tę naradę, począłem wypytywać o Anielkę. Ciotka opowiadała mi o niej bar-

dzo obszernie; powiedziała mi między innymi, że zmieniła się już znacznie i zbrzydła. Usłyszawszy to, uczułem tylko większą litość dla niej. Nic już nie potrafi odwrócić od niej mego serca.

To moja głowa najdroższa!

Chciałem dziś, zaraz po naradzie, jechać do Płoszowa, ale ciotka oświadczyła, że jest zmęczona i że pragnie zanocować. Ponieważ przyznałem się jej, że byłem chory na zapalenie płuc, więc podejrzewam ją, że została umyślnie, by mnie nie narażać na drogę w powozie podczas niepogody.

Deszcz pada od rana.

Zresztą, nie mogliśmy dziś wyjechać, a jutro wyjedziemy prawdopodobnie dopiero wieczorem. Sprawa Kromickiego wymaga pośpiechu. Trzeba zaraz jutro umówić adwokata i wysłać go jak najprędzej.

7 Listopada.

Przyjechaliśmy do Płoszowa o siódmej wieczór; teraz jest północ i cały dom już śpi. Chwała Bogu, powitanie nie wzruszyło jej nadto. Wyszła do mnie zmieszana, z przymusem, z nie pewnością, z zawstydzeniem i jakby ze strachem w oczach, ale ja sobie przysięgłem, że powitam

ją tak swobodnie, tak naturalnie, jakbyśmy się wczoraj rozstali. I odjąłem powitaniu wszelki odcień przejednania, przebaczenia i wszelki nastrój uroczysty. Spostrzegłszy ją, zbliżyłem się do niej spiesznie i wyciągnąwszy ręce, zawołałem prawie wesoło:

— Jak się masz, Anielko kochana! Tak stęskniłem się za wami, że odłożyłem swoją morską podróż do późniejszych czasów.

A ona zrozumiała natychmiast, że takie powitanie jest aktem zgody, przejednania, powrotu do niej i zarazem ofiarą z siebie samego dla jej spokoju. Przez chwilę przemknęło po jej twarzy rozrzewnienie tak wielkie, że bałem się, iż nie zdoła nad niem zapanować. Chciała coś przemówić i nie mogła, ścisnęła tylko silnie moją rękę. Myślałem, że się rozplacze.

Ale nie zostawiłem jej na to czasu i zacząłem pospiesznie mówić tym samym tonem:

— Cóż portret? Głowa już była skończona, jakieś wyjeżdżała — nieprawda? Angeli tak prędko go nie przyszele, bo sam mi mówił, że to będzie jego arcydzieło. Wystawi go pewno w Wiedniu, w Monachium i Paryżu. Całe szczęście, że zamówiłem drugi egzemplarz, bo inaczej cze-

kalibyśmy jeszcze z rok. Ale chciałem cię mieć koniecznie i dla siebie.

Ona zaś, mimo wszystkiego, co się działo w jej sercu, musiała się przystosować do tego tonu, zwłaszcza że do rozmowy wmieszała się ciotka i pani Celina. Tak przeszły te pierwsze chwile. Wszystko, com mówił, było zagadywaniem naszych wzajemnych uczuć. Nie wyszedłem jednak przez cały wieczór z mej roli, choć czułem, że pot osiada mi na czole z wysilenia. Byłem jeszcze bardzo osłabiony niedawną chorobą i prócz tego, to był przecie okropny przymus! Widziałem, że podczas wieczerzy Anielka z przestachem i wzruszeniem spogląda na moją wybladłą twarz i siwiejące skronie; widziałem, że odgaduje wszystko, com przeszedł. Ale ja opowiadałem i o moich dolegliwościach berlińskich także niemal wesoło. Musiałem unikać nawet spojrzenia na jej zmienioną postać, by jej nie dać uczuć, że te zmiany widzę i że ich widok wstrząsa mną. W końcu wieczora czyniło mi się kilkakrotnie słabo, jednakże przemogłem się i ona czytała w moich oczach tylko pogodę, tylko najgłębsze przywiązanie, a zarazem zupełne pogodzenie się z położeniem. Ona jest bardzo przenikliwa; wie, odzuwa i rozumie wszystko, ale ja przeszedłem

siebie samego: byłem tak naturalny i swobodny, że wreszcie mogła i ona mniemać, iż powiedziałem sobie: «Z czem nie można walczyć, z tem trzeba się pogodzić.» Jeżeli nawet zostały w jej duszy co do tego pewne wątpliwości, to natomiast pod jednym względem nie zostawiłem jej żadnej: mianowicie, że ją zawsze kocham, jak dawniej, że jest zawsze moją uwielbioną, dawną Anielką.

I widziałem, że jej jest lepiej w tem cieple. Mogłem zaiste być z siebie dumny, bo odrazu wniosłem jakiś promień weselszy do tego domu, którego nastrój był ponury. I ciotka i pani Celina umiały to ocenić. Pani Celina w chwili, gdym im mówił dobranoc, rzekła mi wprost:

— Chwała Bogu, żeś przyjechał. Zaraz nam z tobą raźniej.

A Anielka, ściskając serdecznie moją rękę, spytała:

— Ale teraz już prędko nie odjedziesz?

— Nie, Anielko — odpowiedziałem — teraz już wcale nie odjadę.

I odszedłem, a raczej uciekłem do siebie na górę, bo czułem, że sił mi braknie. Zebrało się we mnie przez ten wieczór tyle płaczu nad

moją nędzą, że mnie dusi. Są małe poświęcenia które więcej kosztują od wielkich.

8 Listopada.

Ja dlatego tak często powtarzałem: «to moja głowa najdroższa,» że istotnie trzeba kobietę kochać nad życie, nietylko jako kobietę, ale jako głowę najdroższą, by od niej nie uciec w tych warunkach. Czuję doskonale, że sam fizyczny wstręt odpędziłby mnie od każdej innej — że zaś przy tej zostaję i zostanę, więc znów mi wraca myśl, że moja miłość jest jednakże poniekąd chorobą, jakimś zboczeniem nerwowem, które nie miałyby miejsca, gdybym był zupełnie zdrowym i normalnym okazem ludzkiego rodzaju. Dzisiejszy człowiek, który wszystko tłumaczy sobie newrozą i wszystko uświadamia, niema nawet tej pociechy, jakaby mu mogło dać przeświadczenie o jego wierności. Bo gdy sobie powie: twoja wierność i wytrwanie, to choroba, nie zasługa — pozostaje mu tylko jedna więcej gorycz. Jeśli świadomość takich rzeczy uniemożliwia coraz bardziej ludziom życie — to po co my się o nią staramy?

Dziś dopiero, przy świetle dziennem, dostrzegłem, jak dalece nawet twarz Anielki jest zmie-

niona — i serce rozdzierało się we mnie na ten widok. Usta jej są obrzmiałe; to czoło, niegdyś takie niepokalane, straciło swoją jasność i czystość. Ciotka miała słuszną! Piękność jej prawie zniknęła. Zostały tylko oczy dawnej Anielki. Ale dla mnie to dosyć. Ta zmieniona twarz zwiększa tylko moją litość i tkliwość — i staje się tembardziej ukochaną. Choćby dziesięć razy więcej zbrzydła — będę ją zawsze kochał. Jeśli to jest choroba — to dobrze! Jestem więc chory i nie życzę sobie wyzdrowieć — i wolę umrzeć z tej choroby, niż z każdej innej.

9 Listopada.

Przyjdzie czas, że stan jej minie, że piękność wróci. Myślałem dziś o tem, a zarazem zadawałem sobie pytanie, jakie też będą nasze stosunki w przyszłości i czy nie ulegną odtąd żadnej zmianie? I jestem pewien, że nie. Ja wiem już, co to jest żyć bez niej i nie uczynię nic takiego, za coby mnie mogła odepchnąć — ona zaś pozostanie taką, jak była. Nie mam teraz żadnej wątpliwości, że jestem jej potrzebny do życia, ale wiem również, że tego uczucia, jakie ona ma dla mnie, sama przed sobą nawet nie nazwie nigdy inaczej, jak wielką siostrzaną miło-

ścią. Wszystko jedno, czem ono będzie w gruncie rzeczy — dla niej zostanie zawsze idealnem przywiązaniem duszy do duszy — to jest czemś dozwolonem, bo możliwem nawet między rodzeństwem. Gdyby było inaczej, zaczęłaby natychmiast ze sobą walkę.

Pod tym względem nie mam złudzeń. Powiedziałem już, że ten stosunek stał jej się drogim, od czasu, jak zmieniła go na czysty. Niechże sobie takim zostanie, byle był jej zawsze drogi.

10 Listopada.

Co za fałszywe pojęcie, że uczuciowość ludzi nowożytnych zmniejsza się. Czasem myślę, że jest przeciwnie. Kto niema dwóch płuc, ten ten gwałtowniej oddycha jednym, a nam odjęto wszystko, czem dawniej człowiek żył — pozostawiono tylko nerwy bardziej rozdrażnione i bardziej wrażliwe, niż u dawnego człowieka, To inna rzecz, że brak czerwonych kulek w naszej krwi będzie wytwarzał uczucia nienormalne i chorobliwe; tragedia uczuciowa ludzka raczej się przez to zwiększy, niż zmniejszy. Zwiększy się dlatego, że dawny człowiek, w razie zawodu miłosnego, mógł znaleźć pociechę, czy to w religii, czy w poczuciu obowiązków społecznych,

dzisiejszy już jej nie znajduje. Dawniej w zapędach uczuciowych hamulcem bywał charakter, dziś charaktery nikną i muszą niknąć z przyczyny sceptycyzmu, który jest czynnikiem psychicznym rozkładającym. Stoczył on, jak baccillus, duszę ludzką — zmięczył ją i zniweczył jej oporność na fizyologiczne zachcenia nerwów, które nadmiar wszystkiego są chore. Człowiek dzisiejszy wszystko uświadamia, a na nic nie umie poradzić.

11 Listopada.

Od Kromickiego nie było dość dawno żadnej wiadomości; nawet Anielka nie miała listu. Ja wysłałem do niego depeszę z wiadomością, że adwokat wysłany, a następnie list — ale wysłałem prawie na oślep, trudno bowiem wiedzieć, gdzie on w danej chwili bawi. I list i depesza dojdą go z czasem, ale zupełnie nie wiem, kiedy. Stary Chwastowski pisał do syna; może on pierwszej coś odbierze.

Z Anielką spędzam teraz całe godziny — i nikt mi w tem nie przeszkadza, bo sama pani Celina, którą wtajemniczyliśmy w istotny stan rzeczy, prosiła, żebym przygotował cokolwiek Anielkę na wiadomości, jakie lada dzień

może od samego Kromickiego otrzymać. Ja wypowiedziałem już Anielce moje obawy co do rezultatu przedsięwzięcia jej męża, ale uczyniłem to w formie osobistych moich przypuszczeń. Mówiłem jej, że nawet zupełnej ruiny Kromickiego nie powinna brać do serca i że byłby to pod pewnym względem najpomyślniejszy wypadek, jakiby mógł ją spotkać, wówczas bowiem zacząłby się dla niej okres prawdziwego spokoju. Uspokoilem ją zupełnie co do moich pieniędzy, pożyczonych Kromickiemu i utwierdziłem w przekonaniu, że te w żadnym razie przepaść nie mogą; nakoniec wspomniałem coś o planach ciotki. Wysłuchiwała mnie stosunkowo spokojnie, choć bez wzruszenia. Jej głównie dodaje siły to, że czuje koło siebie kochające serca, a tego przecie jej nie brak. Ja kocham ją teraz nad wszelki wyraz — i ona to widzi, ona to czyta we mnie. Gdy mi się uda rozweselić ją, wywołać jej uśmiech, wówczas i mnie porywa taka radość, że nie mogę jej w sobie pomieścić. Jest obecnie w mojej miłości dla niej coś ze ślepego przywiązania sługi do uwielbionej pani. Czuję czasem niepowstrzymaną potrzebę upokorzenia się przed nią. Mam ciągle poczucie, że moje właściwe miejsce jest u jej nóg. Już ona nie może

dla mnie zbrzydnać, zmienić się, zestarzeć —
wszystko przyjmę, na wszystko zgodzę się, wszy-
stko uwielbię.

12 Listopada.

Kromicki nie żyje! Katastrofa spadła na nas,
jak piorun. Niech Bóg ochrania Anielkę od ja-
kiego wypadku ze zdrowiem! Dziś przyszła de-
pesza, że oskarżony o oszustwo i zagrożony wię-
zieniem, odebrał sobie życie. Wszystkiego-bym
się był prędzej spodziewał, niż tego... Kromicki
nie żyje! Anielka jest wolna! — ale jak to prze-
niesie? Od kilku godzin odczytuję co chwila de-
peszę i zdaje mi się, że śnię. I nie śmiem oczom
wierzyć, chociaż nazwisko: Chwastowski, pod-
pisane pod depeszą, ręczy mi za jej prawdę. Ja
wiedziałem, że to się musi źle skończyć, ale
nie przypuszczałem, żeby koniec był tak nagły
i tak tragiczny. Nie! nic podobnego przez myśl
mi nie przeszło! To też dostałem jakby obuchem
w głowę. Jeśli teraz nie pomiesza mi się w mó-
zgu, to już wytrzymam wszystko. Przyszedłem
i tak Kromickiemu raz z pomocą; obecnie znów
wysłałem mu na ratunek adwokata, więc su-
mienie nic mi nie wyrzuca. Był czas, żem ży-
czył mu z całej duszy śmierci — prawda, ale

właśnie tem większa moja zasługa, żem go mimo wszystkiego ratował. A tu śmierć przyszła, nie tylko nie wskutek moich usiłowań, ale wbrew im — i Anielka jest wolna! Dziwna rzecz: ja to wszystko wiem, ale jeszcze w to dostatecznie nie wierzę. Jestem jakby nieprzytomny. Kromi-cki był mi przecie obcym i zarazem największą zawadą w życiu. Ta zawada nie istnieje, więc powinienbym uczuwać radość bez granic, a jednak nie mogę i nie śmiem jej odczuwać, może dlatego, że łączy się do niej przerażenie o Anielkę. Pierwsza myśl moja po odebraniu depezy była: co się stanie z Anielką? jak ona tę wiadomość przeniesie? Niechże ją Bóg ochrania! Nie kochała tego człowieka, ale w dzisiejszych warunkach wstrząśnienie może ją zabić. Myślę o tem, żeby ją wywieść.

.

Co za szczęście, że depezę oddano mi w moim pokoju, a nie w sali jadalnej, albo w salonie. Nie wiem, czybym zdołał zapanować nad wrażeniem. Przez jakiś czas nie mogłem przyjść do siebie. Następnie zeszedłem do ciotki, ale i jej nie pokazałem odrazu telegramu — rzekłem tylko:

— Odebrałem bardzo złą wiadomość o Kromickim.

— Co? co się stało? — spytała.

— Niech się ciotka nie przestraszy.

— Już jest pod sądem?... tak?...

— Nie... coś gorszego... to jest — już jest pod sądem, ale nie pod ludzkim.

Ciotka poczęła mrugać oczyma.

— Co ty mówisz, Leonie?

Wówczas pokazałem jej depeszę. Ciotka, przeczytawszy ją, nie odpowiedziała ani słowa, tylko poszła do klęcznika, klękała i ukrywając twarz w dłonie, poczęła się modlić.

Nakoniec wstała i rzekła:

— Anielka może to życiem przypłacić. Co robić?

— Ona nie powinna wiedzieć o niczem póty, póki dziecko nie przyjdzie na świat.

— Jak tu ją ustrzedz? Cały świat będzie o tem mówił i gazety również... Jak tu ją ustrzedz?

— Ciotko kochana — rzekłem — ja widzę tylko jedną radę. Należy sprowadzić doktora i powiedzieć mu, żeby nakazał wyjazd Anielce, niby dla zdrowia. Wówczas ja wywiozę ją i panią Celinę do Rzymu, gdzie mam przecie własny

dom. Tam ją ustrzegę przed każdą wiadomością. Tu będzie trudno, zwłaszcza, gdy i służba się dowie.

— Ale czy jej zdrowie pozwoli na wyjazd?

— Nie wiem; to musi powiedzieć doktor. Sprowadzę go jeszcze dziś.

Ciotka przystała na mój projekt. Rzeczywiście nie mogliśmy nic lepszego wymyślić. Postanowiliśmy wciągnąć panią Celinę do tajemnicy, żeby popierała zamiar wyjazdu. Służbie zapowiedziałem najsurowiej, że nie wolno zbliżać się do młodej pani z żadną wiadomością. Gazety, depesze i wszystkie listy, bez względu na to, do kogo będą adresowane, kazałem odnosić do swego pokoju.

Ciotka przez długi czas była jakby ogluszona. Podług niej, samobójstwo jest jedną z największych zbrodni, jakich człowiek może się dopuścić — więc z uczuciem litości, jakie ma dla nieboszczyka, łączy się w niej żal, zgroza i oburzenie. Co chwila powtarza: «Nie powinien był tego czynić, wiedząc, że ma zostać ojcem.» Ale ja przypuszczam, że on mógł nie odebrać tej wiadomości. W ostatnich czasach musiał pewnie rzucać się gorączkowo i przejeżdżać z miejsca na miejsce, w miarę jak tego wymagały jego

poplątane i rwące się sprawy. Ja go nie śmiem potępić i powiem otwarcie, że nie mogę się oprzeć pewnemu dla niego uznaniu. Są ludzie, którzy nawet słusznie posądzeni o nadużycia lub oszustwa i skazani wyrokiem sądowym, spijają w kowie szampana i pędzą wesołe życie. On do tego nie doszedł — i wolał się oczyścić z niesłusznych zarzutów śmiercią. Może pamiętał i o tem, kim jest. Mniej miałbym dla niego współczucia, gdyby odebrał sobie życie z powodu samej tylko ruiny. Przypuszczam jednak, że i toby mu wystarczyło. Przypominam sobie, jakie poglądy wygłaszał w Gasteinie. Jeśli moja miłość jest newrozą, to niewątpliwie była nią jego gorączka robienia pieniędzy. Gdy to chybiło, gdy ta podstawa usnęła mu się z pod nóg, zobaczył przed sobą taką samą otchłań i pustkę, jaką ja widziałem w Berlinie. A wówczas, co go mogło zatrzymać? Myśl o Anielce? Wiedział przecie, że jej nie odmówimy opieki — a przytem — kto wie? — może i to czuł, że nie jest bardzo kochany. W każdym razie ja myślałem, że to jest człowiek niższy, niż był; nie spodziewałem się po nim takiej energii — i przyznaję, że mu czyniłem krzywdę.

.

Złożyłem już pióro, ale do niego wracam, bo nie mogę nawet marzyć o śnie, a oprócz tego, pisząc, myślę spokojniej i mniejszy mam młyn w głowie. Anielka wolna, Anielka wolna! — powtarzam te wyrazy i nie ogarniam jeszcze całego ich znaczenia. Czuję, że mógłbym oszaleć z radości i zarazem chwytą mnie niezrozumiała bojaźń. Miałożby się naprawdę rozpocząć dla mnie nowe życie? Co to jest? czy to zasadzka losu, czy to miłosierdzie Boże nademną za to, żem się tak ogromnie wymęczył, a tak bardzo kochał? A może istnieje jakieś prawo bytu, jakaś siła mistyczna, która oddaje kobietę najbardziej kochającemu ją mężczyźnie, po to, aby się spełniała odwieczna zasada wszechtwórcza — nie wiem! Mam tylko takie uczucie, jakby mnie i wszystkich koło mnie niosła niezmierna fala, zatapiająca wszelką ludzką wolę i ludzkie wysilenia

Przerwałem znów, bo wrócił powóz, wysłany po doktora. Doktor nie przybył. Ma dziś operację i obiecuje się na jutro rano. Musi zamieszkać u nas w Płoszowie aż do chwili naszego wyjazdu — i odprowadzić nas do Rzymu. Tam znajdzie innych

Noc późna... Anielka śpi i ani się domyśla,

co nad nią zawisło, jaka zupełna zmiana zaszła w jej losach... Oby jej przyniosła szczęście i spokój! Jej się to należy. Może to nad nią poczyna się miłosierdzie Boże?...

Nerwy moje są tak podniecone, że gdy doleci mnie szczekanie psa na folwarku, albo grzechotka stróża nocnego, zdaje mi się, że to znów nadchodzi jakaś wiadomość i chce się dostać wprost do Anielki.

Staram się jednak sam uspokoić i tłómaczę sobie, że jakaś dziwna bojaźń, która mnie przejmuje, płynie głównie z obawy o Anielkę i że gdyby nie stan jej, nie odczuwałbym tego niepokoju. Powtarzam sobie, że te obawy miną, jak wszystko mija i potem zaczniesz nowe życie.

Potrzebuję się oswoić z myślą, że Kromicki już nie żyje... Z tej katastrofy wypłynie dla mnie szczęście, o jakim marzyć nie śmiałem, ale istnieje w człowieku pewien zmysł moralny, który zabrania się radować ze śmierci nawet nieprzyjaciela. A przytem w samej śmierci tkwi pewna groza. Ludzie przy trupie zawsze rozmawiają pociechu... Oto dlaczego i ja nie śmiem się radować.

13 Listopada.

Wszystkie moje plany na nic. Doktor przyjechał zrana i po zbadaniu Anielki oświadczył, że o podróży mowy być nie może i że groziłaby ona wprost niebezpieczeństwem dla życia Anielki. Zachodzą w jej stanie jakieś nieprawidłowości. Co za męka słuchać tego specjalnego języka, w którym każdy termin zdaje się grozić śmiercią ukochanej istocie! Wtajemniczyłem doktora w nasze położenie, na co odpowiedział mi, że z dwóch niebezpieczeństw woli wybrać mniejsze i mniej pewne.

Co mnie wzburzyło i zaniepokoiło najokropniej, to jego rada, by, po odpowiednim przygotowaniu, powiedzieć Anielce o śmierci męża. Niestety, nie mogę odmówić pewnej słuszności jego rozumowaniom. On powiedział tak: «Jeżeli państwo jesteście zupełnie pewni, że potrafcie upilnować, by wiadomość nie doszła do pani Kromickiej jeszcze przez kilka miesięcy, to niewątpliwie lepiej nic nie mówić, ale jeżeli nie — lepiej ostrożnie przygotować i w końcu powiedzieć, bo gdyby się dowiedziała nagle, wówczas mogłaby nastąpić druga katastrofa.»

Co tu robić? Zaprowadzę chyba zupełną kwa-

rantanę wokół Płoszowa; nie puszczę człowieka, listu, gazety, przepiszę służbie, co ma mówić, nawet jak patrzeć... Bo jakie wrażenie robią tego rodzaju wieści, nawet po odpowiedniem przygotowaniu, miałem dziś przykład na pani Celinie, której musieliśmy wreszcie powiedzieć prawdę. Mdląła dwukrotnie i dostała spazmów, które przyprawiły mnie niemal o szaleństwo, bo mi się zdawało, że cały dom je słyszy. A przecie ona tak znów nie przepadała za tym zięciem. Ale i ją przeraziła głównie myśl o Anielce.

Sprzeciwiałem się radzie lekarza jak mogłem — i zdaje mi się, że się nigdy na nią nie zgodzę. Ja im nie mogę powiedzieć jednej rzeczy: że Anielka nie kochała męża — i właśnie dlatego tem ją straszniej wstrząśnie jego śmierć.

Tu już nie chodzi o ten żal, jaki się odczuwa po śmierci drogiej istoty, tu chodzi o te wyrzuty, które ona sobie będzie czynić, że gdyby go kochała więcej, toby i jemu życie było droższe. Czcze, blahe, niesłuszne wyrzuty, bo to, co przez wolę można sobie nakazać, ona nakazała sobie i spełniła — i oparła się mojej miłości: pozostała czysta i wierna. Ale trzeba znać tę duszę, pełną skrupułów, żeby ocenić, w jaką po padnie zgryzotę i jak zacznie się zaraz podej-

rzewać, czy czasem śmierć ta nie odpowiada jakimś utajonym jej życzeniom swobody i wolności, czy nie dogadza jej takim chęciom, których nie śmiała wypowiedzieć? Mnie włosy powstają na głowie, gdy o tem myślę, bo przecie istotnie ta śmierć otwiera przed nią nowe życie, więc to będą dwa wstrząśnienia, dwa gromy, które uderzą w tę biedną drogą głowę... Tego ani doktor, ani ciotka, ani pani Celina nie rozumieją.

Nie! ona nie powinna nic wiedzieć aż do końca.

Co za klęska, że ona nie może wyjechać!

Bo tu trudno, prawie niepodobna, będzie jej ustrzedz. Tu ona wyczyta w twarzach, że coś zaszło. Lada słowo, lada spojrzenie może zwrócić jej uwagę i zrodzić w jej głowie najrozmaitsze przypuszczenia. Dziś zdziwił ją nagły przyjazd doktora — i wiem od pani Celiny, że zaczęła się wypytywać, dlaczego przyjechał i czy jej co nie zagraża? Szczęściem, ciotka znalazła się przytomnie i odrzekła jej, że w podobnych warunkach zawsze zasięga się od czasu do czasu porady lekarskiej, Anielka zaś tak mało ma doświadczenia, że uwierzyła odrazu.

Jakim naprzykład sposobem potrafię wymódz

na służbie, by nie miała tajemniczych min? A oni już coś miarkują, właśnie z powodu moich ostrzeżeń i zakazów, dowiedzą się zaś o wypadku z pewnością. Nie mogę jednak wszystkich rozpędzić.

Samo częste przychodzenie telegramów zwraca uwagę. Dziś odebrałem drugą depeszę z Baku od Chwastowskiego, z zapytaniem, co ma z ciałem zrobić? Odpowiedziałem, żeby je tymczasowo pogrzebał na miejscu. Prosiłem starego Chwastowskiego, żeby pojechał do Warszawy i wysłał odpowiedź, a zarazem przekaz telegraficzny na pieniądze, potrzebne na koszty. Ale nie wiem nawet, czy do Baku można wysłać z Warszawy taki przekaz.

13 Listopada.

Dziś przeglądałem wczorajsze dzienniki. W dwóch były telegramy o śmierci Kromickiego. Jeśli młody Chwastowski przesłał te depesze, to chyba zwaryował. Służba już wie o wszystkim. Twarze są takie, iż dziwię się, że Anielka nie zwróciła na nie uwagi. Przy obiedzie była jakaś wesoła i niezwykle ożywiona. Dodaje mi otuchy tylko obecność doktora. Jego śmierć Kromickiego nic nie obchodzi, więc zagaduje Anielkę,

żartuje z nią — i uczy ją grać w szachy. Za to pani Celina doprowadza mnie do rozpaczki. W miarę, jak Anielka była dziś coraz weselsza, ona przybierała coraz bardziej grobową fizyognomię. Czynilem jej dziś z tego powodu nader ostre wyrzuty.

14 Listopada.

Jesteśmy wszyscy w Warszawie, z porady doktora, Anielce powiedziano, że w domu, w Płoszwowie będą zaprowadzać kaloryfery, wskutek tego trzeba się wynieść na kilka tygodni. Droga zmęczyła ją mocno. Pogoda zła. Ale jestem kontent, żeśmy przyjechali, bo tu jestem pewniejszy mojej służby. Dom trochę w nieładzie. Mnóstwo obrazów wypakowanych. Anielka, mimo zmęczenia, chciała je oglądać, więc służyłem jej jako cicerone. Powiedziałem, że mojem najmilszym marzeniem jest być kiedyś jej przewodnikiem po Rzymie, ona zaś odrzekła jakby z odzieniem smutku:

— Ja także często myślę o Rzymie, ale czasem zdaje mi się, że tam już nigdy nie będę.

Mnie się serce ścisnęło, bo teraz boję się wszystkiego, nawet przeczuć i w byle słowie

gotówem upatrywać wróżbę. Odpowiedziałem jednak wesoło:

— Ja ci to przyrzekam uroczyście, że tam pojedziesz — i to na długo.

Dziwna rzecz, jak prędko natura ludzka przystosowuje się do każdego położenia i wchodzi w swoje nowe prawa: ja już mimowoli uważam Anielkę za swoją i strzegę jej, jak mojej własności.

Doktor miał jednak słuszość. Dobrze zrobiliśmy, przeniósłszy się do Warszawy. Naprzód, łatwiej tu o wszelką pomoc; powtóre, tu można nie przyjmować żadnych wizyt, w Płoszowie zaś byłoby niepodobna zawracać ludzi od ganku. A niezawodnie różni znajomi wybraliby się z kondolencją. Nakoniec w Płoszowie już wytworzyła się jakaś tajemnicza i ponura atmosfera, w której moje usiłowania, by nadać rozmowom ton wesoły, stały się czemś rażącym. Przypuszczam, że tego nastroju nie unikniemy i w Warszawie, ale tu przynajmniej umysł Anielki będzie zajęty i rozerwany tysiącem tych drobnych ważeń, których dostarcza życie miejskie, podczas gdy w takim Płoszowie byłaby uważniejszą na wszystkie zmiany, jakieby mogła w otoczeniu spostrzedz.

Na ulicę nigdy nie będzie wychodzić sama i będzie wychodziła mało. Doktor nakazuje jej wprowadzić ruch, ale znalazłem już na to radę. Za stajniami domu mam dość obszerny ogród, z drewnianą galerią przy murze. Każę tę galerię oszkląć i tam będzie w zimie, a zwłaszcza w czasie niepogody, miejsce przechadzek Anielki.

Okropnie jednak męczącą rzeczą jest ten ciągły strach, który nad nami wisi.

15 Listopada.

Jak się to stało? dlaczego? skąd jej jakiegokolwiek podejrzenie mogło przyjść do głowy? — nie mogę zgadnąć. A jednak przyszło. Dziś, przy śniadaniu, podniosła nagle oczy i spoglądając na nas bacznie po kolei, rzekła:

— Nie rozumiem, co to jest, ale mam takie wrażenie, jakbyście coś ukrywali przedemną.

Ja uczułem, że blednę; pani Celina zachowała się jak najfatalniej; jedna poczciwa, kochana ciotka nie straciła przytomności i poczęła natychmiast zrędzić na Anielkę.

— Owszem, owszem — rzekła — ukrywaliśmy ci dotąd, że cię mamy za niemądrą główkę, ale dłużej ci tego nie będziemy ukrywali. Leon wczoraj mówił, że się nigdy nie nauczysz grać

w szachy, bo ci zupełnie brak zmysłu kombinacji.

Ja, ochłonąwszy, pochwyciłem oczywiście ten wątek rozmowy i począłem śmiać się i żartować. Anielka odeszła niby uspokojona, byłem jednak pewien żeśmy nie zdołali rozprószyć zupełnie jej podejrzeń i że moja wesołość mogła się jej wydawać sztuczną. I ciotka i pani Celiną były ogromnie przestraszone, a mnie ogarnęła rozpacz, bom odrazu ujrzał całą bezowocność naszych wysiłków, by rzecz utrzymać długo w zupełnej tajemnicy. Przypuszczam, że obecnie Anielka posądza nas tylko o to, że ukrywamy przed nią jakieś niepomysłne wieści finansowe; ale co będzie, gdy przez tydzień, dwa, miesiąc, nie przyjdzie żaden list od Kromickiego? Co jej wówczas powiemy? czem wytłómaczymy jego milczenie?

Koło południa przyszedł doktor. Powiedzieliśmy mu zaraz, co zaszło — on zaś począł powtarzać swoje poprzednie zdanie, że trzeba jednak powiedzieć Anielce prawdę.

— Bo — rzekł — naturalnie, że pani Kromicka zacznie się niepokoić wkrótce brakiem listów i będzie czyniła wszelkie najgorsze przypuszczenia.

Ale ja usiłowałem oddalić jeszcze tę ostateczność i powiedziałem, że w najgorszym razie ten niepokój przygotowuje ją właśnie do wiadomości.

— Tak — odrzekł doktor — ale długi niepokój źle przygotowuje organizm do przejścia, które go czeka, a które prawdopodobnie i w pomyślnych warunkach nie byłoby zbyt łatwe.

Może to być prawda, a jednak we mnie serce poprostu zamiera ze strachu. Wszystko ma swoje granice, a zatem i odwaga ludzka. Coś jest we mnie, co się temu rozpaczliwie sprzeciwia i opiera i boję się jakiegoś głosu, który mi mówi: nie! Tymczasem te panie już są prawie zdecydowane, żeby jej jutro powiedzieć całą prawdę. Ja nie chcę się w to wdawać. Nie miałem pojęcia, że człowiek może się czegoś bać do tego stopnia. Ale tu przecie o nią chodzi.

16 Listopada.

Do wieczora było dobrze — wieczorem przyszedł nagle krwotok. A ja mówiłem!... Trzecia w nocy... Usnęła teraz. Doktor jest przy niej. Muszę być spokojny — muszę! To dla niej potrzebne, żeby ktoś w domu nie stracił głowy. Muszę!...

17 Listopada.

Doktor mówił, że pierwszy okres choroby rozwija się prawidłowo. Co to znaczy? Czy to znaczy, że ona umrze?

Gorączka niewielka. Tak podobno zawsze bywa przez pierwsze dwa dni. Przytomność ma zupełną, odczuwa ogólny rozstrój i osłabienie, ale mało cierpi. Doktor uprzedził nas jednak, że następnie gorączka może dojść do czterdziestu stopni: przyjdą wielkie bóleści, mdłości opuchnięcie nóg... To nam obiecał!

Niechże przyjdzie także i koniec świata!

O Boże! jeśli to ma być na mnie kara, to przysięgam, że odjadę, nie będę jej widział nigdy w życiu — tylko Ty ją ratuj!

18 Listopada.

Nie byłem u niej dotąd. Waruję przy jej drzwiach, ale nie wchodzę, bo się boję, że mój widok pogorszy jej stan i wzmoże gorączkę.

Chwilami przychodzi mi do głowy straszna myśl, że mogę wpaść w obłąd i zabić Anielkę jakim porywem szaleństwa. Dlatego zmuszam się do pisania — i będę pisał ciągle, bo mi się zdaje, że się przez to opanowuję i trzymam na wodzy zmysły.

19 Listopada.

Słyszałem przezedrzwi jej głos i jej jęki. W tej chorobie boleści są straszne. Według doktora, to jest zwykły objaw, ale według mnie, to ślepe okrucieństwo! Ciotka mówiła, że ona ustawicznie wyciąga ręce, obejmuje to ją, to matkę za szyję i prosi o ratunek. A tu nic nie można pomódz, choćby ściany drapać!

Mdłości ciągle. Bóle coraz większe. Nogi jej opuchły zupełnie.

Doktor nic nie orzeka i powiada, że wszystko może się obrócić na złe lub na dobre. To wiedziałem i bez niego! Gorączki czterdzieści stopni. Przytomna ciągle.

20 Listopada.

Już teraz wiem. Nikt mi tego nie powiedział, ale wiem z pewnością: ona umrze! Panuję nad wszystkimi zmysłami i jestem już nawet spokojny. Anielka umrze! Dzisiejszej nocy, siedząc przy jej drzwiach, zobaczyłem to tak jasno, jak teraz widzę słońce. Człowiek w pewnym stanie widzi rzeczy, o jakich się ludzom roztargnionym nie śniło. Nad samem ranem coś takiego stało się we mnie, żem ujrzał tę konieczność

odrazu, jakby mi kto zdjął zasłonę z oczu i mózgu. Nic na świecie nie może Anielki uratować. Ja to wiem lepiej od wszystkich lekarzy.

I właśnie dlatego już się nie szarpię. Co to pomoże jej i mnie? Wyrok na nas jest wydany. Musiałbym być ślepym, żeby nie widzieć, że jakaś siła mocna, jak cały świat, dzieli nas. Kto ona jest i jak się nazywa — nie wiem. Wiem tylko, że gdybym uklęknął i bił głową o podłogę i modlił się i błagał, to góry mogłyby poruszyć — ale jej nie ublagam.

Ponieważ teraz zdolalaby mi Anielkę odebrać tylko śmierć — więc ona musi umrzeć.

Wszystko to może być bardzo logiczne — tylko — ja się na rozłączenie nie zgodzę.

21 Listopada.

Anielka zażądała dziś widzieć mnie. Ciotka wyprowadziła wszystkich z pokoju, w przekonaniu, że chora chce mi polecić matkę i tak było rzeczywiście. Widziałem tę moją ukochaną, tę duszę mojego życia. Jest zawsze przytomna; oczy ma błyszczące, władze umysłowe podniecone. Bolesci prawie ustały. Wszystkie ślady jej poprzedniego stanu znikły i twarz ma teraz anielską. Uśmiechnęła się do mnie, a ja także

odpowiedziałem jej uśmiechem. Od wczoraj wiem, co nas czeka i zdaje mi się, że już umarłem, więc panuję nad sobą. Chwyciwszy mnie za rękę, poczęła mówić o matce, następnie patrzyła na mnie długo, jakby mi się chciała napatrzeć przedtem, nim jej oczy zgasną — i rzekła:

— Nie bój się Leonie, ja się czuję znacznie lepiej, tylko na wszelki wypadek, chcę, żeby ci po mnie coś zostało... Może nie powinnam czynić takich wyznań zaraz po śmierci męża, ale ponieważ mogę umrzeć, więc teraz chcę ci powiedzieć, że ja ciebie bardzo, bardzo kochała.

Jam jej odpowiedział; «Wiem o tem moja najdroższa!» Trzymałem ją za rękę i patrzyliśmy sobie w oczy. Ona po raz pierwszy w życiu uśmiechała się do mnie, jak narzeczona. A ja też zaślubiałem ją w tej chwili ślubem, trwałszym od wszystkich doczesnych. Było nam dobrze w tej chwili, choć nad nami był smutek, mocny jak śmierć. Opuściłem ją dopiero, gdy dano znać, że nadszedł ksiądz. Przedtem jeszcze prosiła mnie, bym się jego przybyciem nie przestraszał, bo go wezwała nie dlatego, że myśli umierać, ale że przy każdej chorobie lepiej się uspokoić.

Po wyjściu księdza wróciłem do niej. Po

tylu nocach bezsennych była zmęczona i usnęła. W tej chwili śpi. Gdy się obudzi, już jej nie będę odstępował, chyba żeby znowu usnęła.

22 Listopada.

Polepszenie jest znaczne. Pani Celina traci zmysły z radości. Ja jeden z rodziny wiem, co to jest. Nie potrzebował mi doktor mówić, że to przychodzi paraliż kiszek.

23 Listopada.

Anielka umarła dziś rano.

.
.

Rzym, 5 Grudnia.

Mogłem stać się twojem szczęściem, a stałem się nieszczęściem — i ja to jestem przyczyną twojej śmierci, bo gdybym był innym człowiekiem, gdyby mi nie brakło wszystkich podstaw życiowych — nie przyszłyby na Ciebie te wstrząśnienia, które Cię zabiły.

Jam to już, podczas ostatnich twych chwil na świecie, zrozumiał i przyrzekłem sobie, że pójdę za Tobą. Jam ci to przy twojem łóżu śmiertelnem ślubował i pierwszy mój obowiązek jest teraz przy Tobie.

Matce twej zostawiam moje mienie; ciotce — Chrystusa, w którego miłości znajdzie na te ostatnie dni pociechę, a sam idę za Tobą, bo — muszę.

A czy ty myślisz, że ja się śmierci nie boję? Boję się, ponieważ nie wiem, co tam jest. i widzę tylko ciemność bez granic, przed którą się wzdrygam. Nie wiem, czy tam jest nicość, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wicher międzyplanetarny nosi monadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia; nie wiem, czy tam jest niezmierny Niepokój, czy Spokój, równie niezmierny, a tak doskonały, jaki tylko Wszeczmoc i Wszechdobroć dać może.

Ale jeśliś Ty przez moje «nie wiem» umarła — jakże ja mam tu zostać i żyć?

Więc im bardziej się boję, im bardziej nie wiem, tembardziej nie mogę Cię tam samej puścić — nie mogę, moja Anielko — i idę.

Albo tam wspólnie uońmy w Nicości, albo niech wspólna będzie nasza droga, a tu, gdzieśmy się tyle namęczyli, niech zostanie po nas tylko milczenie.

KONIEC.

RODZINA POŁANIECKICH

I

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXIV

RODZINA POŁANIECKICH

TOM I

Henryk Sienkiewicz

RODZINA POŁANIECKICH

POWIEŚĆ

TOM I

WYDANIE SZÓSTE

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW



WARSZAWA

 GEBETHNER I WOLFF 

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI.

L

Była godzina pierwsza po północy, gdy Połaniecki zbliżał się do dworu w Krzemieniu. Za swoich dziecinnych lat był on dwukrotnie w tej wsi, dokąd jego matka, daleka krewna pierwszej żony dzisiejszego właściciela Krzemienia, wozila go na wakacje. Połaniecki usiłował teraz przypomnieć sobie tę miejscowość, ale przychodziło mu to z trudnością. Po nocy, przy księżycu, wszystko brało kształty odmienne. Nad zaroślami, łąkami i grudzią leżał nisko biały tuman, zmieniając całą okolicę w bezbrzeżne jezioro, które to złudzenie powiększały jeszcze odzywające się w tumanie chóry żab. Noc była lipcowa, bardzo pogodna i oświecona pełnią. Chwilami, gdy żaby milkły, słychać było derkacze, grające po rosie, a czasem z daleka, od błotnistych stawów, ukrytych za olszynami, odzywał się, jakby z pod ziemi, głos bąka.

Połaniecki nie mógł się oprzeć urokowi tej nocy. Była mu ona jakaś swoja i tę swojskość odczuwał tem lepiej, że dawniej nieczęsto bywał w kraju, a dopiero przed dwoma laty powrócił na stałe z za granicy, gdzie spędził pierwszą młodość, a później zajmował się sprawami han-

dłowemi. Teraz, gdy wjeżdżał do tej śpiącej wioski, przypomniało mu się także własne dzieciństwo, pamiętne ze względu na matkę, która od pięciu lat nie żyła, i dlatego, że przykrości i troski tego dzieciństwa, w porównaniu do dzisiejszych, wydawały się zupełnie blahe.

Bryczka wtoczyła się nakoniec do wsi, którą poczynał krzyż, stojący na wydmie. Pochylił się on już bardzo i groził upadkiem. Połaniecki pamiętał go dlatego, że w swoim czasie pochowano pod tą wydumą wisielca, którego znaleziono na gałęzi w pobliskim lesie, a potem ludzie bali się tamtędy nocą przechodzić.

Za figurą poczynały się pierwsze chaty. Ale ludzie już spali. W żadnym oknie nie było światła. Jak okiem sięgnąć, połyskiwały tylko na nocnem tle nieba oświecone księżycem dachy chałup, które w tym blasku wydawały się srebrne i siwe. Niektóre chałupy były umazane wapnem i świeciły jasno-zielono, inne, ukryte w sadkach wiśniowych, w gąszczu słoneczników lub tyczkowej fasoli, zaledwie wychylały się z cienia. Po podwórkach szczekały psy, ale jakby przez sen, dając wtór rzechotaniu żab, graniu derkaczy, bąków i tym wszystkim wołaniom, któremi odzywa się letnia noc, a które potęgują jeszcze wrażenie ciszy.

Bryczka, posuwając się zwolna sypką, piaszczystą drogą, wtoczyła się nakoniec w ciemną aleję, popstrzoną tylko tu i owdzie światłem, wdzierającym się przez liście. Na końcu tej alei poświstywali stróże nocni. Przy ujściu bielił się dwór, w którym kilka okien było oświeconych. Gdy bryczka zaturkotała przed gankiem, z domu wybiegł służący chłopak, który począł pomagać Połanieckiemu

przy wysiadaniu, a oprócz tego zbliżył się stróż nocny i dwa białe psy, widocznie bardzo młode i łagodne, gdyż, zamiast szczekać, jęły łasić się, wspinać się na gościa i okazywać z jego przybycia radość tak wielką, iż stróż musiał miarkować jej wylew za pomocą kija.

Chłopak zdjął z bryczki rzeczy Połanieckiego, on sam zaś znalazł się po chwili w jadalnym pokoju, gdzie czekała na niego herbata. Przy jednej ścianie stał orzechowy kredens, obok zegar z wielkimi wagami i kukułką, z drugiej strony dwa liche portrety kobiece w strojach z ośmnastego wieku, na środku zaś stół, nakryty białą serwetą, otoczony krzesłami o wysokich poręczach. Pokój ten, oświetlony jasno, pełen pary, unoszącej się z samowaru, wyglądał dość gościnnie i wesoło.

Połaniecki począł przechadzać się wzdłuż stołu, ale skrzypienie własnych butów raziło go w tej ciszy, poszedł więc ku oknu i patrzył przez szyby na oświetlone księżycem podwórze, po którym te same dwa białe psy, które witały go z takim wylaniem, goniły się teraz ze sobą.

Po jakimś czasie drzwi przyległego pokoju otworzyły się i weszła młoda osoba, w której Połaniecki domyślił się córki właściciela Krzemienia, urodzonej z drugiej jego żony. Na jej widok wyszedł więc z framugi okna i, zbliżywszy się w swoich skrzypiących butach do stołu, skłonił się i powiedział swoje nazwisko.

Panna wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Wiedzieliśmy z depeszy o pańskim przyjeździe. Tatko trochę chory i musiał się położyć, ale jutro rad będzie pana zobaczyć.

— Nie moja wina, że przyjechał tak późno — od-

powiedział Połaniecki — pociąg przychodzi dopiero o jedenastej do Czerniowa.

— A z Czerniowa jeszcze dwie mile do Krzemienia. Mówił mi ojciec, że pan tu nie pierwszy raz.

— Przyjeżdżałem tu z matką, gdy pani nie było jeszcze na świecie.

— Wiem. Pan jest krewny ojca.

— Ja jestem krewny pierwszej żony pana Pławickiego.

— Ojciec bardzo ceni związki rodzinne, choćby najdalsze — odrzekła panna.

I zaczęła nalewać herbatę, odganiając od czasu do czasu drugą ręką parę, która, podnosząc się z samowaru, przesłaniała jej oczy. Gdy rozmowa się przerwała, słychać było tylko tyk zegara. Połaniecki, którego interesowały młode kobiety, przypatrywał się pannie Pławickiej. Była to osoba średniego wzrostu, dość wysmukła; włosy miała ciemne, twarz łagodną, ale jakby zgaszoną, płeć nieco opaloną od słońca, oczy niebieskie i prześliczne usta. Wogóle była to twarz kobiety spokojnej i delikatnej. Połaniecki, któremu nie wydała się brzydka, ale też nie wydała się piękna, myślał jednak, że jest dość miła, że może być dobra i że pod tą powierzchownością niezbyt świetną może posiadać mnóstwo tych rozmaitych przymiotów, które posiadają zwykle wiejskie panny. Jakkolwiek był młody, życie nauczyło go jednej prawdy, że kobiety, przy bliższem poznaniu, wogóle zyskują, mężczyźni wogóle tracą. Słyszał także o pannie Pławickiej, że całe gospodarstwo w Krzemieniu, prawie zresztą zrujnowane, polega na jej głowie, i że to jest jedna z najbardziej

zapracowanych istot na świecie. Otóż w stosunku do tych kłopotów, które musiały ją obarczać, wydała mu się spokojną i pogodną. Prócz tego pomyślał, że zapewne jej się spać chce. Widać to było nawet po jej oczach, mrużących się mimowoli pod światłem wiszącej lampy.

Egzamin byłby wypadł wogóle na jej korzyść, gdyby nie to, że rozmowa z nią szła trochę trudno. Ale tłómaczyło się to tem, że się widzieli po raz pierwszy w życiu. Przyjmowała go przytem sama, co dla młodej panny mogło być kłopotliwe. Nakoniec wiedziała, że Połaniecki przyjechał do nich nie w odwiedziny, ale po pieniądze. Tak było w istocie. Matka jego oddała przed bardzo dawnym czasem dwadzieścia kilka tysięcy rubli na hipotekę Krzemienia, które Połaniecki chciał teraz odebrać, raz dlatego, że zalegano bardzo z procentami, a powtórę, że, będąc współnikiem domu handlowego w Warszawie, wszedł w rozmaite interesa i potrzebował kapitału. Z góry też obiecał sobie nie czynić żadnych ustępstw i swoje koniecznie odzyskać. W tego rodzaju sprawach chodziło mu zawsze o to, by okazać się człowiekiem nieugiętym. Nie był on nim może z natury, ale uczynił sobie z nieugiętości zasadę, a zarazem sprawę miłości własnej. Skutkiem tego często przesadzał, jak czynią zawsze ludzie, którzy coś w siebie wmawiają.

I teraz więc, patrząc na tę pannę miłą, ale widocznie senną, powtarzał sobie wbrew współczuciu, które się w nim budziło:

— Wszystko to dobrze, ale musicie zapłacić.

Po chwili rzekł:

— Słyszałem, że pani wszyskiem się tu zajmuje: czy pani lubi gospodarstwo?

— Lubię bardzo Krzemień — odpowiedziała.

— I ja lubilem Krzemień, gdy byłem chłopcem. Ale gospodarzyćbym w nim nie chciał... Takie trudne warunki...

— Trudne, trudne... Robimy też, co w naszej mocy.

— To jest, pani robi, co w pani mocy.

— Pomagam ojcu, który często jest cierpiący.

— Ja się na tych rzeczach nie znam, ale z tego, co widzę i słyszę, wnoszę, że większa część rolników nie może liczyć na przyszłość.

— Liczymy na Opatrzność...

— To wolno, ale wierzycieli nie można do niej odsyłać.

Twarz panny Pławickiej pokryła się rumieńcem — i nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

A Połaniecki powiedział sobie:

— Skoroś zaczął, to idź dalej.

I rzekł:

— Pani pozwoli sobie wyjaśnić cel mego przybycia.

Panna spojrzała na niego wzrokiem, w którym Połaniecki mógł wyczytać: „Dopieroś przyjechał, godzina jest późna, ja ledwie żyję ze zmęczenia — że też najprostsza delikatność nie wstrzymała cię od rozpoczęcia takiej rozmowy“.

Głośno zaś odrzekła:

— Ja wiem, dlaczego pan przyjechał, ale może będzie lepiej, gdy pan z ojcem o tem pomówi.

— Dobrze; przepraszam panią — odrzekł Połaniecki.

— To ja przepraszam pana. Ludzie mają prawo dopominać się o swoje i ja jestem do tego przyzwyczajona. Ale dziś jest sobota; w sobotę ma się tyle roboty. Zresztą w tego rodzaju sprawach, pojmuje pan... Czasem, gdy przyjeżdżają żydzi, układam się sama... Ale tym razem wolałabym, żeby pan mówił z papą. Będzie nam obojgu łatwiej.

— Więc do jutra — rzekł Połaniecki, któremu zabrakło odwagi do powiedzenia, że w sprawach pieniężnych chce być traktowany, jak żyd.

— Może pan pozwoli jeszcze herbaty?

— Nie; dziękuję. Dobranoc pani.

I, wstawszy, wyciągnął rękę; panna zaś podała mu swoją daleko mniej serdecznie, niż na powitanie, tak, że dotknął zaledwie końców jej palców.

Odchodząc, rzekła:

— Służący wskaże panu pokój...

I Połaniecki został sam. Czuł pewien niesmak i był niezadowolony z siebie, choć nie chciał wewnątrznie tego przyznać. Począł nawet wmawiać w siebie, że dobrze zrobił, gdyż przyjechał tu nie dla prawienia grzeczności, ale po pieniądze. Co mu panna Pławicka? Ani go grzeje, ani ziębi. Jeśli go będzie miała za gbura, to tem lepiej, bo zwykle tak się dzieje, że im wierzytel jest bardziej przykry, tem się go starają spłacić prędzej.

Ale niesmak silniejszy był od tego rozumowania, albowiem jakiś głos szeptał Połanieckiemu, że tym razem nie chodziło tylko o dobre wychowanie, ale trochę o litość nad zmęczoną kobietą. Odczuwał przytem, że, postępując tak obcesowo, czyni zadość swej pozie, nie swemu sercu,

ani swym wrodzonym instynktom. Był zły także i na pannę Pławicką, tem bardziej, że mu się podobała. Jak w tej uśpionej wiosce, jak w tej nocy księżycowej, tak i w tej pannie znalazł coś swojskiego, czego naprózno szukał w kobietach zagranicznych, a co wzruszało go więcej, niż się spodziewał. Ale ludzie wstydzą się często uczuć bardzo dobrych. Połaniecki wstydził się często wzruszeń, więc postanowił być nieublaganym i przycisnąć nazajutrz starego Pławickiego z pominięciem wszelkich względów.

Tymczasem chłopak zaprowadził go do sypialni. Połaniecki odprawił go zaraz i został sam. Był to ten sam pokój, który mu dawano, gdy za życia pierwszej żony pana Pławickiego przyjeżdżał do nich z matką. Więc wspomnienia opadły go znowu. Okna wychodziły na ogród, za którym był staw; w wodzie przeglądał się księżyc — i staw widać było lepiej, niż za dawnych czasów, bo wówczas przesłaniał go wielki stary jesion, który musiała złamać burza, gdyż w tem miejscu sterczał tylko pień ze świeżem odłamaniem na wierzchu. Światło księżycy zdawało się zbierać na tem odłamaniu, które też błyszczało bardzo mocno. Wszystko to razem czyniło wrażenie ogromnego spokoju. Połaniecki, który żył w mieście wśród zajęć handlowych, zatem w ustawicznym natężeniu władz umysłowych i fizycznych, a zarazem w ustawicznym niepokoju, mimowoli odczuwał ten nastrój otaczającej go wsi, tak, jak się odczuwa ciepłą kąpiel po wielkim trudzie. Wnikała w niego ulga. Próbował myśleć o swoich sprawach, o tem, jak się one obróca, czy dadzą straty, czy zyski, wreszcie o swoim wspólniku Bigielu,

i o tem, jak on załatwi rozmaite interesa podczas jego niebytności — ale nie mógł. Natomiast zaczął myśleć o pannie Pławickiej. Osoba jej, jakkolwiek uczyniła na nim dobre wrażenie, była mu obojętną, choćby dlatego, że dopiero co ją poznał. Ale zajęła go, jako typ. Miał lat trzydzieści kilka, był zatem w wieku, w którym instynkt z siłą niemal nieubłaganą popycha mężczyznę do założenia ogniska domowego, pojęcia żony i stworzenia rodziny. Największy pesymizm jest bezsilny wobec tego instynktu; nie broni od niego ani artyzm, ani żadne zadania życiowe. Skutkiem tego żenią się mizantropi, pomimo swej filozofii, artyści, pomimo sztuki, jak również wszyscy tacy ludzie, którzy twierdzą, że swoim celom oddają nie pół, ale całą duszę. Wyjątki potwierdzają zasadę, że ogół nie może żyć konwencyjonalnem kłamstwem i płynąć przeciw prądom natury. Po większej części nie żenią się tylko ci, którym do małżeństwa stanęła na przeszkodzie ta sama siła, która małżeństwa tworzy, to jest ci, których miłość zawiodła. Stąd starokawalerstwo, jeśli nie zawsze to najczęściej, jest ukrytą tragedją.

Połaniecki nie był ani mizantropem, ani też człowiekiem, wygłaszającym przeciwne małżeństwu teorie. Przeciwnie: chciał się ożenić i był przekonany, że powinien to uczynić. Czuł, że przyszedł na niego czas, więc szukał naokół siebie kobiety. Z tego wypływało to ogromne zajęcie, jakie budziły w nim kobiety, a zwłaszcza panny. Jakkolwiek spędził kilka lat we Francji i w Belgii, nie szukał miłości u mężatek, chyba u nazbyt łatwych. Był to człowiek żywy i czynny, który utrzymywał, że romansować z mężatkami mogą tylko próżniacy, i że

wogóle obleganie cudzych żon jest możliwe tam, gdzie ludzie mają bardzo wiele pieniędzy, mało uczciwości, a nic do roboty, zatem w społeczeństwach, gdzie istnieje cała klasa od dawna zubożona i pogrążona w wytwornej bezczynności towarzyskiego a zarazem i szelmowskiego życia. On sam był istotnie bardzo zajęty, że zaś kochać chciał po to, by się ożenić, więc tylko panny budziły w nim zarówno psychiczne, jak i fizyczne zaciekawienie. Gdy spotykał jaką na swej drodze, przedewszystkiem i od pierwszej chwili zadawał sobie pytanie: „Czyby nie ta?“ — albo przynajmniej: „Czyby nie taka?“ Obecnie myśli jego kręciły się w podobny sposób koło panny Pławickiej. Poprzednio słyszał o niej wiele od jej krewnej, zamieszkałej w Warszawie — i słyszał rzeczy dobre, a nawet wzruszające. Obecnie jej cicha, łagodna twarz stawała mu przed oczyma. Przypomniał sobie jej ręce, bardzo ładne, o długich palcach, choć nieco opalone; jej ciemno-niebieskie oczy, oraz małe, czarne znamię, które miała nad ustami. Podobał mu się także jej głos. Przytem, jakkolwiek powtarzał sobie przyrzeczenie, że nie poczyni żadnych ustępstw i musi swoje odebrać, jednakże zły był na los, który przyprowadził go do Krzemienia, jako wierzyciela. Mówiąc do siebie językiem kupieckim, powtarzał w duchu: gatunek jest dobry — ale nie będę „reflektował“ — bom nie po to przyjechał.

Jednakże „reflektował“ i to tak dalece, że rozbrawszy się i położywszy, długi czas nie mógł zasnąć. Koguty poczęły piąć, szyby blednieć i zielenieć, on zaś widział jeszcze pod zamkniętymi powiekami pogodne czoło panny Pławickiej, jej znamię nad ustami i ręce, nalewa-

jące herbatę. Potem, gdy już sen począł go morzyć, zdawało mu się, że trzyma te ręce w swoich i przyciąga je ku sobie. Nazajutrz zbudził się późno i, przypomniawszy sobie pannę Pławicką, pomyślał: „Aha! to ona tak wygląda!”

II.

Właściwie zbudził go chłopak, który przyniósł mu kawę i wziął do czyszczenia rzeczy. Gdy z niemi powrócił, Połaniecki spytał go, czy niema w domu zwyczaju schodzić się w jadalnym pokoju na śniadanie.

— Nie — odpowiedział chłopak — bo panienka rano wstaje, a starszy pan śpi do późna.

— A panienka wstała?

— Panienka w kościele.

— Prawda: dziś niedziela. A panienka nie jeździ ze starszym panem?

— Nie; starszy pan jeździ na sumę, a potem idzie do kanonika, więc panienka woli jeździć na ranną mszę.

— Co państwo w niedzielę porabiają?

— Siedzą w domu. Na obiad przyjeżdża pan Gątowski.

Tego Gątowskiego Połaniecki znał małym chłopcem. Za owych czasów przezywał go „niedźwiadkiem“, był to bowiem chłopak tłusty, niezgrabny i mrukliwy. Służący objaśnił, że ojciec pana Gątowskiego umarł od lat sześciu i młody sam gospodarzy w sąsiednim Jalbrzykowie.

— I przyjeżdża tu co niedziela? — spytał Połaniecki.

— Czasem i w powszedni dzień wieczorem.

— Konkurent! — pomyślał Połaniecki.

Po chwili spytał:

— Starszy pan wstał już?

— Musiał pan dzwonić, bo Józef poszedł do pana.

— Jaki Józef?

— Kamerdyner.

— A ty czem jesteś?

— Ja jemu do pomocy.

— Idź-że się spytać, kiedy można będzie widzieć się z panem.

Chłopak wyszedł i po chwili wrócił.

— Starszy pan kazał powiedzieć, że jak się ubierze, to poprosi.

— Dobrze.

Chłopak wyszedł; Połaniecki został sam i czekał, a raczej nudził się dość długo. Wreszcie zaczęło mu brnąć cierpliwości i chciał już wyjść do ogrodu, gdy ów Józef przyszedł mu oznajmić, że starszy pan prosi.

I przez sień poprowadził go do pokoju, leżącego z drugiej strony domu. Połaniecki wszedł i w pierwszej minucie nie poznał pana Pławickiego. Pamiętał go mężczyną w sile wieku i nader pięknym, obecnie stał przed nim człowiek stary, z twarzą pomarszczoną, jak pieczone jabłko, której małe, uczernione wąsiki próżno usiłowały nadać pozór młodości. Tak one, jak również czarna, zaczesana z boku czupryna, oznaczały tylko niewygasłe dotąd pretensye.

Lecz pan Pławicki otworzył ramiona:

— Stach! Jak się masz, drogi chłopcze! Chodź tu!
I, wskazawszy na swą białą kamizelkę, objął głowę Połanieckiego i przycisnął ją do piersi, która poruszała się szybkim oddechem.

Uścisk trwał przez czas długi, a nawet dla Połanieckiego mocno za długi; wreszcie pan Pławicki rzekł:

— Niechże ci się przypatrzę. Wykapana Anna, wykapana Anna! Moja biedna, kochana Anna!

I pan Pławicki zaszlochał, następnie otarł serdecznym palcem prawą powiekę, na której zresztą nie było łzy — i powtórzył:

— Wykapana Anna!... Twoja matka była zawsze dla mnie najlepszą i najżyczliwszą krewną.

Połaniecki stał przed nim zmieszany, oraz nieco odurzony i przyjęciem, jakiego się nie spodziewał, i zapachem fiksatuaru, pudru i różnych perfum, którymi pachniały twarz, wąsy i kamizelka pana Pławickiego.

— Jak się wujaszek ma? — spytał wreszcie, sądząc, że ten tytuł, jaki zresztą dawał w latach dziecinnych panu Pławickiemu, będzie najlepiej odpowiadał uroczystemu nastrojowi przyjęcia.

— Jak się mam? — powtórzył pan Pławicki — nie długo mi już! nie długo! Ale właśnie dlatego witam cię tem serdeczniej w moim domu... po ojcowsku!... I jeśli błogosławieństwo człowieka, stojącego nad grobem, a zarazem najstarszego członka rodziny, ma w twoich oczach jaką cenę, to ci je daję.

I, chwyciwszy powtórnie za głowę Połanieckiego, ucałował ją i przeżegnał. Młody człowiek zmieszał się jeszcze bardziej i na twarzy jego odbił się przymus. Matka

jego była krewną i przyjaciółką pierwszej żony pana Pławickiego. Z nim samym nie łączyły jej nigdy, o ile pamiętał, serdeczniejsze stosunki, więc ta uroczystość przyjęcia, do której jednak mimowoli musiał się dostrajać, była mu ogromnie przykra. Sam Połaniecki nie miał najmniejszych uczuć rodzinnych dla pana Pławickiego, więc myślał w duchu: „Ta małpa błogosławi mnie, zamiast gadać o pieniądzach“ — i chwyciła go pewna złość, która mogła mu być pomocną do postawienia jasno rzeczy. Tymczasem pan Pławicki rzekł:

— Siadaj teraz, drogi chłopcze, i bądź, jak u siebie.

Połaniecki siadł i zaczął mówić:

— Kochany wuju, bardzo mi jest przyjemnie wuja odwiedzić; byłbym to pewnie zrobił, nawet nie mając interesu, ale wuj wie, że przyjechałem także w tej sprawie, którą moja matka...

Tu pan Pławicki położył mu nagle rękę na kolanie:

— A kawę piłeś? — spytał.

— Piłem — odpowiedział zbity z tropu Połaniecki.

— Bo to Marynia rano wyjeżdża do kościoła. Przepraszam cię także, że ci nie odstąpił mego pokoju, ale ja, stary, przyzwyczaiłem się tu spać. To moje gniazdo...

To rzekłszy, okrągłym ruchem ręki wskazał na pokój.

Połaniecki powiódł mimowoli oczyma za ruchem ręki. Niegdyś ten pokój był dla niego ustawiczną pokusą, wisiała w nim bowiem broń pana Pławickiego. Od dawnych czasów zmieniło się w nim tylko obicie, które teraz było różowe, przedstawiające w nieskończonej ilości kwadratów młode pasterki, ubrane à la Watteau i łowiące ryby na wędkę. W oknie stała tualeta, biało nakryta,

z lustrem w srebrnych ramach, zastawiona mnóstwem słoików, pudełek, flaszeczek, szczotek, grzebieni, pilniczków do paznokci i t. d. Obok, w kącie, fajczarnia — z burztynowemi głowami cybuchów; na ścianie, nad kanapką, dzicza głowa, pod nią dwie dubeltówki, torba, trąbki, i wogóle przybory myśliwskie; w głębi stół z papierami, dębowe półeczki z pewną ilością książek, wszędy pełno gratów, mniej więcej potrzebnych i ładnych, zwiastujących jednak, że mieszkaniec tego pokoju jest osiłą, naokoło której obraca się wszystko w domu, i że sam o siebie dba wielce. Jednem słowem, był to pokój starego kawalera i egoisty, pełnego drobiazgowej troskliwości o swą wygodę i pełnego pretensyi. Połaniecki nie potrzebował też wiele domyślności, by odgadnąć, że pan Pławicki za nic i dla nikogo nie odstąpiłby swego pokoju.

Lecz gościnnie gospodarz pytał dalej:

— Było ci tam dosyć wygodnie? Jak spędziłeś noc?

— Dziękuję; doskonale: wstałem późno.

— Z tydzień jaki przecie u mnie zabawisz.

Połaniecki, który był bardzo żywy, podskoczył na krześle.

— Chyba wuj wie, że ja mam interesa w Warszawie i współnika, który sam jeden pilnuje teraz całej roboty. Dlatego muszę wyjechać jak najwcześniej i pragnąłbym dziś jeszcze załatwić sprawę, dla której przyjechałem.

Na to pan Pławicki odezwał się z pewną serdeczną powagą:

— Nie, mój chłopcze. Dziś jest niedziela, a oprócz tego uczucia rodzinne powinny iść przed interesami. Dziś witam cię i przyjmuję, jako krewnego — jutro, jeśli chcesz,

wystąpisz jako wierzyciel. Tak jest. Dziś przyjechał do mnie mój Stach, syn mojej Anny! Do jutra! Tak być powinno, Stachu. Mówi ci starszy krewny, który cię kocha i dla którego powinieś to zrobić...

Połaniecki zmarszczył się nieco, ale po chwili odrzekł:

— Niechże będzie do jutra.

— Teraz przemówiła przez ciebie Anna... Czy palisz fajkę?

— Nie. Palę tylko papierosy.

— Wierź mi, że źle robisz. Ale mam dla gości i papierosy.

Dalszą rozmowę przerwał turkot powozu przed gankiem.

— To Marynia przyjechała z rannej mszy — rzekł pan Pławicki.

Połaniecki, spojrzawszy w okno, dojrzał różową pannę w słomianym kapeluszu, wysiadającą z powoziku.

— Poznałeś Marynię? — spytał pan Pławicki.

— Miałem przyjemność — wczoraj.

— Drogie dziecko! Nie potrzebuję ci mówić, że żyję tylko dla niej...

W tej chwili uchyliły się drzwi i młody głos spytał:

— Można?

— Można, można: jest tu Stach! — odpowiedział pan Pławicki.

Marynia weszła szybko z kapeluszem, przewieszonym na wstążkach przez ramie, i uściskawszy ojca, podała rękę Połanieckiemu. W różowej, perkalowej sukni wyglądała nadzwyczaj zgrabna i ładna. Było coś w niej z nastroju niedzielnego, a przytem z rzeźwości poranku, który

był pogodny i jasny. Włosy miała nieco roztargane przez kapelusz, policzki zarumienione — młodość biła od niej. Połanieckiemu wydała się dziś i weselsza, i ładniejsza, niż była wczoraj.

— Suma będzie dziś trochę później — rzekła do ojca — bo kanonik zaraz po rannej mszy pojechał do młyna dysponować Siatkowską. Ona bardzo źle. Ma papa jeszcze z pół godziny czasu.

— Dobrze — odrzekł Pławicki — przez ten czas poznacie się bliżej ze Stachem Połanieckim. Mówię ci, wykapana Anna! Ale tyś jej nigdy nie widziała. Pamiętaj też Maryniu, że on jutro, jeśli zechce, będzie naszym wierzyicielem, ale dziś, to tylko krewny i gość.

— Dobrze — odpowiedziała panna — będziemy mieli wesołą niedzielę.

— Pani tak późno poszła spać wczoraj — rzekł Połaniecki — a dziś była na rannej mszy.

A ona odrzekła wesoło:

— Na rannej mszy bywam ja i kucharz, żebyśmy mieli czas potem pomyśleć o obiedzie.

— Zapomniałem wczoraj powiedzieć — rzekł Połaniecki — że przywożę pani ukłony od pani Emilii Chwaśtowskiej.

— Nie widziałam Emilki już półtora roku, ale pisujemy do siebie dość często. Ona ma wyjechać do Reichenhall, dla swojej małej.

— Była na wyjeździe.

— A mała jak się ma?

— Na swoje dwanaście lat wyrosła nad miarę i bardzo anemiczna. Nie zdaje się, żeby była bardzo zdrowa.

— Pan często bywa u Emilki?

— Dosyć. To prawie jedyna moja znajomość w Warszawie. I przytem bardzo lubię panią Emilię.

— Powiedz mi, mój chłopcze — spytał pan Pławicki, biorąc ze stołu parę świeżych rękawiczek i wkładając je do kieszeni na piersiach — czem ty się właściwie zajmujesz w Warszawie?

— Ja jestem tem, co nazywają „aferzystą“. Mam dom komisowo-handlowy na spółkę z niejakim Bigielem. Spekuluję na zbożu, na cukrze, czasem na lasach i na czem się da.

— Bo ja słyszałem, że ty jesteś inżynier?

— Jestem technik. Ale nie mogłem po powrocie znaleźć zajęcia przy żadnej fabryce i puściłem się na handel, tem bardziej, że miałem i o tem jakie takie pojęcie i że we wspólnie byłem już od lat czterech, choć interesa prowadził sam Bigiel. Ale właściwym moim zawodem jest farbiarstwo.

— Jak powiadasz? — spytał pan Pławicki.

— Farbiarstwo.

— Teraz takie czasy, że trzeba się do wszystkiego brać — rzekł z godnością pan Pławicki. — Nie ja ci to będę brał za złe. Byle zachować dawne uczciwe tradycje rodzinne — żadne zajęcie nie hańbi człowieka.

A Połaniecki, któremu na widok panny powrócił dobry humor i którego rozbawiła nagle „grandezza“ pana Pławickiego, pokazał swoje zdrowe zęby w uśmiechu i odpowiedział:

— To chwala Bogu.

Panna Marynia uśmiechnęła się również i rzekła:

— Emilka, która także pana bardzo lubi, pisała mi kiedyś, że pan doskonale prowadzi swoje interesa.

— Bo tu tylko z żydami trudno, a zresztą konkurencya łatwa. Ale i z żydami, byle nie wydawać manifestów antysemitycznych i spokojnie swoje robić, można trafić też do ładu. Co do pani Emilii jednak, ona się tyle zna na interesach, ile jej mała Litka.

— Tak, ona nigdy nie była praktyczna. Żeby nie brat męża, pan Teofil Chwastowski, byłaby straciła cały majątek. Ale pan Teofil bardzo Litkę kocha.

— Kto Litki nie kocha? Ja pierwszy przepadam za nią. To takie dziwne dziecko i takie kochane. Mówię pani, że mam do niej zupełną słabość.

A panna Marynia spojrzała uważniej na jego szczerą, żywą twarz i pomyślała:

— Musi być trochę raptus, ale ma dobre serce.

Pan Pławicki zauważył tymczasem, że czas na sumę i począł się żegnać z panną Marynią tak, jakby wyjeżdżał w kilkumiesięczną podróż, następnie uczynił jej na głowie znak krzyża i wziął kapelusz. Panienska uścisnęła rękę Połanieckiego żywiej, niż przy porannem powitaniu, ten zaś, siadając do powoziku, powtarzał sobie w duchu:

— O, mocno ładna! mocno sympatyczna!...

Za aleją, którą Połaniecki przyjechał dnia wczorajszego, powozik wytoczył się na drogę, gdzieś tylko wysadzoną starami i popróchniałymi brzoźami, stojącymi w nierównych odstępach. Po jednej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po drugiej jeden ogromny łąn żyta, z ocieźzałymi już i pochylonymi kłosami, który zdawał się spać w spokojnem powietrzu i w pełnem świetle słonecznem.

Między brzozaami przelatywały przed powozem sroki i dudki. W dali widać było, idące ścieżkami przez płową toń zbóż i zanurzone w niej po pachy, dziewczki wiejskie, w czerwonych chustkach na głowie, podobne do kwitnących maków.

— Dobre żyto — rzekł Połaniecki.

— Niezłe. Robi się, co w ludzkich siłach, a co Bóg da, to da. Jesteś młody, mój drogi, więc dam ci jedną przestrożę, która ci się w przyszłości przyda. Zrób zawsze, co do ciebie należy, a resztę zdaj na Pana Boga. On najlepiej wie, czego nam potrzeba. Urodzaj tego roku będzie dobry — i wiedziałem to z góry, bo jak mnie ma Bóg czem dotknąć, to mi zsyła znak.

— Co takiego? — spytał ze zdziwieniem Połaniecki.

— Za fajczarnią — nie wiem, czy uważałeś, gdzie ona stoi — ile razy ma być coś złego, tyle razy pokazuje mi się mysz przez kilka dni z rzędu.

— Musi być dziura w podłodze.

— Niema dziury — rzekł, przymykając oczy i potrząsając tajemniczo głową, pan Pławicki.

— A żeby kota sprowadzić?

— Nie sprowadzę, bo jeśli taka jest wola Boża, żeby ta mysz była dla mnie znakiem i ostrzeżeniem, to nie chcę iść przeciw tej woli. Otóż tego roku nic mi się nie pokazało. Mówiłem to Maryni... Może Bóg zechce w jakikolwiek sposób okazać, że czuwa nad naszą rodziną. Słuchaj, mój drogi: wiem, że ludzie gadają, że jesteśmy zrujnowani, a przynajmniej w bardzo złych interesach. Otóż sam osądz: Krzemień, wraz ze Skokami, z Magierówką i Suchocinem, ma około dwustu pięćdzie-

sięciu włók. Jest tam około sześćdziesięciu tysięcy rubli Towarzystwa — i nic więcej, i około stu tysięcy długów hipotecznych, wraz z twoją sumą. Więc mamy już sto sześćdziesiąt tysięcy. Liczmy teraz tylko po trzy tysiące rubli za włókę, to uczyni siedmset pięćdziesiąt tysięcy — razem: dziewięćset dziesięć tysięcy...

— Jakto? — przerwał ze zdumieniem Połaniecki — to wuj liczysz długi do swego majątku?

— Żeby majątek był nie nie wart, toby mi nikt grosza na niego nie dał, więc muszę doliczyć dług do wartości majątku...

A Połaniecki pomyślał: „Waryat, z którym niema co gadać“ — i słuchał dalej w milczeniu.

Pan Pławicki zaś mówił:

— Magierówkę chcę rozparcelować. Młyn sprzedam, a w Skokach i Suchocinie mam margiel — i wiesz, na ile go obliczyłem? Na dwa miliony rubli.

— Ma wuj kupca?

— Dwa lata temu przyjechał tu niejaki Schaum i rozpatrywał pola. Wprawdzie pojechał, nic nie wspominając o interesie, ale jestem pewny, że wróci. Inaczej, byłaby mi się pokazała mysz za fajczarnią...

— Ha! niechże wraca.

— Wiesz, co mi także przychodzi do głowy. Skoro jesteś „aferzystą“, weź ty się do tego interesu. Znajdź sobie tylko współników.

— To za gruba dla mnie sprawa.

— Więc znajdź mi kupca: dam ci dziesięć procent od zysków.

— Co panna Marya myśli o tym marglu?

— Marynia, jak to Marynia. Złote dziecko, ale dziecko! I ona jednak wierzy, że Opatrzność czuwa nad naszą rodziną.

— Słyszałem to od niej wczoraj.

Tymczasem zaczęli się zbliżać do Wątorów i do leżącego na wzgórzu wśród lip kościoła. Pod wzgórzem stało kilkanaście chłopskich drabiniastych wózków, oraz kilka bryczek i powozików.

Pan Pławicki przeżegnał się.

— To nasz kościółek, który musisz pamiętać. Wszyscy Pławiccy tu leżą i ja wkrótce będę leżał. Nigdzie nie modłę się lepiej, jak tu.

— Widzę, że będzie sporo ludzi — rzekł Połaniecki.

— Jest bryczka Gątowskiego, kocz Zazimskich, powozik Jamiszów i kilka innych. Jamiszów musisz także pamiętać. Ona niepospolita kobieta, on, niby wielki agrom i radca, ale safandula, który nie rozumiał jej nigdy.

W tej chwili poczęto dzwonić na wieżycze kościelnej.

— Spostrzegli nas i dzwonią — rzekł pan Pławicki — suma zaraz wyjdzie... Zaprowadzę cię po mszy na grób mojej pierwszej żony; pomódl się za nią, bo to przecie twoja ciotka... Zacna była kobieta, świeć jej Panie!

Tu pan Pławicki podniósł znów palec, by obetrzeć prawe oko, Połaniecki zaś spytał, chcąc zmienić nastrój rozmowy:

— A pani Jamiszowa była kiedyś bardzo piękna? Czy to ta sama?

Twarz pana Pławickiego rozjaśniła się nagle. Na chwilę wysunął koniec języka z uczerwionych wąsików, następnie zaczął klepać Połanieckiego po łydce i rzekł:

— Warta jeszcze grzechu, warta, warta!...

Tymczasem zajechali i, obszedłszy kościół, weszli bokiem do zakrystyi, nie chcąc przeciskać się przez tłum. Panie siedziały w bocznych ławkach, tuż przed stallami. Pan Pławicki zajął ławkę kollatorską, w której byli tylko państwo Jamiszowie: on, człowiek, wyglądający bardzo staro, z twarzą inteligentną i zgnębiaoną, ona, kobieta dobrze pod sześćdziesiąt, ubrana niemal tak, jak panna Marynia, to jest w suknię perkalową i słomiany kapelusz. Pełne grzeczności ukłony, jakie jej począł składać pan Pławicki, i uprzejmy uśmiech, z jakim mu je oddawała, wskazywały, że panują między nimi blizkie i oparte na wzajemnej adoracyi stosunki. Po chwili pani, podniósłszy lornetkę do oczu, zaczęła przyglądać się Połanieckiemu, nie rozumiejąc widocznie, kto mógł panu Pławickiemu towarzyszyć. W tylnej ławce za nimi, jeden z sąsiadów, korzystając z tego, że msza jeszcze nie rozpoczęta, kończył jakieś opowiadanie o polowaniu, powtórzył bowiem kilkakrotnie drugiemu sąsiadowi: „Moje psy dobrze goniom...“; potem obaj przerwali tę rozmowę i zaczęli obmawiać Pławickiego i panią Jamiszową tak głośno, że każde słowo dochodziło do uszu Połanieckiego.

Potem wyszedł ksiądz ze mszą. Na widok tej mszy i tego kościółka pamięć Połanieckiego znów wróciła do lat dziecinnych, gdy bywał tu z matką. Mimowoli rodziło się w nim zdziwienie, jak dalece na wsi nic się nie zmienia, prócz ludzi. Jednych składają na księżej grudzi, drudzy się rodzą, ale nowe życie podstawia się w dawne formy, i kto przyjeżdża po długiej niebytności, z daleka, temu się zdaje, że to wszystko, co poprzednio widział,

było wczoraj. Kościół był ten sam; nawa była równie pełna płowych głów chłopskich, szarych sukman, czerwonych i żółtych chustek, oraz kwiatów na głowach dziewczek; tak samo pachniało kadzidłem, świeżym tatarakiem i wyziewami ludzkimi. Za jednym z okien rosła ta sama brzoza, której cienkie gałązki wiatr, gdy się podniósł, rzucał na okno i, przesłaniając je, napelniał kościół zielonawym światłem; tylko ludzie byli nie ci sami: część tamtych rozsypywała się sobie spokojnie w proch, lub wydostawała się trawą z pod ziemi; ci zaś, którzy zostali jeszcze, byli jacyś pochyleni, zgarbieni, mniejsi, jakby powoli zasuwali się pod ziemię. Połaniecki, który chlubił się tem, że unika wszelkich zagadnień ogólnych, a który w gruncie rzeczy, mając jakby nie wyłonioną jeszcze dostatecznie z wszechbytu słowiańską głowę, zajmował się niemi mimowoli ciągle, myślał teraz, że jednak jest okropna przepaść między tą wrodzoną ludziom namiętnością życia, a koniecznością śmierci. Myślał także, że może dlatego wszystkie systemy filozoficzne mijają, jak cienie, a msza po staremu się odprawia, iż ona jedna obiecuje dalszy i nieprzerwany ciąg.

Sam, wychowany za granicą, nie bardzo weń wierzył, przynajmniej nie był go pewny. Czuł on w sobie, jak wszyscy dzisiejsi, najnowsi ludzie, niepohamowany wstręt do materyalizmu, ale wyjścia jeszcze nie znalazł, i co więcej, zdawało mu się, że go nie szuka. Był nieświadomym pesymistą, jak ci, którzy szukają czegoś, czego nie mogą znaleźć. Odurzał się zajęciami, do których przywykł, i tylko w chwilach wielkiego przyływu owego pesymizmu pytał siebie: na co to wszystko? na

co się zdało robić majątek, pracować, żenić się, płodzić dzieci — skoro wszystko kończy się przepaścią? Ale to było czasem i nie zmieniało się w stałą zasadę. Ratowała go od niej młodość — nie pierwsza — ale też jeszcze nie gasnąca, pewna tęgość duchowa i fizyczna, samozachowawczy instykt, przyzwyczajenie do pracy, żywość charakteru i wreszcie ta siła elementarna, która popycha mężczyznę w objęcia kobiety. I teraz więc od wspomnień dziecinnych, od myśli o śmierci, od zwątpienia o celowości małżeństwa, przeszedł do myśli właśnie o tem, że tego, co w nim jest lepsze, nie ma komu oddać, a dalej przeszedł do panny Maryni Pławickiej, której perkalowa suknia, pokrywająca młode i wysmukłe ciało, nie schodziła mu z oczu. Przypomnił sobie, że gdy wyjeżdżał, pani Emilia Chwastowska, wielka przyjaciółka jego i panny Maryni, powiedziała mu, śmiejąc się: „Jeśli pan, będąc w Krzemieniu, nie zakocha się w Maryni, to zamknę przed panem drzwi“. On jej odpowiedział z wielką fantazją, że jedzie tylko wydusić pieniądze, nie zakochać się, ale to nie była prawda. Gdyby w Krzemieniu nie było panny Pławickiej, byłby zapewne dusił pana Pławickiego w dalszym ciągu listownie, albo sposobami prawnymi. Myślał też o niej i o tem, jak ona wygląda, już w drodze, i był zły, że jedzie także po pieniądze. Wmawiając w siebie wielką stanowczość w takich razach, postanowił przedewszystkiem dochodzić swej należności i raczej gotów był przesadzić, niż nie dosadzić w terminie. Obiecywał to sobie, zwłaszcza pierwszego wieczora, gdyż Marynia, jakkolwiek podobała mu się dosyć, nie uczyniła na nim tak wielkiego wrażenia,

jak myślał, a raczej uczyniła inne. Ale dzisiejszego rana bardzo wpadła mu w oko. „Sama jest, jak ranek — mówił sobie — ładna, i wie, że ładna! Kobiety zawsze to wiedzą!“

To ostatnie odkrycie usposobiło go dość niecierpliwie, albowiem pragnął wrócić jak najprędzej do Krzemienia, by dalej obserwować kobiety na tym okazie, który w Krzemieniu mieszkał. Jakoż msza skończyła się niebawem, pan Pławicki wyszedł zaraz po przeżegnaniu, miał bowiem jeszcze przed sobą dwa obowiązki: pierwszy, pomodlenia się na grobach obu żon, które leżały pod kościołem, drugi — odprowadzenia pani Jamiszowej do powozu; że zaś żadnego nie chciał opuścić, więc musiał się liczyć z czasem. Połaniecki wyszedł z nim razem, i wkrótce znaleźli się przed płytami kamiennymi, wprawionemi tuż obok siebie w ścianę kościelną. Pan Pławicki klęknął i modlił się przez chwilę w skupieniu, potem, wstawszy, obtarł łzy, które naprawdę zawisły mu na rzesach, a wreszcie, wzięwszy Połanieckiego pod ramię, rzekł:

— Tak! straciłem obie — i żyć muszę.

Tymczasem przed kościelnymi drzwiami ukazała się pani Jamiszowa w towarzystwie męża, tych dwóch sąsiadów, którzy ją obmawiali przede mszą i młodego pana Gątowskiego. Na jej widok pan Pławicki pochylił się do ucha Połanieckiego i rzekł:

— Jak będzie wsiadała do powozu, uważ, jaką ma jeszcze nogę.

Po chwili złączyli się obaj z towarzystwem; rozpoczęły się ukłony i powitania. Pan Pławicki przedstawił Połanieckiego, potem, zwracając się do pani Jamiszowej,

dodał z uśmiechem człowieka, przekonanego, że mówi coś, na co nie byłooby się zdobył:

— Mój krewny, który przyjechał wujaszka uściskać i... przycisnąć...

— Pozwalamy tylko na pierwsze, inaczej będzie z nami sprawa — odrzekła dama.

— Ale Krzemień, to twarda rzecz — mówił dalej Pławicki — połamie sobie na nim zęby, choć młody.

Pani Jamiszowa przymknęła oczy.

— Ta łatwość — rzekła — z jaką pan temi iskrami sypie... c'est inoui! Jak dziś zdrowie pana?

— W tej chwili czuję się zdrow i młody.

— A Marynia?

— Była na rannej mszy. Czekamy państwa o piątej. Moja mała gosposia łamie sobie tam główkę nad podwieczorkiem. Śliczny dzień...

— Więc przyjedziemy, jeśli moja newralgia mi pozwoli... i jeśli pan mąż pozwoli.

— Sąsiedzie? jakże? — spytał pan Pławicki.

— Zawsze chętnie, owszem! — odpowiedział zgnębionym głosem sąsiad.

— Zatem, au revoir!

— Au revoir! odpowiedziała pani.

I, zwróciwszy się do Połanieckiego, wyciągnęła do niego rękę:

— Miło mi było poznać pana.

Pan Pławicki podał jej ramię i odprowadził do powoziku. Dwaj sąsiedzi odjechali również, Połaniecki został przez chwilę sam z panem Gątowskim, który przypatrywał mu się dość niechętnie. Połaniecki pamiętał go nie-

zgrabnym chłopakiem, teraz zaś z „niedźwiadka“ wyrósł mężczyzna duży i może przyciężki w ruchach, ale raczej przystojny, z bardzo pięknym, jasnym wąsem. Połaniecki nie zaczynał z nim rozmowy, czekając, aż tamten pierwszy się odezwie, lecz ów, zasadziwszy ręce w kieszenie, milczał uparcie.

— Dawne maniery mu zostały — pomyślał Połaniecki.

I z kolei uczuł także niechęć do tego mruka.

Tymczasem pan Pławicki, wróciwszy od powozu Jamiszów, spytał naprzód Połanieckiego: „Uważałeś“? — a potem rzekł:

— No, Gątosiu, pojedziesz swoją bryczką, bo w koczku tylko dwa miejsca.

— Pojadę bryką, bo wiozę psa dla panny Maryi — odpowiedział młody człowiek.

I, skłoniwszy się, odszedł. Po chwili Pławicki i Połaniecki znaleźli się na drodze do Krzemienia.

— Ten Gątoski, to też podobno jakiś powinowaty wuja? — spytał Połaniecki.

— Dziewiąta woda po kisielu. Oni bardzo podupadli. Ten, Adolf, ma jeden folwarczek i pustki w kieszeni.

— Ale w sercu pewnie nie pustki?

Pan Pławicki wydał usta:

— Tem gorzej dla niego, jeśli mu się coś marzy. Może on i dobry człowiek, ale symplak. Ani to wychowania, ani wykształcenia, ani majątku. Marynia lubi go — raczej: znosi.

— A, znosi?

— Widzisz, jest tak: ja poświęcam się dla niej i sie-

dzę na wsi, ona poświęca się dla mnie i siedzi na wsi. Tu są pustki; pani Jamiszowa jest znacznie od niej starsza, młodzieży wogóle niema, życie nudne, ale co robić? Pamiętaj, mój chłopcze, że życie to szereg poświęceń. Trzeba tę zasadę nosić w sercu i w głowie. Zwłaszcza ci, co należą do uczciwych i trochę widniejszych rodzin, nie powinni o niej zapominać. A Gątowski bywa zawsze u nas w niedzielę na obiedzie — i dziś, jak słyszałeś, wiezie psa.

Umilkli-i jechali wolniej po piasku. Sroki przelatywały teraz przed nimi z brzozy na brzozę w stronę Krzemienia. Za powozikiem jechał na bryczce pan Gątowski, który, rozmysławając o Połanieckim, mówił sobie:

— Jeśli przyjechał ich gnębić, jako wierzyciel, nadkręcę mu karku, jeśli jako konkurent — nadkręcę mu też.

Z dziecinnych lat miał on nieprzyjazne dla Połanieckiego uczucia. Niegdyś spotykali się oni czasem i wówczas Połaniecki go wysmiewał, albo, jako starszy o parę lat, nawet bijał.

Wreszcie przyjechali i w pół godziny później znaleźli się wszyscy wraz z panną Marynią w jadalnym pokoju przy stole. Młody psiak, przywieziony przez Gątowskiego, korzystając z przywileju gościa, kręcił się pod stołem, a czasem wspinał się na kolana obecnych z wielkiem zaufaniem i radością, objawianą za pomocą kiwania ogonem.

— To jest Gordon, ceter — mówił Gątowski — on jest jeszcze głupi, ale to mądre psy i przywiązują się okrutnie.

— Śliczny jest i bardzom panu wdzięczna — od-

powiedziała panna Pławicka, patrząc na lśniaco-czarną szerść i żółte piętna nad oczyma psa.

— Zanadto przyjemny — dodał pan Pławicki, pokrywając kolana serwetą.

— Do pola też takie lepsze od zwyczajnych ceterów.

— Pani i poluje? — spytał Połaniecki.

— Nie, nigdy nie miałam do tego ochoty. A pan?

— A ja czasem. Zresztą żyję w mieście.

— Dużo bywasz? — spytał pan Pławicki.

— Prawie nigdzie. U pani Emilii, u mojego współnika Bigiela, u Waskowskiego, który był niegdyś moim profesorem, a który teraz jest dziwakiem — i oto wszystko. Oczywiście czasem chodzę do ludzi, gdy mam do nich interesa.

— To źle, mój chłopcze. Młody człowiek powinien mieć i utrzymywać dobre stosunki towarzyskie, zwłaszcza, gdy ma do nich prawo. Kto się potrzebuje pięć, to co innego, ale ty, jako Połaniecki, możesz wszędzie bywać. Ja ci to powiadam. Z Marynią wiecznie mam te same historye. Dwa lata temu, gdy skończyła ośmnaście lat, zawiozłem ją w zimie do Warszawy. Rozumiesz, że tego się darmo nie robi i że to wymagało pewnych ofiar z mojej strony. No i cóż? Siedziała po całych dniach u pani Emilii i czytały książki. Dzikus mi się urodził i dzikus pozostanie: możecie sobie podać ręce.

— Podajmy sobie ręce! — zawołał wesóło Połaniecki.

A ona odrzekła, śmiejąc się:

— Kiedy, sumiennie, nie mogę, bo to niezupełnie tak było: czytałam książki z Emilką, prawda, ale bywaliśmy z papą dużo i wytańczyłam się na całe życie.

— Niech się pani nie zarzeka.

— Nie! ja się nie zarzekam, tylko nie tęsknię.

— To widocznie nie wywozła pani wspomnień.

— Widocznie. Została mi tylko pamięć, ale to jest co innego.

— Tego ja, pani, nie rozumiem.

— Bo pamięć, to jest skład, w którym leży przeszłość, a wspomnienie ma miejsce wówczas, gdy się do tego składu schodzi, żeby coś wydobyć.

Tu panna Marynia przestraszyła się nieco własną odwagą, z jaką zapuściła się w filozoficzny wywód nad różnicą pamięci i wspomnień, skutkiem czego zaczerwieniła się dość mocno; Połaniecki zaś pomyślał:

— I niegłupia, i śliczna.

Głośno zaś rzekł:

— Mnie to do głowy nie przyszło, a to takie łatwe.

I objął ją oczyma, pełnemi sympatyi. Była rzeczywiście bardzo ładna, bo uśmiechnięta, nieco zmieszana pochwałą, a zarazem i uradowana nią szczerze. Zarumieniła się jeszcze więcej, gdy śmiały młody człowiek rzekł:

— Jutro, przed wyjazdem, poproszę o miejsce... choć w składzie.

Ale on mówił to tak wesoło, że nie można się było na niego gniewać, i że panna Marynia odpowiedziała mu nie bez pewnej kokieteryi:

— Dobrze, ale i ja wzajemnie...

— W takim razie musiałbym schodzić do składu tak często, że wolę od razu w nim zamieszkać.

To wydało się pannie Pławickiej nieco za śmiałe na tak krótką znajomość, ale tymczasem pan Pławicki ozwał się:

— Podoba mi się Połaniecki. Wolę go od Gątosia, który siedzi, jak mruk.

— Bo ja umiem mówić tylko o tem, co się da wziąć w rękę — odpowiedział z pewnym smutkiem młody człowiek.

— To weź w rękę widelec — i jedz.

Połaniecki uśmiechnął się, panna Marynia nie, gdyż żal jej się zrobiło Gątowskiego, skutkiem czego skierowała rozmowę na rzeczy, które dadzą się wziąć w rękę.

— Albo kokietka, albo ma dobre serce — pomyślał znów Połaniecki.

Lecz pan Pławicki, który widocznie przypomniał sobie ostatni pobyt zimowy w Warszawie, spytał:

— Powiedz mi Stachu, ty znasz Bukackiego?

— Jakże. To przecie mój bliższy krewny, niż wuja.

— My z całym światem jesteśmy krewni — literalnie z całym światem. Bukacki, to był najgorliwszy tancerz Maryni. Obtańcowywał ją na wszystkich wieczorach.

Połaniecki zaczął się znowu śmiać.

— I za całą nagrodę poszedł do składu, w kurz. No, ale tego przynajmniej odkurzać nie trzeba, bo taki koło siebie staranny, jak np. wujaszek. To największy elegant w Warszawie. Co on porabia? Administruje świeżem powietrzem, to się znaczy, że jak pogoda, wychodzi lub wyjeżdża na spacer. Przytem jest oryginał, który ma jakieś szczególne zakomórki w głowie. Ten człowiek podpatruje takie rozmaite rzeczy, któremi nikt innyby się nie zajmował. Kiedyś, po jego powrocie z Wenecyi, spotykam go i pytam, co tam widział, a on mi odpowiada: „Widziałem na Riva degli Schiavoni, jak raz płynęło pół

skorupki od jajka i pół cytryny: stykały się, potraçały, oddalały, zbliżały, wreszcie — paf! pół cytryny wpadło w pół jajka i popłynęły razem. Patrz, co to znaczy harmonia!“ Oto, czem zajmuje się Bukacki, choć dużo umie i np. na sztuce zna się dobrze.

— A mówią o nim, że bardzo zdolny?

— Może, ale do niczego. Zjada chleb — i na tem koniec. Żeby przynajmniej był przytem wesoly, ale on jest w gruncie rzeczy melancholik. Zapomniałem powiedzieć: i kocha się w pani Emilii.

— Emilka dużo przyjmuje? — spytała panfa Marynia.

— Nie. Bywam ja, Waskowski, bywa Bukacki, no i jeszcze Maszko, adwokat, ten, co to kupuje i sprzedaje majątki ziemskie.

— Ona pewnie i nie bardzo może przyjmować, bo dużo czasu musi poświęcać Litce.

— Biedactwo drogie — rzekł Połaniecki — Pan Bógby dał, żeby jej przynajmniej pomógł ten Reichenhall!

I wesola twarz jego pokryła się w jednej chwili prawdziwym smutkiem. Teraz panna Marynia spojrzala na niego oczyma, pełnemi sympatyi — i z kolei pomyslała po raz drugi:

— On jednak musi być naprawdę dobry.

A pan Pławicki zaczął mówić, jakby sam do siebie:

— Maszko, Maszko... Ten także kręcił się koło Maryni. Ale ona go nie lubiła. Co do majątków, ceny teraz takie, że pożal się Boże.

— Właśnie Maszko twierdzi, że w tych warunkach dobrze jest kupować.

Tymczasem obiad się skończył i przeszli do salonu

na kawę, podczas której pan Pławicki dworował sobie z pana Gątowskiego, co zwykł był czynić w chwilach dobrego humoru i co młody człowiek znosił cierpliwie ze względu na pannę Marynię, ale z miną, która zdawała się mówić: „Ej, żeby nie ona, wytrząsłbym z ciebie wszystkie kości!“ Po kawie panna Marynia siadła do fortepianu, podczas gdy ojciec kładł pasyansa. Grała nieszczególnie, ale jej jasne i spokojne czoło ładnie rysowało się nad pulpitem. Koło piątej pan Pławicki spojrzął na zegarek i rzekł:

— Jamiszowie nie przyjeżdżają.

— Przyjadą jeszcze — odpowiedziała Marynia.

Ale on od tej pory ciągle spoglądał na zegarek i co chwila ogłaszał nowinę, że Jamiszowie nie przyjeżdżają. Nakoniec koło szóstej rzekł grobowym głosem:

— Musiało się zdarzyć nieszczęście.

Połaniecki stał w tej chwili koło panny Maryni, która rzekła przyciszonym głosem:

— Oto i bieda! Tam się pewnie nic nie stało, ale papa będzie do wieczora w złym humorze.

Połaniecki chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć, że za to nazajutrz, jak się wyśpi, to będzie w dobrym, ale widząc istotną troskę na twarzy panny, odrzekł:

— To, ile pamiętam, niedaleko: niech pani pośle kogo dowiedzieć się, co się stało.

— Możeby posłać kogo, papo?

Lecz on odpowiedział z goryczą:

— Zbytek łaski. Pojadę sam.

I, zadzwoniwszy na służącego, wydał polecenie, by zaprzęgano. Poczem zastanowił się przez chwilę i rzekł:

— Enfin, na wsi zawsze może się trafić, że ktoś przyjedzie i zastanie moją córkę samą. To nie miasto. Przytem jesteście krewni. Ty, Gątownski, możesz mi być potrzebny, więc bądź łaskaw pojechać ze mną.

Wyraz najwyższej niechęci i niezadowolenia odbił się na twarzy młodego człowieka. Przeciągnął ręką po swej płowej czuprynie i rzekł:

— Nad stawem jest wyciągnięte czółno, którego ogrodnik nie może zepchnąć; obiecałem pannie Maryi, że je zepchnę, tylko ostatniej niedzieli nie puściła mnie, bo lało, jak z cebra.

— To skocz i spróbuj, do stawu trzydzieści kroków, za parę minut wrócisz.

Gątownski, rad nie rad, wyszedł do ogrodu, pan Pławicki zaś, nie zwracając uwagi na Połanieckiego i córkę, powtarzał, chodząc po pokoju:

— Newralgia w głowie, założyłbym się, że newralgia w głowie; Gątownski, w razie potrzeby, może skoczyć po doktora. Ten safandula, ten radca bez rady, pewnoby nie posłał.

I, potrzebując widocznie wyrzucić na kims swój zły humor, dodał, zwracając się do Połanieckiego:

— Nie uwierzysz, co to za cymbał!

— Kto taki?

— Jamisz.

— Ale, papo... — zaczęła panna Marynia.

Lecz pan Pławicki nie dał jej skończyć i rzekł ze wzrastającym złym humorem:

— Wiem! Nie podoba ci się to, że ona okazuje mi trochę przyjaźni i troskliwości. Czytaj sobie artykuły rol-

nicze pana Jamisza, uwielbiaj go, stawiaj mu posągi, ale pozwól mi mieć moje sympaty.

Tu Połaniecki mógł podziwiać istotną słodycz panny Maryni, gdyż, zamiast się zniecierpliwić, podbiegła do ojca i, podsuwając czoło pod jego uczernione wąsiki, rzekła:

— Zaraz zaprzęgną, zaraz! Może trzeba, żebym i ja pojechała, a tymczasem niech się brzydki tatuś nie gniewa, bo sobie zaszkodzi.

Pan Pławicki, który rzeczywiście był do niej mocno przywiązany, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Wiem, że w gruncie rzeczy masz dobre serce, ale co tam znów Gąrowski robi?

I przez otwarte drzwi ogrodowe począł wołać na młodego człowieka, który też powrócił niebawem zmęczony i rzekł:

— W środku stoi woda i za daleko wyciągnięte; próbowałem i nie mogę.

— To bierz czapkę i ruszajmy, bo slysze, że zajechali. W chwilę potem młodzi ludzie zostali sami.

— Papa przywykł do trochę wykwinniejszego towarzystwa, niż jest na wsi — rzekła panna Marynia — więc dlatego lubi panią Jamiszową, ale i pan Jamisz jest bardzo zacny i rozumny człowiek.

— Widziałem go w kościele. Wydał mi się, jakby przybity.

— Bo naprawdę, to on jest chory, a przytem bardzo zapracowany.

— Tak, jak pani.

— Nie. Pan Jamisz doskonale prowadzi gospodarstwo, a przytem dużo pisuje o rzeczach rolniczych. Na-

prawdę jest to lumen naszej okolicy. I taki zacny człowiek! Ona również dobra kobieta, tylko dla mnie nieco przesadna.

— Ex-piękność!

— Tak. Przyczynia się też do jej przesady i to ciągle życie na wsi, przez które się trochę rdzewieje. Myślę, że w mieście wszystkie dziwactwa ludzkie i śmieszności ściągają się wzajemnie, a na wsi łatwiej ludzie zmieniają się w oryginałów. Zwolna odwyka się od towarzystwa, zachowuje się jakiś przestarzały sposób w obejściu z ludźmi i dochodzi się do przesady. My wszyscy musimy się ludziom z wielkich miast wydawać zardzewiali i trochę śmieszni.

— Nie wszyscy. Bynajmniej! — odpowiedział Połaniecki. — Pani na przykład — bynajmniej!

— Więc to przyjdzie z czasem — odpowiedziała z uśmiechem.

— Czas może także przynieść zmiany.

— U nas tak mało się zmienia — i najczęściej na gorsze.

— Ale w życiu panien wogóle zmiany są przewidywane.

— Chciałabym naprzód, byśmy z papą mogli przyjść do ładu z Krzemieniem.

— Więc ojciec i Krzemień, to dwa główne, jedyne cele w życiu pani?

— Tak. Ale mało mogę pomódz, bo się mało znam na czemkolwiek.

— Papa, Krzemień — i nic więcej! — powtórzył Połaniecki.

Nastala chwila przerwy w rozmowie, po której panna Marynia spytała Połanieckiego, czy nie zechce pójść do ogrodu. Poszli i wkrótce znaleźli się nad brzegiem stawu. Połaniecki, który za granicą należał do różnych stowarzyszeń sportowych, zepchnął na wodę czółno, któremu Gątowski nie mógł poradzić, ale pokazało się, że jest dziurawe i że nie można niem pływać.

— Oto przykład, co jest moje gospodarstwo! — rzekła, śmiejąc się, panna Marynia. — We wszystkim i wszędzie woda przecieka. I nie wiem, jak się usprawiedliwić, bo ogród i staw należą wyłącznie do mnie. Ale przed spustem każę czółno naprawić.

— Bodaj, że to jeszcze to samo, w którym zakazywano mi jeździć, gdy byłem małym chłopcem.

— Bardzo być może. Czy pan uważał, że rzeczy daleko się mniej zmieniają i dłużej trwają, niż ludzie. Czasem smutno o tem myśleć.

— Miejmy nadzieję, że będziemy trwali dłużej, niż to czółno zmurszałe i nasiąknięte, jak gąbka, wodą. Jeżeli to samo, co za moich dziecinnych lat, to nie mam do niego szczęścia. Dawniej nie pozwalano mi na niem jeździć, a teraz skaleczyłem sobie rękę o jakiś spróchniały gwóźdź.

To rzekłszy, wydobył z kieszeni chustkę i począł lewą ręką owijać palec prawej. Ale szło mu tak niezgrabnie, że panna Marynia, widząc to, rzekła:

— Nie da pan sobie rady, trzeba pomódz.

I zaczęła obwiązywać mu dłoń, którą on kręcił nieznacznie, by jej utrudnić zadanie, bo miło mu było czuć jej delikatne palce przy swoich. Ona spostrzegła, że

jej przeszkadza i spojrzała na niego, ale w chwili, gdy ich oczy się spotkały, pojęła powód i, zarumieniona, schyliła się, chcąc niby wiązać uważniej. Połaniecki uczuł ją blisko, uczuł ciepło, bijące od niej, więc i jemu serce zabiło żywiej.

— Mam bardzo miłe wspomnienia — rzekł — z dawnych moich tutejszych wakacyi, ale teraz wywiozę jeszcze milsze. Pani jest bardzo dobra, a przytem zupełnie, jak jaki kwiat, w tym Krzemieniu. Pod słowem, nie przesadzam.

Panna Marynia zrozumiała, że młody człowiek mówi to szczerze, może nieco za śmiało, ale raczej przez wrodzoną żywość, niż dlatego, że został z nią sam na sam; więc nie obraziła się, tylko zaczęła niby gderać żartobliwie swoim miłym, przyciszonym głosem:

— Proszę mi nie mówić grzeczności, bo naprzód źle obwiążę rękę, a powtóre ucieknę.

— To niech pani źle obwiąże rękę, ale zostanie. Taki śliczny wieczór.

Marynia skończyła robotę z chustką i poszli dalej. Wieczór rzeczywiście zapowiadał się śliczny. Słońce zniżało się, staw, nie marszczony powiewem wiatru, lśnił ogniem i złotem. W dali, za wodą, majaczały spokojnie olszyny; bliższe drzewa rysowały się w zarumienionem już powietrzu bardzo czysto. Na podwórzu, za domem, klekotały bociany.

— Miły Krzemień, bardzo miły! — powtarzał Połaniecki.

— Bardzo — odpowiedziała Marynia.

— To też ja rozumiem pani przywiązanie do tego

miejsca. Przytem, jak się w coś wkłada pracę, to to jeszcze bardziej przywiązuje. Rozumiem też, że na wsi można mieć dobre chwile... Ot, jak teraz. Przecie tu jest tak dobrze. W mieście ogarnia czasem zmęczenie, zwłaszcza tych, którzy, jak ja, siedzą po uszy w rachunkach, a przytem są samotni. Bigiel, mój współnik, ma żonę i dzieci — to dobrze! Ale ja co? Ja nieraz mówię sobie: Ot, pracuję i co mi z tego? Dajmy na to, że będę miał trochę pieniędzy — i co dalej? — nic. Jutro zawsze takie same, jak dziś, robota i robota! Widzi pani, jak się człowiek wciągnie w coś, jak idzie tym pędem, np. robienia pieniędzy, to mu się zdaje, że to cel. Ale przychodzą chwile, w których myślę, że mój oryginał Waskowski ma słuszość, i że nikt, kto się kończy na *ski*, albo na *wicz*, nie potrafi włożyć w to całej duszy i poprzestać na tem wyłącznie. On powiada, że w nas jeszcze za świeża pamięć poprzedniego istnienia, i że wogóle Słowianie mają inną misję. To jest wielki oryginał i filozof i mityk. Ja się z nim sprzecząm i robię pieniądze, jak mogę, ale teraz naprzykład, jak tak chodzę z panią po tym ogrodzie, to, doprawdy, zdaje mi się, że on ma słuszość.

I przez chwilę szli w milczeniu. Światło stawało się coraz bardziej rumiane i twarze mieli jakby zanurzone w czerwonym blasku. Przyjazne, wzajemne uczucia wzrastały w nich z każdą chwilą. Było im z sobą dobrze i spokojnie.

Połaniecki odczuwał to widocznie, gdyż po niejakiem czasie rzekł:

— Co mnie pani Chwastowska mówiła i co jest prawda, to, że do pani ma się w godzinę po poznaniu wię-

cej ufności i bliżej się jest z nią, niż z kim innym w miesiąc. Teraz to sprawdziłem. Zdaje mi się, że panią znam od dawna. Myślę, że tylko osoby niezwykle dobre robią takie wrażenie.

A panna Marynia odpowiedziała z prostotą:

— Emilka kocha mnie bardzo i dlatego mnie chwali. Choćby to była prawda, co ona mówi, to jednak przypuszczam, że nie ze wszystkimi taka być potrafię.

— Wczoraj, rzeczywiście, zrobiła pani na mnie inne wrażenie, ale była pani zmęczona i senna.

— Byłam trochę.

— I czemu pani spać nie poszła! Służący mógł mi zrobić herbaty, a wreszcie byłoby się i bez tego obeszło.

— Nie, tak mało gościnni nie jesteśmy. Papa mówił, że wypada, by które z nas pana przyjęło. Bałam się, że zechce sam czekać, a jemu to szkodzi, więc wolałam go zastąpić.

Połaniecki pomyślał: „Pod tym względem mogłaś być spokojną, ale jesteś poczciwa, że starego egoistę osłaniasz.“

Następnie rzekł:

— Przepraszam panią i za to, że zaraz zacząłem mówić o interesach. To kupieckie przyzwyczajenie. Ale też potem sam sobie powiedziałem: „Jesteś taki, owa-ki!“ — i ze wstydem przepraszam.

— Niema za co, bo niema winy. Panu powiedziano, że ja się wszystkim zajmuję, więc pan udał się do mnie.

Zwolna zorze rozpały się coraz mocniej. Po jakim czasie wrócili ku domowi, o ile że wieczór zapowiadał się piękny, więc siedli na werandzie ogrodowej.

Połaniecki wszedł na chwilę do salonu, poczem wrócił ze stołeczkiem od nóg i, przyklękawszy, zaczął go podsuwać pod stopy panny Maryni.

— Dziękuję, bardzo dziękuję—odpowiedziała, pochylając się i obejmując rękoma suknię—jaki pan dobry! dziękuję bardzo!

A on mówił:

— Ja jestem z natury nieuważny, ale wie pani, kto mnie nauczył trochę troskliwości? Litka. Ją trzeba nadzwyczaj ochraniać i pani Chwastowska musi o tem pamiętać.

— I ona pamięta — odrzekła panna Marynia — i wszyscy będziemy jej w tem pomagali. Gdyby była nie wyjechała do Reichenhallu, byłabym ją zaprosiła do nas.

— A jabym przyjechał za Litką bez zaproszenia.

— Więc zapraszam pana w imieniu papy raz na zawsze.

— Niech pani tego lekko nie mówi, bom gotów nadużyć grzeczności. Mnie tu jest bardzo dobrze, więc, ilekroć będzie mi źle w Warszawie, to tu ucieknę—pod opiekę pani...

Teraz Połaniecki wiedział już, że słowa jego przeznaczone są na to, by ich zbliżyć, by nawiązać między nimi sympatyę, i mówił je równie umyślnie, jak szczerze, a mówiąc, patrzył na tę łagodną, młodą twarz, która, oświecona zachodzącym słońcem, wydawała się jeszcze spokojniejsza niż zwykle. Panna Marynia podniosła też na niego swe niebieskie oczy, w których było jakby pytanie: „Czy mówisz to wypadkiem, czy umyślnie?“ i odrzekła nieco ciszej:

— Dobrze.

I oboje umilkli, czując, że istotnie coś zawiązuje się między nimi.

— Dziwi mnie, że papa nie wraca — rzekła wreszcie panna Marynia.

Rzeczywiście słońce zaszło; w czerwonym zmierzchu począł krążyć cichym lotem lelek, a w stawie ozwały się żaby.

Lecz Połaniecki nie odpowiedział na uwagę panienki i, jakby pogrążony we własnych myślach, zaczął mówić:

— Ja nie analizuję życia, bo nie mam na to czasu. Gdy mi jest dobrze, jak naprzykład w tej chwili, to czuję, że dobrze, gdy źle, to źle — ot i wszystko. Ale przed pięciu lub sześciu laty było inaczej. Była nas cała paczka ludzi, którzy się schodzili na rozprawy o znaczeniu życia. Było kilku uczonych i jeden literat, dziś dość znany w Belgii. Zadawaliśmy sobie pytania: dokąd idziemy, jaki wszystko ma sens, jaką wartość i jaki koniec? Czytywaliśmy pesymistów i gubiliśmy się w rozmaitych pytaniach, bez dna, tak jak mój jeden znajomy, asystent przy katedrze astronomii, który, jak zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg... I potem mu się zdawało, że jego głowa krąży po paraboli w nieskończoności... Później wyzdrowiał i został księdzem. My również nie mogliśmy do niczego dojść, na niczem odpocząć... Zupełnie jak to ptactwo, które leci przez morza i nie ma na czem usiąść. Ale ja wreszcie spostrzegłem dwie rzeczy: oto naprzód, że moi Belgowie biorą to wszystko mniej do serca, niż ja... my jesteśmy naiwniejsi... Powtóre, że mi się ochota do roboty psuje

i że robię się niedołągą. Wówczas wziąłem się za uszy i zacząłem na umor farbować perkaliki. Potem też powiedziałem sobie tak: życie jest w prawach natury — czy mądrych, czy głupich, mniejsza z tem — ale jest. Życie trzeba, więc trzeba z życia wydobyć, co się da. I chcę coś wydobyć. Waskowski powiada wprawdzie, że my, Słowianie, nie potrafimy na tem poprzestać, ale to się tak gada. Że na samych pieniądzach nie potrafimy — na to od biedy zgoda. Ale ja sobie powiedziałem, że prócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój — i wie pani co? — kobieta. Bo trzeba, żeby człowiek miał się z kimś wszystkim podzielić. Potem musi być śmierć — dobrze! ale gdzie się zaczyna śmierć, tam się ludzka głowa kończy. „That's not my business!“ jak powiada Anglik. Tymczasem trzeba mieć komu to oddać, co człowiek ma i zdobywa — czy to pieniądze, czy zasługę, czy sławę... Jeśli są dyamenty na księżycu, to wszystko jedno, bo niema nikogo, ktoby uznał, że one coś warte. Tak samo i człowiek musi mieć kogoś, ktoby go uznawał. A ja sobie myślę: kto mnie uzna, jeśli nie kobieta — byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja i bardzo kochana. To wszystko, czego można chcieć, bo z tego idzie spokój — i to jest jedyna rzecz, która ma sens. Ja to mówię nie jako poeta, ale jako człowiek pozytywny i kupiec. Mieć przy sobie drugą głowę — to jest i cel. A potem niech będzie co chce. Oto moja filozofia.

Połaniecki twierdził, że mówi jak kupiec, ale mówił także jak człowiek rozmarzony, bo tak podziałal na niego i ten wieczór letni, i obecność tej młodej dziewczyny, która pod tak wieloma względami odpowiadała tym wy-

głoszonym przed chwilą poglądom. Połanieckiemu również musiało to przyjść do głowy, gdyż, zwróciwszy się wprost do niej, rzekł:

— Ja tak ot myślę, ale i z tem się zwykle przed ludźmi nie wygaduję. Dziś mi się jakoś na to zebrało, bo powtarzam, że pani Emilia ma słuszość: z panią się jest w jeden dzień bliżej, niż z innemi w rok. Pani musi być bajecznie dobra! Oto, byłbym głupstwo zrobił, gdybym nie przyjechał do Krzemienia. I będę przyjeżdżał tak często, jak pani pozwoli.

— Niech pan przyjeżdża... często.

— Dziękuję.

I wyciągnął rękę, a panna Marynia podała mu także dłoń, jakby na znak przymierza.

Ach, jak i on się jej podobał, ze swoją twarzą szczerą, męską, ze swoją ciemną czupryną i pewną dzielnością w całej postawie, ze swemi żywymi oczyma! Przywiózł przytem tyle tych tchnień, których jej w Krzemieniu brakło; jakieś nowe widnokregi, wybiegające daleko poza staw i olszyny, które zamykały widnokrąg krzemieński. Zrobili też jednego dnia tyle drogi, ile jej można było zrobić.

Siedzieli więc znowu jakiś czas w milczeniu i wędrowali dalej, w milczeniu równie pospiesznie, jak w rozmowie. Marynia wskazała wreszcie ręką na światło, które się zwiększało za olszynami. i rzekła:

— Księżyc.

— Aha! księżyc! — powtórzył Połaniecki.

Ów zaś rzeczywiście wysuwał się zwolna z za olszyn, czerwony i wielki jak koło. Ale tymczasem psy zaszczekały, powozik zaturkotał z drugiej strony domu, i po

chwili, w salonie, do którego poprzednio już wniesiono lampy, ukazał się pan Pławicki.

Marynia weszła do salonu, Połaniecki za nią.

— Nic się nie stało — rzekł pan Pławicki. — Zajeżdżała ich Chromecka, że zaś myśleli, że odjedzie wkrótce, więc nie dawali znać. Jamisz trochę chory, ale jutro wybiera się do Warszawy. Ona obiecała się tu pojutrze.

— Więc wszystko dobrze? — spytała Marynia.

— Dobrze. A wy coście tu porabiali?

— Słuchaliśmy żab — odpowiedział Połaniecki — i dobrze nam było.

— Pan Bóg wiedział na co i żaby stworzył, więc choć mi spać po nocy nie dają, nie narzekam. Ale tymczasem niech Marynia da herbaty.

Herbata czekała gotowa w drugim pokoju. Pan Pławicki opowiadał przy niej o swojej wizycie u Jamiszów. Młodzi byli milczący, tylko od czasu do czasu spoglądali na siebie pełnemi światła oczyma i na dobranoc uścisnęli się bardzo mocno za ręce.

Panna Marynia czuła pewną ociężałość, rozbierając się, jakby ją ten dzień zmęczył; ale było to dziwne jakieś i miłe zmęczenie. Potem, gdy już jej główka wsparła się na poduszce, nie myślała o tem, że jutro poniedziałek, że zaczyna się nowy tydzień powszedniej roboty, tylko myślała o Połanieckim i w uszach jej brzmiały jego wyrazy:

— Kto mnie uzna, jeśli nie kobieta, byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna, bardzo moja i bardzo kochana.

Połaniecki zaś mówił sobie, zapalając w łóżku papierosa:

— Dobrze to, śliczne, miłe — gdzie taka druga?

III.

Lecz nazajutrz był szary dzień i panna Pławicka obudziła się z wyrzutami. Zdawało jej się, że wczoraj dała się unieść jakiemuś prądowi dalej, niż należało i że wprost była z Połanieckim kokietką. Przejmowało ją to szczególnym niesmakiem z tego głównie powodu, że jednak ów Połaniecki przyjechał jako wierzyciel. Wczoraj o tem zapomniała, dziś zaś mówiła sobie: „Niechybnie przyjdzie mu do głowy, że go chciała ująć lub ułagodzić“ — i na tę myśl krew napłynęła jej do policzków i czoła. Miała ona naturę prawą i wiele ambicyi, która wzburzała się na każde przypuszczenie, że może być posądzoną o wyrachowanie. Teraz, uwierzywszy w możliwość takiego posądzenia, uczuła z góry jakby urazę do Połanieckiego. Jedną jeszcze przytem myśl była nad wszelki wyraz przykłą: oto wiedziała, że wogóle w kasie krzemienieckiej grosz nie może grosza dogonić, że pieniędzy niema, i że, jeżeli, wskutek zamierzonej parcelacyi Magierówki, były na nie w przyszłości widoki, to ojciec będzie się wykręcał, gdyż inne długi uważa za pilniejsze od długu Połanieckiego. Obiecywała sobie wprawdzie, że zrobi wszystko,

co będzie w jej mocy, by Połaniecki został koniecznie i przed innymi spleacony, ale wiedziała, że niewiele może wskórać. Ojciec wyręczał się nią chętnie w gospodarstwie, ale w sprawach pieniężnych rządził się sam i rzadko kiedy słuchał jej zdania. Rola jego pod tym względem polegała wprawdzie na wykręcaniu się wszystkim ze wszystkiego, na obietnicach nigdy niedotrzymywanych, na zwłokach i na przedstawianiu urojonych obliczeń i nadziei za rzeczywistość. Ponieważ dochodzenia wierzytelności, opartych na hipotekach ziemskich, same przez się są trudne i powolne, a obrona daje się przedłużać niemal dowolnie, przeto pan Pławicki trzymał się istotnie przy Krzemieniu dzięki swemu systemowi. W końcu groziło to wszystko równie nieubłaganą, jak zupełną ruiną, tymczasem jednak stary człowiek uważał się za „głowę od interesów“ i tem niechętniej słuchał zdań i rad córki, że zaraz posądza ją, iż wątpi o jego „głowie“ — to zaś obrażało w najwyższym stopniu jego miłość własną.

Panna Marynia przeszła już z powodu tej „głowy“ i jej sposobów przez niejedno upokorzenie. Życie jej wiejskie było tylko pozorną sielanką pracy i gospodarskich zajęć. Nie brakło w niem ani przykrości, ani bólów, i jej spokojna twarz mogła oznaczać nietylko słodycz charakteru, ale i jego siłę, a przytem wielkie wyrobienie duchowe. Lecz upokorzenie, które groziło teraz, wydało się jej trudniejsze do zniesienia od innych.

— „Niechże on przynajmniej mnie nie posądza!“ — mówiła sobie. Ale jak mogła na to poradzić? Pierwszą jej myślą było wezwać Połanieckiego na rozmowę, wprzód nimby się widział z jej ojcem, i wyznać mu cały stan

rzeczy, jak się wyznaje człowiekowi, do którego się ma ufnosć. Następnie przyszło jej do głowy, że taka rozmowa byłaby nie czem innym, jak prośbą o wyrozumiałość, litość, a zatem upokorzeniem. Gdyby nie to, że panna Marynia, jako kobieta odczuwająca wszystkie drgnienia swego serca i innych, czuła nawpół świadomie, nawpół instynktowo, że między nią a tym młodym człowiekiem coś się odrazu zapowiedziało, coś się już prawie zaczęło — a zwłaszcza, że coś mogło i musiało stać się w przyszłości nieuniknionem, byłaby się jednak chwyciła tej drogi. Lecz wobec takiego stanu rzeczy zdawało jej się, że nie może. Pozostawało jej tylko jedno: zobaczyć się z Połanieckim, zatrzeć swoim obejściem się z nim wczorajsze wrażenia, porozrywać te nici sympaty, które wzajem między sobą nawiązali, i dać mu zupełną swobodę postępowania. Taki sposób wydał jej się najlepszy, więc dowiedziawszy się od służącej, że Połaniecki nietylko już wstał, ale wyszedł po herbacie ku gościńcowi, postanowiła go odszukać.

I przyszło jej to łatwo, on bowiem wrócił już z rannej przechadzki i, stojąc za boczną ścieżką ganku, porośniętego dzikiem winem, rozmawiał z tymi samymi dwoma psami, które w dniu przyjazdu tak się do niego lasiły. Nie spostrzegł też jej od razu, i Marynia, stojąc na stopniach, słyszała, jak mówił do psów:

— To psiska żołąd biorą za pilnowanie domu — co? osypkę jedzą — co? a na obcych nie szczekają, jeszcze się laszą. A głupie kundysy, a próżniaki!

I klepał je po białych łowach. Następnie, ujrawszy ją przez szparę w winie, skoczył, jak wyrzucony z procy, i stanął przed nią wesół i rozjaśniony.

— Dzień dobry pani. Ja sobie tu z psami rozmawiam. Jak pani spała?

— Dziękuję.

I chłodno wyciągnęła ku niemu rękę, on zaś patrzył na nią oczyma, w których najwyraźniej widać było, jak wielką i głęboką przyjemność czyni mu jej widok.

I on nie mniej podobał się biednej pannie Maryni. Po prostu podobał jej się z całej duszy. Serce też ścisnęło się jej żalem, że na jego serdeczne „dzień dobry“ wypada jej odpowiadać tak ceremonialnie i zimno.

— Może pani idzie do gospodarstwa? To, jeśli pani pozwoli, pójdę razem. Dziś muszę wracać do miasta, więc dobra mi jedna więcej chwila w towarzystwie pani. Bóg widzi, że gdybym mógł, tobym został tu dłużej. Ale znam teraz drogę do Krzemienia.

— Prosimy zawsze, jeśli panu kiedykolwiek czas pozwoli.

Połaniecki zauważył teraz chłód bijący od jej słów, od jej twarzy, i zaczął patrzeć na nią ze zdziwieniem. Jeśli jednak panna Marynia liczyła, że uczyni on tak, jak zwykle ludzie czynią, i dostroi się natychmiast do jej tonu, to się zawiodła. Połaniecki zbyt był żywym i śmiałym, by od razu nie spytać o przyczynę.

Jakoż, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

— Coś pani jest?

Marynia zmieszana się:

— Pan się myli.

— Nie. I ja dobrze widzę, i pani dobrze wie, że się nie mylę. Pani jest dla mnie taka, jak była pierwszego wieczoru. Ale wtedy ja zawiniłem, bom zaczął nie w porę

mówić o pieniądzach. Wczoraj przeprosiłem panią za to i było dobrze — i jak dobrze! Dziś znów jest inaczej — niechże mi pani powie dlaczego?

Żadna, najzręczniejsza dyplomacya nie zdołałaby bardziej zbić z tropu panny Maryni. Oto jej się zdawało, że zdoła go swem postępowaniem oziębic i oddalić, on zaś, pytając tak wręcz, raczej zbliżał się jeszcze bardziej.

I mówił dalej tonem człowieka, któremu wyrządzają niesprawiedliwość:

— Niech mi pani powie szczerze, co to jest? niech pani powie! Ojciec pani mówił, że wczoraj miałem być gościem a dziś wierzycielem. Ale to jest głu..., to jest nic! Ja się na takich różnicach nie rozumiem, a wierzycielem pani nigdy nie będę, chyba dłużnikiem, bom już pani dłużny i wdzięczny za tę wczorajszą dobroć — i Bóg widzi, jak mi chodzi o to, bym zawsze mógł być dłużny.

I znów patrzył w jej oczy, pilnie bacząc, czy w nich nie zjawi się wczorajszy uśmiech; lecz Marynia, której serce ścisnęło się coraz bardziej, szła dalej drogą, którą obrała, raz dlatego, że ją już obrała, a powtóre i z obawy, by przyznawszy, że dziś jest inną, nie była zmuszoną do wyjaśniania przyczyn.

— Upewniam — odrzekła wreszcie z pewnem wysileniem — że albo się pan mylił wczoraj, albo się myli dziś. Ja jestem zawsze jednakowa i zawsze będzie mi miło, jeśli pan wywiezie od nas dobre wspomnienie.

Słowa były grzeczne, ale mówiła je panienka tak niepodobna do wczorajszej, że na twarzy Połanieckiego zaczęło się przebijać zniecierpliwienie i gniew.

— Jeśli pani chodzi o to — rzekł — bym udawał,

iz w to wierzę, to niech będzie, jak pani chce. Wyjadę jednak z przekonaniem, że na wsi poniedziałek bardzo się różni od niedzieli.

Marynię dotknęły te słowa, wyglądały one bowiem tak, jakby Połaniecki rościł sobie już jakieś prawa z powodu jej wczorajszego obejścia się z nim. Ale odpowiedziała raczej ze smutkiem, niż z gniewem:

— Cóż ja na to poradzę!

I po chwili odeszła, oświadczywszy, że musi pójść powiedzieć dzień dobry ojcu. Połaniecki został sam; odpedził psy, które znów próbowały lasić się, i zaczął się złościć.

— Coto jest? — pytał w duchu. — Wczoraj dobrze, dziś źle! Zupełnie inna kobieta. Jakie to wszystko głupie, jakie marne! Wczoraj krewny — dziś wierzyciel. Co jej do tego? Czemu mnie jak psa traktuje? Czym kogo ograł? Wiedziała i wczoraj, po com przyjechał. Dobrze! Chcecie mnie mieć wierzycielem, nie Połanieckim — dobrze! Niechże to piorun trzaśnie!

Marynia tymczasem wbiegła do pokoju ojca. Pan Pławicki wstał już i siedział przybrany w szlafrok przed biurkiem zapełnionem papierami. Na chwilę odwrócił się, by odpowiedzieć na dzień dobry córki, poczem zaraz zajął się nanowo czytaniem papierów.

— Papo — rzekła Marynia — przyszłam pomówić o panu Połanieckim... czy papa...

Lecz on jej przerwał, nie przestając patrzeć na papiery.

— Twojego Połanieckiego ugniotę w rękę, jak wosk.

— Wątpię, czy to będzie łatwo. Wreszcie jabym chciała, żeby on przed innymi był spleacony, choćby z największą naszą stratą.

Wówczas pan Pławicki odwrócił się od biurka i zaczął na nią patrzeć. Potem spytał zimno:

— Proszę. Czy to opieka nad nim, czy nademną?

— To jest kwestya naszego honoru...

— W czym, jak sądzisz, potrzebuję twojej rady?

— Nie, papo, ale...

— Co za patetyczny dzień nam nastał! Co tobie jest?

— Ja tylko proszę papy na wszystko...

— A ja cię także proszę, byś to zostawiła mnie.

Usunęłaś mnie od gospodarstwa — i ustąpiłem, bo o te parę lat, które mi do życia zostają, nie chcę się sprzeczać z rodzonem dzieckiem. Ale zostawże mi choć ten kąt w domu, choć tę jedną izbę, i pozwól mi załatwiać te sprawy, które się w niej załatwić dają.

— Papo drogi, przecie ja tylko proszę...

— Żebym się przeniósł na folwark? któreż czworaki mi wyznaczasz?

Tu pan Pławicki, który mówiąc o „patetycznym“ dniu, widocznie nie chciał tylko, by ktoś dzielił z nim monopol, powstał w swoim perskim szlafroku, jak król Lear, i chwycił za poręcz fotelu, dając przez to do zrozumienia okrutnej córce, że inaczej, rażony jej okrucieństwem, padłby jak długi na ziemię. Lecz jej lzy cisnęły się do oczu, a gorzkie poczucie własnej bezsilności napływało do serca. Przez chwilę stała w milczeniu, walcząc z żalem i ochotą do płaczu, poczem rzekła cicho:

— Przepraszam papę...

I wyszła z pokoju.

W kwadrans potem wszedł do niego, na żądanie

pana Pławickiego, Połaniecki, ale zły, rozdrażniony, lubo usiłujący nad sobą panować.

Pan Pławicki, powitawszy się z nim, usadził go przy sobie na krześle, z góry przygotowanym i, wzięwszy go dłonią za kolano, spytał:

— Stachu, wszak tego domu nie spalisz? Wszak mnie, którym ci ręce otworzył, jak krewny, nie zamordujesz? wszak mi dziecka nie uczynisz sierotą?

— Nie — odrzekł Połaniecki — domu nie spalę, wuja nie zarznę i żadnego dziecka nie uczynię sierotą. Proszę nawet, by wuj w ten sposób nie zaczynał mówić, bo to do niczego nie doprowadzi, a dla mnie jest nieznośnem.

— Dobrze — odpowiedział pan Pławicki, nieco jednak dotknięty tem, że jego styl i sposób wyrażania się tak małe zyskują uznanie; — pamiętaj tylko, że do mnie i do tego domu przyjeżdżałeś jeszcze dzieckiem.

— Przyjeżdżałem, bo przyjeżdżała matka, a matka po śmierci ciotki Heleny przyjeżdżała dlatego, że wuj nie płacił procentów. To wszystko nie ma się nic do rzeczy. Suma tkwi na hipotecę od dwudziestu jeden lat. Z procentami zaległymi wynosi około dwudziestu czterech tysięcy rubli. Dla okrągłości niech będzie dwadzieścia równo — ale tych dwadzieścia muszę mieć, bo po to przyjechałem.

Pan Pławicki pochylił głowę z rezygnacją.

— Po to przyjechałeś?... Tak. Ale czemu ty byłeś wczoraj taki inny, Stachu?

Połaniecki, który pół godziny temu zadał to samo pytanie pannie Maryni, aż podskoczył na krześle, ale pomiarkował się jeszcze i rzekł:

— Proszę o przystąpienie do interesu.

— Ja się przed tem nie cofam, tylko pierwej pozwól mi powiedzieć parę słów i nie przerywaj mi. Mówiłeś, że procentów nie płacił. Prawda. Ale czy wiesz dlaczego? Matka twoja nie oddała mi przecie całego swego majątku i nie mogła tego bez pozwolenia rady familijnej uczynić. Może gorzej dla was, że się tak nie stało, ale mniejsza z tem. Ostatecznie, wzięwszy te kilkanaście tysięcy rubli, powiedziałem sobie tak: kobieta została sama na świecie, z jedynem dzieckiem — niewiadomo, jak sobie poradzi, niewiadomo, co może wypaść — niechże te pieniądze, które ma u mnie, będą jej funduszem żelaznym, niech rosną, by w danym razie miała o co ręce zaczepić. I od tej pory byłem jakby waszą kasą oszczędności. Matka dała mi dwanaście tysięcy rubli — dziś masz u mnie przeszło dwadzieścia cztery. Oto rezultat. A teraz: czyż zapłacisz mi za to niewdzięcznością?

Na to Połaniecki rzekł:

— Kochany wuju Pławicki: proszę mnie nie brać ani za głupszego, niż jestem, ani za waryata. Powiadam po prostu, że na takie plewy ja się nie złapię — bo za grube. Powiadasz wuj, że mam dwadzieścia cztery tysiące rubli — więc gdzież są? Proszę o nie — bez gadaniny i jeszcze takiej!

— A ja cię proszę o cierpliwość i umiarkowanie, choćby dlatego, że jestem starszy — odrzekł z urazą i godnością pan Pławicki.

— Mam współnika, który za miesiąc wnosi dwanaście tysięcy rubli na umówiony interes — ja muszę wnieść tyleż. Powiadam to jasno i oświadczam, że po

dwóch latach kołatania listami — nie mogę i nie będę dłużej cierpliwy.

Pan Pławicki wsparł rękę na biurku, czoło na na dłoni — i milczał.

Połaniecki patrzył na niego, czekając odpowiedzi — patrzył z wzrastającą niechęcią i w duszy zadawał sobie pytanie: Czy to jest kręciciel? czy bzik? czy egoista, tak zaślepiony w sobie, że dobro i zło mierzy tylko własną wygodą? — czy wreszcie wszystko razem?

Tymczasem pan Pławicki trzymał czoło ciągle ukryte w dłoni i milczał.

— Nareszcie chciałbym coś wiedzieć... — zaczął Połaniecki.

Lecz tamten potrząsnął ręką, dając znać, że chce być jeszcze sam ze swemi myślami.

I nagle podniósł rozjaśnioną twarz.

— Stachu — rzekł — po co my się kłócimy, kiedy jest tak prosty sposób wyjścia.

— Jaki?

— Bierz margiel!

— Co?

— Sprowadź tu swego współnika, sprowadź jakiego specjalistę, oszacujemy mój margiel i zrobimy we trzech spółkę. Twój... jak się tam nazywa? Bigiel? spłaci mi tyle, ile na niego wypadnie, ty albo coś dopłacisz, albo nie — i pójdziemy razem, a zyski mogą być olbrzymie.

Połaniecki wstał.

— Proszę pana — rzekł — do jednej rzeczy nie jestem przyzwyczajony, mianowicie, żeby ktoś drwił ze mnie. Ja nie chcę pańskiego marglu — tylko moich pie-

niędzy, a to, co mi pan mówisz, uważam po prostu za niegodne, albo bezrozumne wykręty.

Nastała chwila ciężkiej ciszy. Jowiszowy gniew zaczął się zbierać w brwiach i na czole pana Pławickiego. Przez chwilę piorunował śmiałka oczyma, poczem, przysunąwszy się szybko do kołków, na których wisiała broń, zdjął myśliwski nóż i, podając Połanieckiemu, rzekł:

— A więc jest inny sposób: uderzaj!

I otworzył szeroko szlafrok, lecz Połaniecki, nie panując już nad sobą, odtrącił rękę z nożem i zaczął mówić podniesionym głosem:

— To jest licha komedia — nic więcej! Z panem szkoda tracić słów i czasu. Wyjeżdżam, bo mam dosyć pana i pańskiego Krzemienia, ale zapowiadam, że sumę moją sprzedam choćby za pół ceny pierwszemu z brzegu żydowi, który potrafi sobie z panem poradzić.

Na to prawa ręka pana Pławickiego wyciągnęła się uroczyście.

— Idź — rzekł — sprzedawaj! wpuść żyda w gniazdo rodzinne, ale wiedz o tem, że przekleństwo moje i tych, którzy tu żyli, znajdzie cię wszędzie.

Połaniecki wypadł z pokoju biały ze złości, w salonie zaś klął, co wlaźło, szukając swego kapelusza. Znalazłszy go wreszcie, chciał wyjść, obaczyć, czy bryczka nie zajechała, gdy wtem weszła Marynia. Na jej widok pomiarkował się nieco, lecz, przypomniawszy sobie, że właściwie to ona zajmuje się wszystkim w Krzemieniu, rzekł:

— Żegnaj panią. Sprawę z ojcem pani skończyłem. Ja przyjechałem po moją należność, a on dał mi

naprzód błogosławieństwo, potem margiel, a potem przekleństwo. Dobry sposób spłacania należności!...

Była chwila, że Marynia chciała wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć: „Ja rozumiem pański gniew; przed chwilą byłam także u ojca i błagałam go, żeby pana spłacił przed wszystkimi. Niech pan postąpi z nami i z Krzemieniem, jak pan chce, ale niech pan mnie nie obwinia, niech pan nie myśli, że ja należę do spisku przeciw panu, i niech pan ma dla mnie choć trochę szacunku“.

I już jej ręka wysuwała się naprzód, już powyższe słowa zawisły jej na ustach, gdy Połaniecki, podniecając się coraz bardziej wewnątrz i tracąc nanowo coraz bardziej równowagę, dodał:

— Oświadczam to pani dlatego, że gdy pierwszego wieczora chciałem był mówić z panią, pani obraziła się i odesłała mnie do ojca. Dziękuję za skuteczną radę, ale że ona lepsza dla państwa niż dla mnie, więc następną sam obmyślę.

Wówczas usta Maryni pobladyły, w oczach zaświeciły łzy oburzenia, a zarazem głębokiej urazy. Podniosła głowę i rzekła:

— Może pan mówić jakie chce obelgi, bo za mną nikt się nie ujmie...

I zawróciła ku drzwiom, pełna w duszy upokorzenia i niemal rozpaczy, że to są jedyne owoce, jakie zbiera za swoją pracę, w którą kładzie wszystkie siły i cały zapal swojej młodej, prawej duszy. Połaniecki spostrzegł też, że przebrał miarę. Mając uczucia bardzo żywe, przeszedł w jednej chwili do litości — i chciał biedz za nią, przeproszać, ale już było za późno. Marynia wyszła.

To przyprawilo go o nowy napad złości. Tym razem jednak ogarnął tą złością i siebie samego. Nie żegnając się już z nikim, siadł na bryczkę, która tymczasem zajechała, i ruszył z Krzemienia. W duszy wrzał mu taki gniew, że przez czas jakiś nie mógł myśleć o niczem innem, tylko o zemście: „Sprzedam, choćby za trzecią część ceny, i niech was trądują! Daję sobie słowo uczciwego człowieka, że sprzedam. Choćbym nie potrzebował, sprzedałbym — na złość!”

I w ten sposób zamiar zmienił się w zawzięte i zaprzysiężone postanowienie, Połaniecki nie był zaś z rodzaju ludzi, którzy nie dotrzymują przyrzeczeń, danych bądź komukolwiek, bądź sobie. Chodziło teraz jedynie o to, czy znajdzie kupca na sumę tak trudną do wydobycia, że, aby dojść do niej, trzeba było, bez przenośni, rozgryźć „Krzemień“.

Tymczasem bryczka wytoczyła się z alei na otwartą polową drogę. Połaniecki, ochłonawszy nieco, zaczął teraz myśleć o Maryni, w taki mozajkowy sposób, złożony z poczucia jej uroku, z wrażeń, jakie uczyniła na nim jej twarz i postawa, ze wspomnień o niedzielnej rozmowie, z niechęci, litości, urazy, zawziętości, a wreszcie z niezadowolonia z siebie, które potęgowało jeszcze zawziętość względem niej. Jedno z tych uczuć brało naprzemian górę nad innemi i narzucało im swą barwę. Chwilami przypominał sobie wysoką postać Maryni, jej oczy, jej ciemne włosy, jej śliczne, lubo może za szerokie usta, wreszcie jej wyraz — i opanowywał go poryw sympatyj ku niej. Myślał, że jest ogromnie dziewczyna, a zarazem, w ustach, w ramionach, w liniach całej postawy, ma coś kobiecego,

co pociąga ku sobie z niepohamowaną siłą. Przypomniał sobie jej głos łagodny, jej spokojne wejrzenie i jej bardzo widoczną dobroć. Wówczas, na myśl, jak był dla niej szorstki przed wyjazdem, na wspomnienie tonu, jakim do niej mówił, poczynął kłaść siebie. „Jeśli ojciec jest stary komedyant, krętacz i głupiec (mówił sobie), i jeśli ona to wszystko czuje, to jest tem nieszczęśliwsza. A więc co? więc każdy człowiek z kawalkiem serca byłby to zrozumiał i zlitował się nad nią, nie zaś napadał na zapracowane biedne dziecko — ja to zrobiłem, ja!” Tu miał ochotę spoliczkować się, bo zarazem wyolbrzał sobie, coby to było, jakie niezmierne zbliżenie, jaka wyjątkowa tkliwość byłaby powstała między nimi, gdyby po całej kłótni z ojcem obszedł się z nią, jak był powinien, to jest z największą delikatnością. Byłaby mu oto podała obie ręce na pożegnanie, a onby je ucałował — i rozjechaliby się, jak dwoje ludzi sobie blizkich. „Niechby wreszcie dyabli wzięli pieniądze!” — powtarzał w duchu — „a teraz niech wezmą mnie!” I czuł, że porobił rzeczy, które się już nie dadzą naprawić, to zaś poczucie odbierało mu resztę równowagi i popychało tem bardziej po tej drodze, której błędność uznawał. I znów zaczynał monologować mniej więcej w taki sposób: „Skoro wszystko stracone, niechże się wszystko spali. Sprzedam sumę byle żydowi — niech ich straduje, niech wylecą na bruk, niech stary szuka urzędu, a ona niech idzie na guwernantkę, albo za Gątowskiego...” Tu nagle poczuł, że zgodzi się raczej na wszystko, niż na tę ostatnią myśl. — Gątowskiemu nadkręciłby karku! Niech ją kto chce bierze, byle nie taki bałwan, taki niedźwiadek, taki ryfa. I piękne epitety za-

częły się sypać na nieszczęśliwego Gątowskiego; na niego przeszła cała złość, jakby on rzeczywiście był sprawcą wszystkiego, co się stało. Przyjechawszy w tak ludożerczem usposobieniu do Czerniowa, byłby może Połaniecki, jak drugi Ugolin, wpił się od razu Gątowskiemu zębami „tam, kędy czaszka do barków przypada“, gdyby był go na stacyi spostrzegł. Na szczęście, zamiast „czaszki“ Gątowskiego, spostrzegł tylko kilku urzędników, kilku chłopów, kilku żydów i pognębioną a inteligentną twarz radcy Jamisza, który go poznał, a gdy pociąg niebawem nadszedł, zaprosił go, dzięki dobrym stosunkom z zawiadowcą, do osobnego przedziału.

— Znałem jeszcze pańskiego ojca — rzekł — i znałem go za jego świetnych czasów. Wziąłem z jego sąsiedztwa żonę. Pamiętam, miał wtedy Zwichów, Brzęcząca, Mocarze i Rozwady w Lubelskiem. Piękna fortuna! Dziadek pański był jednym z większych właścicieli w tamtych stronach — ale to musiało teraz przejść w inne ręce.

— Nie teraz, ale już dawniej. Ojciec mój stracił za życia cały majątek. Był chory, mieszkał w Nizy, nie pilnował i tak to poszło. Żeby nie sukcesya, którą po jego śmierci dostała matka, byłoby ciężko.

— Ale pan za to dajesz sobie dobrze rady. Ja znam wasz dom. Miałem z wami przez Abdulskiego interes o chmiel.

— To Abdulski dla pana pośredniczył?

— Tak, i muszę przyznać, żem był ze stosunku zupełnie kontent. Wyszliście ze mną przyzwocie — i widzę, że porządnie prowadzicie interesa.

— Inaczej nikt się nie ostoi. Mój współnik, Bigiel, jest uczciwy człowiek, a i ja nie jestem panem Pławickim — odpowiedział Połaniecki.

— Jakże to? — spytał zaciekawiony Jamisz.

Połaniecki, z resztkami niewygasłego jeszcze rozdrażnienia, powiedział mu całą sprawę.

— Hm! — odrzekł Jamisz — skoro pan mówisz o nim tak bez ogródek, to pozwólże, abym i ja tak mówił, choć to pański krewny.

— On sam żaden krewny; pierwsza jego żona była krewną i przyjaciółką mojej matki — oto wszystko.

— Ja go znam od dziecka. To jest człowiek więcej popsuty, niż zły. Był jedyńkiem, więc naprzód rozpieścili go rodzice, a potem czyniły to samo obie żony. Obie były kobiety ciche i łagodne, dla obydwóch był bożyszczem. Przez całe lata rzeczy układały się w ten sposób, że on był tem słońcem, koło którego kręcały się inne planety, i nareszcie doszedł do przekonania, że jemu się od świata należy wszystko, a ludziom od niego nic. W takich warunkach, gdy się zło i dobro własną tylko wygodą mierzy, nic łatwiejszego, jak zatracić zmysł moralny. Pławicki to jest mieszanina uroczystości i folgi: uroczystości, bo sam zawsze na chwałę swoją celebrował, a folgi, bo sobie na wszystko pozwalał. Zmieniło się to niemal w jego naturę. Potem przyszły też trudne okoliczności, którym potrafi się oprzeć tylko człowiek z charakterem, a on go nigdy nie miał. Zaczął się wykręcać i w końcu do tego przywykł. Nas, panie, ziemia uszlachetnia, ale też i ziemia psuje. Mnie jeden mój znajomy bankrut mówił: „To nie ja kręcę, to mój majątek kręci, a ja za niego

gadam“. — I to trochę tak jest. Więcej w naszym zawodzie, niż w każdym innym...

— Wyobraź pan sobie — odpowiedział Połaniecki — że ja, który pochodzę z roli, nie mam żadnego pociągu do rolnictwa. Wiem, że ono będzie zawsze, bo być musi, ale w tej formie, jak jest dziś, nie widzę dla niego przyszłości. Wy wszyscy musicie zginąć.

— Ja też nie patrzę różowo. Pomijam, że ogólny stan rolnictwa jest w całej Europie zły, bo to rzeczy znane, ale pomyśl pan tylko: ma szlachcic czterech synów, więc każdy z nich odziedziczy tylko czwartą część ojcowskiego majątku. Tymczasem cóż się dzieje? Każdy, przywykły do ojcowskiej normy życia, chce żyć jak ojciec — ot już koniec łatwy do przewidzenia. Po drugie: ma szlachcic czterech synów — to zdolniejsi obierają rozmaite zawody, — na roli, o zakład, zostaje najmniej zdolny. Po trzecie: to, co całe szeregi pokoleń zapracowały, jedną lekkomyślną głową zniszczy. Po czwarte: my jesteśmy nieźli rolnicy, a źli administratorowie, dobra zaś administracya znaczy więcej od dobrej uprawy roli: więc cóż za wnioski? ziemia zostanie, ale my, którzy ją dziś przedstawiamy, pod formą większej własności, prawdopodobnie musimy z niej wyjść. Tylko, widzisz pan, może z czasem wrócimy.

— Jakto?

— Bo naprzód, to, co pan mówisz, że pana do ziemi nic nie ciągnie, to jest złudzenie. Ziemia, panie, ciągnie i ciągnie z taką siłą, że każdy, przyszedłszy do pewnych lat, do pewnej zamożności, nie może się oprzeć chęci posiadania choćby kawałka ziemi. Przyjdzie to i na

pana. I to jest naturalne. Ostatecznie, wszelkie bogactwo może być uważane za fikcję, prócz ziemi. Wszystko wychodzi z niej i wszystko istnieje dla niej. Jak bilet bankowy jest kwitkiem na monetę metalową, leżącą w banku państwa, tak i przemysł, i handel, i co pan chcesz, jest ostatecznie zmienioną na inny kształt ziemią... a co do was zwłaszcza, którzyście z niej wyszli, musicie do niej wrócić.

— Ja przynajmniej nie myślę.

— Co pan wiesz? Dziś robisz majątek, ale jak go zrobisz? I w tem jest przyszłość. Polanieccy byli rolnikami — teraz jeden obrał inny zawód. Większość dzieci rolników musi także obrać inny zawód, choćby dlatego, że inaczej nie może. Część ich zmarnieje, część dorobi się i wróci — a wróci nietylko z kapitałem, ale z nową energią i z tą znajomością ścisłej administracyi, jaką specjalne zawody wyrabiają — wróci przez ten pociąg, który ziemia wywiera, i wreszcie z poczucia obowiązków, których panu tłumaczyć nie potrzebuję.

— To, co pan mówisz, ma tę dobrą stronę, że wówczas taki mój wujaszek-nie-wujaszek, Pławicki, będzie należał do typów zaginionych.

Pan Jamisz zamyślił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Nić się ciągnie i ciągnie, póki się nie urwie, ale w końcu musi się urwać. Oni się nie utrzymają, mojem zdaniem, przy Krzemieniu, choćby rozparcelowali Magierówkę. Oł, kogo mi żal, to Maryni. To nadzwyczaj pocziwe dziecko. Bo pan nie wiesz, że stary chciał przed dwoma laty sprzedać Krzemień i wynieść się do miasta, i że nie stało się to w części na prośby Maryni. Czy to ze względu na pamięć matki, która tam leży, czy dlatego,

że tyle się mówi i pisze o obowiązku trzymania się przy ziemi — dość, że dziewczyna robiła co mogła, by do sprzedaży nie dopuścić. Wyobrażało sobie biedactwo, że byle się wziąć ze wszystkich sił do roboty, można wszystkiego dokazać. I prawdziwie, że wyrzekła się całego świata dla tego Krzemienia. Dla niej to będzie cios, jak się nic wreszcie urwie, a musi się urwać... Szkoda dziewczyny lat.

— Pan jesteś dobry człowiek, panie radco! — zawołał Połaniecki ze zwykłą sobie żywością.

Stary człowiek uśmiechnął się.

— Ja lubię to dziecko, bo to wreszcie i moja pupilka w zawodzie gospodarskim; pewnie, że będzie smutno, jak nam jej zbraknie.

Połaniecki zaczął przygryzać czas jakiś wąsy, wreszcie rzekł:

— Niech wyjdzie za mąż za kogo w okolicy, to i zostanie.

— Wyjdzie, wyjdzie... Niby to pannie bez majątku łatwo. Kto u nas jest? Gątownski. Tenby ją wziął. Dobry człowiek i wcale nie tak ograniczony, jak mówią. Ale ona nie ma dla niego uczucia, a bez uczucia nie wyjdzie. Jałbrzyków mały mająteczek. Staremu się przytem zdaje, że Gątownscy są czemś mniej od Pławickich — i Gątownski także już w to uwierzył. Jak to pan wie, u nas ten uchodzi za familianta, komu się podoba za takiego uważać. Bo ludzie niby się śmieją, a w końcu przywykają. Przytem jeden podnosi nosa dlatego, że się dorabia majątku, a drugi dlatego, że go traci — i nic innego mu nie pozostaje. Ale mniejsza z tem. To jedno wiem, że kto Marynię weźmie, perłę weźmie.

Połaniecki miał w tej chwili w duszy to samo i przekonanie i poczucie. Pograżywszy się więc w milczeniu, zaczął na nowo rozmyślać o Maryni, a raczej przypominać ją sobie i wyobrażać. Nagle wydało mu się nawet, że będzie bez niej tęsknił; ale przypomniał sobie także, że podobne rzeczy nieraz już mu się wydawały, a potem czas rozwiewał te złudzenia. Jednakże myślał o niej jeszcze nawet i wówczas, gdy zbliżali się już do miasta, i wysiadając w Warszawie, mrucał przez zęby:

— Jak się to głupio stało! jak głupio!...

IV.

Po powrocie do Warszawy, pierwszy wieczór spędził Połaniecki w domu swego wspólnika Bigiela, z którym, jako z dawnym kolegą szkolnym, łączyła go i osobista zażyłość. Bigiel, z pochodzenia Czech, ale z rodziny, osiadłej w kraju od kilku pokoleń, prowadził już przed połączeniem się z Połanieckim niewielki dom bankowo-handlowy i zyskał sobie opinię kupca, niezbyt wprawdzie przedsiębiorczego, ale uczciwego i nadzwyczaj pewnego w stosunkach. Gdy Połaniecki jeszcze przed ostatecznym powrotem z zagranicy wszedł w spółkę, dom rozszerzył znacznie swą działalność i stał się poważną firmą. Wspólnicy dopełniali się doskonale. Połaniecki, nierównie zdolniejszy i bardziej rzutki, miał więcej pomysłów i ogarniał łatwiej całość każdej sprawy, natomiast Bigiel pilnował lepiej jej wykonania. Gdy chodziło o to, by okazać energię, lub przycisnąć kogoś do muru, tam Połaniecki był jedyny; natomiast gdy szło o rozmyśl, o obejrzenie interesu z dziesięciu stron i o cierpliwość, tam zaczynała się rola Bigiela. Usposobieniem byli sobie wręcz przeciwni i może dlatego mieli dla się wzajemnie szczerą

przyjaźń. Przewaga w stosunku była po stronie Połanieckiego. Bigiel wierzył w jego niepospolite zdolności, a kilka pomysłów, istotnie bardzo dla domu szczęśliwych, jakie dał Połaniecki od czasu wejścia w spółkę, utwierdziły tę wiarę. Marzeniem obydwóch było dojść z czasem do takiego kapitału, by mózdz założyć fabrykę perkalów, którą kierowałby Połaniecki, administrował Bigiel. Ale, jakkolwiek obaj mogli się już liczyć do ludzi niemal zaможnych, była to odległa przyszłość. Mniej cierpliwy, a bardzo na wszystkie strony spokrewniony Połaniecki, próbował wprawdzie zaraz po przyjeździe do kraju poruszyć w tym celu miejscowe, tak zwane „swojskie” kapitały. Ale spotkała go ogólna nieufność. Zauważył przytem rzecz dziwną. Oto jego nazwisko otwierało mu wszystkie drzwi, ale raczej szkodziło, niż pomagało mu w interesie. Zdawać się mogło, że tym ludziom, do których się zgłaszał, nie mieściło się w głowie, jakim sposobem jeden z nich, zatem człowiek z dobrego domu i z nazwiskiem kończącym się na *ski*, może dobrze prowadzić jakikolwiek interes. Połanieckiego złościło to z początku tak, że roztropny Bigiel musiał gasić jego wybryki za pomocą przedstawień, iż podobna nieufność jest istotnie opartą na latach smutnych doświadczeń. I, znając dobrze historię rozmaitych przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych, cytował mu cały szereg nazwisk, począwszy od pana podskarbiego Tyzenhauza, a skończywszy na rozmaitych bankach włościańskich i Tellusach, które, prócz nazwy, nie miały w sobie nic ziemskiego, czyli, inaczej mówiąc, pozbawione były wszelkich realnych podstaw. — „Czas jeszcze nie przyszedł — mówił Bigiel —

ale czas przyjdzie, a raczej już nadchodzi. Do tej pory było tylko amatorstwo i dyletantyzm, teraz dopiero zjawiają się tu i owdzie ludzie fachowi.”

Połaniecki, który mimo swego temperamentu, miał zmysł spostrzegawczy dość rozwinięty, poczynił przytem rozmaite dziwne odkrycia w tych sferach, do których jego stosunki otwierały mu przystęp. Oto spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił. Podnoszono to nawet z naciskiem, ale było w tem uznaniu jeszcze jakby pewne pobłażanie. Każdy dawał zanadto do poznania, że się na to zgadza, że uważa to za potrzebne, nikt zaś nie zachował się tak, jakby fakt, iż Połaniecki czemś się zajmuje, uważał za rzecz zupełnie zwykłą i naturalną. „Oni mnie wszyscy *protegują!*” — mówił Połaniecki — i to była prawda. Doszedł też do przekonania, że gdyby naprzykład chciał sięgnąć po rękę którejś z panien z tak zwanego „towarzystwa” — to jego dom bankowo-handlowy i nazwa „aferzysty” byłyby mu mimo owego uznania, raczej przeszkodą niż pomocą. Prędzejby mu oddano każdą z tych dziewczyn, gdyby, zamiast zyskownego przedsiębiorstwa, miał jaki obdłużony majątek, lub gdyby, żyjąc jak wielki pan, zjadał po prostu procenta od kapitału, albo nawet i sam kapitał.

Uczyniwszy całe tuziny tego rodzaju spostrzeżeń, Połaniecki zaczął zaniedbywać stosunki, a w końcu zaniechał ich zupełnie, poprzestając na domu Bigielów, pani Emilii Chwastowskiej i tych znajomościach męskich, jakie były konieczne przy jego życiu kawalerskiem. Jadał u François z Bukackim, ze starym Waskowskim i z adwokatem Maszko, z którymi ustawicznie rozprawiał i spie-

rał się o rozmaite kwestye; bywał często w teatrze i na wszelkiego rodzaju zabawach publicznych, zresztą prowadził życie dość odosobnione, i dlatego, mimo wielkiej i wyrozumowanej ochoty, jak również mimo dostatecznego majątku, dotychczas się nie ożenił.

Zajechawszy, po powrocie z Krzemienia, niemal wprost do Bigielów, wylał naprzód całą żółć na „wujaszka” Pławickiego, sądząc, że w gospodarzu znajdzie powolnego i współczującego słuchacza; ale Bigiel mało się wzruszył opowiadaniem i rzekł:

— Ja takie typy znam. Zresztą, prawdę powiedziawszy, skąd Pławicki weźmie pieniędzy, skoro ich nie ma? Z długami hipotecznymi trzeba mieć świętą cierpliwość. Majątek ziemski łatwo łyka pieniądze, ale oddaje je z największem wysileniem.

— Słuchaj, Bigiel — odrzekł Połaniecki — od czasu, jak tyjesz i sypiasz po obiedzie, z tobą trzeba mieć także świętą cierpliwość.

— Bo tak szczerze — mówił niewzruszony Bigiel — czy ty koniecznie potrzebujesz tych pieniędzy? Czy nie masz do rozporządzenia sumy, jaką każdy z nas obowiązany jest wnieść.

— Ciekawym, co tobie, albo Pławickiemu do tego? Mam u niego, muszę odebrać i skończyło się.

Wejście pani Bigielowej z całym stadkiem dzieci położyło tamę kłótni. Była to młoda jeszcze kobieta, ciemno-włosa, niebiesko-oka, bardzo dobra i bardzo zajęta dziećmi, których było sześcioro i które Połaniecki nadzwyczaj lubił. Była też za to szczerą jego przyjaciółką, jak również pani Emilii Chwastowskiej. Obie te panie,

znając i kochając Marynię Pławicką, postanowiły ożenić z nią Połanieckiego, obie namawiały go bardzo silnie, by osobiście jechał po pieniądze do Krzemienia; teraz więc pani Bigielowa płonęła ciekawością, jakie te odwiedziny uczyniły na nim wrażenie.

Ale z powodu dzieci nie można się było dogadać. Najmłodszy z tych, które już chodziły na własnych nogach, Jaś, objawwszy rękoma łydkę Połanieckiego, począł za nią ciągnąć, wołając: „Pan, pan!” — co w jego języku brzmiało: „Pam! pam!” — dwie dziewczynki, Ewka i Joasia, wgramoliły się bez ceremonii na kolana młodego człowieka, a Edzio i Józio wytoczyli przed nim sprawę. Dzieci czytały „Zdobycie Meksyku” i bawiły się w „zdobycie Meksyku,” więc Edzio, podniósłszy brwi i przekręciwszy dłonie do góry, mówił z zapalem:

— Dobrze! ja będę Kortezem, a Józio rycerzem na koniu, ale jak Ewka, ani Joasia nie chcą być Montezumą, to jakże? Przecież tak nie można się bawić, prawda? Ktoś musi być Montezumą, bo inaczej któż będzie Meksykanami dowodził?

— A gdzie są Meksykanie? — spytał Połaniecki.

— No — rzekł Józio — Meksykanami są przecie krzesła i Hiszpanami także.

— To czekajcież, ja będę Montezumą — a teraz zdobywajcież Meksyk!

Tu wszczął się rwetes nieopisany. Żywość Połanieckiego pozwalała mu zmieniać się chwilami w dziecko. Stawił on tak zacięty opór Kortezowi, że Kortez począł mu odmawiać prawa do takiego oporu, twierdząc, nie bez słuszności historycznej, że skoro Montezuma został

pobity, to powinien się dać pobić. Na to Montezuma odpowiadał, że go to mało obchodzi i walczył dalej. W ten sposób zabawa przedłużała się coraz bardziej.

Lecz pani Bigielowa, nie mogąc doczekać końca, spytała wreszcie męża:

— Jakże wizyta w Krzemieniu?

— Zrobił to, co teraz robi — odpowiedział z flegmą Bigiel — przewracał wszystkie krzesła i wyjechał.

— Mówił ci co?

— O pannę nie miałem czasu go zapytać, ale z Pławickim rozstał się, jak nie można gorzej. Chce sprzedać swój dług na Krzemieniu, co oczywiście pociągnie za sobą zupełne zerwanie stosunków.

— Szkoda — odrzekła pani Bigielowa.

I przy herbacie, gdy dzieci spać poszły, poczęła wprost wypytywać Połanieckiego o Marynię.

— Nie wiem — odpowiedział Połaniecki — może jest ładna, może nie! Nie zastanawiałem się nad tem.

— To nieprawda — odpowiedziała pani Bigielowa.

— A więc nieprawda! A więc jest miła, ładna i co pani chce. Można się w niej zakochać, można się z nią ożenić, ale noga moja więcej u nich nie postanie. Wiem doskonale, dlaczego mnie tam panie wysyłały, tylko lepiej mnie było ostrzedz, kim jest jej ojciec, bo ona musi być do niego z usposobienia podobna, a jeśli tak jest, to dziękuję uniznienie.

— Niech się pan zastanowi, co pan mówi: „jest ładna, jest miła, można się z nią ożenić” — a potem: „musi być do ojca podobna!” — Przecie to się nie trzyma!

— Być może, wszystko mi jedno! Nie mam szczęścia i dość na tem!

— A ja powiadam panu dwie rzeczy: po pierwsze, że pan powrócił pod silnem wrażeniem Maryni, a po drugie, że to jest jedna z najlepszych panien, jakie w życiu widziałam i że szczęśliwy będzie, kto ją weźmie.

— Czemuż jej dotąd nikt nie wziął?

— Bo ona ma dwadzieścia jeden lat i niedawno w świat weszła. Niech pan zresztą nie myśli, żeby nie miała już starających się.

— Niechże ją bierze kto inny.

Ale Połaniecki powiedział to nieszczerze, myśl bowiem, że ją może wziąć kto inny, była mu niezmiernie przykra. Czuł też w duszy wdzięczność dla pani Bigielowej za jej pochwały dla Maryni.

— Niech tam! — rzekł — ale pani jest dobrą przyjaciółką.

— Nie tylko Maryni, ale i pańską, i pańską. Proszę tylko o szczerą, ale zupełnie szczerą odpowiedź: jest pan pod wrażeniem, czy nie jest?

— Ja? pod wrażeniem? Szczerze mam powiedzieć? — ogromnie!

— A widzi pan! — odrzekła pani Bigielowa, której twarz rozjaśniła się zadowoleniem.

— Cóż widzę? Nic nie widzę! Podobała mi się ogromnie — prawda! Pani nie ma pojęcia, jakie to sympatyczne i pociągające stworzenie. I dobre musi być! Ale cóż? Przecie ja drugi raz do Krzemienia nie mogę jechać. Wyjechałem taki zły, mówiłem nietylko Pławiickiemu, ale i jej, takie przykre rzeczy, że to niepodobna.

— Bardzo pan nabroił?

— Raczej zanadto, niż za mało.

— To można listem ulagodzić.

— Jabym miał pisać do Pławickiego i przepraszać?

Za nic w świecie! Przecie on mnie zresztą przeklął.

— Jakto, przeklął?

— Jako patriarchy rodu. W swoim imieniu i wszystkich przodków. Mam taki do niego wstręt, że nie umiałbym dwóch słów nakreślić. To jest stary, patetyczny komedyant. Ją prędzejbym przeprosił, ale na co się to zdało? Ona musi z ojcem trzymać. To i ja rozumiem. W najlepszym razie odpisze mi, że jej bardzo przyjemnie, i na tem stosunek się urwie.

— Jak Emilka wróci z Reichenhallu, to pod pierwszym lepszym pozorem ściągniemy tu Marynię — i wtedy, to już będzie pańska rzecz, by się te nieporozumienia zatarły.

— Zapóźno, zapóźno! — powtórzył Połaniecki. — Dałem sobie słowo, że tę sumę sprzedam — i sprzedam.

— To może właśnie będzie lepiej.

— Nie, to będzie gorzej! — wtrącił pan Bigiel. — Ja go namawiam, by sumy nie sprzedawał. Mam przytem nadzieję, że kupca na nią nie znajdzie.

— A tymczasem Emilka ukończy kurację Litki.

Tu pani Bigielowa zwróciła się do Połanieckiego:

— Zobacz pan, jak teraz inne panny będą się panu wydawały po Maryni. Ja nie jestem z nią tak blisko, jak Emilka, ale postaram się znaleźć pierwszy lepszy pozór, żeby do niej napisać i dowiedzieć się, co też ona o panu myśli.

Na tem skończyła się rozmowa. Połaniecki, wracając do domu, spostrzegł, że jednak ta Marynia zajęła już wcale niepoślednie miejsce w jego duszy. Prawdę mówiąc, nie mógł prawie o czem innem myśleć. Miał jednak współcześnie poczucie, że ten stosunek zaczął się w warunkach niepomyślnych i że lepiej byłoby wybić sobie z głowy tę dziewczynę, póki jest jeszcze czas po temu. Jako człowiek duchowo raczej tęgi, niż słaby i nie przywykły oddawać się marzeniom dlatego tylko, że są miłe, postanowił trzeźwo ocenić położenie i rozważyć je ze wszystkich stron. Panna posiadała wprawdzie wszystkie niemal te warunki, których wymagał od przyszłej swej żony, i nadto przypadła mu osobiście do serca. Ale posiadała przytem i ojca, którego Połaniecki już nie znosił; a oprócz ojca, prawdziwe brzemie pod postacią Krzemienia z przyległościami. „Z tą uroczystą starą małpą nie zżyję się nigdy i nie mogę się zżyć — myślał Połaniecki — albowiem z nim dwojaki tylko stosunek jest możliwy: trzeba albo mu się poddać, do czego bezwarunkowo nie jestem zdolny, albo nim potrząsać codzień, tak, jak potrząsałem w Krzemieniu. W pierwszym razie, ja, człowiek niezależny, poszedłbym w nieznośną niewolę starego egoisty, w drugim — rola mojej żony byłaby trudna, przykra i nasze pożycie mogłoby się popsuć“.

— Spodziewam się — mówił sobie dalej — że to jest trzeźwe i logiczne rozumowanie. Byłoby ono błędem tylko wówczas, gdybym ją już kochał. Sądzę jednak, że tak nie jest. Jestem nią zajęty, nie zakochany w niej. To są dwie rzeczy różne. Ergo: trzeba przestać o niej myśleć i niech ją bierze kto inny!

Na tę ostatnią myśl znów zapiekło go żywe uczucie przykrości, ale pomyślał: „Jestem nią tak zajęty, iż to jest rzecz naturalna. Ostatecznie, zgryzłem niejedną przykrość w życiu, zgryzę i tę. Przypuszczam także, że będzie się ona z każdym dniem zmniejszała“.

Ale wkrótce spostrzegł, że, prócz tej przykrości, zostaje w nim jeszcze uczucie żalu, z powodu zniknięcia tych widoków, które otwierały się przed nim. Zdawało mu się teraz, że podniesiono przed nim jakąś zaslonę przyszłości i pokazano, coby być mogło, a potem spuszczo ją nagle i życie jego wracało na dawną drogę, nie prowadzącą ostatecznie do niczego, a raczej prowadzącą do pustkowi. Połaniecki czuł, bądźcobądź, że stary filozof Waskowski ma słuszość, i że robienie pieniędzy może być tylko środkiem. Poza tem zagadka życiowa winna być inaczej rozwiązana. Musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które, spełnione w sposób cny i prosty, prowadzą do uspokojenia duchowego. To uspokojenie jest duszą życia — i bez niego nie ma ono, krótko mówiąc, sensu. Połaniecki był pod pewnym względem dzieckiem wieku, to jest nosił i on w sobie część tego wielkiego niepokoju, który w obecnej schyłkowej epoce jest zmorą ludzką. I w nim wykruszyły się te podstawy, na których dotąd wspierało się życie. I on zwątpił, czy potykający się o wszystkie przydrożne kamienie racjonalizm zdoła zastąpić wiarę, a wiary dotychczas nie odzyskał. Od współczesnych „dekadentów“ różnił się jednak tem, że się nie rozlubował w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie, i że nie dał sobie dyspensy na niedołęstwo i próżniactwo. Miał, owszem,

mniej więcej uświadomione poczucie, że życie, jakie ono jest, tajemnicze, czy nie tajemnicze, musi być wypełnione szeregami prac i czynów. Sądził, że jeśli jest niepodobieństwem odpowiedzieć sobie na rozmaite: „dlaczego?“ to jednak należy coś robić — sam czyn bowiem może być do pewnego stopnia odpowiedzią. Może być wprawdzie niedorzeczną, ale przynajmniej człowiek, który tak odpowiada, zrzuca z siebie odpowiedzialność. Więc cóż pozostaje? Założenie rodziny i praca społeczna. Jedno i drugie musi być jednak do pewnego stopnia prawem natury ludzkiej i jej przeznaczeniem, gdyż inaczej ludzie nie żeniliby się i nie wiązali w społeczeństwa. Tego rodzaju filozofia, popierająca rozumowo męskie instynkta Połanieckiego, wskazywała mu małżeństwo jako jeden z głównych celów życia. Jego wola była od dawna napięta i zwrócona ku temu celowi. Przez chwilę panna Marynia wydała mu się być ową przystanią, „do której okręt w noc pochmurną zmierza“. — Teraz więc, gdy sobie wyrozumował, że światła tej przystani nie dla niego były zapalone, że trzeba płynąć dalej, zacząć nanowo żeglugę po nieznanych morzach, ogarnęło go uczucie i zmęczenia i żalu. Ale własne rozumowania wydały mu się logiczne i wrócił do domu z ustalonym prawie zupełnie przekonaniem, że „jeszcze nie ta“ i „jeszcze nie tym razem“.

Nazajutrz, poszedłszy na obiad, znalazł w restauracji Waskowskiego i Bukackiego. Po chwili nadszedł też i Maszko, ze swoją twarzą aroganta, długimi faworytami, monoklem w oku, wypiekami na twarzy i białą kamizelką. Po powitaniu, wszyscy zaczęli wypytywać się Połanieckiego o wyprawę do Pławickiego, w części bo-

wiem wiedzieli, dlaczego panie nastawały na jego osobisty wyjazd, a prócz tego, znali pannę Pławicką od pani Emilii Chwastowskiej.

Po wysłuchaniu opowiadania, przezroczysty, jak sewrska porcelana, Bukacki, rzekł z właściwą sobie flegmą:

— Więc wojna? To jest panna, która działa na nerwy i teraz pora byłaby o nią uderzyć. Kobieta na kamienistej drodze łatwiej przyjmuje ofiarowane sobie ramię, niż na równym gościńcu.

— To jej podaj — rzekł z pewną niecierpliwością Połaniecki.

— Widzisz, mój kochany, są trzy przeszkody. Naprzód, jeszcze bardziej działa mi na nerwy pani Emilia; powtóre, miewam co rano ból w szyi i tylnej części głowy, co zapowiada chorobę mózgową; a potrzecie, jestem goły.

— Ty goły?

— Przynajmniej teraz: kupiłem kilkanaście Falków, wszystko „avant la lettre,” i wyplukałem się na jaki miesiąc — a jeśli dostanę z Włoch jednego Masaccia, o którego się układam w tej chwili, to się zrujnuję na jaki rok.

Waskowski, który z rysów, a raczej z wypieków na twarzy, podobny był nieco do Maszki, lubo daleko starszy i lubo twarz miał pełną słodyczy, utkwił swoje niebieskie oczy w Bukackiego i rzekł:

— I to choroba wieku. Kolekcyonerstwo i kolekcyonerstwo na wszystkie strony!

— Oho! będzie rozprawa — zauważył Maszko.

— Nie mamy nic lepszego do roboty — odpowiedział Połaniecki.

A Bukacki podniósł rękawicę.

— Co pan masz przeciw kolekcjonerstwu?

— Nic — odpowiedział Waskowski. — To jest taki starsuszkowaty, godny naszych czasów, sposób kochania sztuki. Czy nie myślicie, że jest w tem coś zgrzybiałego? Podług mnie, to jest bardzo charakterystyczne. Niegdyś nosiło się w sobie zapal dla wielkiej sztuki, kochało się ją tam, gdzie była: w muzeach, w kościołach; dziś sprowadza się ją sobie do prywatnego gabinetu. Dawniej kończyło się na kolekcjonowaniu, dziś się od niego zaczyna — i zaczyna się od dziwactw. Nie mówię do Bukackiego, ale dziś najmłodszy chłopak, byle miał trochę pieniędzy, poczyna kolekcjonować — i co? nieraz nie przedmioty sztuki, ale jej dziwactwa, albo przynajmniej drobiazgi. Widzicie, moi drodzy, mnie się zdawało zawsze, że miłość i amatorstwo, to są dwie rzeczy różne, i przypuszczam naprzykład, że wielki amator kobiet nie jest człowiekiem zdolnym do podniosłego uczucia.

— To być może. W tem coś jest! — rzekł Polański.

— Co mnie to może obchodzić — rzekł Maszko, rozczesując palcami swoje angielskie bokobrody — w tem tkwi przedewszystkiem zrządzenie starego pedagoga na nowsze czasy.

— Pedagoga? — powtórzył Waskowski. — Naprzód, od czasu, jak mi spadł niespodzianie kawał chleba, wyrzekłem się rzezi niewiniątek i roli Heroda; powtóre, mylisz się pan, że ja zrządzę. Ja niemal z radością widzę i notuję coraz nowe dowody, że jesteśmy przy końcu epoki, i że wkrótce przyjdzie nowa.

— Jesteśmy na pełnem morzu i nie pędko zawi-
niemy do brzegu — mruknął Maszko.

— Daj spokój — odpowiedział Połaniecki.

Lecz niezrażony Waskowski ciągnął dalej:

— Amatorstwo prowadzi do wyrafinowania, a w wy-
rafinowaniu giną wielkie ideały i ustępują chęci używa-
nia. Wszystko to nic innego, jak pogaństwo. Nikt sobie
nie zdaje sprawy, do jakiegośmy stopnia spoganieli, ale jest
co? jest duch aryjski, który nie kostnieje, nie zastyga nigdy,
duch, mający w sobie tchnienie boże, więc moc twórczą
— i temu duchowi już ciasno w pogańskich więzach
i reakcja już się poczyna, i nastąpi odrodzenie się tak
na tem polu, jak i na innych w Chrystusie... To nie-
wątpliwa rzecz.

I Waskowski, który miał oczy, jak dziecko, to jest
odbijające tylko zewnątrz przedmioty, a utkwione wie-
cznie jakby w nieskończoność, utkwił je teraz w oknach,
przez które widać było szare chmury, między którymi
przedzierały się gdzieniegdzie promienie słońca.

Bukacki zaś rzekł:

— Szkoda, że mnie głowa pobolewa, bo to będzie
ciekawa epoka.

Lecz Maszko, który Waskowskiego nazywał „piłą“
i nudził się jego rozprawami, wszczynaniami rzeczywiście
z lada powodu, albo i bez powodu, wydobył z bocznej
kieszeni surduta cygaro, przygryzł koniec i, zwróciwszy
się do Połanieckiego, rzekł:

— Słuchaj, Stasiu, czybyś ty rzeczywiście sprzedał
tę sumę, którą masz na Krzemieniu?

— Stanowczo. Dlaczego pytasz?

— Bo jabym może *reflektował*.

— Ty?

— Tak. Wiesz, że często *reflektuję* tego rodzaju interesa. Możemy o tem pogadać. Dziś napewno nic ci nie mogę powiedzieć, ale jutro każę sobie przysłać wyciąg hipoteczny Krzemienia i powiem ci, czy rzecz jest możliwa. Może po obiedzie przyjdiesz do mnie na kawę i może coś ułożymy.

— Dobrze. Jeśli co ma być, wolałbym, żeby było prędko, bo jak się tylko załatwię z Bigielem, chciałbym wyjechać.

— Dokąd się wybierasz? — spytał Bukacki.

— Nie wiem. W mieście zanadto już gorąco. Gdzieś do drzew i wody.

— Także stary przesąd — rzekł Bukacki — w mieście zawsze po jednej stronie ulicy jest cień, czego niema na wsi. Chodzę sobie cieniłą stroną i jest mi dobrze, dlatego nigdy w lato z miasta nie wyjeżdżam.

— A profesor nie wybierzesz się gdzie? — spytał Waskowskiego Połaniecki.

— Owszem. Pani Emilia namawia mnie do Reichenhall. Może się i wybiorę.

— A to jedźmy razem. Mnie wszystko jedno, gdzie pojadę. Lubię Salzburg, a przytem miło mi będzie zobaczyć panią Emilię i Litkę.

Bukacki wyciągnął swą przezroczystą rękę, wziął wykałaczkę z kieliszka i wykałajac zęby, począł mówić swym zimnym i obojętnym głosem:

— Wre we mnie tak wściekła burza zazdrości, że

i ja gotów jestem jechać z wami. Połaniecki, strzeż się, żebym nie wybuchnął, jak dynamit.

Było coś tak zabawnie przeciwnego między słowami a tonem Bukackiego, że Połaniecki począł się śmiać, po chwili zaś odpowiedział:

— Do głowy mi nie przyszło, że można się zakochać w pani Emilii. Dziękuję ci za ideę!

— Biada wam obojgu! — odrzekł Bukacki, wykłajając dalej zęby.

V.

Nazajutrz, po wczesnym obiedzie u Bigielów, Połaniecki udał się o oznaczonej godzinie do Maszki. Czekano tam na niego widocznie, bo w gabinecie zastał wykwinną zastawę do czarnej kawy i kieliszki do likierów. Sam Maszko nie ukazał się jednak zaraz, gdyż, jak mówił służący, przyjmował jakieś panie. Jakoż przeze drzwi dochodził z salonu jego głos i słowa kobiece. Połaniecki począł się przypatrywać tymczasem przodkom Maszki, których kilka portretów wisiało na ścianach i o których autentyczności powątpiewali przyjaciele młodego adwokata. Zwłaszcza pewien zezowaty infulat dostarczał Bukackiemu przedmiotu do conceptów, ale Maszko nie zrażał się tem. Postanowił on narzucić, bądźcobądź, światu siebie, swoich przodków, swoją genialność do interesów, wiedząc, że w tem społeczeństwie, w którym żył, będą sobie ludzie z tego podrwiwali, ale nikt nie zdobędzie się na energię, by wystąpić czynnie przeciw tym pretensyom. Posiadając sam energię i zuchwałość bez granic, a oprócz tego rzeczywisty spryt do interesów, postanowił wybić się w górę za pomocą tych środków. Ludzie, którzy go nie

lubili, nazywali go beczelnym i był on nim istotnie, ale był z rozmysłu. Pochodząc z rodziny, wątpliwie nawet szlacheckiej, traktował ludzi, niewątpliwie pochodzących ze starych rodów, jakby był bez porównania lepiej od nich urodzonym, ludzi niewątpliwie bogatych, jakby był od nich bogatszym — i udawało mu się — i owa taktyka robiła swoje. Pilnował się tylko, by nie popaść w zupełną śmieszność, ale granice w takim postępowaniu wyznaczył sobie nadzwyczaj szerokie. Ostatecznie doszedł do tego, do czego chciał: był przyjmowany wszędzie i wyrobił sobie duży kredyt. Niektóre obroty przynosiły mu rzeczywiście spore zyski, ale pieniędzy nie zbierał. Uważał, że na to czas nie przyszedł i że musi jeszcze wkładać w przyszłość, chcąc, by mu się wypłaciła tak, jak od niej żądał. Pieniądzy wprawdzie nie trwonił i nie zbytkował, sądząc, że w ten sposób wchodzi w świat parweniusze — ale gdzie trzeba było, okazywał się, według własnego wyrażenia, „solidnie hojnym“. Uchodził też za człowieka nader gładkiego w interesach i nade wszystko słownego.

Słowność jego oparta była wprawdzie na kredycie, ale też i podtrzymywała go w wysokim stopniu, co znów pozwoliło mu robić obroty istotnie wielkie. Nie cofał się zaś przed byle czem. Posiadał, prócz odwagi i pewnego zapędu, wyłączającego długie rozmysły, jeszcze i wiarę w swe szczęście. Powodzenia wzmocniły tę wiarę. Nie wiedział wprawdzie nigdy sam, ile ma majątku, ale obracał dużymi pieniędzmi i ludzie mieli go za bogatego.

Ostatecznie sprężyną jego życia była raczej próżność, niż chciwość. Chciał wprawdzie być bogatym, ale przede-

wszystkiem pragnął uchodzić za wielkiego pana, na sposób angielski. Przystosował do tego nawet swoją powierzchowność i był niemal dumny ze swej brzydoty, wydawała mu się bowiem arystokratyczną. Jakoż tkwiło, jeśli nie coś niepospolitego, to przynajmniej coś nieswojskiego w jego wydętych ustach, szerokich nozdrzach i czerwonych wypiekach na twarzy. Była pewna siła i brutalność, jaką czasem mają Anglicy, a ów wyraz potęgowała jeszcze ta okoliczność, że, nosząc binokle, musiał zadzierać głowę do góry, a przy rozczesywaniu jasnych bokobrodów palcami, zadzierał ją jeszcze bardziej.

Połaniecki nie znosił go z początku i aż nazbyt mało to ukrywał; później przyzwyczaił się do niego, zwłaszcza, że i Maszko obchodził się z nim inaczej, niż z innymi, może przez uznanie, jakie po cichu dla niego żywił, może też dlatego, że chcieć nadto nabierać z góry człowieka tak czupurnego, było to narażać się na natychmiastową odprawę, w najlepszym razie, nieprzyjemną. W końcu, spotykając się często, młodzi ludzie przyzwyczaili się do swych wzajemnych słabości, i teraz naprzykład, gdy Maszko, odprawiwszy swoje panie, pokazał się w gabinecie, zbył się na chwilę swej wielkości i, powitawszy Połanieckiego, począł mówić jak zwykły śmiertelnik, nie zaś jak wielki pan, ani jak Anglik.

— Z babami! z babami! c'est toujours une mer à boire! Umieściłem ich kapitalik i płacę im procenta najregularniej. Nie! Przychodzą przynajmniej raz na tydzień pytać, czy nie było jakiego trzęsienia ziemi.

— Cóż mi powiesz? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem napij się kawy.

I, podpaliwszy alkohol pod maszynką, rzekł:

— Z tobą przynajmniej nie będzie marudztwa. Wykaz hipoteczny widziałem. Suma nie jest łatwą do odzyskania, ale za straconą jej uważać niepodobna. Oczywiście, odzyskanie pociąga za sobą kosztą, podróże i tak dalej, dlatego nie mogę ci dać tyle, ile całość wynosi, ale dam ci jej dwie trzecie i wypłacę w trzech ratach w ciągu roku.

— Ponieważ powiedziałem sobie, że zbędę wszystko, choćby za mniej, więc przystaję. Kiedyż pierwsza rata będzie płatna?

— Za kwartał.

— To zostawię pełnomocnictwo na Bigiela na wypadek, gdybym musiał wyjechać.

— A teraz wybierzesz się do Reichenhallu?

— Prawdopodobnie.

— Ej, kto wie, czy ci naprawdę Bukacki nie podał jakiej myśli?

— Każdy ma swoje. Ty na przykład?... Dlaczego ty kupujesz tę sumę na Krzemieniu? Przecie to jest dla ciebie za mały interes.

— Między większymi robią się i mniejsze. Ale z tobą będę otwarty. Wiesz, że ani moja pozycja, ani mój kredyt nie należą do ostatnich, ale i jedno i drugie wzmocni się, gdy będę miał za sobą kawał ziemi, i to taki duży. Słyszałem sam od Pławickiego w swoim czasie, że byłby gotów Krzemień sprzedać. Otóż przypuszczam, że teraz jest jeszcze bardziej gotów, i że można będzie cały ten majątek nabyć tanio, na jakies splaty, za jakąś marną na razie gotówkę, z dodatkiem rente viagère. Zobaczę

wreszcie! Później, oporządziwszy go trochę, jak konia na jarmark, można go będzie sprzedać, a tymczasem będę miał tytuł własności, o który, entre nous, mocno mi chodzi.

Połaniecki słuchał z pewnym przymusem słów Maszki, poczem rzekł:

— Muszę ci i ja powiedzieć otwarcie: kupno nie pójdzie łatwo. Panna Pławicka jest bardzo sprzedaży przeciwna. Ona, jak to kobiety! Kocha się w swoim Krzemieniu i uczyni wszystko, co będzie mogła, żeby został w jej i ojca rękach.

— Więc w najgorszym razie zostanę wierzycielem pana Pławickiego i nie myśl, żeby suma mi przepadła. Naprzód, mogę ją, za przykładem twoim, sprzedać, powtóre, jako adwokat, mam daleko większą łatwość wydobycia jej. Mogę sam wynaleźć sposoby wypłacenia i wskazać je Pławickiemu.

— Możesz także subhastować Krzemień i nabyć go na licytacji.

— Mógłbym, gdybym był kim innym, ale Maszce dyabło nie wypada. Nie! Znajdą się inne środki, na które może i panna Pławicka, którą zresztą bardzo cenię i wysoko stawiam, chętnie się zgodzi.

Połaniecki, który w tej chwili dopijał resztek kawy, postawił nagle filiżankę na stole.

— A! — rzekł — można i tak dojść do tytułu własności.

I znowu chwyciło go uczucie wielkiej przykrości i gniewu. W pierwszej chwili chciał wstać i powiedzieć Maszce: „Sumy nie sprzedam!“ — i pójść. Pohamował się jednak, Maszko zaś rozczesał bokobrody i odpowiedział:

— A gdyby?... Mogę ci słowem zaręczyć, że w tej chwili jeszcze takiego planu nie mam, że przynajmniej nie postawiłem go sobie wyraźnie. Ale... a gdyby? Pannę Pławicką poznałem w swoim czasie w Warszawie którejś zimy i podobała mi się bardzo. Rodzina jest dobra, majątek zrujnowany, ale duży i możliwy do uratowania. Kto wie! To taka myśl, jak i każda inna. Jestem z tobą zupełnie lojalny, jak zresztą jestem zawsze. Pojechałeś niby po pieniądze, ale ja wiedziałem, dlaczego cię te pannie tam wyprawiły. Wróciłeś jednak zły, jak dyabeł, więc przypuszczam, że nie masz zamiarów. Jeśli mi powiesz, że się mylę, to ustąpię natychmiast — nie od planu, bo, jakem ci zaręczył, nie mam go jeszcze, ale nawet od myślenia o nim, jak o czemś możliwem. Daję ci na to słowo. Tylko znów w razie przeciwnym nie trzymajże się zasady: „ni dla mnie, ni dla kogo“ i nie zagradzaj pannie drogi. A teraz słucham cię.

Połaniecki przypomniał sobie swoje wczorajsze rozumowania; pomyślał także, że Maszko ma słuszość, mówiąc, iż w takim razie nie powinien pannie zagradzać do ničzego drogi, i po pewnym czasie odrzekł:

— Nie, Maszko, ja nie mam żadnych zamiarów względem panny Pławickiej. Możesz się z nią żenić, albo nie! Powiem ci jednak otwarcie: jest jedna rzecz, która mi się w tem nie podoba, chociaż dla mnie korzystna: oto, że ty kupujesz tę sumę. Wierzę, że nie masz jeszcze gotowego zamiaru, ale na wypadek, jeśli go poweźmiesz? To jakoś będzie dziwnie wyglądało... Na jakiś nacisk, na jakąś sieć... To zresztą twoja rzecz...

— Tak dalece moja, że gdyby mi to powiedział

kto inny, nie ty, tobym mu pierwszy to przypomniał. Mogę ci jednak ręczyć, że gdybym powziął taki zamiar, o czem wątpię, to nie zażądałbym ręki panny Pławickiej, jako procentu od mojej sumy. Jak skoro mogę sobie sumiennie powiedzieć, że kupiłbym sumę w każdym razie, to ją tem samem i mam prawo kupić. Przedewszystkiem, jak dziś rzeczy stoją, chcę kupić Krzemień, bo mi to potrzebne — więc wolno mi użyć wszelkich godziwych środków, które mnie do celu prowadzą.

— Więc dobrze. Sprzedaję. Każ wygotować kontrakt i przyślij mi go, lub przyjdź z nim sam.

— Kontrakt kazałem wygotować memu dependencjowemu, chodzi tylko o podpisy.

Jakoż w kwadrans później kontrakt został podpisany. Tego dnia Połaniecki, spędzając wieczór u Bigielów, był zły, jak nigdy; pani Bigielowa nie umiała ukryć zmartwienia i Bigiel, namyśliwszy się nad wszystkim dokładnie, rzekł pod koniec wieczora ze zwykłą rozwagą i powolnością:

— Że Maszko ma i ten plan gotowy, to nie ulega wątpliwości. Idzie tylko o to, czy zwodzi ciebie, mówiąc, że go nie ma, czy i siebie także.

— Niech Bóg ją zachowa od Maszki — ozwała się pani Bigielowa. — To widzieliśmy tu wszyscy, że ona podobała mu się bardzo.

— Przypuszczałem — odpowiedział Bigiel — że tego rodzaju człowiek będzie szukał majątku, ale mogłem się mylić. Również być może, że zechce wziąć żonę z dobrej, starej rodziny, aby umocnić przez to swoje położenie towarzyskie, pozawierać stosunki, spokrewnić się

z licznymi rodzinami i w końcu wziąć w swoje ręce interes całej pewnej sfery towarzyskiej. To także niezłe wyrachowanie, zwłaszcza, że gdy zechce skorzystać ze swego kredytu dla Krzemienia, to z czasem, przy swej obrotności, może go oczyścić.

— I jak pani mówi, panna Pławicka podoba mi się przytem naprawdę — dodał Połaniecki — a ja sobie przypominam teraz, że Pławicki także mi o tem coś wspominał.

— Więc co, panie? — pytała pani Bigielowa — więc jakże będzie?

— Więc panna Pławicka, jeśli zechce, to wyjdzie za pana Maszkę — odrzekł Połaniecki

— A pan?

— A ja jadę tymczasem do Reichenhall.

VI.

I rzeczywiście, w tydzień później wyjechał do Reichenhallu, ale przedtem jeszcze otrzymał list pani Emilii, wypytujący go o wyprawę do Krzemienia. Na list ów nie odpisał, mając zamiar ustnie nań odpowiedzieć. Dowiedział się również, ale dopiero w wigilię wyjazdu, iż Maszko poprzedniego dnia wyjechał do Krzemienia, i wiadomość ta obeszła go więcej, niż się spodziewał. Mówił sobie wprawdzie, że nie dalej, jak w Wiedniu, już o tem zapomni, ale zapomnieć nie mógł i głowę miał tak zajęłą myślą o tem, czy panna Pławicka wyjdzie za Maszkę, że z Salzburga napisał list do Bigiela, niby w interesach, ale właściwie żądający przysłania mu wiadomości o Maszce. Słuchał też piąte przez dziesiąte rozpraw towarzyszącego mu Waskowskiego o wzajemnym stosunku do siebie ludów austriackich i o misyi narodów nowożytnych w ogólności. Nieraz tak był zajęty myśleniem o Maryni, że wprost nie odpowiadał na pytanie. Dziwiło go też, że chwilami widzi ją tak wyraźnie, jakby przed nim stała, więc nie tylko jako dokładny obraz, ale jako żywą istotę. Widział jej miłą, łagodną twarz ze ślicznymi ustami

i z małym znamieniem nad górną wargą, jej oczy, patrzące spokojnie, w których widać było skupienie i uwagę, z jaką słuchała jego słów; widział całą jej postać, wysmukłą, giętką, od której biło ciepło wielkiej, a zarazem niezmiernie dziewiczej młodości. Przypomniawszy sobie jej jasną suknię i końce stóp, wyglądające z pod jej sukni, i delikatne, lubo nieco opalone, ręce, i ciemne włosy, poruszane powiewem w ogrodzie. Nigdy nie spodziewał się, żeby mogła istnieć pamięć tak niemal dotykalna — i to pamięć osoby, widzianej przez czas tak krótki. Rozumiał jednak, że to jest dowód, jak głębokie naprawdę zrobiła ona na nim wrażenie, i gdy chwilami przechodziło mu przez głowę, że to wszystko, co się tak wycisnęło w jego pamięci, może osiąść Maszko, prawie nie chciał mu się w to wierzyć. Pierwszym jego porywem w takich chwilach, zresztą zgodnym z jego czynną naturą, była niepowstrzymana chęć, żeby temu przeszkodzić. Musiał sobie dopiero przypominać, że to jest sprawa już w jego woli rozstrzygnięta, i że postanowił sobie zaniechać panny Pławickiej.

Obaj z Waskowskim dojechali do Reichenhallu wczesnym rankiem i zaraz pierwszego dnia, zanim dowiedzieli się o adresie pani Emilii, spotkali ją wraz z Litką w parku miejscowym. Pani Chwastowska, która nie spodziewała się ich, a przynajmniej nie Połanieckiego, ucieszyła się na ich widok szczerze. Radość jej została tylko przyćmiona tem, że Litka, dziecko wyjątkowo wrażliwe, a przytem chore na astmę i na serce, ucieszyła się jeszcze bardziej, tak nawet bardzo, że dostała silnego bicia serca w połączeniu z dusznością i niemal omdleniem.

Ale były to częste u niej objawy i, gdy atak minął, pogoda wróciła na wszystkie twarze. Wracając do domu, dziecko trzymało za rękę „pana Stacha“ i w chmurnych zwykle jej oczach świeciła głęboka radość. Od czasu do czasu ścisłała tę rękę, jakby chcąc się upewnić, że on naprawdę przyjechał do Reichenhallu i że jest przy niej. Połaniecki wprost nie miał czasu o niczem mówić z panią Emilią, ani ona o nic go rozpytać, bo Litka pokazywała mu Reichenhall i, szczebiocząc bez ustanku, chciała mu od razu pokazać wszystkie piękniejsze miejsca. Co chwila zaś mówiła:

— To nic jeszcze. Thumsee ładniejsze, ale pójdziemy tam dopiero jutro.

. Poczem, zwracając się do matki:

— Mamą pozwoli, prawda? Ja teraz mogę dużo chodzić. To niedaleko. Mama pozwoli, prawda?

Chwilami znów odsuwała się od Połanieckiego i, nie puszczając jego ręki, patrzyła na niego swemi wielkimi oczyma, powtarzając:

— Pan Stach! pan Stach!

Połaniecki okazywał jej ze swej strony największą tkliwość, na jaką mógłby się zdobyć starszy brat; raz wraz też gderał na nią dobrotliwie:

— Kociak niech tak nie leci, bo się zadyszcy.

A ona przytulała się do niego i, wysuwając naprzód usteczka, odpowiadała, niby się gniewając:

— Cicho, pan Stach!

Połaniecki spoglądał jednak od czasu do czasu na jasną twarz pani Emilii, jakby chcąc jej dać poznać, że pragnie z nią pomówić. Ale nie było sposobu, gdyż pani Emilia nie

chciała psuć wesołości Litce i wolała jej pozostawić wspólnego przyjaciela na wyłączną własność. Dopiero po obiedzie, który jedli razem, w ogrodzie, wśród zieloności i świągotania wróbli, gdy Waskowski począł opowiadać Litce o ptakach i o miłości, jaką miał dla nich św. Franciszek z Assyżu, a dziecko, wsparłszy główkę na ręce, zasłuchało się zupełnie, Połaniecki zwrócił się do pani Chwastowskiej.

— Czy pani nie zechce się przejść do końca ogrodu?

— Dobrze — odpowiedziała. — Litko, zostań na minutkę z panem Waskowskim, my w tej chwili wracamy.

I poszli, poczem zaraz pani Emilia spytała:

— I cóż?

Połaniecki począł opowiadać, ale, bądź że chciał się lepiej przedstawić pani Emilii, bądź że postanowił rachować się z jej naturą mimozy, bądź wreszcie, że ostatnie myśli o Maryni nastroiły go na jakąś tkliwszą niż zwykle nutę, dość, że całkowicie rzecz przekręcił. Przyznał się wprawdzie do kłótni z panem Pławickim, ale milczał o tem, że przed wyjazdem z Krzemienia odezwał się i do Maryni w sposób szorstki, natomiast nie szczędził jej w opowiadaniu pochwał i wreszcie tak skończył:

— Ponieważ ten dług stał się od razu powodem nieporozumień między mną a Pławickim, co musiało się odbić i na pannie Maryni, więc wolałem go sprzedać i właśnie przed samym wyjazdem sprzedałem Maszce.

Pani Emilia, która nie miała najmniejszego pojęcia o sprawach pieniężnych, a natomiast posiadała prostotę zupełnie anielską, odrzekła:

— To dobrze pan zrobił. Między wami nie powinno być takich rzeczy, jak pieniądze.

Lecz Połaniecki zawstydzil się w tej chwili, że wyprowadza w pole taką naiwną duszę i odrzekł:

— Tak!... Raczej, nie! Myślę, że źle zrobił. Bigiel jest także zdania, że to nie było dobrze... Maszko może ich przyciskać, może stawiać rozmaite żądania, może wystawić na sprzedaż Krzemień... Nie, pani, to nie jest postępek delikatny, ani taki, któryby mógł nas zbliżyć, i nie byłbym tego uczynił, gdyby nie to, że doszedł do przekonania, iż trzeba sobie to wszystko raz na zawsze wybić z głowy.

— A, nie! Niech pan tego nie mówi. Ja wierzę, że we wszystkim jest przeznaczenie — i wierzę także, że Opatrzność przeznaczyła was wzajem dla siebie.

— Tego ja, pani, nie rozumiem. Jeśli tak jest, to nie potrzebuję o nic zabiegać, bo w każdym razie muszę ożenić się z panną Pławicką.

— Nie. Ja mam kobiecą głowę i może mówię niedorzeczności, ale mi się zdaje, że Opatrzność chce i obmyśla wszystko tak, jakby było najlepiej, ale zostawia ludziom wolę, ci zaś często nie chcą iść za tem, co im przeznaczono, i dlatego tylu jest nieszczęśliwych.

— Może. Trudno jednak iść za czem innem, jak za własnym przekonaniem. Rozum to także latarka, którą nam Bóg dał w rękę. Kto mi przytem zaręczy, czy panna Marynia wyszłaby za mnie?

— Powinnam już mieć od niej wiadomość o pańskich odwiedzinach w Krzemieniu, i dziwię się, że dotychczas nie mam. Myślę, że najdalej jutro list nadejdzie, bo

my pisujemy do siebie co tydzień. Czy ona wie o pańskim wyjeździe do Reichenhallu?

— Nie. Ja sam, będąc w Krzemieniu, nie wiedziałem jeszcze, dokąd pojedę.

— To dobrze, bo będzie szczerą, chociaż ona i tak byłaby szczerą.

Na tem skończyła się rozmowa pierwszego dnia. Wieczorem, na prośbę Litki, postanowiono pójść nazajutrz do Thumsee i wyjść zrana, tak, aby obiad zjeść nad jeziorem, powrócić zaś powozem, lub, o ileby Litka nie była zmęczoną, to piechotą, byle zdążyć przed zachodem słońca. Waskowski i Połaniecki stawili się przed willą tych pań przed dziewiątą rano. Obie były już przybrane i czekały na werandzie, obie zaś wyglądały tak zjawiskowo, że aż stary pedagog Waskowski został tem odurzony.

— Że też Pan Bóg tworzy sobie czasem z ludzi zupełnie kwiaty! — rzekł, ukazując zdala na matkę i córkę.

Rzeczywiście i pani Emilia, i Litka, były przedmiotem podziwu dla całego Reichenhallu. Pierwsza, ze swoją uduchowioną anielską twarzą, była jakby wcieleniem miłości i tkliwości macierzyńskiej, a zarazem egzaltacji; druga o chmurnych wielkich oczach, płowej czuprynie i rysach tak delikatnych, wyglądała raczej na jaki artystyczny pomysł, niż na żywą dziewczynkę. Dekadent Bukacki mawiał o niej, że jest utkana z mgły, ledwie trochę zaróżowionej przez świt. Jakoż było w tej dziewczynie coś prawie niezmiernego, które to wrażenie potęgowała jeszcze jej choroba, jej nadmierna wrażliwość i uczuciość. Matka kochała ją ślepo, otaczający również; ale dziecko, wyjątkowo z natury słodkie, nie dało się popsuć.

Połaniecki, który w Warszawie widywał panią Emilię kilka razy tygodniowo, był do obydwóch szczerze przywiązany. W mieście, w którym sława kobieca jest mniej szanowaną, niż gdziekolwiek na świecie, robiono z tego powodu plotki, oczywiście najniesłuszniejsze, gdyż pani Emilia była pod każdym względem czysta, jak dziecko, i nosiła swą egzaltowaną głowę po prostu w błękie, jakby nie wiedząc, że zło istnieje. Była nawet tak dalece czystą, że nie rozumiała potrzeby zwracania uwagi na pozory. Przyjmowała z radością tych, których kochała Litka, lecz odmówiła kilka dobrych partyi, wyraźnie oświadczając, że osobiście nic jej na świecie, prócz Litki, nie potrzeba. Jeden tylko Bukacki utrzymywał, że pani Emilia działa na jego nerwy; Połaniecki tak się przystosował do owego błękitu, otaczającego tę kryształową kobietę, że wprost nie zbliżał się nigdy do niej z myślą zmaconą przez pokusę.

I teraz więc, po uwadze Waskowskiego, odrzekł z prostotą:

— Rzeczywiście bajecznie obie wyglądają!

I przywitawszy je, powtórzył mniej więcej to samo pani Emilii, jako coś, co w danym wypadku zwróciło jego uwagę. Ona uśmiechnęła się z zadowolenia, prawdopodobnie dlatego, że pochwała obejmowała także Litkę i, zbierając suknię do drogi, rzekła:

— Miałam rano list i umyślnie go wzięłam, by panu pokazać.

— Wolno zaraz przeczytać?

— Wolno. Proszę.

I ruszyli drogą, leśną ku Thumsee, pani Emilia,

Waskowski i Litka na przedzie, Połaniecki nieco za nimi, z głową schyloną nad listem.

List brzmiał jak następuje:

„Droga moja Emilko! Dziś odebrałam twoją litanie pytań i zaraz odpowiadam, bo i mnie pilno podzielić się z tobą myślami. Pan Połaniecki wyjechał w poniedziałek, zatem dwa dni temu. Pierwszego wieczora przyjąłem go, jak przyjmuję wszystkich — i nic a nic nie przyszło mi do głowy, ale nazajutrz było święto, miałam wolny czas i byliśmy prawie całe popołudnie nietylko razem, ale sam na sam, bo papa pojechał do państwa Jamiszów. Cóż ci mam powiedzieć? Taki sympatyczny, taki szczerzy, a przytem prawdziwy mężczyzna! Z tego, co mówił o Litce i o tobie, zaraz zmiarkowałam, że ma dobre serce. Chodziliśmy długo nad stawem, po ogrodzie. Obwiązywałam mu rękę, bo się skaleczył o łódź. Mówił rzeczy takie rozumne, że mi się zasłuchiwałam w jego słowa. Ach, moja Emilko, wstyd mi się przyznać, ale moja biedna głowa trochę się zawróciła przez ten wieczór. Ty wiesz przecie, jaka tu jestem sama, zapracowana, i jak rzadko widuję podobnych ludzi. Zdawało mi się, że przyjechał gość z jakiegoś innego i lepszego świata. On mi się nietylko podobał, ale mnie tak ujął swoją serdecznością, że nie mogłam zasnąć i ciągle o nim myślałam. Wprawdzie nazajutrz pokłócili się z papą, a nawet i mnie się trochę dostało, choć Bóg widzi, ilebym dała za to, żeby między nami nie było tego rodzaju spraw. W pierwszej chwili dotknęło mnie to mocno, i gdyby ten brzydki człowiek wiedział, ilem się napłakała w swoim pokoju, toby mnie pożałował. Ale później pomyślałam, że on musi być bar-

dzo żywy, że papa nie miał słuszności, i nie gniewam się już. Powiem ci też do uszka, co mi jakiś głos szepce ciągle: oto, że on tego długu, który ma na Krzemieniu, nie sprzeda nikomu, choćby dlatego, żeby przyjechać tu jeszcze. To, że się tak źle rozstali z papą, to nic. Sam papa tego do serca nie bierze, bo to są jego sposoby, nie zaś uczucia, ani przekonania. We mnie ma pan Połaniecki szczerą przyjaciółkę, która zrobi wszystko, co będzie mogła, by zaraz po rozprzedaży Magierówki ustały te wszystkie powody nieporozumień i wogóle te brzydkie sprawy pieniężne. Wówczas on musi przyjechać, choćby dla odebrania swej należności — nieprawda? Może też i ja podobałam mu się trochę, że zaś człowiek taki żywy powie czasem coś przykrego, nie trzeba się dziwić. Nic mu o tem nie mów, jak go zobaczysz, i nie laj go, niech cię Bóg broni. Nie wiem dlaczego, mam jakąś ufność, że on nie zrobi krzywdy ani mnie, ani papie, ani mojemu kochanemu Krzemieniowi, i myślę, że dobrze byłoby na świecie, gdyby wszyscy byli do niego podobni. Ściskam najserdeczniej ciebie, moja droga, i Litkę. Napisz mi o jej zdrowiu jak najobszerniej i kochaj mnie tak, jak ja ciebie“.

Połaniecki, skończywszy czytać, wsunął list do bocznej kieszeni surduta, następnie zapiał go, następnie przesunął kapelusz na tył głowy, następnie uczuł nagle wielką ochotę połamania swej laski na drobne kawałki i wrzucenia jej w strumień; nie uczynił tego jednak, tylko począł mruścić przez zaciśnięte zęby:

— Tak? dobrze! Znasz ty Połanieckiego?... Licz na to, że cię nie pokrzywdzi! Dobrze wyjdiesz!

Potem zwrócił do siebie mowę w sposób następujący:

— Dobrze ci tak! bo to jest anioł, a tyś go nie wart.

I znów porwała go chęć połamania w kawalki własnej laski. Oto ujrzał teraz wyraźnie, że dusza tej dziewczyny gotowa była oddać mu się z całą wiarą i ufnością, a on zgotował jej od razu jeden z takich bolesnych i dotkliwych zawodów, których pamięć — zostaje raz na zawsze i boli wiecznie. Sprzedać sumę, to było nic, ale sprzedać ją człowiekowi, pragnącemu ją kupić w takim zamiarze, jak Maszko, to znaczyło powiedzieć tem samem pannie: „Nie chcę cię — i idź sobie za niego, jeśli ci się tak podoba“. Co za gorzkie rozczarowanie dla niej, po tem wszystkim, co do niej mówił owej niedzieli, po tych słowach przyjaznych, otwartych, a zarazem przeznaczonych na to, by wniknęły do jej serca. Bo one były jednak na to przeznaczone i Połaniecki czuł, że ona tak je wzięła. Mógł sobie teraz powtarzać, ile razy chciał, że one do niczego nie obowiązują, że za pierwszą bytnością i w pierwszej rozmowie z kobietą człowiek wysuwa tylko rogi, jak ślimak, i próbuje, na jaki grunt trafił. Nie byłoby to mu teraz żadną pociechą. Zresztą, nietylko nie był w humorze usprawiedliwiania się przed samym sobą, ale raczej pragnąłby się był spoliczkować. Pierwszy raz zobaczył tak wyraźnie, że mógłby uzyskać i serce i rękę Maryni, im zaś ta możliwość przedstawiała mu się bardziej realnie, tem strata wydawała mu się bardziej niepowetowaną. Na dobitkę, od chwili przeczytania owego listu, począł się w nim nowy przewrót. Własne rozumowania, że powinien zaniechać Maryni, wydały mu się naraz i płaskie i nędzne. Połaniecki, przy wszystkich swych wadach, miał wdzięczne serce i list ów wzruszył go do wysokiego sto-

pnia tą dobrocią i wyrozumiałością, tą gotowością do kochania, jakie w nim tkwiły. Skutkiem tego wspomnienie Maryni poróżwiała nagle w jego sercu i pamięci, poróżwiała nawet tak mocno, że pomyślał:

— Ja teraz zakocham się w niej, jak Bóg w niebie!

I ogarnęło go rozczulenie dla Maryni, przed którym nawet złość na samego siebie musiała ustąpić. Po chwili, połączywszy się z resztą towarzystwa, wysunął się nieco z panią Emilią naprzód i rzekł:

— Niech mi pani daruje ten list.

— Z największą chęcią. Prawda, jaki pocziwy? A nie przyznał mi się pan, że i jej się coś dostało na wyjeźdne? Ale nie będę panu robiła wymówek, skoro ona sama bierze pana w obronę.

— Pani! gdyby to co pomogło, prosiłbym, by mnie pani obila. Ale tu już niema o czem mówić, bo to rzeczy niepowetowane.

Pani Emilia nie podzielała jednak wcale tego zdania. Owszem, widząc wzruszenie Połanieckiego, nabrała pewności, że sprawa, w której obie strony czują tak żywo, stoi jak najlepiej i musi skończyć się pomyślnie. Na samą tę myśl jej śliczna słodka twarz rozjaśniła się wielką radością.

— Zobaczmy to za kilka miesięcy — rzekła.

— Ani pani się domyśla, co możemy zabaczyć — odparł Połaniecki, myśląc o Maszce.

Na to znów pani Emilia:

— Niech pan pamięta o jednej rzeczy, że kto raz zyska serce Maryni, ten się nie zawiedzie nigdy.

— Wierzę — odpowiedział ze smutkiem Połanie-

cki, — ale też takie serca, raz zrażone, nie powracają więcej.

Dalej nie mogli rozmawiać, bo Litka i pan Waskowski przysunęli się do nich. Po chwili dziewczynka zagarnęła, jak zwykle, Połanieckiego na wyłączną swą własność. Las, zanurzony w łagodnym porannem świetle pogodnego dnia, zajmował ją nadzwyczajnie, więc zaczęła wypytywać o rozmaite drzewa, co chwila zaś wykrzykiwała z radością:

— Rydze!

Lecz on odpowiadał jej mechanicznie, myśląc o czem innym:

— Rydze, kotku, rydze!

Nakoniec droga zniżyła się i pod stopami ujrzeli Thumsee. Po upływie pół godziny, zeszli na bity gościniec, ciągnący się nad samym brzegiem, na którym widać było tu i owdzie drewniane kładki, powyciągane na kilka kroków w wodę. Litka miała ochotę zobaczyć z bliska wielkie ryby, które widać było w przezroczystej toni. Połaniecki, wzięwszy ją za rękę, wprowadził ją w tym celu na jedną z kładek.

Ryby, przyzwyczajone do okruszyn chleba, rzuconych przez gości, zamiast uciekać, zbliżyły się jeszcze i wkrótce cały ich wianek otoczył stopy Litki. W błękitnawej toni widać było złotawo-brunatne grzbiety karpów i szarą plamistą łuskę lososiopstrągów, oraz okrągłe oczy, wpatrzone jakby z wyrazem prośby w dziewczynkę.

— Wracając, weźmiemy dużo bułek — mówiła dziewczynka. — Jak one dziwnie patrzą. Co one myślą?

— One myślą bardzo powoli — rzekł Połaniecki — i tak, dopiero za godzinę albo za dwie powiedzą sobie: „Aha! tu stała jakaś dziewczynka z płową czupryną, w różowej sukience i w czarnych pończoszkach.“

— A o panu Stachu, co pomyśla?

— Pomyśla, że jest jakiś cygan, bo ja nie mam płowej czupryny.

— Nie. Cygany nie mają przecie domu.

— I ja nie mam domu, Litko. Mogłem go mieć, ale go sprzedałem.

Połaniecki wymówił ostatni wyraz w jakiś niezwykły sposób i wogóle był w głosie jego smutek. Dziewczynka spojrzała na niego uważniej i zaraz wrażliwa jej twarzyczka odbiła jego smutek, tak jak owa toń odbijała jej własną postać. Potem, gdy się połączyli z resztą towarzystwa, podnosiła na niego od czasu do czasu swoje chmurne oczy, z wyrazem pytającym i niespokojnym. Wreszcie, ścisnąwszy mocniej jego rękę, za którą trzymała, rzekła:

— Co panu jest, panie Stachu?

— Nic, dziecinko. Rozglądam się po jeziorze i dlatego nic nie mówię.

— Bo ja się tak cieszyłam wczoraj, że panu pokażę Thumsee.

— Owszem. Chociaż niema skał, bardzo tu ładnie! A tamten domek z drugiej strony?

— Tam będziemy jedli obiad.

Tymczasem pani Emilia rozmawiała wesoło z Waskowskim, który, niosąc w ręku kapelusz i szukając co

chwila po kieszeniach chustki dla obtarcia łysiny, opowiadał jej swoje spostrzeżenia nad Bukackim.

— On jest Arya — kończył — i dlatego w ciągłym niepokoju dąży do spokoju. Teraz kupuje obrazy i sztychy, myśląc, że tem zapełni próżnię. Ach, pani, na co ja patrzę! Toż to te dzieci wieku noszą w duszy taką otchłań, jak naprzykład to jezioro, a w dodatku bezdenną, i myślą, że można ją zapełnić obrazkami, akwafortami, amatorem, dyletantyzmem, Baudelaire'm, Ibsenem, Maeterlinckiem, wreszcie dyletantyzmem naukowym. Biedne ptaki, rozbijające głowy o ściany klatek! To tak samo, jakbym chciał wypełnić to oto jezioro, wrzuciwszy w nie ten kamyk.

— A cóż może zapełnić życie?

— Wszelka szersza idea, wszelkie większe uczucie, ale pod jednym warunkiem, by były poczęte w Chrystusie. Gdyby Bukacki po chrześcijańsku kochał sztukę, dałaby mu pogodę, której mimowoli szuka.

— A mówił mu pan to?

— I to, i wiele innych rzeczy. Ja i jego i Połanieckiego ciągle namawiam, by czytali życie św. Franciszka z Assyżu. Nie chcą i śmieją się ze mnie. A jednak, to był największy człowiek i największy święty średnich wieków, który odrodził świat. Gdyby się teraz znalazł podobny, odrodzenie w Chrystusie nastąpiłoby jeszcze szersze i jeszcze zupełniejsze.

Zbliżało się południe, z niem upał. Las poczynał pachnąć żywicą, a jezioro wygładziło się zupełnie w ciszy pełnej blasku i, odbijając błękit bez plamki, zdawało się drzeć.

Doszli wreszcie do domu i ogrodu, w którym była restauracya, i siedli pod cieniem buku, przy zastawionym stole. Połaniecki, przywoławszy kelnera w brudnym fraku, zamówił obiad, poczem rozglądali się w milczeniu po jeziorze i okolicznych górach.

O parę kroków od stołu rosła kępa irysów, zwilżana przez wodotrysk, urządzone między kamieniami.

Pani Emilia, spojrzawszy na kwiaty, rzekła:

— Gdy jestem nad jakim jeziorem, a przytem patrzę na irysy, zdaje mi się, że jestem we Włoszech.

— Bo nigdzie niema ani tyle jezior, ani tyle irysów — odrzekł Połaniecki.

— Ani tyle upojenia dla każdego człowieka — dodał Waskowski. — Ja od wielu lat jeżdżę tam co rok, jesienią, szukać sobie schronienia na ostatnie dni. Długi czas wahałem się między Perugią a Assyżem, ale ostatniego roku przeważył Rzym. To jest jakby sień do innego świata, w której widać już jego światło. Pojadę tam w październiku.

— Szczerze panu zazdroszczę — rzekła pani Emilia.

— Litka ma dwanaście lat... — zaczął Waskowski.

Lecz Litka przerwała:

— I trzy miesiące.

— I trzy miesiące; więc choć na swój wiek jest bardzo mała i trzpiotka wielka, czasby jej już rozmaite rzeczy w Rzymie pokazać — mówił dalej Waskowski. — Nic się tak nie pamięta, jak to, co się widziało w dzieciństwie. A choć się wielu rzeczy nie odczuje, ani zrozumie, to przychodzi później i przychodzi bardzo przyjemnie, bo tak, jakby ktoś od razu oświecił jakieś wra-

żenia, zanurzone w cieniu... Niech pani jedzie ze mną w październiku do Włoch.

— W październiku nie mogę, bo mam swoje kobiece powody, które mnie zatrzymują w Warszawie.

— Jakie?

Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Pierwszy i najglówniejszy, a czysto kobiecy — rzekła, wskazując na Połanieckiego — to ożenić tego pana, który siedzi taki posepny i w gruncie rzeczy... taki rozkochany.

Połaniecki obudził się z zamyślenia i machnął ręką.

A Waskowski zapytał ze zwykłą naiwnością dziecka:

— Zawsze z Marynią Pławicką?

— Tak — odrzekła pani Emilia. — Był w Krzemieniu i próżnoby się zapierał, że go bardzo chwyciła za serce.

— Mogę się nie zapierać — odrzekł Połaniecki.

Lecz dalsza rozmowa została przerwana w przykry sposób, bo Litka niespodziewanie zasłabła. Uczyniło się jej nagle duszno i dostała jednego ze swych zwykłych ataków bicia serca, które przejmowały trwogą o jej życie nawet lekarzy. Matka porwała ją w tej chwili na ręce, Połaniecki skoczył po łód do restauracyi. Waskowski zaś począł ciągnąć z wysileniem do stołu ławkę ogrodową, by dziecko mogło się na niej wyciągnąć i swobodniej oddychać.

— Zmęczyłaś się, dziecinko? prawda? — pytała pobladłemi ustami pani Emilia. — Widzisz, kochanie, że było za daleko... A doktor jednak pozwolił!... Tak gorąco! Ale to nic! to przejdzie! to przejdzie!... Moje skarby, moje kochanie!!...

I poczęła całować wilgotne czoło dziewczynki. Tymczasem Połaniecki wrócił z lodem, a za nim nadbiegła miejscowa gospodyni, z poduszką w ręku. Po chwili ułożono małą na ławce, i podczas gdy pani Emilia obwijała lód w serwetę, Połaniecki, schyliwszy się nad chorą, pytał:

— Jakże ci, kociątko?

— Tylko duszno trochę, ale lepiej... — odpowiedziała, otwierając, jak rybka, usta dla schwywania oddechu,

Nie było jednak wiele lepiej, bo nawet przez sukienkę widać było, jak to małe, chore serce bije gwałtownie w piersiach.

Wszelako pod wpływem lodu atak uspokajał się zwolna, a wreszcie uspokoił się zupełnie, pozostawiwszy po sobie tylko zmęczenie. Litka poczęła się znów uśmiechać do matki, która również ochłonęła nieco z przerażenia. Dziecko należało pokrzepić przed powrotem, więc Połaniecki kazał podać obiad, którego, prócz Litki, nikt zresztą prawie nie tknął, wszyscy bowiem spoglądali na nią co chwila z tajoną obawą, czy duszność znowu jej nie chwyci. W ten sposób upłynęła godzina. Goście poczęli zwolna napływać do restauracyi. Pani Emilia chciała wracać do domu, lecz należało czekać na powóz, po który Połaniecki posłał do Reichenhallu.

Powóz nadszedł wreszcie, ale w drodze czekał ich nowy niepokój. Jakkolwiek jechali noga za nogą i po gościńcu bardzo równym, małe nawet wstrząśnienia męczyły Litkę, tak, że w pobliżu już Reichenhallu poczęło jej znów czynić się duszno. Prosiła, żeby jej wolno było wysiąść, ale pokazało się, że i droga piesza męczy ją. Wówczas pani Emilia postanowiła ją nieść, Połaniecki

jednak, uprzedzając to macierzyńskie poświęcenie, które zresztą nie było w miarę sił pani Emilii, rzekł:

— Lituś, chodź, ja cię poniosę. Inaczej mama zmęczy się i będzie chora.

I nie pytając dłużej, podniósł ją lekko z ziemi i niósł zupełnie swobodnie, na jednej tylko ręce, żeby zaś upewnić i ją, i panią Emilię, że go to wcale nie męczy, począł żartować:

— Jak taki kot chodzi po ziemi, to zdaje się wcale nieduży, a teraz ot, gdzie to te długie nożyska wiszą. Trzymaj się mnie za szyję, to będziesz się mniej kołysała.

I szedł, jak umiał najrówniej, a spiesznie, bo chciał, by lekarz mógł się nią zająć jak najprędzej; idąc, czuł, jak jej serce bije na jego ramieniu, ona zaś, trzymając się go swemi chudemi ramionkami, powtarzała:

— Niech mnie pan puści! Ja... nie mogę... Niech mnie pan puści!

A on odpowiadał:

— Nie puszczę! Widzisz, jak to źle męczyć się na piechotę. Od tej pory weźmiemy zawsze z sobą takie duże, wygodne krzesło na kółkach, i jak się dziecko zmęczy, to je posadzimy, a ja będę popychał.

— Nie, nie! — powtarzała Litka ze łzami w głosie.

On zaś niósł ją z taką tkliwością, jak starszy brat, lub jak ojciec, i serce miał istotnie wezbrane, raz dlatego, że tę małą kochał istotnie, a powtóre, że przyszło mu do głowy to, o czem dotąd nie myślał, a przynajmniej czego nie odczuwał dość wyraźnie: mianowicie, że małżeństwo otwiera także drogę ojcostwu i tym wszystkim skarbowi szczęścia, które się w niem mieszczą. Teraz,

niosąc tę drogą sobie, choć obcą dziewczynkę, zrozumiał, że Bóg stworzył go do życia rodzinnego, nie tylko na męża, ale i na ojca, jakoteż, że właściwy cel i znaczenie życia tkwi w tem właśnie.

I wszystkie jego myśli uleciały do Maryni. Czuł teraz ze zdwojoną siłą, że ze wszystkich kobiet, jakie dotychczas spotkał, ją przede wszystkim wybrałby za żonę i z nią chciałby mieć dzieci.

VII.

W ciągu następnych dni Litka nie była chora, ale czuła się osłabioną, wychodziła jednak, ponieważ doktor nakazał jej wychodzić, ale polecił bardzo usilnie umiarkowany ruch pod górę. Waskowski poszedł do niego umyślnie, by dowiedzieć się, jaki jest stan jej zdrowia. Połaniecki czekał na niego w czytelnicy, ale już z jego twarzy poznał od razu, że nic dobrego nie przynosi.

— Lekarz nie widzi natychmiastowego niebezpieczeństwa — rzekł stary człowiek — ale skazuje to dziecko na wczesną śmierć i wogóle każe nad niem czuwać, bo, jak mówi, niepodobna odgadnąć dnia, ani godziny.

Połaniecki zakrył oczy ręką:

— Co za nieszczęście, co za cios!... Matka jej nie przeżyje. Śmierć nad takim dzieckiem! Wierzyć się nie chce!

Waskowski miał łzy w oczach.

— Pytałem — rzekł — czy ona musi przy tem dużo cierpieć. Doktor powiedział, że niekoniecznie i może zgasnąć tak cicho, jakby zasnęła.

— Matce nie mówił nic o jej stanie?

— Nie mówił. Powiedział wprawdzie, że jest wada

serca, ale dodał, że u dzieci często przechodzą takie rzeczy bez śladu. Sam nie ma nadziei.

Lecz Połaniecki niełatwo poddawał się nieszczęściu.

— Co tam jeden doktor — rzekł. — Trzeba dziecko ratować, póki jest iskra nadziei. Doktor mógł się nie poznać. Trzeba ją zawieźć do specjalisty do Monachium, lub jego tu sprowadzić. Panią Emilię to przerazi, ale trudna rada! Czekajże pan. Można i tego uniknąć. Ja go sprowadzę — i to zaraz. Pani Emilii powiemy, że taki a taki sławny lekarz przyjechał tu do kogoś, i że jest sposobność poradzenia się o Litkę. Nie można zostawić jej bez ratunku. Trzeba tylko do niego napisać, by wiedział, jak z matką gadać.

— A do kogo chcesz pisać?

— Do kogo? Czy ja wiem! Miejscowy doktor wskaże specjalistę. Chodźmy do niego zaraz, by nie tracić czasu.

I sprawa została załatwioną tegoż samego dnia. Wieczorem poszli obaj do pani Emilii. Litka była zdrowa, ale milcząca i zasepiona. Uśmiechała się wprawdzie i do matki i do swego przyjaciela, okazywała obojgu wdzięczność za troskliwość, jaką ją otaczali, ale Połaniecki nie mógł jej rozbawić. Mając głowę nabitą myślą o grożącym jej niebezpieczeństwie, poczytywał mimowoli ów jej smutek za oznakę rozwijającej się choroby, za wczesne przeczuwanie blizkiej śmierci i z przestachem mówił sobie w duszy, że ona już nie jest taka, jak zwykle, jakby niektóre nitki, łączące ją z życiem, były pozrywane. Przestach jego powiększył się jeszcze, gdy pani Emilia rzekła:

— Litka się dobrze ma, ale wie pan, o co mnie dzisiaj prosila? — żebyśmy wrócili do Warszawy.

Połaniecki wysiłkiem woli potłumił niepokój i, zwróciwszy się do małej, rzekł, udając wesołość:

— Ach, ty niegodziwe stworzenie! To nie żalby ci było Thumsee?

A dziewczynka poczęła potrząsać swoją płową główką.

— Nie! — odrzekła po chwili.

I lzy zakręciły się jej w oczach, ale prędko nakryła je rzęsami, z obawy, by ich kto nie zobaczył.

— Co jej jest? — pomyślał Połaniecki.

A jej była bardzo prosta rzecz. Oto w Thumsee dowiedziała się, że jej chcą zabrać jej przyjaciela, jej „pana Stacha“, jej najmilszego towarzysza. Usłyszała, że on kocha Marynię Pławicką, a dotąd była pewna, że on kocha tylko ją i mamę. Usłyszała, że mama chce go ożenić z tamtą, a dotychczas uważała go za swoją wyłączną własność. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co jej groziło, odczuwała jednak, że ten pan „Stach“ odejdzie od niej i że stanie się jej krzywda — pierwsza, jakiej w życiu doświadczała. I żeby to kto inny jej tę krzywdę wyrządził, mniejby to ją dotknęło, ale właśnie mama i „pan Stach!“ To było jakby koło błędne, z którego dziecko wyjść nie umiało i nie mogło. Jakże im się tu poskarżyć na nich samych? Widać, że tak chcą, że tak sobie życzą, że to im potrzebne i że będą szczęśliwi, gdy się tak stanie. Oto mama powiedziała, że „pan Stach“ kocha pannę Marynię, a on nie zaprzeczył, więc trzeba ustąpić, połknać lzy i milczeć nawet przed mamą.

I Litka zamknęła w sobie pierwszą gorycz życiową. Tak jest! musiała ustąpić, że zaś gorycz złem jest le-

karstwem dla chorego i tak serca, zatem to ustąpienie mogło być zupełniejsze i bardziej tragiczne, niż ktokolwiek z otaczających ją mógł przypuścić.

Lekarz-specjalista przyjechał w dwa dni później z Monachium i, zabawiwszy dwa dni w Reichenhallu, potwierdził zupełnie zdanie miejscowego doktora. Panią Emilię uspokoił, Połanieckiemu zaś powiedział, że życie dziecka może przetrwać miesiące i lata, ale będzie wisiało zawsze jak na nitce, która z lada powodu zerwać się może. Kazał oszczędzać małej wzruszeń, zarówno wesółych, jak smutnych, i czuwać nad nią z największą bacnością.

Otoczono ją więc opieką i pieczyotami. Oszczędzono jej nawet najmniejszych wzruszeń, tylko nie oszczędzono jej największych, jakimi były listy Maryni. Echo tego, który nadszedł w tydzień później, odbiło się jednak o jej nasłuchujące teraz pilnie uszki. Mogło ono wprowadzić rozproszyć jej obawy o „pana Stacha“, ale wstrząsnęło nią silnie. Pani Emilia wahała się cały dzień, czy Połanieckiemu pokazać ten list. On się jednak dopytywał teraz codziennie o wiadomości z Krzemienia, musiałaby więc wprost skłamać, chcąc zataić, że nadeszły. Zresztą poczuwała się do obowiązku powiedzenia Połanieckiemu prawdy, by wiedział, jakie napotka trudności.

Drugiego więc wieczora po odebraniu listu, ułożywszy spać Litkę, sama zaczęła rozmowę w tym przedmiocie:

— Marynia bardzo do serca wzięła to, że pan sprzedał tę sumę na Krzemieniu.

— To był list?

— Tak.

— Może mi go pani pokazać?

— Nie. Mogę tylko przeczytać panu większe ustępy. Marynia jest pognębiona.

— Czy ona wie, że ja tu jestem?

— Dotychczas musiała nie odebrać mego listu, ale dziwi mnie także, że pan Maszko, który bawi w Krzemieniu, nie wspomniał jej o tem.

— Maszko wyjechał do Krzemienia przede mną i nie był pewny, czy pojedę do Reichenhallu, zwłaszcza, że mu w ostatnich dniach mówił, że zapewne zmienię projekt.

Pani Emilia poszła do biurka po teczkę z listami. Wróciwszy do stołu, poprawiła lampę, poczem, usiadłszy naprzeciw Połanieckiego, wydobyła list z koperty, ale, nim go zaczęła czytać, rzekła:

— Bo widzi pan, jej nie o samą sprzedaż tej sumy chodzi. Ale pan wie... Trochę jej się rozmarzyła główka, więc to miało dla niej i inne znaczenie... Ją naprawdę spotkało wielkie rozczarowanie!

— Pani — rzekł Połaniecki — komu innemu nie przyznałbym się, ale pani powiem otwarcie. Zrobiłem jedno z największych głupstw w życiu, ale też za żadne nie zostałem tak ukarany.

A ona podniosła na niego ze współczuciem swe tkliwe, blado-niebieskie oczy.

— Biedny pan! Więc pan naprawdę taki zajęty Marynią? Przecież nie przez ciekawość pytam, tylko z przyjaźni... Bo jabym się starała to wszystko naprawić, ale chciałabym być pewna...

— Wie pani, co mnie dobiło? — przerwał gwał-

townie Połaniecki — tamten poprzedni list! W Krzemieniu podobała mi się! Zacząłem o niej myśleć. Mówiłem sobie: ta byłaby miłsza i lepsza niż jakakolwiek. Ta jest taka, jakiej właśnie szukałem! Ale cóż? Ja sobie dawno powiedziałem: nie będę człowiekiem miękkim i swego nie daruję. Pani rozumie, że jak się z czego zrobi zasadę, to człowiek się jej trzyma, choćby przez ambycję. Przytem w każdym z nas siedzi dwóch ludzi, z których drugi krytykuje to, co robi pierwszy. Ten drugi począł mi mówić: „Daj pokój, z ojcem nie wytrzymasz“. A to istotnie nieznośna figura! Więc postanowiłem sobie dać pokój. I dlatego pozbyłem się tej sumy. Oto jak było. Dopiero później spostrzegłem, że nie mogę pozbyć się myśli o panie Pławickiej, i że wciąż mam to samo wrażenie: „Ta jest taka, jakiej szukałeś!“ I poznałem, że głupstwo zrobiłem. I było mi żal. Potem, jak przyszedł ten list, jak się przekonałem, że i z jej strony coś było, że ona mnie mogła pokochać i być moją, tak ją również pokochałem. I daję pani słowo, że albo tracę głowę, albo to jest prawda! Póki się samemu człowiekowi coś roi, to nic, ale gdy się zobaczy, że i tam były otwarte ramiona, co za ogromna różnica! Dobił mnie ten list i rady nie mogę sobie dać!

— Wolę panu nie czytać wszystkiego — odrzekła po chwili pani Emilia. — Naturalnie, ona pisze, że krótki sen skończył się przebudzeniem prędszem, niż się spodziewała. O panu Maszce mówi, że jest bardzo delikatny w sprawach pieniężnych, jakkolwiek pragnie, by się obróciły na jego korzyść.

— Wyjdzie za niego, jak Bóg w niebie!

— Pan jej nie zna. A o Krzemieniu oto, co pisze:

„Papa ma ochotę pozbyć się majątku i zamieszkać w Warszawie. Ty wiesz, jak kocham Krzemień, jak się z nim zrosłam, ale wobec tego, co się stało, już ja sama zwątpiłam, czy moja praca mogłaby się na co przydać. Będę jeszcze próbowała bronić milego kawałka ziemi! Papa jednak powiada, że sumienie nie pozwala mu wieźć mnie na wsi, i to jest tem bardziej gorzkie, że niby o mnie chodzi. Doprawdy, że czasem życie zakrawa na ironię. Pan Maszko ofiaruje papie trzy tysiące dożywotnie i całą sumę z parcelacyi Magierówki. Nie dziwię mu się, że szuka własnej korzyści, ale w razie takiego układu doszedłby prawie darmo do majątku. Sam papa powiedział mu: „W ten sposób, jeśli rok pożyję, wezmę za Krzemień trzy tysiące, bo Magierówka i tak moja“. Ale pan Maszko odpowiedział, że w dzisiejszym stanie rzeczy za Magierówkę zabiorą pieniądze wierzyciele, gdy zaś papa zgodzi się na taki układ, jaki on proponuje, to weźmie do ręki gotówkę, a oprócz tego może żyć trzydzieści lat, albo i więcej. To także prawda. Wiem, że papie w zasadzie podoba się ten projekt, chodzi mu tylko o to, by więcej utargować. Jedyna w tem wszystkim pociecha, że gdy zamieszkamy w Warszawie, to będę widywała częściej ciebie, moja droga Emilko, i Litkę. Szczerze i z całej duszy kocham was obie i wiem, że na wasze przynajmniej serca zawsze mogę liczyć“.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Połaniecki rzekł:

— Więc tak! Pozbawiłem ją Krzemienia, ale za to posłałem jej aspiranta!

I mówiąc to, nie odgadywał, że Marynia napisała w liście niemal te same słowa, i że tylko pani Emilia

opuściła je umyślnie, nie chcąc go ranić. Maszko, jeszcze za ostatniej bytności Pławickich w Warszawie, czynił już pewne zabiegi o rękę panny Maryni, nie potrzebowała więc teraz wielkiej domyślności, żeby odgadnąć, co znaczy nabycie przez niego sumy od Połanieckiego i przyjazd na wieś. W tem właśnie tkwiła cała gorycz, zalewająca jej serce, i głęboka uraza, jaką czuła dla Połanieckiego.

— Trzeba to wszystko koniecznie wyjaśnić — mówiła pani Emilia.

— Posłałem jej aspiranta! powtórzył Połaniecki — nie mogę się nawet tłómaczyć tem, że nie wiedział o zamiarach Maszki.

Pani Emilia obracała czas jakiś w swych delikatnych palcach list Maryni, poczem rzekła nagle:

— To tak nie może zostać! Ja chciałam pana z nią połączyć przez przyjaźń, jaką mam dla obojga, ale teraz jest jeden powód więcej, mianowicie pańskie zmartwienie. To byłby wyrzut dla mnie i ja tak pana nie mogę zostawić. Niech pan nie traci nadziei... Jest ładne przysłowie francuskie, a bardzo brzydkie polskie o potędze i woli kobiecej. Doprawdy, że ja chcę bardzo pomódz!

Połaniecki chwycił jej rękę i podniósł ją do ust.

— Pani jest najlepsza i najzacniejsza w świecie istota, jaką spotkałem.

— Byłam bardzo szczęśliwa — odpowiedziała pani Emilia — a ponieważ myślę, że do tego jest tylko jedna droga, więc chciałabym, żeby moi blizcy nią poszli.

— Ma pani słuszość. Ta droga, albo żadna! Skoro żyję, więc chcę, żeby się to życie komuś i mnie na coś zdało.

— A ja, skoro pierwszy raz w życiu podjęłam się roli swatki — rzekła, śmiejąc się, pani Emilia — chcę także, żeby się to na coś zdało. Trzeba tylko pomyśleć, co teraz wypada zrobić.

To rzekłszy, podniosła oczy w górę. Światło lampy padało w pełni na jej drobną, młodą jeszcze bardzo twarz, na jej jasne włosy, nieco zwichrzone nad czołem, i było w niej coś tak uroczego, a zarazem i dziewiczego, że Połanieckiemu, jakkolwiek głowę miał zajęłą czem innym, przyszło na myśl przewisko, które jej dawał Bukacki: wdowy-dziewicy.

— Marynia ma dużo prostoty — rzekła po chwili namysłu — i najlepiej mnie zrozumie, gdy jej napiszę szczerą prawdę. Powiem jej to, co pan mnie mówił: że pan wyjechał zajęty nią bardzo; że to, co pan zrobił, zrobił pan nie obliczywszy się z sobą, pod wpływem tylko tej myśli, że nie mógłby się pogodzić z ojcem; ale, że obecnie pan najszczerzej tego żałuje, prosi, by nie brała tego za złe i nie odejmowała nadziei, że się pozwoli przebłagać.

— A ja napiszę do Maszki, że odkupię u niego tę sumę z takim zyskiem, jakiego on żąda.

Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Oto ten trzeźwy, wyrachowany pan Połaniecki, który się chlubi, że pozbył się polskiego charakteru i polskiej lekkomyślności.

— A tak! a tak! — zawołał już weselszym tonem Połaniecki. — Wyrachowanie polega na tem, żeby nie żałować na to, co warte.

Lecz w tej chwili sposepniał.

— A jeśli ona odpowie, że jest narzeczoną Maszki?

— Nie przypuszczam. Pan Maszko może być najzacniejszy człowiek, ale on nie dla niej. Ona nie wyjdzie za mąż bez przywiązania, a wiem, że pan Maszko nie podobał się jej zupełnie. To się nigdy nie stanie. Pan Maryni nie zna. Niech pan tylko uczyni ze swojej strony, co w pana mocy, ale o pana Maszkę niech pan będzie spokojny.

— Więc, zamiast pisać, zatelegrafuję dziś do niego. On nie może w Krzemieniu długo jednym ciągiem bawić i musi w Warszawie odebrać moją depeszę.

VIII.

Odpowiedź Maszki, którą Połaniecki odebrał w dwa dni później, brzmiała: „W dniu wczorajszym nabyłem Krzemień.“ — Jakkowiek z listu Maryni można było przewidzieć, że rzeczy wezmą taki a nie inny obrót, i młody człowiek powinien był być na to przygotowany, wiadomość sprawiła na nim wrażenie uderzenia piorunu. Zdawało mu się, że stało się zarówno niespodziewane, jak niepowetowane nieszczęście, za które cała odpowiedzialność spada na niego. Pani Emilia, znając lepiej, niż ktokolwiek, przywiązanie Maryni do Krzemienia, miała również przeczucie, którego nie potrafiła ukryć, że przez tę sprzedaż sprawa zbliżenia do siebie dwojga młodych ludzi utrudnia się w wysokim stopniu.

— Maszko, jeśli nie ożeni się z Marynią — mówił Połaniecki — to złupi starego Pławickiego w ten sposób, że swoją opinię ocali, a tamtego zostawi bez grosza. Gdybym był sprzedał tę sumę pierwszemu lichwiarzowi, staryby się wykręcał, coś splancał, więcej obiecywał — i ruina Krzemienia przewlokłaby się o całe lata, w ciągu których mogłoby się zdarzyć coś pomyslnego, a przynaj-

mniej byłby czas sprzedać Krzemień w dobrych warunkach. Teraz, jeśli zostaną bez grosza, to będzie moja wina.

Ale pani Emilia patrzyła na sprawę także i z innej strony.

— Nietylko w tem złe — mówiła — że Krzemień został sprzedany. Gdyby to kto inny przyczynił się do tego, nie pan, i to zaraz po bytności u Maryni, cała rzecz nie miałaby tego znaczenia; ale to właśnie jest najgorsze, że Marynia tak bardzo nie spodziewała się tego po panu.

Połaniecki odczuwał to również dobrze, że zaś przywykł zdawać sobie jasno sprawę z każdego położenia, rozumiał więc także, że Marynia jest dla niego tak dobrze, jak stracona. Wobec tego pozostawało jedno: przyznać, iż tak jest, zapomnieć o niej i starać się o inną żonę. Ale cała dusza Połanieckiego buntowała się przeciw temu. Naprzód jego uczucie dla panny Maryni, jakkolwiek nagle, nie umocnione ani czasem, ani bliższą znajomością, jakkolwiek oparte przeważnie na uroku niemal wyłącznie fizycznym, jaki jej postać na nim wywarła, wzrosło w ostatnich tygodniach znacznie. Sprawił to i jej list, i budzące się w Połanieckim przekonanie, że jej wyrządził krzywdę. Brała go teraz nad nią litość i nie mógł o niej myśleć bez wzruszenia; skutkiem tego samo uczucie powiększyło się o te dwa pierwiastki, grające nader ważną rolę w każdym męskim sercu. Następnie ów energiczny, muskularny człowiek nie umiał nigdy poddawać się biernie zbiegowi zdarzeń. Natura jego wprost nie mogła tego znieść. Widok trudności podniecał go właśnie do czynu. Nakoniec sprzeciwiła się zanie-

chaniu Maryni i jego miłość własna. Myśl, że musi kiedyś sam przed sobą przyznać, że był tylko sprężyną w ręku takiego Maszki i jednym ze środków do jego celów, że mu się dał zużytkować, a przynajmniej użytkować, napelniała go wściekłością. Choćby Maszko nie otrzymał ręki Maryni, choćby skończyło się na Krzemieniu, i to już było dla Połanieckiego więcej, niż mógł wytrzymać. Teraz brała go niepowstrzymana ochota wystąpić przeciw Maszce, narzucać mu kamieni pod nogi, pokrzyżować przynajmniej dalsze jego plany i pokazać mu, że jego adwokacki spryt, w zetknięciu się z prawdziwą męską energią, nie wystarcza.

Te wszystkie i szlachetniejsze i mniej szlachetne powody popychały Połanieckiego z nieprzetartą siłą do przedsięwzięcia czegośkolwiek, do jakiegoś działania. Tymczasem położenie było tego rodzaju, iż nie pozostawało niemal nic do roboty. W tem przeciwieństwie tkwił właśnie dramat. Siedzieć w Reichenhallu, pozwolić Maszce przeprowadzać swoje plany, rozciągać swoje sieci, starać się o rękę panny Pławickiej — nie! za nic! A więc co? I na to ostatnie pytanie nie było odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu Połaniecki miał takie uczucie, jakby go uwiązano na łańcuchu, i im mniej był przyzwyczajony do takiego położenia, tem znosił je trudniej. Poznał też po raz pierwszy w życiu, czem jest bezsenność i rozdrażnione nerwy. Ponieważ Litka w ostatnich dniach znów uczuła się gorzej, więc nad całym towarzystwem zawisła ciężka, jak olów, atmosfera niepokoju, w której życie stawało się nieznośnem.

Po upływie tygodnia przyszedł znowu list Maryni...

Tym razem nie było w nim wzmianki ani o Połanieckim, ani o Maszce. Marynia donosiła tylko o sprzedaży Krzemienia bez żadnej skargi, bez żadnego objaśnienia, jak się sprawa odbyła. Ale z tego właśnie można było wnosić, jak głęboko dotknęła ją ta sprzedaż.

Połaniecki wolałby był, żeby go o nią oskarżała. Rozumiał przytem dobrze, że milczenie o nim w liście dowodzi, jak dalece został wykreślony z serca tej panny, podczas gdy milczenie o Maszce może dowodzić czegoś całkiem przeciwnego. Ostatecznie, jeśli jej tak chodziło o ten Krzemień, to mogła do niego wrócić, oddając dzisiejszemu właścicielowi jego swą rękę; może więc porała się właśnie z tą myślą. Stary Pławicki miał wprawdzie swoje szlacheckie uprzedzenia i Połaniecki liczył na nie, ale, uważając go przedewszystkiem za egoistę, przypuszczał, że w danym wypadku poświęci dla własnej wygody i córkę i uprzedzenia.

Koniec końcem, siedzenie w Reichenhallu z założonymi rękoma i czekanie na wiadomość, czy panu Maszce podoba się zaofiarować swą rękę panie Pławickiej, stało się dla Połanieckiego wprost niemożliwe. Litka powtarzała także od czasu do czasu prośbę do matki, by wracać do Warszawy, więc i Połaniecki postanowił wracać, tem bardziej, że zbliżał się termin, w którym obaj z Bigielem mieli rozpocząć nowy interes.

Postanowienie to przyniosło mu na razie wielką ulgę. Wróci, zajrzy położeniu z bliska w oczy i może coś przedsięwziąć. Zawsze było to coś więcej, niż siedzieć w Reichenhallu. I pani Emilia i Litka przyjęły wiadomość o jego wyjeździe bez zdziwienia. Wiedziały, że przy-

jechał tylko na kilka tygodni i spodziewały się rychło zobaczyć go w Warszawie. Pani Emilia miała także w połowie sierpnia wyjechać. Przez resztę miesiąca postanowiła zostać razem z Waskowskim w Salzburgu, potem zaś wracać do Warszawy. Tymczasem przyrzekła Połanieckiemu, że doniesie mu kilkakrotnie o zdrowiu Litki, a oprócz tego będzie pisała do Maryni, by dowiedzieć się, jakie są naprawdę jej myśli względem Maszki.

W dniu wyjazdu obie panie, wraz z Waskowskim, odprowadziły go na kolej. Gdy już był w wagonie, uczyniło mu się nieco żal odjeżdżać. Bądźco bądź, nie wiedział, jak się wszystko obróci w Warszawie, tu zaś otaczały go najżycielsze istoty, jakie miał w świecie. Wychylony przez okno, patrzył na smutne oczęta Litki, podniesione ku niemu, i na przyjazną twarz pani Emilii, z takim uczuciem, jakby to była jego rodzina. I znowu uderzyła go nadzwyczajna piękność młodej wdowy, jej aż nadto delikatne rysy, anielski wyraz twarzy i jej postać zupełnie panińska, przybrana w czarną suknię.

— Niech pan będzie zdrow — mówiła pani Emilia — i niech pan do nas napisze z Warszawy; mniej więcej za trzy tygodnie się zobaczymy.

— Za trzy tygodnie — powtórzył Połaniecki. — Napiszę z pewnością. Do widzenia, Lituś!

— Do widzenia! Niech się pan kłania Ewce i Joasi!

— Dobrze!

I wyciągnął jeszcze rękę przez okno:

— Do widzenia! Niech panie pamiętają o przyjacielu.

— Nie zapomnimy, nie zapomnimy! Chce pan, że-

byśmy odmawiały nowennę na pańską intencję? — pytała z uśmiechem pani Emilia.

— Dziękuję i za to. Dobrze! Do widzenia, profesorze!

Pociąg ruszył w tej chwili. Panie poczęły machać jeszcze parasolkami, póki coraz śpieszniejszy oddech lokomotywy nie przesłonił kłębam dymu i pary okna, przez które wyglądał Połaniecki.

— Mamo — spytała Litka — czy naprawdę trzeba mówić nowennę za pana Stacha?

— Trzeba, Lituś. On taki dla nas dobry. Trzeba prosić Boga, żeby był szczęśliwy.

— A czy on jest nieszczęśliwy?

— Nie... To jest... widzisz, każdy ma swoje zmartwienie i on ma swoje.

— Ja wiem, ja słyszałam w Thumsee — odrzekła dziewczynka.

I po chwili dodała ciszej:

— Będę mówiła nowennę...

A profesor Waskowski, który przy całej swej poczciwości nie umiał nigdy utrzymać języka, rzekł po chwili do pani Emilii, gdy Litka poszła naprzód:

— To złote serce i on kocha obie panie, jak brat. Teraz, gdy nam specjalista powiedział, że niema najmniejszej obawy, mogę wszystko powiedzieć. To Połaniecki umyślnie go sprowadził, bo się zaniepokoił o małą w Thumsee.

— On? — spytała pani Emilia. — No, widzi pan, co to za człowiek!

I lzy wdzięczności zakreśliły się jej w oczach. Po chwili zaś dodała:

— Ale ja mu się odplacę za to, bo mu dam Marynię.

Połaniecki odjeżdżał również z sercem przepelnionem życzliwością i wdzięcznością dla pani Emilii, albowiem człowiek, któremu się coś nie powiedzie i który wskutek tego popada w zmartwienie, żywiej odczuwa przyjaźń ludzką. Siedząc więc teraz w kącie wagonu i mając świeżo w myśli obraz pani Emilii, mówił sobie:

— Ot, gdybym się był w niej zakochał! Co za spokój, co za pewność szczęścia! I cel w życiu byłby znaleziony; wiedziałbym, dla kogo pracuję, wiedziałbym, że czemś jestem, że moje istnienie ma jakiś sens. Ona mówi wprawdzie, że nie wyjdzie za męża, ale za mnie — kto wie! Tamta może być sobie doskonałością, ale może mieć także bardzo oschłe serce.

Tu uczuł nagle, że jednak o tej myśli spokojnie, podczas gdy na każde wspomnienie tamtej chwytą go jakiś niepokój, zarazem przykry i przyjemny. Czuł, że go coś ciągnie tylko do tamtej. Świeżo oto ścisnął rękę pani Emilii i uścisk ów nie zostawił mu żadnego wrażenia, podczas gdy dziś jeszcze pamiętał ciepło dłoni panny Maryni i doznawał pewnego rodzaju dreszczu na samo o tem wspomnienie.

I aż do Salzburga myślał już tylko o „tamtej“. Tym razem myśli jego poczęły nawet przybierać kształt, jeśli nie postanowień, to pytań, jak ma względem niej postąpić i co w tym zbiegu rzeczy jest jego obowiązkiem?

— Nie da się zaprzeczyć, że ja jestem przyczyną sprzedaży Krzemienia — mówił sobie. — Krzemień nie tylko miał dla niej tę wartość pieniężną, jaką dałoby się może z niego wyciągnąć, gdyby nie przyspieszona sprze-

daż, ale i tę wartość, którą przywiązywało do niego jej serce. Otóż pozbawiłem ją jednej i drugiej; krótko mówiąc: skrzywdziłem ją! Postąpiłem prawnie, ale to dla sumienia, złożonego z czegoś więcej, niż z paragrafów, nie wystarcza. Zawiniłem i przyznaję się do tego, a skoro tak, to muszę to naprawić w jakikolwiek sposób.

Ale jak?

— Na odkupienie Krzemienia od Maszki nie jestem dość bogaty. Mógłbym to może uczynić, rozwiązując spółkę z Bigielem i wycofywując wszystkie moje pieniądze, to zaś jest materyalną niemożebnością. Bigiel mógłby przez to upaść, więc tego nie zrobię. Pozostaje mi zatem jedno, mianowicie: utrzymać z Pławickimi stosunki jakimkolwiek sposobem, a następnie oświadczyć się w krótkim czasie o rękę panny Pławickiej. Jeśli dostanę kosza, to przynajmniej uczynię, co do mnie należy.

Ale tu ów drugi, wewnętrzny człowiek, o którym Połaniecki wspominał, zabrał głos i począł mówić:

— Nie zasłaniaj się kwestyą sumienia. Gdyby panna Pławicka była starsza o dziesięć lat i brzydka, to mógłbyś tak samo przyczynić się do sprzedaży Krzemienia, pozbawić ją wszystkiego, czegoś pozbawił, i do głowyby ci nie przyszło oświadczać się o jej rękę. Powiedzże sobie od razu, że panna Pławicka ciągnie cię, jak obcęgi, za pomocą swojej twarzy, oczu, ust, ramion, całej postaci — i nie oszukuj się.

Lecz Połaniecki trzymał wogóle krótko tego drugiego wewnętrznego człowieka i traktował go czasami bardzo niegrzecznie, zgodnie więc z tą metodą, powiedział mu:

— Naprzód, nie wiesz, głupcze, czy i w takim razie

nie starałbym się krzywdy nagrodzić. Że zaś w tym wypadku chcę ją wynagrodzić, oświadczając się o pannę, to właśnie jest naturalne. Ludzie oświadczają się zawsze kobietom, które im się podobają, nie zaś takim, do których czują odrazę. Jeśli więc nie masz nic lepszego do powiedzenia, to milcz.

Wewnętrzny człowiek próbował jeszcze kilku nieśmiałych uwag, jak np., że pan Pławicki może kazać zrzucić pana Połanieckiego ze schodów, że mogą go w najlepszym razie przez próg nie puścić; ale pan Połaniecki jakoś się tego nie uląkł. Ludzie, myślał, nie chwytają się dziś takich środków, jeśli zaś Pławiccy mnie nie przyjmą, to tem gorzej dla nich.

Przypuszczał jednak, że jeśli mają choć trochę taktu, to go przyjmą. Zresztą wiedział, że pannę Marynię będzie widywał u pani Emilii.

Rozmyślając w ten sposób, przyjechał do Salzburga. Była godzina czasu do nadejścia pociągu z Monachium, którym miał jechać do Wiednia, więc postanowił przejść się po mieście. Tymczasem w sali restauracyjnej ujrzał nagle jasny kraciasty pidżak Bukackiego, jego monokl i jego małą głowę, nakrytą jeszcze mniejszym miękkim kapeluszem.

— Bukacki, czy jego duch? — zawołał.

— Uspokój się, Połaniecki — odpowiedział z flegmą Bukacki, witając go tak, jakby się rozstali przed godziną. — Jak się masz?

— Co ty tu robisz?

— Jem kotlet na margarynie.

— Do Reichenhallu?

— Tak. A ty do domu?

— Tak.

— Nie oświadczyłeś się pani Emilii?

— Nie.

— Więc ci przebaczam. Możesz jechać!

— Schowaj koncepta na lepszą porę. Litka jest bardzo zagrożona.

Bukacki spowaźniał i, podniósłszy brwi, począł mówić:

— Aj! aj! Czy to zupełnie pewne?

Połaniecki opowiedział mu pokrótce, jakie jest zdanie lekarzy.

Bukacki milczał przez chwilę, następnie rzekł:

— I nie ma tu człowiek być pesymistą! Biedne dziecko i biedna matka. W razie nieszczęścia, zupełnie sobie nie wyobrażam, jak ona je zniesie.

— Ona jest ogromnie religijna, ale strach o tem myśleć.

— Wyjdźmy trochę na miasto — rzekł Bukacki — tu można się udusić...

I wyszli. Po drodze Bukacki począł powtarzać:

— I nie ma tu człowiek być pesymistą. Cóż jest taka Litka? Po prostu gołąb! Każdyby jej pożałował, tylko śmierć nie pożałuje.

Połaniecki milczał.

— Sam nie wiem teraz — mówił Bukacki — czy jechać do Reichenhallu? W Warszawie, jak jest pani Emilia, to i ja mogę wytrzymać. Raz na miesiąc oświadczam się jej, raz na miesiąc dostaję odkosza i tak sobie żyję od pierwszego do pierwszego. Teraz, pierwszy mi-

nał, więc zatęskniłem do mojej pensyi... Czy matka zdaje sobie sprawę ze stanu małej?

— Nie. Dziecko jest zagrożone, ale może być, że pozostaje mu jeszcze z parę lat.

— Ha! może nikomu z nas nie pozostaje więcej. Powiedz mi, czy ty często rozmyślasz nad śmiercią?

— Nie. Co mi to pomoże? Wiem, że tę sprawę muszę przegrać, więc sobie głowy nad nią nie łamię, zwłaszcza przed czasem.

— W tem rzecz, że musimy przegrać, a jednak procesujemy się aż do końca. Oto cały sens życia, które inaczej byłoby tylko nudną farsą, a tak jest zarazem głupim dramatem. Co do mnie, mam teraz trzy rzeczy do wyboru: albo się powiesić, albo jechać do Reichenhallu, albo do Monachium obejrzeć raz jeszcze Boeckliny. Gdybym był logiczny, wybrałbym to pierwsze, ponieważ zaś nie jestem logiczny, więc wybiorę Reichenhall. Pani Emilia warta jest Boecklinów, i jako rysunek i jako kolor.

— Co słychać w Warszawie? — spytał nagle Polaniecki, który to pytanie miał na ustach od początku rozmowy. — Widziałeś Maszkę?

— Widziałem. Kupił Krzemień i jest wielkim posiadaczem, a ponieważ ma rozum, więc stara się wszelkimi siłami, by się nie wydać zbyt wielkim. Jest łaskawy, wyrozumiały, pobłażliwy, przystępny, to jest zmienił się na korzyść, nie moją wprawdzie, bo cóż mnie to może obchodzić! Ale zapewne na swoją własną.

— Nie żeni się z panną Pławicką?

— Słyszałem, że ma ochotę. Twój wspólnik, Bigiel, coś o tem wspomniał, również jak i o tem, że Krzemień

został kupiony w warunkach zbyt dla Maszki korzystnych. Na miejscu dowiesz się o tem lepiej.

— Gdzie są obecnie Pławiccy?

— W Warszawie. Mieszkają w hotelu Rzymskim. Mała wcale niebrzydka. Byłem u nich, jako kuzynek, i rozmawiałem o tobie.

— Mogłeś wybrać miłszy dla nich przedmiot rozmowy.

— Pławicki, który jest rad z tego, co się stało, powiedział, że im oddał przysługę—zapewne, niechący — ale oddał... Pytałem panny, jakim sposobem poznała cię dopiero w Krzemieniu. Odpowiedziała mi, że w czasie jej bytności w Warszawie musiałeś być zapewne za granicą.

— Rzeczywiście, wyjeżdżałem wtedy w interesach domu do Berlina i bawiłem tam długo.

— Owóż urazy w nich dla ciebie nie spostrzegłem. Tyle się jednak nasłuchałem o miłości panny do zajęć sielskich, że przypuszczam, iż musi być trochę zła, żeś ją ich pozbawił. W każdym razie nie okazuje tego.

— Być może, że okaże dopiero mnie, a sposobności jej nie zbraknie, gdyż zaraz po powrocie będę u nich.

— W takim razie oddaj mi jedną małą przysługę. Ozeń się z panną, bo z dwojga złego wolę zostać twoim kuzynem, niż tego Maszki.

— Dobrze — odpowiedział krótko Połaniecki.

IX.

Po powrocie do Warszawy, Połaniecki przedewszystkiem udał się do Bigiela, który dokładnie rozpowiedział mu, w jakich warunkach Krzemień został sprzedany. Warunki te były nader dla Maszki korzystne. Zobowiązał się on wypłacić po upływie roku trzydzieści pięć tysięcy rubli, które miały wpłynąć z parcelacyi Magierówki, a prócz tego płacić po trzy tysiące rubli rocznie aż do śmierci pana Pławickiego. Połanieckiemu nie wydało się to zrazu układem zbyt dla Pławickich niepomyślnym, lecz Bigiel był innego zdania.

— Ja zbyt śpiesznie ludzi nie sędzę — mówił — ale ostatecznie Pławicki jest starym egoistą, który dla własnej wygody poświęcił przyszłość dziecka, a prócz tego człowiekiem lekkomyślnym. W tym wypadku renta jest niby oparta na Krzemieniu, ale Krzemień, jako majątek zrujnowany, w który trzeba wkładać, ma wartość fikcyjną. Jeśli Maszko doprowadzi go do porządku, to dobrze, jeśli nie, to w najlepszym razie będzie zalegał z wypłatą, a przez całe lata Pławicki może grosza nie widzieć. Co wtedy zrobi? Odbierze napowrót Krzemień.

Ale Maszko pozaciąga do tego czasu nowe długi, choćby dlatego, żeby spłacić stare, i — w razie jego bankructwa — Bóg wie ilu wierzycieli wyciągnie po Krzemień ręce. Ostatecznie wszystko polega na uczciwości Maszki, który może być sobie porządnym człowiekiem, ale prowadzi interesa ostro, którego zatem jeden fałszywy krok może zrujnować. Kto wie, czy samo kupno Krzemienia nie jest takim krokiem, bo, chcąc uporządkować majątek, musi wyciągnąć swój kredyt do ostateczności. Widziałem takich, którym się długo udawało, póki nie rzucili się na kupno wielkich majątków ziemskich.

— Pławickim zostanie zawsze gotowizna za Magierówkę — rzekł Połaniecki, jakby chcąc uspokoić własne obawy o ich przyszłość.

— Jeśli stary Pławicki jej nie przeje, nie przegra, nie zmarnotrawi.

— Ja muszę coś obmyślić. Przyczyniłem się do sprzedaży, więc muszę radzić.

— Ty? — spytał ze zdumieniem Bigiel. — Myślałem, że wasze stosunki są zerwane.

— Spróbuję je zawiązać nanowo. Jutro będę u nich.

— Nie wiem, czy cię radzi zobaczą.

— I ja nie wiem.

— Chcesz, żebym poszedł z tobą? Bo chodzi o złamanie lodów. Samego mogą cię nie przyjąć... Szkoda, że mojej żony niema... Po całych wieczorach przesiaduję teraz sam i grywam na wiolonczeli, ale w dzień mam dużo czasu i mogę iść, gdzie chcesz.

Połaniecki jednak odmówił i nazajutrz, przybrawszy się z wielką starannością, poszedł sam. Wiedział, że jest

przystojnym człowiekiem, a choć zwykle niewiele o tem myślał, teraz postanowił nie zaniedbać niczego, co by mogło przemówić na jego korzyść. Idąc, miał także pełno w głowie pomysłów: co powie, co zrobi w takim a takim razie, i z góry starał się przewidzieć, jak go przyjmą.

— Będę jak najprostszym i najotwartszym — mówił sobie. — Ostatecznie, to jest najlepszy sposób.

I sam nie wiedział, kiedy znalazł się przed Rzymskim hotelem. Wówczas serce poczęło mu bić nieco żywiej.

— Byłoby nieźle jednak — pomyślał — żebym ich nie zastał. Zostawiłbym kartę i później zobaczyłbym, czy Pławicki odda mi wizytę.

Lecz natychmiast powiedział sobie: „Nie tchórz!“ — i wszedł. Dowiedziawszy się od portyera, że pan Pławicki jest w domu, posłał swoją kartę i po chwili poproszono go na górę.

Pan Pławicki siedział przy stole i pisał listy, pociągając od czasu do czasu dym z cybucha, zakończzonego wielkim bursztynem. Na widok Połanieckiego podniósł głowę i, spojrzawszy na niego przez złote binokle, rzekł:

— Proszę, proszę!

— Dowiedziałem się od Bigiela, że państwo jesteście w Warszawie — rzekł Połaniecki — i przychodzę złożyć moje uszanowanie.

— Bardzo to pięknie z twojej strony — odrzekł Pławicki — i co prawda, tom się tego nie spodziewał. Rozstaliśmy się w bardzo przykry sposób i to z twojej winy. Ale ponieważ poczułeś się do obowiązku odwiedzenia mnie, więc ja, jako starszy, otwieram ci znowu ramiona.

Jednakże otworzenie ramion ograniczyło się tym razem do wyciągnięcia przez stół ręki, którą Połaniecki uściśnął, mówiąc sobie w duchu:

— Niech mnie licho porwie, jeśli ja tu do ciebie przyszedłem i jeśli względem ciebie poczuwam się do jakiegokolwiek obowiązku.

Po chwili spytał:

— Państwo przenosicie się do Warszawy?

— Tak jest. Ja stary wieśniak, przywykły do wstawania ze słońcem i do moich zajęć rolniczych... mnie ciężko będzie w waszej Warszawie. Ale nie godziło mi się więzić dziecka, więc zrobiłem tę jedną więcej ofiarę.

Połaniecki, który spędził dwie noce w Krzemieniu, przypomniał sobie, że pan Pławicki wstawał około jedenastej i że właściwie trudnił się interesami Krzemienia, nie jego rolą; pominął to jednak milczeniem, albowiem głowę zajęta miał w tej chwili czem innym. Oto od numeru, który zajmował pan Pławicki, otwarte drzwi prowadziły do innego, w którym musiała mieszkać panna Marynia. Połanieckiemu, który zezował w kierunku tych drzwi od chwili wejścia, przyszło do głowy, że ona może nie chce do niego wyjść, więc spytał:

— A panny Maryni nie będę miał przyjemności zobaczyć?

— Marynia wyszła obejrzeć mieszkanie, które znalazłem dziś rano. Przyjdzie zaraz, bo to o parę kroków. Wyobraź sobie, cacko, nie mieszkanko! Ja będę miał gabinet i sypialnię, Marynia także bardzo ładny pokoik... jadalny jest wprawdzie trochę ciemny, ale salonik, jak bombonierka...

Tu pan Pławicki przeszedł do opowiadania o mieszkaniu z obfitością słów dziecka, które coś bawi, lub starego wygodnisią, któremu uśmiecha się zmiana na lepsze. W końcu rzekł:

— Ledwom się obejrzał, jużem znalazł. Warszawka to moja stara przyjaciółka i znam ją dobrze.

Lecz w tej chwili ktoś wszedł do przyległego pokoju.

— To pewno Marynia — rzekł Pławicki.

I począł wołać:

— Maryniu, czy to ty?

— Ja — ozwał się młody głos.

— Chodźże tu; mamy gościa.

Panna Marynia ukazała się we drzwiach. Na widok Połanieckiego zdziwienie błysnęło na jej twarzy.

Połaniecki, wstawszy, skłonił się, a gdy zbliżyła się do stołu, wyciągnął ku niej na powitanie rękę. Ona podała mu swoją zarówno chłodno, jak grzecznie. Poczem zwróciła się do ojca, jak gdyby nikogo więcej nie było w pokoju.

— Widziałam mieszkanie — rzekła. — Ładne i wygodne; nie wiem tylko, czy ulica nie zbyt hałaśliwa.

— Wszystkie ulice są hałaśliwe — zauważył pan Pławicki. — To nie wieś.

— Przepraszam, pójdę zdjąć kapelusz — odrzekła panna Marynia.

I wróciwszy do swego pokoju, nie ukazywała się przez czas dość długi.

— Nie pokaże się więcej — pomyślał Połaniecki.

Lecz ona widocznie poprawiała tylko włosy przed lustrem po zdjęciu kapelusza, poczem weszła znowu i spytała:

— Nie przeszkadzam?

— Nie — rzekł Pławicki — nie mamy już ze sobą żadnych interesów, z czego, mówiąc nawiasem, rad jestem mocno. Pan Połaniecki przyszedł tylko z grzeczności.

Połaniecki poczerwieniał nieco i chcąc zmienić przedmiot rozmowy, rzekł:

— Wracam z Reichenhallu, przywożę pani ukłony od pani Chwastowskiej i od Litki, i to jest także jeden z powodów, dla których ośmieliłem się przyjść.

Na chwilę, ów chłodny spokój, który był na twarzy panny Maryni, znikł.

— Pisała mi Emilka o ataku Litki — rzekła. — Jakże ona się teraz ma?

— Drugiego nie było.

— Spodziewam się też znowu listu i może już przyszedł, ale go nie odebrałam, ponieważ Emilka adresowała prawdopodobnie do Krzemienia.

— To ci go odesła — rzekł Pławicki. — Dałem polecenie, by wszystko, co przyjdzie, tu odsyłano.

— Państwo już nie powrócicie na wieś? — spytał Połaniecki.

— Nie; nie powrócimy — odrzekła panna Marynia, której oczy przybrały napowrót wyraz chłodnego spokoju.

Nastąpiła chwila milczenia. Połaniecki patrzył na młodą dziewczynę i zdawał się walczyć sam ze sobą. Jej twarz ciągnęła go z nieznaną mu dotąd siłą. Czuł coraz wyraźniej, że w takiej właśnie znalazłby największe upodobanie, że taką mógłby pokochać, że to jest jego typ kobiety wybranej — i tem bardziej jej chłód stawał

mu się nieznośny. Dalby teraz Bóg wie co, by w tych rysach odnaleźć znów ten wyraz, który widział w Krzemieniu, to zajęcie się jego słowami i zasłuchanie, tę zaciekawioną przezroczystość oczu pełnych uśmiechów; dalby Bóg wie co, żeby to wszystko wróciło, a nie wiedział, jaką drogą iść do tego, powolną, czy prędką, więc dlatego się wahał. Wybrał nakoniec tę, która była zgodniejsza z jego naturą.

— Wiedziałem — rzekł nagle — jak pani kochała Krzemień, i mimo tego, być może, że przyczyniłem się do jego sprzedaży. Jeśli tak jest, to powiadam pani otwarcie, że tego najmocniej żałuję i nigdy żałować nie przestanę. Na swoją obronę nie mogę nawet powiedzieć, że to uczynił w uniesieniu i bez namysłu. Owszem, namyśliłem się, tylko namysł był zły i bezrozumny. Tem większa moja wina i tem bardziej proszę panią o przebaczenie.

To rzekłszy, wstał. Policzki mu zapłonęły, z oczu biła prawda i otwartość, ale słowa jego pozostały bez wrażenia. Połaniecki szedł błędną drogą. Zamało on znalazł kobiety wogóle, żeby mógł sobie zdać sprawę, jak dalece sądy ich, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć, zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą, lub złą monetę; wszystko tłómaczone na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytaną za rozum, rozum za głupotę, egoizm za poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubijaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności. Mężczyzna, który w danej chwili budzi niechęć, nie może mieć dla kobiety

słuszności, nie może być szczerym, nie może być sprawiedliwym, nie może być dobrze wychowanym. Owóż panna Marynia, czując do Połanieckiego od chwili przyjazdu Maszki do Krzemienia głęboką urazę i niechęć, wzięła mu teraz wprost za złe jego otwartość. Pierwszą jej myślą było: „Cóż to za człowiek, który uznaje za bezrozumne i złe to, co kilka dni temu zrobił z rozmysłem?...“ Następnie Krzemień, jego sprzedaż, przyjazd Maszki i znaczenie tego przyjazdu, które odgadła, to była w niej jakby rana, która jątrzyła się coraz bardziej. I teraz zdawało jej się, że Połaniecki rozkrwawia tę ranę z całą bezwzględnością człowieka o szorstkiej naturze i grubych nerwach.

On wstał i, z oczyma w jej twarzy, czekał, czy się ku niemu nie wyciągnie przyjazna i przebacząca ręka, z jasnym poczuciem, że jedno takie wyciągnięcie dłoni może stanowić o jego losie; lecz jej oczy pociemniały na chwilę, jakby z bólu i gniewu, twarz zaś stała się jeszcze zimniejsza.

— Niech pan się tem nie kłopoce — odrzekła z lodowatą grzecznością. — Papa jest owszem bardzo rad z układu i z całego stosunku z panem Maszką.

To rzekłszy, wstała także, jakby rozumiejąc, że Połaniecki chce się pożegnać. On zatrzymał się jeszcze chwilę, zrażony, zawiedzony, pełen uczucia upokorzenia, jakiego doznaje zawsze człowiek, którego odepchnięto, wreszcie pełen urazy i tłumionego gniewu.

— Jeśli tak — odrzekł — to i ja niczego więcej nie pragnęłam.

— Ale tak! ale tak! — zrobiłem dobry interes — zakończył pan Pławicki.

Połaniecki wyszedł — i schodząc po kilka schodów od razu, z zaciśniętym na głowę kapeluszem, powtarzał sobie w duchu:

— Noga moja u was więcej nie postanie.

Czuł jednak, że gdy wróci do domu, to go zadławi gniew; ruszył więc przed siebie, nie myśląc o tem, gdzie go nogi poniosą. Zdawało mu się w tej chwili, że nie kocha Maryni, że ją nawet nienawidzi, ale jednak myślał o niej, i gdyby myślał spokojniej, zdałby sobie sprawę, że samo zobaczenie jej wstrząsnęło nim głęboko. Widział ją oto znowu, patrzył na nią, porównał z rzeczywistością ten jej obraz, który nosił w pamięci — i obraz, stawszy się przez to jeszcze wyraźniejszy, bardziej realnie ponętny, tem silniej działał na niego. I, mimo gniewu, w głębi jego duszy podnosiło głowę ogromne upodobanie i zachwyty. Istniały teraz dla niego jakby dwie Marynie: jedna potulna, przyjazna, zasłuchana i gotowa kochać, Marynia z Krzemienia; druga, ta lodowata panna z Warszawy, która go odtrąciła. Kobieta często zdwaja się tak w sercu męskiem; które wówczas najczęściej gotowe jest przebaczyć tej nieprzyjaznej dla tamtej kochanej. Połaniecki nie przypuszczał nawet, żeby Marynia potrafiła być taką, jaką dziś okazała się dla niego, z tego powodu w jego gniewie było jakby pewne zdziwienie. Znając swoją istotnie niezaprzeczoną wartość i będąc dostatecznie zarozumiałym, nosił w sobie przeświadczenie, do którego nie chciałby się przyznać sam przed sobą, że dość mu wyciągnąć rękę, by za nią pochwycono.

Tymczasem pokazało się inaczej. Ta potulna panna Marynia wystąpiła nagle nietylko w roli sędziego, który wydaje wyroki i potrafi potępić, ale zarazem i w roli jakby królowej, u której można być w łasce lub nielascie. Połaniecki nie mógł się z tą myślą oswoić i szamotał się z nią, ale taka jest natura ludzka, że gdy poznał, iż dla tej panny nie jest tak pożądanym, jak sądził, że ona nietylko nie ceni go zbyt wysoko, ale niżej od siebie samej, wbrew niechęci, urazie, gniewowi, cena jej wzrosła w jego oczach. Jego miłość własna została zraniona, a z drugiej strony jego wola, istotnie silna, gotowa była porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je. Wszystkie te myśli krążyły teraz bezładnie w jego głowie, a raczej były to bardziej poczucia, niż myśli, poszarpane i same szarpiące. Powtarzał sobie stokroć, że wszystkiego poniecha, że musi i chce poniechać, a jednocześnie był dość słabym i małym, by w tej samej chwili, gdzieś w najtajniejszym kącie duszy, liczyć na przyjazd pani Emilii i na tę pomoc, jaką ów przyjazd mógł mu przynieść.

Pogrążony w tej duchowej rozterce, nie opamiętał się, aż w połowie Zjazdu. Wówczas zadał sobie pytanie: „Po licha ja szedłem na Pragę?” — i zatrzymał się. Dzień był pogodny i schylał się ku wieczorowi. Wisła płynęła poniżej w blasku, a za nią i za bliższymi kępami zieloności widać było rozległy kraj, zakryty na widnokregu mgłą różową i sinawą. Hen, za temi mgłami, był Krzemień, który Marynia kochała i który straciła. Połaniecki, utopiwszy oczy w mgły, powiedział sobie:

— Ciekawym, coby zrobiła, żebym jej go oddał?

Lecz nie umiał sobie tego dokładnie wyobrazić, natomiast wyobraził sobie, że utrata tego kawałka ziemi była dla niej istotnie wielką przykrością — i zrobiło mu się jej żal. W tym żalu poczęła się rozpyływać jego uraza i przesłaniać się jakby mgłą. Sumienie jęło mu szeptać, że miał to, na co zasłużył.

Wracając, mówił sobie:

— Jednakże ja o tem wszystkim ciągle myślę.

I rzeczywiście tak było. Nigdy w najważniejszych sprawach pieniężnych nie doznawał ani pół takiego niepokoju, nigdy też nie pograżał się w nie tak dalece. I znów przyszło mu na myśl to, co mówił Waskowski, że natura jego, jako Połanieckiego, nie zdolna jest włożyć całej duszy w robienie pieniędzy. Nigdy nie doświadczył równie jasnego poczucia, że mogą być sprawy od tego ważniejsze i po prostu bardziej pozytywne. Po raz drugi ogarnęło go pewne zdziwienie.

Była już blisko dziewiąta, gdy zaszedł do Bigiela. Bigiel, sam w obszernem, pustem mieszkaniu, siedział we drzwiach otwartych na ogrodową werandę i wygrywał na wiolonczeli, tak, że aż wszystko w domu drgało. Ujrawszy Połanieckiego, przerwał jakieś tremolo i spytał:

— Byłeś dziś u Pławickich?

— Byłem.

— Jakże panna?

— Jak karafka „frapowanej“ wody. Na taki gorący dzień to przyjemność. Zresztą grzeczni ludzie.

— Przewidywałem to.

— Graj dalej.

Bigiel począł grać „Träumerei“ i grając, przymykał

oczy, lub podnosił je na księżyc. W ciszy muzyka zdawała się napelniać słodyczą dom, ogród i samą noc.

Gdy skończył, milczał przez chwilę, poczem rzekł:

— Wiesz co? Jak pani Emilia wróci, żona moja zaprosi ją do siebie na wieś, a z nią i pannę Pławicką. Może tam te lody między wami stopnieją.

— Zagraj jeszcze raz „Träumerei“.

Dźwięki ozwały się po raz drugi, spokojne i rozmarzone. I Połaniecki był zbyt młodym, by nie miał być również choć trochę marzycielem. Więc wyobraził sobie, że Marynia słucha z nim razem „Träumerei“ z rękami w jego rękach, z głową na jego piersiach, kochająca bardzo i nad wszystko w świecie kochana.

X.

Pan Pławicki był jednak człowiekiem co się nazywa dobrze wychowanym, albowiem trzeciego dnia oddał wizytę Połanieckiemu. Oddał ją nie drugiego, taka bowiem skwapliwość oznaczałaby chęć utrzymania bliskich stosunków, i nie czwartego, albo piątego, byłoby to bowiem dowodem braku znajomości zwyczajów światowych, tylko w terminie najwłaściwszym i jedynie wskazanym przez przykazania „savoir vivre“. Pan Pławicki szczyił się całe życie znajomością tych przykazań oraz właściwych im odcieni i zachowywanie ich uważał za najwyższą mądrość ludzką. Jako człowiek wyrozumiały, pozwalał wprowadzić istnieć i innym gałęziom wiedzy, pod warunkiem wszelako, żeby się nie przeceniały, a zwłaszcza, by nie miały pretensyi narzucania się ludziom prawdziwie dobrze wychowanym.

Połaniecki, dla którego wszystko było pożądanem, co nawiązywało jakąkolwiek nie dalszych stosunków z panną Marynią, z trudnością potrafił ukryć radość, jaką mu sprawiło przybycie pana Pławickiego. Radość ta odbiła się też w uprzejmem i pełnem dobrego humoru

przyjęciu. Musiał on zresztą podziwiać pana Pławickiego i wpływ, jaki na niego uczyniło miasto. Czupryna jego lśniła się, jak skrzydła krucze, małe wąsiki sterczały do góry, walcząc o lepsze pod względem barwy z czupryną, biała kamizelka okrywała wysmukłą pierś, pąsowy zaś gwoździć przy czarnej zakietce dodawał jakiegoś świętecznego blasku całej postaci.

— Pod słowem, nie poznałem wujaszka w pierwszej chwili! — zawołał Połaniecki. — Myślałem, że jaki młodzik wchodzi.

— Bonjour, bonjour! — odpowiedział pan Pławicki. — Chmurny dzień, trochę tu ciemno, i chyba dlatego wziąłeś mnie za młodzika.

— Chmurno, czy jasno — co to za figura! — odpowiedział Połaniecki.

I, chwyciwszy bez ceremonii w boki pana Pławickiego, począł nim obracać i mówić:

— Talia zupełnie jak u panny. Chciałbym mieć taką!

Pan Pławicki, mocno zgorszony tak bezceremonialnym powitaniem, ale zarazem jeszcze mocniej uradowany tym podziwem, jaki wzbudzała jego postać, mówił, broniąc się:

— Voyons! Waryat jesteś. Mógłbym się pogniewać! Waryat jesteś.

— Ale wujaszek nazawraca głów, ile sam zechce.

— Co powiadasz? — spytał pan Pławicki, sadowiąc się w fotelu.

— Powiadam, że wujaszek przyjechał tu na podboje...

— Nie myślę o tem wcale. Waryat jesteś!

— A pani Jamiszowa? Albo to nie widziałem na własne oczy...

— Co?

Tu pan Pławicki przymknął jedno oko i wysunął koniec języka, ale trwało to chwilkę tylko, poczem podniósł brwi i rzekł:

— Widzisz, Jamiszowa?... Dobrze to na Krzemień... Między nami, nie znoszę afektacyi, bo to zawsze trąci prowincyą. Niech Jamiszowej Pan Bóg nie pamięta, ile mnie ona namęczyła swoją afektacyą. Kobieta powinna mieć odwagę zestarzeć się — wtedy stosunek kończy się przyjaźnią, inaczej zaś staje się niewolą.

— I wujaszek czuł się motylem w pętlach?

— Tylko nie mów tak — odrzekł z godnością pan Pławicki — i nie wyobrażaj sobie, żeby coś między nami było. Gdyby też i było, nie usłyszałbyś odemnie o tem ani słowa. Wierz mi, jest wielka różnica między wami, a nami z poprzedniego pokolenia. My nie byliśmy może świętymi, ale umieliśmy milczeć, a to jest wielka cnota, bez której to, co się nazywa prawdziwym szlachectwem, nie istnieje.

— Z tego wnoszę, że mi się wuj nie przyzna, gdzie odemnie pójdzie z tym czerwonym gwoździkiem przy wyłogu.

— Owszem, owszem... Maszko dziś prosił na śniadanie mnie i kilka innych osób. Z początku odmówiłem, nie chcąc zostawić Maryni samej... Ale nasiedziałem się dla niej tyle na wsi, że istotnie należy mi się trochę rozrywki. A ty nie jesteś proszony?

— Nie.

— To mnie dziwi. Jesteś, jak sam powiadasz, „afe-rzysta,” ale nosisz porządne nazwisko. Maszko zresztą sam jest adwokatem... Wogóle jednak powiem ci, iż nie myślałem, żeby on potrafił się tak postawić.

— Maszko potrafi postawić się nawet na głowie...

— Bywa wszędzie, wszyscy go przyjmują... A ja miałem niegdyś do niego uprzedzenie.

— A teraz wuj nie ma uprzedzenia?

— Muszę przyznać, że ze mną postępował w całej tej sprawie z Krzemieniem, jak gentleman.

— Panna Marynia jest tego samego zdania?

— Zapewne... chociaż myślę, że jej ten Krzemień leży na sercu... Dla niej to zrobiłem, żem się go pozbył, ale młodość nie wszystko potrafi zrozumieć. Zresztą wiedziałem o tem i gotów jestem znieść każdą przykrość ze spokojem. Co do Maszki... zapewne!... Ona nie może mu nic zarzucić. Kupił Krzemień, to prawda, ale...

— Ale gotów go oddać?...

— Ty należysz do rodziny, więc, między nami mówiąc, myślę, że tak jest... Jego Marynia zajęła bardzo, jeszcze za naszego poprzedniego pobytu, ale to ja-koś nie szło. Dziewczyna była za młoda — nie dość jej się podobał, ja sam, trochę się krzywiłem, bo mnie uprzedzono co do jego rodziny. Bukacki ostrzył sobie na nią zęby — ot i skończyło się na niczem...

— Nie skończyło się, skoro się rozpoczyna na nowo.

— Bom się przekonał, że on pochodzi z bardzo dobrej rodziny, niegdyś włoskiej... Oni się kiedyś nazywali Masco — i przyszli tu z Boną, a potem osiedli na Białorusi. On, jeśliś zauważył, ma nawet trochę twarz włoską.

— Nie, on ma portugalską.

— To już wszystko jedno... Ostatecznie, pomyśl: sprzedać Krzemień, a jednak go mieć — to nie lada głowa wymyśli... Co do Maszki — tak! Sądzę, że taki jest jego zamiar, ale Marynia, to dziwna dziewczyna. Przykro to mówić, ale człowiek prędzej potrafi zrozumieć obcego, niż własne dziecko. Jeśli ona sobie jednak powie: „Paris vaut la messe,“ jak to powiedział Talleyrand...

— A? Ja myślałem, że to powiedział Henryk IV?

— Bo ty jesteś „aferzysta,“ człowiek nowych czasów. Wam, młodym, historia i stare dzieje nie w smak, wolicie robić pieniądze... Wszystko tedy zależy od Maryni, a ja nie będę przynaglał; nie będę, bo ostatecznie, przy naszych stosunkach, może się jej jeszcze lepsza partya trafić. Trzeba będzie trochę wejść między ludzi i odszukać dawnych znajomych. Trud to tylko i umęczenie, ale co trzeba, to trzeba. Myślisz, że ja z przyjemnością idę na to śniadanie? Nie! ale muszę trochę i młodzieży przyjmować. Spodziewam się też, że nie będziesz o nas zapominał...

— Nie, nie będę...

— Wiesz, co mi o tobie powiedzieli? że ty dyabło robisz pieniądze. No! no! nie wiem w kogo się wdałeś — nie w ojca! W każdym razie, nie ja ci to będę ganił, nie, nie!... Dusileś mnie bez miłosierdzia, obszedłeś się ze mną, jak wilk z jagnięciem, ale jest w tobie coś, co mi się podoba, mam do ciebie jakąś słabość.

— I wzajemnie! — rzekł Połaniecki.

Rzeczywiście, pan Pławicki nie kłamał. Miał on instynktowną cześć dla majątku i ten młody człowiek,

który go robił, wzbudzał w nim pewien podziw, graniczący z sympatyą. To nie był pierwszy lepszy biedny krewniak, któryby potrzebował pomocy, i dlatego pan Pławicki, choć na razie nie miał względem niego żadnych wyrachowań, postanowił zachować z nim stosunki.

Pod koniec wizyty począł się jeszcze oglądać po pomieszkaniu.

— Pięknie mieszkaś! — rzekł.

Była to także prawda. Połaniecki miał tak przygotowane mieszkanie, jakby się miał żenić. Samo urządzenie go w ten sposób sprawiało mu przyjemność, albowiem dawało jakiś pozór rzeczywistości jego pragnieniom.

Pławicki też, rozejrzawszy się po salonie, za którym widać było drugi, mniejszy, urządzony nader wykwintnie, spytał:

— Czemu ty się nie żenisz?

— Zrobię to, jak będę mógł najprędzej.

Pan Pławicki uśmiechnął się domyślnie i, klepiąc po kolanie Połanieckiego, począł powtarzać:

— I wiem z kim, i wiem z kim!...

— To mi głowa! — zawołał Połaniecki — ukrywajże tu co przed takim dyplomata.

— Aha! co... Z wdówką? z wdówką — co? .

— Kochany wujaszek!...

— Co? Niech ci Bóg błogosławi, jak ja błogosławię. A teraz ruszam, bo czas na śniadanie, a wieczorem koncert w Dolinie.

— W kompanii z Maszką?

— Nie, z Marynią — ale i Maszko będzie.

— Wybieram się i ja z Bigielem.

— A to się zobaczymy. Góra z górą się nie zej-
dzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze może.

— Jak powiedział Talleyrand...

— Więc do widzenia.

Połaniecki lubił czasem muzykę, ale nie wybierał się wcale na koncert, gdy mu jednak Pławicki o tem wspomniał, chwyciła go chęć zobaczenia Maryni. Po odejściu Pławickiego, namyślał się jeszcze czas jakiś, czy iść, czy nie iść, ale, możnaby rzec, dla formy, albowiem z góry wiedział, że nie wytrzyma i pójdzie. Bigiel, który przyszedł do niego na konferencję handlową po południu, z łatwością dał się namówić i koło czwartej znaleźli się w Dolinie. Dzień, jakkolwiek wrześnieowy, był tak ciepły i pogodny, że ludzie zgromadzili się licznie i całe zgromadzenie miało pozór letni. Wszędy mnóstwo jasnych sukien, jasnych parasolek i młodych kobiet, które wyoili się, jak kolorowe motyle, przygrzane słońcem. Między tym rojem, przeznaczonym do kochania, albo też kochanym i kochającym, zgromadzonym tu zarówno dla muzyki, jak w poszukiwaniu miłości, miała się znajdować i Marynia. Połanieckiemu przypomniały się czasy studenckie, gdy kochał się w nieznanym i wyszukiwał ich w tłumie, myśląc się co chwila z powodu podobieństwa kapeluszy, włosów, ogólnej postawy. I teraz zdarzyło mu się wziąć z daleka za Marynię kilka osób, mniej lub więcej do niej podobnych; i teraz, jak dawniej, za każdym razem, w którym sobie mówił: „To ona!“ doznawał tych dziwnych drgań koło serca, tego niepokoju, jakiego doświadczał dawniej. Dziś jednak brała go złość, bo wydawało mu się to śmiesznem, a przytem

czuł, że takie poszukiwania spotkań i widzeń, pochłaniając człowieka i skupiając jego myśl na jednej istocie, zwiększają zajęcie, jakie ona budzi i tem bardziej do niej przykuwają.

Tymczasem orkiestra poczęła grać, zanim mógł odnaleźć tę, której w tłumie upatrywał. Trzeba było się i słuchać, co czynił z przymusem, niecierpliwiać się w duszy na Bigiela, który słuchał bez ruchu, z przymkniętymi oczyma. Po skończeniu numeru, dojrzał wreszcie błyszczący cylinder i czarne wąsiki pana Pławickiego, a za nimi profil Maryni. Trzeci siedział Maszko, spokojny, pełen dystynkcyi, z miną angielskiego lorda. Chwilami przemawiał do Maryni, a ona zwracała się ku niemu, potakując lekko głową.

— Pławiccy tu są — rzekł Połaniecki — trzeba się pójść przywitać.

— Gdzie ich widzisz?

— Ot, tam, z Maszką.

— A prawda. Pójdźmy.

I poszli. Panna Marynia, która lubiła panią Bigielową, powitała Bigiela bardzo serdecznie, Połanieckiemu zaś skinęła głową nie tak zimno, by to mogło zwrócić czyjąkolwiek uwagę, lecz poczęła rozmawiać z Bigielem, wypytując o zdrowie żony i dzieci. On, w odpowiedzi, ją zapraszać i ją i ojca bardzo gorąco, żeby odwiedzili ich w przyszlą niedzielę na letniem mieszkaniu.

— Moja żona będzie szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! — powtarzał. — Może też i pani Emilia przedtem przyjedzie. . .

Marynia próbowała odmówić, ale pan Pławicki,

który chciał się bawić, a z poprzedniego pobytu w Warszawie wiedział, że Bigielowie żyją dostatnio — przyjął. Stanoło na tem, że przyjadą na obiad, a powrócą wieczorem. Była to wycieczka łatwa, bo willa Bigielów leżała o jedną stację kolei.

— Tymczasem siadajcie koło nas — rzekł pan Pławicki — właśnie obok nas jest kilka krzeseł próżnych.

Przedtem jednak Połaniecki zwrócił się do Maryni:

— Pani nie miała wiadomości od pani Chwastowskiej?

— Chciałam właśnie spytać, czy pan nie miał — odrzekła.

— Nie, ale jutro spytam depezą o Litkę.

I rozmowa urwała się. Bigiel usiadł koło pana Pławickiego, Połaniecki zaś na kraju. Marynia zwróciła się znów do Maszki, tak że Połaniecki mógł widzieć tylko jej profil i to niepełny. Zdawało mu się, że nieco zmizerniała, a przynajmniej cera jej stała się po kilku tygodniach pobytu w mieście bledszą i delikatniejszą, przez co długie jej rzęsy wydawały się cienistsze i bardziej wyraźne. Cała jej postać była jakby bardziej wykwintną, do czego przyczyniał się staranny ubiór i równie staranne uczesanie, którego sposób był inny, niż dawniejszy. Dawniej nosiła włosy związane niżej, teraz były one upięte modniej, to jest wysoko pod kapeluszem. Połaniecki ogarniał oczyma jej wysmukłą postać, podziwiając całą duszą jej wdzięk, widny we wszystkim, nawet w trzymaniu ręki na kolanach. Wydała mu się bardzo piękna. Odczuł znów z wielką siłą, że jeśli każdy mężczyzna nosi w sobie swój typ kobiecego uroku, który

jest miarą wrażenia, jakie dana kobieta na nim sprawia — to ona jest tak bliską tego typu, że prawie z nim tożsamą. I patrząc na nią, mówił sobie w duszy:

— Ach, taką mieć żonę, taką mieć żonę!

Lecz ona zwracała się do Maszki. Może nawet zwracała się zanadto, i gdyby Połaniecki zachował całą zimną krew, mógłby pomyśleć, że czyni to umyślnie, dlatego, by jemu czynić na złość. I prawdopodobnie tak było. Rozmowa musiała być ożywiona, gdyż przez jej twarz przelatywały od czasu do czasu lekkie kolory.

— Ależ ona go po prostu kokietuje!... — myślał, ściskając zęby, Połaniecki.

I chciał koniecznie usłyszeć, co mówią. Było to jednak trudno. Publiczność w czasie długiej pauzy zachowywała się dość gwarnie. Maryni Połaniecki, przedzielony dwiema osobami, nie mógł wcale słyszeć, natomiast po skończonym nowym numerze usłyszał urwane słowa i zdania Maszki, który miał zwyczaj mówić z przyciskiem, chcąc przez to nadać większą wagę każdemu słowu.

— Ja go lubię — mówił Maszko. — Każdy ma swoje słabości — jego słabością są pieniądze... Wdzięczny mu jestem, bo on mnie namówił... do Krzemienia... Myślę przytem, że jest pani szczerze życzliwy, bo nie szczędził... — ...I wyznaję, że pobudził moją ciekawość...

Marynia odpowiedziała coś na to z wielkiem ożywieniem, poczem Połaniecki znów dosłyszał koniec odpowiedzi Maszki:

— Charakter jeszcze niewyroblony i inteligencja może mniejsza, niż energia, ale natura raczej dobra...

Połaniecki doskonale rozumiał, że to o nim mówią —

i również dobrze zdał sobie sprawę z taktyki Maszki. Sądzić niby wyrozumiale i bezstronnie, raczej chwalić, lub przynajmniej przyznawać różne przymioty, a jednocześnie obdzierać z wszelkiego uroku, był to znany sposób młodego adwokata. Przez to wznosił się sam na stanowisko sędziego, wyjątkowe i wyższe. Połaniecki wiedział też, że Maszko mówił to nie tyle w chęci poniżenia jego, ile wywyższenia siebie, i że, prawdopodobnie, mówiłby tak samo o każdym innym młodym człowieku, w którym podejrzewałby możliwego współzawodnika.

Była to ostatecznie taktyka, którą może sam Połaniecki byłby się w danym razie posługiwał, co nie przeszkadzało, że w tej chwili poczytał ją Maszce za szczyt przewrotności i postanowił mu za nią zapłacić, byle zdarzyła się sposobność.

Pod koniec koncertu mógł jeszcze zauważyć, jak dalece Maszko wchodzi w rolę starającego się. Gdy panna Marynia, chcąc zawiązać woalkę, zdjęła rękawiczki, a te stoczyły się z jej kolan, Maszko podniósł je i zatrzymał, wraz z parasolką, przyczem zdjął z poręczy krzesła jej pelerynkę i przewiesił sobie przez ramię, by ją jej podać w chwili wyjścia z ogrodu — słowem, całkowicie był nią zajęty, jakkolwiek i w tem zachowywał zimną krew i takt człowieka prawdziwie światowego.

Zdawał się przytem pewny siebie i szczęśliwy. Jakoż Marynia, prócz krótkiej rozmowy, poświęconej Bigielowi, przez resztę czasu, o ile nie słuchała muzyki, rozmawiała tylko z Maszką. Gdy ruszyli ku wyjściu, szła przed ojcem z nim razem, i znów Połaniecki widział uśmiechnięty jej profil, zwracający się ku Maszce. Rozmawiając, patrzyli

sobie w oczy. Twarz jej była ożywiona, a jej uwaga skupiona wyłącznie na tem, co on mówił. Rzeczywiście kokietowała Maszkę. On sam widział to, nie przypuszczając zresztą, mimo swego sprytu, ani na chwilę, że mogła tak czynić tylko dla drażnienia Połanieckiego.

Przed wejściem czekał powóz, do którego Maszko podsadził ją i starego Pławickiego, sam zaś począł się żegnać. Lecz Marynia, przechyliwszy się ku niemu, rzekła:

— Jakże? Papa przecie prosił pana? Prawda, papo?

— Takeśmy się umówili — rzekł pan Pławicki.

Maszko siadł — i odjechali, zamieniwszy ukłony z Bigielem i Połanieckim. Dwaj przyjaciele szli dość długi czas w milczeniu, wreszcie Połaniecki rzekł, udając spokój w głosie:

— Ciekawym, czy oni już są narzeczeni?

— Nie przypuszczam — rzekł Bigiel — ale do tego idzie.

— To i ja widzę.

-- Myślałem, że Maszko będzie szukał majątku. Ale on jest rozkochany. To się może nawet trafić takiemu, który myśli tylko o karierze... Maszko jest rozkochany. Przytem, wzięwszy ją, uwolni się od wypłat za Krzemień. Nie! to nawet i interes nie jest tak zły, jak się zdaje... A panna jest bardzo ładna, co prawda, to prawda!...

I znów umilkli. Połanieckiemu jednak było tak ciężko, że nie mógł wytrzymać.

— Powiem ci otwarcie — ozwał się — to jest dla mnie po prostu męka ta myśl, że ona za niego wyjdzie... I ta bezradność! Wolę wszystko, niż taką bezradność. Jaką ja śmieszną i głupią rolę odegrałem w całej tej sprawie!

— Zapędziłeś się, a to się każdemu może trafić. To jest raczej wina tego dziwnego zbiegu okoliczności, że byłeś wierzycielem jej ojca. Ty masz zupełnie inne pojęcia o takich sprawach, niż on... jesteście ludzie z dwóch różnych planet — więc nieporozumienie było gotowe. Tyś może postawił rzecz za ostro, ale jak się zastanowię nad wszystkim, to nie mogłeś być zbyt miękkim, nawet ze względu na pannę Pławicką. Czyniąc zbyt wielkie ustępstwa, czyniłbyś je dla niej — nieprawda? Więc cóżby z tego wypadło? Oto, że ona pomaga ojcu w wyzyskiwaniu ciebie. Nie, tę sprawę należało skończyć.

Tu roztropany Bigiel przystanął na chwilę, zastanowił się i rzekł:

— A co do twojej roli to jest jedno wyjście: usunąć się zupełnie, zostawić rzeczy ich biegowi i powiedzieć sobie, że wszystko idzie po twojej myśli.

— Co mi pomoże — zawołał gwałtownie Połaniecki — że sobie to powiem, kiedy nie idzie! nie idzie! Idzie przeciw myśli... A że mi jest głupio, niema i na to rady. Jakże? Naprzód sam to wszystko zrobiłem, a teraz chciałbym odrobić? Ja całe życie wiedziałem, czegom chciałem, a w tym razie działałem, jakbym nie wiedział.

— To są przejścia, o których się zapomina.

— Dobrze, mój kochany, ale tymczasem upada interes do życia. Myślisz, że mnie to obchodzi dzisiaj, tak jak dawniej, czy będę zdrow, czy chory, bogaty lub goły? Czczo mi się robi na samą myśl o przyszłości. Ty jesteś ustalony i związany z życiem, ale co ja? Ot, był widok, i już go niema. Przecie to ogromnie zniechęca!

— Ostatecznie, nie jedna panna Pławicka na świecie.

— Co tu gadać! Teraz ona jedna, bo żeby była jaka druga, tobym o tej drugiej myślał. Co tu gadać! Cała rzecz i cała zgryzota w tem, że ona jedna. Za rok może mi dachówka na głowę zlecieć, albo może znajdę inną, ale tego, co będzie jutro — nie wiem, a że mnie dziś licho bierze, to wiem. To się wiąże we mnie i z innymi rzeczami, o których dziś nie chcę mówić. W życiu zewnętrznym trzeba mieć spokojny chleb — prawda? Otóż w życiu wewnętrznym tak samo. I to pilna sprawa, ale widzisz, ja ją odkładam do ożenienia się, bo to rozumiem, że nowe warunki wyrabiają nowy sposób myślenia, i zresztą chcę skończyć z jednym, nim zacznę drugie. A tu się wszystko tak gmatwa! — i nietylko gmatwa, ale znika! Ledwo się coś zjawi, już niknie. Tak jest i teraz. Żyje się w niepewności. Ot, wolałbym, żeby już byli narzeczonymi, bo w takim razie wszystkoby się skończyło samo przez się.

— Ja ci tylko powiem jedno — rzekł Bigiel — jakem był dzieckiem i zdarzyło mi się czasem wbić sobie drzazgę, to mnie daleko mniej bolało, gdy ją sobie sam wyciągnął, niż gdy mi to zrobił ktoś drugi.

— W tem masz słuszość! — rzekł Połaniecki.

Lecz po chwili dodał:

— Tylko, widzisz, drzazgę można wyciągnąć, jeśli nie za głęboko wlaźła i jeśli się da uchwycić. Zresztą, co są porównania! Z wyciągniętą drzazgą nic nie tracisz, a mnie się widok na przeszłość psuje.

— To prawda, ale jeśli niema innej rady...

— Kto nie jest niedołągą, na to właśnie ciężko mu się zgodzić.

Rozmowa ustała. Dopiero z chwilą, gdy się zaczęli żegnać, Połaniecki rzekł:

— Wiesz co? Wolę nie być u was w niedzielę.

— Może i dobrze zrobisz — odpowiedział Bigiel.

XI.

W domu czekała Połanieckiego niespodzianka, zastał bowiem depezę od pani Chwastowskiej, zawierającą następne słowa: „Wracam jutro rano, Litka dobrze!“ Powrót ten był niespodziany, a przynajmniej nadzwyczaj przyspieszony, że zaś depeza zawierała zapewnienie co do zdrowia Litki, Połaniecki więc zrozumiał, że pani Emilia wraca tylko dlatego, by się zająć jego sprawą. I na tę myśl serce wezbrało mu wdzięcznością. „Ot, to jest poczciwa natura — mówił sobie — to przyjaciółka!...“ I obok wdzięczności wezbrała mu w sercu taka nadzieja, tak, jakby pani Emilia posiadała czarodziejski pierścień, lub magiczną laskę, za pomocą której mogła zmienić w jednej chwili serce panny Maryni. Połaniecki nie widział jasno, jak się to robi, ale wiedział, że przynajmniej ktoś, bardzo życzliwy, będzie za nim przemawiał, będzie go usprawiedliwiał, będzie podnosił jego serce i charakter, a zmniejszał uprzedzenia przeciw niemu, nagromadzone biegiem zdarzeń. Liczył, że pani Emilia będzie w tem bardzo wytrwała, i że będzie to dla niej kwestyą obowiązku. Człowiek, któremu coś dokucza, rad szuka

tych, na którychby mógł złożyć za to odpowiedzialność. Tak i Połanieckiemu, zwłaszcza w chwilach wezbrania goryczy, wydawało się, że pani Emilia jest także odpowiedzialną za jego stosunek do panny Maryni, gdyby bowiem nie była pokazała owego listu, z którego widać było gotowość panny Maryni do pokochania go — to on byłby jeszcze zdołał odzepić od niej i myśl i serce. Może poniekąd i było tak, gdyż w historii jego uczucia list ten odegrał rzeczywiście ważną rolę. On mu pokazał, jak szczęście było blizkie i prawie już realne, jak dalece ona w myśli oddawała mu już serce i duszę. Najtrudniej jest porzucić szczęście, które nie tylko jest upragnione, ale i zaczęte — i gdyby nie ów list, może istotnie Połaniecki mniejby żałował przeszłości, łatwiej zapomniał i łatwiej się zgodził z położeniem. Teraz nie pamiętał, że to on sam wymógł na pani Chwastowskiej pokazanie owego listu, uważał tylko, mimo całej przyjaźni i wdzięczności dla niej, że ona powinna go wspomagać ze wszystkich sił. Zresztą rozumiał, że tak się będzie działo samo przez się; spodziewał się często widywać pannę Marynię, i to w warunkach dla siebie najkorzystniejszych, albowiem w domu, w którym go kochano, ceniono i w którym podobne uczucia musiały się udzielać każdemu z gości. Wszystko to wzmogło nadzieję Połanieckiego z nową siłą, ale wzmagając nadzieję, dodało nowe ogniwa do tych, które łączyły jego myśli z Marynią. Poprzednio był sobie obiecał, że nie będzie u Bigielów, teraz zmienił postanowienie, przypuszczając, że jeśli tylko zdrowie pozwoli, pani Emilia także weźmie udział w tej wycieczce. A swoją drogą, poza tymi wszystkimi powodami, związanymi

z panną Marynią, rad był z całej duszy, że zobaczy te kochane twarze, tak pani Emilii, jak i Litki, która dotychczas była największem jego przywiązaniem w życiu.

Tegoż jeszcze wieczora napisał parę słów do pana Pławickiego o przyjeździe, przypuszczając, że mu panna Marynia będzie wdzięczna za tę pośrednią wiadomość; dał znać do mieszkania pani Emilii, by nazajutrz czekano z herbatą, i zamówił wygodny powóz, by odwieźć nim te panie do domu. Nazajutrz o piątej był już na kolei.

W oczekiwaniu na pociąg, począł biegać szybkim krokiem wzdłuż peronu, by się nieco rozgrzać, albowiem ranek był chłodny. Dał, budynki kolejowe i wagony, stojące na bliższych liniach, tonęły w mgłę, która, bardzo gęsta przy ziemi, w górze czyniła się różowa i świecąca, zwiastując, że dzień będzie pogodny. Na peronie, prócz urzędników i służby, nie było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, nikogo; zwolna jednak ludzie poczynali napływać. Nagle przed Połanieckim wysunęły się z mgły dwie postacie, z których w jednej poznał z biciem serca Marynię, która z panną służącą pośpieszyła powitać panią Emilię. Nie spodziewając się takiego spotkania, w pierwszej chwili zmieszal się mocno. Ona również zatrzymała się, jakby zdziwiona lub zakłopotana. Po chwili jednak zbliżył się i wyciągnął ku niej rękę.

— Dzień dobry pani! — rzekł — i prawdziwie będzie dla nas obojga dobry, jeśli nasze podróżniczki przyjadą.

— Więc to jeszcze niepewne? — spytała Marynia.

— Jakto? chyba by zaszło coś niespodziewanego. Miałem wczoraj depezę i posłałem wiadomość panu Pławickiemu, w tej myśli, że pani ucieszy się z nowiny.

— Dziękuję. Taka miła niespodzianka!...

— Najlepszy dowód, że pani tak rano wstała.

— Jeszczem się nie odzwyczała.

— I oboje przyszliśmy zawczasie. Pociąg nadejdzie dopiero za pół godziny. Tymczasem radzę pani nie stać, ale chodzić, bo ranek chłodny, choć dzień zapowiada się śliczny.

— Mgła opada — rzekła Marynia, podnosząc ku górze swoje niebieskie oczy, które Połanieckiemu wydały się w porannem świetle fioletowe.

— Zechce pani przejść się po peronie?

— Dziękuję panu. Wolę zaczekać w sali.

I skinąwszy głową, odeszła. Połaniecki począł znów latać śpiesznymi krokami po peronie. Było mu nieco przykro, że nie chciała z nim zostać, ale tłumaczył sobie, że to może nie wypadło, a jeszcze większą pociechą napelniała go myśl, jak dalece przyjazd pani Emilii będzie sam przez się ich zbliżał i ile sprowadzi spotkań. Dziwna jakaś otucha i dobry humor wzrastały w nim z każdą chwilą. Myślał o fioletowych oczach Maryni, o jej twarzy, zaróżowionej porannym chłodem, i przelatując koło okien sali, w której ona siedziała, mówił sobie prawie wesoło:

— Aha! siedź tam, chowaj się! Znajdę ja cię!

I czuł z większą siłą, niż kiedykolwiek, jak bardzo mogłaby mu być drogą, gdyby chciała być choć trochę dobrą.

Tymczasem zadzwoniono i po kilku minutach we mgle, która jeszcze przy ziemi trzymała się gęsto, choć niebo nad nią było już błękitne, ukazały się mętne za-

rysy pociągu, który, w miarę zbliżania się, czynił się coraz wyraźniejszy. Lokomotywa, oddychając przerywanymi kłębami dymu, wtoczyła się coraz wolniejszym ruchem na stację i, stanąwszy, poczęła z szumem i sykiem wyrzucać niepotrzebną już resztę pary pod przednie koła.

Połaniecki skoczył do sleepingu — pierwsza bowiem twarz, jaka mignęła mu w szybie, była twarz Litki, która na jego widok rozjaśniła się, jakby na nią padł promień słońca. Rączki dziewczynki poczęły też poruszać się radośnie, kiwając na Połanieckiego, który w jednej chwili był w wagonie.

— Moje kociątko najmilsze! — zawołał, chwytając dłonie Litki — a wyspane? a zdrowe?

— A zdrowam! i wróciliśmy! I będziemy razem — i dzień dobry, panie Stachu!

Tuż za nią stała pani Emilia, której „pan Stach“ ucałował rękę bardzo serdecznie i począł mówić tak prędko, jak się zwykle mówi w chwilach powitania:

— Dzień dobry drogiej pani. Mam powóz. Mogą panie zaraz jechać; mój służący odbierze rzeczy, proszę tylko o kwit. W domu czekają z herbatą. Proszę o kwit. Panna Pławicka jest tu także.

Panna Pławicka czekała istotnie przed wagonem i obie z panią Emilią poczęły ścisnąć sobie ręce z twarzami pełnymi uśmiechów. Litka patrzyła przez chwilę na pannę Marynię, jakby wahając się, potem jednak i ona rzuciła się jej na szyję ze zwykłą dawniejszą serdecznością.

— Maryniu, pojedziesz z nami na herbatę — mó-

wiła pani Emilia. — Nas czekają, a ty musisz być naczczo. Dobrze? prawda?

— Jesteście pewno zmęczone, jechałyście całą noc.

— I spałyśmy od granicy, jak zabite, a zbudziwszy się, miałyśmy czas ubrać się i umyć. W każdym razie musimy wypić herbatę, więc nam nic nie przeszkodzi.

— Zatem dobrze. Z największą radością.

Lecz Litka poczęła ciągnąć za suknię matki.

— Mamusiu, a pan Stach?

— Ale naturalnie, że i pan Stach także. On myślał o wszystkim, dzięki jemu znajdziemy wszystko przygotowane, więc musi z nami jechać.

— Musi! musi! — zawołała Litka, zwracając się ku niemu.

A on począł się przekamarzać:

— Otóż nie musi, ale chce.

I po chwili wszyscy czworo siedzieli w powozie. Połaniecki był w wybornym humorze, mając naprzeciw Marynię, a przy sobie małą Litkę. Zdawało mu się, że jasność poranku wchodzi w niego i że zaczynają się dla niego lepsze dni. Czuł, że odtąd będzie należał do małego kółka istot, związanych z sobą życiem towarzyskiem i przyjaźnią, w tem zaś kółku będzie i Marynia. Oto już teraz siedziała naprzeciw niego, bliska jego oczu, i bliska przyjaźnią, jaką oboje czuli dla pani Emilii i Litki.

Tymczasem wszyscy czworo rozmawiali wesoło.

— Co się stało, Emilko — pytała Marynia — żeś przyjechała wcześniej?

— Litka tak codzień prosiła, żeby wracać!

— Nie lubisz zagranicy? — pytał Połaniecki.

— Nie.

— Tęskniłaś za Warszawą?

— Tak.

— A za mną? co? Mów zaraz, bo będzie źle!

Litka spojrzała na matkę, na Marynię, na Połanieckiego i wreszcie odrzekła:

— I za panem Stachem także.

— Masz za to! — rzekł Połaniecki.

I, porwawszy jej rączkę, usiłował ją pocałować, a ona bronila się, jak mogła.

Wrzeszcie pochowała rączki, on zaś, zwróciwszy się do Maryni i okazując swoje zdrowe, białe zęby, rzekł:

— Bo widzi pani, my ciągle wojujemy, ale się lubimy.

— Tak zwykle bywa — odrzekła panna Marynia.

A on popatrzył jej w oczy szczerze i prosto:

— Ej, żeby to tak zwykle bywało!

Panna Marynia zarumieniała się zlekka i spoważniała, lecz nie odrzekła nic i poczęła rozmawiać z panią Emilią.

Połaniecki zaś zwrócił się do Litki:

— A gdzie profesor Waskowski? Pojechał do Włoch?

— Nie. Został w Częstochowie i pojutrze wraca.

— Zdrows?

— Zdrows.

Tu dziewczynka popatrzyła na swego przyjaciela i rzekła:

— Ale pan Stach schudł, mamo, prawda?

— Istotnie pan zmizerniał — rzekła pani Emilia.

Połaniecki był nieco zmieniony, bo źle spał, a przy-

czyna jego bezsenności siedziała przed nim w powozie. Lecz począł się tłómaczyć kłopotami i pracą w biurze. Tymczasem zajechali przed mieszkanie pani Emilii.

Przez chwilę, gdy pani Emilia poszła witać się ze służącymi, a Litka wybiegła za nią, Połaniecki i panna Marynia zostali sami w salce jadalnej.

— Pani tu chyba nie ma bliższej znajomości, niż pani Emilia? — spytał Połaniecki.

— Ani bliższej, ani tak kochanej.

— W życiu potrzeba jest dobroci, a ona jest bardzo dobra i życzliwa. Ja, naprzykład, który nie mam rodziny, uważam ten dom za rodzinny. Inaczej mi wygląda Warszawa, gdy te panie tu są...

Poczem, mniej już pewnym głosem, dodał:

— Tym razem cieszę się także z ich przyjazdu dla pani i dlatego, że wreszcie będzie między nami coś wspólnego i zgodnego.

Tu począł patrzeć na nią z prośbą w oczach, jakby jej chciał powiedzieć: „Ja tak nie mogę żyć! Podaj mi rękę na zgodę, bądź dobrą i dla mnie, skoro nam się zdarzył dzień tak miły.“

Lecz ona, właśnie dlatego, że nie mogła być dla niego zupełnie obojętną, szła coraz bardziej w kierunku niechęci. Im okazywał większą dobroć serca, im bardziej był sympatyczny, tem jego postępowanie z nią wydawało jej się bardziej niesłychanem i tem bardziej uraza zwiększała się w jej sercu.

Mając naturę delikatną, a przytem raczej lękliwą, i odczuwając rzeczywiście, że odpowiedź zbyt niechętna popsułaby harmonię dnia, wołała milczeć; lecz on nie

potrzebował odprawy w słowach, albowiem w oczach jej wyczytał, co następuje:

— Im mniej będziesz się starał naprawić nasze stosunki, tem one będą lepsze, a będą najlepsze wówczas, gdy będą jak najdalej.

I radość jego zgasła w jednej chwili, zastąpił ją tylko gniew i żal, jeszcze od gniewu silniejszy, bo płynący jednocześnie z tego niezwalzonego niczem uroku, któremu Połaniecki poddawał się coraz silniej, i z przeświadczenia, że istotnie rozdział między nim a Marynią staje się codzień głębszy.

I ot, patrząc teraz na jej słodką i dobrą twarz, czuł, że staje ona mu się równie drogą, jak niepowrotnie straconą.

Przybycie Litki położyło koniec tej chwili ciężkiej dla niego nad wyraz. Dziewczynka wbiegła z wielką radością, z czupryną w nieładzie, ze śmiechem na ustach, lecz, spostrzegłszy ich, stanęła nagle i poczęła spoglądać to na jedno, to na drugie, swemi ciemnymi oczyma — i wreszcie siadła cicho przy stoliku z herbatą. Wesołość jej znikła także, chociaż Połaniecki, zamknąwszy ból w sercu, starał się być w czasie śniadania rozmowny i wesoły.

Prawie jednak nie zwracał się już do Maryni. Zajmował się wyłącznie panią Emilią i Litką — i dziwna rzecz: Marynia odczuła to jednak, jak przykrość. Do szeregu uraz przybyła jedna więcej.

Nazajutrz pani Emilia z Litką były wieczorem na herbacie u Pławickich. Pan Pławicki zaprosił i Połanieckiego, który nie przyszedł. I taka jest natura ludzka, że

to znów dotknęło Marynię. Niechęć, tak jak miłość, potrzebuje mieć blisko osobę, przeciw której się zwraca. Marynia mimowoli spoglądała cały wieczór ku drzwiom, gdy zaś nadeszła godzina, w której stało się już pewnem, że Połaniecki nie przyjdzie, poczęła kokietować Maszkę, tak, że przejęła zdziwieniem panią Emilię.

XII.

Maszko był człowiekiem bardzo sprytnym, ale zarazem pełnym miłości własnej; nie miał zresztą żadnego powodu nie brać wprost za dobrą monetę uprzejmości, jaką okazywała mu Marynia. Niejednokowy jej stopień przypisywał trochę kokieteryi, trochę zmiennemu usposobieniu panny, i jakkolwiek to ostatnie przejmowało go pewnym niepokojem, nie było jednak dość silne, by powstrzymać go od stanowczego kroku.

Bigiel odgadywał istotny stan rzeczy, twierdząc, że Maszko był zakochany. Tak istotnie było. Przedtem już panna Pławicka podobała mu się w wysokim stopniu; następnie, uczyniwszy rachunek wszystkich *za* i wszystkich *przeciw*, doszedł do przekonania, że kategoria *za* przeważa. Młody adwokat cenil wprawdzie majątek, ale, obdarzony przytem wielką trzeźwością umysłu i znając doskonale stosunki, w których się obracał, doszedł do przekonania, że panny bardzo majątnej nie znajdzie i nie dostanie. Zupełnie majątne panny znajdowały się albo między arystokracją rodową i to były dla niego progi zbyt wysokie, albo wśród świata finansów, który

ze swej strony szukał znówu związków z rodzinami, noszącemi mniej więcej znane nazwiska. Maszko wiedział doskonale, że jego malowani biskupi i pancernicy, z których podrwiwał Bukacki, nie potrafią mu otworzyć ogniotrwałych kas bankierskich. Rozumiał, że gdyby nawet byli mniej fantastyczni, sam jego zawód adwokacki stanowiłby pewną „deminutionem capitis“ w oczach grubych ryb finansowych. Z drugiej strony czuł naprawdę pewien rasowy wstręt do tego rodzaju związków, podczas gdy dobrze wylegitymowane dziewczyny miały dla niego ten niepospolity urok, jaki miewają zwykle dla parweniuszów.

Panna Pławicka nie miała posagu — a przynajmniej bardzo nieznaczny — prawda. Biorąc ją jednakże, uwalniał się tem samem Maszko od wszelkich zobowiązań, jakie zaciągnął względem Pławickich, kupując Krzemień. Powtóre, połączywszy się z dobrą szlachecką rodziną, postarałby się zagarnąć całą klientelę szlachecką — i to mogłaby już być korzyść bardzo realna; a nakoniec, przez rodzinne stosunki Maryni, mógłby z czasem objąć interesa kilku, lub kilkunastu rodzin prawdziwie zamożnych — co było od dawna celem jego zabiegów.

Pławiccy, jak wszystkie nieco więcej niż średnie rodziny wiejskie, mieli wprawdzie takich krewnych, do których nie bardzo się przyznawali, ale mieli też i takich, którzy do nich nie bardzo się przyznawali, co zresztą działo się nie tyle z powodów dumy, ale samo przez się, na podstawie pewnego doboru towarzyskiego, z mocy którego każdy poszukuje w życiu ludzi, znajdujących się mniej więcej w takich samych warunkach życia.

Większe jednak uroczystości rodzinne związują chwilowo takie rozluźnione stosunki i Maszce nietylko przyjemnie było myśleć o tem, że na ślubie miałby zupełnie donośnie brzmiące nazwiska, ale widział w tem w przyszłości różne możliwe korzyści. Byłoby bowiem tylko rzeczą zrzęczności, poddać tego rodzaju ludziom myśl, że będzie z ich strony ładnie, a dla nich samych dobrze i bezpiecznie, gdy swoje interesa powierzą człowiekowi, znanemu z energii, a zarazem więcej niż jednemu ze swoich, bo powinowatemu. Byłby to niejako posag, jaki mogliby dać niebogatej kuzynce. Maszko, obliczając się z siłami, ufał, że potrafi im się narzucić, a z czasem i opanować ich. Wiedział, że ten i ów przyjdzie z początku o radę, taką, jakiej można zaczerpnąć w pogawędce ze znajonym, lub z dalekim krewnym, który wypadkowo zna się na rzeczy; później, o ile rady okażą się dobre, będzie przychodził częściej, a w końcu odda mu wszystko w ręce. W ten sposób, pomagając innym, mógł sam wypłynąć na szerokie wody, oczyścić z czasem Krzemień, dojść do znacznego majątku, porzucić wreszcie adwokaturę, której nie lubił i którą uważał tylko za środek dojścia do celu, i ustalić się wreszcie w wysokich sferach towarzyskich, jako człowiek niezależny, a zarazem przedstawiciel większej i opartej na silnej podstawie własności ziemskiej.

To wszystko przewidział, wyrachował i obliczył, zanim postanowił starać się o rękę panny Pławickiej.

Nie przewidział jednak jednej rzeczy, oto, że się zakocha w takim stopniu, jak się zakochał.

Poniekąd gniewało go to, sądził bowiem, iż uczucie zbyt silne jest czemś przeciwnem tej równowadze, jaką

człowiek z wysokiego towarzystwa powinien umieć zawsze zachować. Ta równowaga była jednym z jego złudzeń. Gdyby do tego świata nie potrzebował się wdziierać, ale gdyby się był w nim urodził, byłby sobie pozwolił kochać się, na ile serca wystarczy. Mimo całego swego sprytu, nie zrozumiał, że jednym z największych przywilejów tego świata, który uważa się za uprzywilejowany, jest swoboda. Z tego powodu nie był zupełnie kontent, gdy serce nadto mu topniało w obecności panny Maryni. Ale z drugiej strony, sam cel, do którego dążył, coraz bardziej utożsamiał się w nim z osobistym szczęściem, graniczącym niemal z upojeniem.

Były to dla niego rzeczy nowe, tak nowe, że jasność tych nieznanych widnokręgów oślepiła go. Maszko doszedł do trzydziestu kilku lat życia, nie znając, co jest zachwytność. Teraz zrozumiał, ile uroków i szczęścia mieści się w tem słowie, zachwycił się bowiem panną Marynią z całej duszy. Gdy zdarzało się, że pan Pławicki przyjmował go w swoim pokoju, a ona była w sąsiednim, Maszko tak dalece był myślami przy niej, iż z trudnością pojmował, co pan Pławicki mówi. Gdy wchodziła, powstawały mu w sercu zupełnie nieznane przedtem uczucia, tklliwe i miękkie, które czyniły go lepszym, niż był zwykle. Niebieskie jego oczy zmieniały wówczas swój zwykły stalowy i zimny blask na wyraz słodczy i upojenia, wypieki na twarzy, którymi przypominał profesora Waskowskiego, stawały się jeszcze silniejsze, cała postać traciła pozory sztywności, i rozczesywał palcami swoje ciemne baki, nie jak angielski lord, ale jak zwykły zakochany śmiertelnik. Podniósł się w końcu do tego stopnia, że chciał nietylko

swego dobra, ale i jej dobra, nie pojmując go oczywiście inaczej, jak przez siebie i w sobie.

Był tak zakochany, że odtrącony, mógł się stać niebezpiecznym, zwłaszcza ze względu na brak wyrobienia moralnego, przy wielkiej rzeczywiście energii i bezwzględności. Do tej pory nie kochał tak nigdy i pierwsza Marynia rozbudziła w nim wszystko to, co było zdolne do kochania. Nie była ona świetną pięknoscią, ale posiadała w najwyższym stopniu wdzięk kobiecy i ta jej kobiecość była powodem, że pociągała ku sobie szczególniej natury energiczne. W jej delikatnych kształtach było coś z pnącej się rośliny; twarz miała spokojną, oczy przezroczyście i trochę zmysłowe usta — wszystko to razem na pierwszy rzut oka nie czyniło wielkiego wrażenia, ale po chwili każdy najobojętniejszy nawet człowiek spostrzegał, że jest w niej coś szczególnego, co nakazuje pamiętać, że ma się przed sobą kobietę, która mogłaby być kochana.

Zresztą, o ile Maszko czuł się i był rzeczywiście lepszym w tym okresie swego życia, niż zwykle, o tyle poziom duchowy Maryni obniżył się od czasu zamieszkania Pławickich w Warszawie. Sprzedaż Krzemienia odjęła jej pracę i moralną podstawę życia. Zbrakło jej podnioślejszego celu. Przytem przebieg zdarzeń nagromadził w niej dużo goryczy i niechęci, które zawsze zmieniają się w skazy na sercu. Panna Marynia sama odczuwała to wyraźnie i w kilka dni po owym wieczorze, na który Połaniecki nie przyszedł, pierwsza zaczęła o tem mówić z panią Emilią, gdy szarą godziną zostały sam na sam w saloniku, przytykającym do pokoju Litki.

— Ja to widzę — mówiła — że my nie jesteśmy z sobą tak szczerze, jak dawniej. Chciałam z tobą mówić otwarcie i nie mogłam się zebrać, bo mi się zdawało, że nie jestem już warta twojej przyjaźni.

A pani Emilia zbliżyła swoją słodką twarz do głowy panny Maryni i poczęła całować jej skroń.

— Oj, ty Maryniu, Maryniu! co też ty mówisz, ty, taka zawsze rozsądna i spokojna?

— Bo w Krzemieniu byłam więcej warta, niż teraz. Ty nie uwierzysz, jaka ja byłam do tego kąta przywiązana. Miałam wszystkie dni zajęte i w sobie jakąś dziwną nadzieję, że z czasem przyjdzie coś bardzo szczęśliwego. Dziś to wszystko przeszło i sama siebie nie mogę odnaleźć w tej Warszawie, a co gorzej, i mojej dawnej uczciwości. Widziałam, jakieś się dziwiła, że kmiotowała pana Maszkę. Nie mów mi, żeś tego nie spostrzegła. A myślisz, że ja sama wiem, dlaczego to robiłam? Chyba dlatego, że jestem gorsza, chyba z jakiejś złości na siebie, na niego i na cały świat. Nie kocham go, nie pójdę za niego; więc postępuję nieuczciwie i ze wstydem się do tego przyznaję, ale przychodzą chwile, w których chciałabym komuś wyrządzić umyślną krzywdę. Tyś powinna zerwać ze mną dawną przyjaźń, bo ja naprawdę jestem inną, niż byłam.

Tu po twarzy panny Maryni poczęły się toczyć łzy, skutkiem czego pani Emilia tem bardziej ją pieściła i uspokajała; wreszcie rzekła:

— Pan Maszko stara się o ciebie najwidoczniej i przyznaję, iż myślałam, że masz zamiar go przyjąć. Powiem ci teraz szczerze, że mnie to zmartwiło, bo to

nie jest człowiek dla ciebie; ale, wiedząc, jak kochałaś Krzemień, przypuszczałam, że chcesz do niego w taki sposób wrócić...

— Z początku, prawda! miałam takie myśli... Chciałam w siebie wmówić, że mi się pan Maszko podoba; nie chciałam go odpychać... Chodziło mi także o co innego, ale chodziło i o Krzemień. Jednak nie mogłam się przekonać. Za taką cenę nie chcę nawet Krzemienia, ale w tem właśnie leży zło. Bo w takim razie, czemu ja wprowadzam w błąd pana Maszkę, czemu go ludzę? Przez prostą nieuczciwość...

— Nie dobrze, że go ludzisz, ale zdaje mi się, że rozumiem, skąd to wypływa. Z niechęci i urazy dla kogoś innego — czy nie tak? Pociesz się jednak tem, że zło nie jest jeszcze niepowetowane, bo przeciwie postępowanie swoje z panem Maszką możesz zmienić zaraz od jutra... I trzeba, Maryniu, zmienić, póki czas, póki nic nie było przyrzeczone.

— Ja wiem, Emilko, ja to rozumiem; tylko widzisz, kiedy jestem przy tobie i czuję, jak dawniej, jak prawa i uczciwa dziewczyna, to rozumiem, że nietylko słowo, ale i postępowanie obowiązuje. I on może mi to powiedzieć...

— To mu odpowiesz, że chciałaś się do niego przekonać i nie mogłaś. W każdym razie jest to jedyna droga...

Nastąpiła chwila milczenia, ale i Marynia i pani Emilia czuły, że nie rozpoczęły jeszcze rozmawiać o tem, o co, jeśli nie obu, to przynajmniej pani Emilii, najmocniej chodziło. Jakoż, wzięwszy ręce Maryni, rzekła:

— Teraz przyznaj się, Maryniu, że kokietowałaś Maszkę także i z urazy dla pana Stanisława?

Ta zaś odrzekła głucho:

— Tak jest.

— A czy to nie znaczy, że owo wrażenie pierwszego jego przyjazdu do Krzemienia i pierwszych waszych rozmów jeszcze się nie zatarło?

— Lepiejby było, żeby się zatarło.

Pani Emilia poczęła gładzić jej ciemne włosy.

— Ty nie uwierzysz, jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek. Dla nas ma on trochę przyjaźni; zawsze lubił Litkę, za co mu jestem z całej duszy wdzięczna. Ale ty wiesz, jakie to bywa nie gorące i nawet nie ciepłe, ale letnie uczucie ta przyjaźń. On jednak i pod tym względem stanowi wyjątek. Czy uwierzysz, że kiedy Litka zachorowała w Reichenhallu, on sprowadził z Monachium sławnego lekarza, a nam, nie chcąc mnie przestraszać, powiedział, że doktor przyjechał do innego chorego, że więc trzeba tylko korzystać z okazji. Pomyśl, co to za troskliwość i dobroć. To jest człowiek bardzo pewny, na którym można się oprzeć, i energiczny i prawy. Bywają ludzie inteligentni, ale bez energii; inni mają energię, ale bez delikatności serca. On łączy jedno i drugie. Zapomniałam ci powiedzieć, że gdy majątek Litki był zachwiany i gdy brat mojego męża wziął się do ratowania go, największą pomoc znalazł w panu Połanieckim. Gdyby Litka była dorosłą, nikomu w świecie nie oddałabym jej z taką ufnością, jak jemu. I nie potrafię ci nawet wyliczyć, ile myśmy doznały od niego dobrego.

— Jeśli tyle, ile ja złego, to bardzo dużo.

— Maryniu, on tego nie chciał. Żebyś wiedziała,

jak on cierpi nad swoją nierozważą i jak szczerze przyznaje się do winy względem ciebie.

— Sam mi to powiedział — odrzekła Marynia. — Ja, moja Emilko, dużo myślałam nad tem; prawdę powiedziawszy, nie myślałam o niczem innym i nie sędzę, żeby on względem mnie zawinił. W Krzemieniu był dla mnie dobry, tak dobry, że mi się zdawało... Tobie jednej to powiem, bom ci to już zresztą pisała, że wieczorem tej niedzieli, którą on spędził u nas, poszłam spać z głową i sercem tak nim przepelnionem, że aż mi wstyd dziś o tem mówić... I czułam, że jeden dzień dłużej, jedno przyjazne słowo więcej z jego strony, a pokocham go na całe życie... Zdawało mi się, że i on... Na drugi dzień wyjechał zagniewany... Była wina ojca, była i moja, więc potrafiłam to zrozumieć i pamiętasz, jaki list napisałam do ciebie do Reichenhallu? Widzisz, zupełnie taką samą ufność, jaką ty w nim masz, miałam i ja... Pojechał. Sama nie wiem, dlaczego myślałam, że wróci lub napisze. Nie wrócił i nie napisał. Coś mi mówiło, że on mi Krzemienia nie odbierze — odebrał... I potem... Ja wiem, że pan Maszko mówił z nim otwarcie, a on go zachęcał i zaręczył mu, że sam o niczem nie myśli... Oj, moja Emilko!... Jeśli chcesz, to on nie zawinił, ale ile złego mi wyrządził! Przez niego straciłam nie tylko kochany kątek, w którym pracowałam, ale i coś więcej: bo wiarę w życie, w ludzi... w to, żeby rzeczy lepsze i szlachetniejsze były w świecie górą nad złemi i płaskimi... I sama stałam się gorsza. Ja ci szczerze mówię, że nie mogę się odnaleźć. Miał prawo tak postąpić, jak postąpił? — dobrze. Sama to mówię i winy nie uznaję. Tylko,

widzisz, połamał we mnie jakąś sprężynę życiową. I na to niema rady, to się nie da naprawić. Bo jak? Co mi z tego, że w nim zaszła potem zmiana, że żałuje tego, co uczynił i że gotów byłby się nawet ze mną ożenić? Co mi z tego, skoro ja, która go już prawie kochałam, teraz nietylko nie kocham, ale muszę bronić się od wstrętu. To gorzej, niż gdyby mi był obojętny... Ja wiem, o co tobie idzie, ale przecie życie można budować tylko na miłości, nie na niechęci. Jak ja mu mogę podać rękę z tą urazą w duszy i z tym żalem, że przez niego — winien, czy nie winien — tyle się popsulo? Myślisz, że ja nie widzę jego zalet, ale cóż na to poradzę, kiedy im więcej widzę, tem bardziej właśnie mnie od niego odtrąca, i gdybym musiała wybierać, wybrałabym pana Maszkę, choć on mniej wart. Na wszystko, co mi możesz powiedzieć o nim dobrego, zgadzam się, ale na wszystko odpowiadam ci: nie kocham go i nigdy nie pokocham...

Teraz oczy pani Emilii zaszyły łzami.

— Biedny pan Stach! — rzekła, jakby sama do siebie.

A po chwili milczenia spytała:

— I nic ci go nie żal?

— Żal mi go, gdy myślę o takim, jakim był w Krzemieniu, żal mi go także, gdy go nie widzę, ale z chwilą, gdy go zobaczę, mam dla niego tylko... niechęć.

— Bo nie wiesz, jaki on już był w Reichenhallu nieszczęśliwy, a teraz jeszcze jest nieszczęśliwszy. On nie ma nikogo na świecie...

— Ma twoją przyjaźń i ma to, że kocha Litkę...

— Moja Maryniu, to jest co innego! Ja z całej duszy mu jestem wdzięczna za to przywiązanie do Litki,

ale to zupełnie co innego, i sama to rozumiesz, że on cię kocha inaczej i sto razy mocniej, niż Litkę...

W pokoju było już zupełnie ciemno, ale po chwili służący wniósł lampę i, postawiwszy ją na stole, wyszedł. Przy jej blasku pani Emilia spostrzegła nagle jakiś białawy kształt, skulony na kozetce przy drzwiach, prowadzących do dziecinnego pokoju.

— Kto tam jest? czy to Litka?

— Ja, mamusiu.

W głosie jej było coś niezwykłego. Pani Emilia wstała i podeszła śpiesznie ku niej.

— Kiedy tu weszłaś? Co tobie jest?

— Tak mi jakoś smutno i niedobrze.

Pani Emilia siadła na kozetce i, przygarnawszy do siebie dziewczynkę, spostrzegła w jej oczach łzy.

— Lituś, ty płaczesz? co tobie jest?

— Tak smutno, tak smutno!

I, przytuliwszy głowę do ramienia matki, poczęła płakać. Było jej istotnie smutno, dowiedziała się bowiem, że „pan Stach“ jeszcze jest nieszczęśliwszy, niż w Reichenhallu i że Marynię sto razy więcej kocha, niż ją.

Tegoż wieczora, idąc spać, wspięła się, już tylko w koszulce, do ucha matki i poczęła szeptać:

— Bo, mamusiu, ja mam jeden bardzo wielki grzech na sumieniu...

— Moje biedactwo, cóż ci tam dokucza?

A ona szepnęła jeszcze ciszej:

— Bo ja nie kocham panny Maryni...

XIII.

Pani Emilia z Litką i Marynią, a z niemi pan Pławicki, jechali na obiad do Bigielów, do letniego ich domu, położonego w lesie, o półtrzeciej godziny drogi od miasta. Dzień był wrześnieowy, pogodny, pełen błyszczących pajęczyn w powietrzu i na rzyskach. Na drzewach trzymała się jeszcze zieleń dość świeża, gdzieniegdzie jednak, wśród liściastych zagajeń, widać było jakby fontanny lub bukiety żółte i czerwone. Pannie Maryni owa blada i złotawa jesień przypominała zajęcia wiejskie, zapach zbóż w sąsiedkach, pola w brogach i przejrzyste przestrzenie łąk, zakończone aż hen gdzieś na widnokręgu wstążkami olszyn. Zrobiło jej się tęskno po tem życiu i po tym spokoju, wobec których miasto, mimo pracy, która kipi w jego codziennym bycie, ale której panna Marynia nie umiała odczuć, wydało jej się czczem i próżniaczem. Czuła teraz, że to życie, w którem odnajdywała swoją wartość i swoją zasługę, jest dla niej bezpowrotnie stracone — a natomiast nie zarysowało się przed nią nic, coby jej zdołało je zastąpić i wynagrodzić. Mogła wprawdzie poniekąd wrócić do niego, zostawszy panią Maszkową, ale na samą

tę myśl, serce zalało się jej goryczą i Maszko, wraz ze swą warszawską pewnością siebie, wraz ze swymi wy-piekami i faworytami, wraz ze swem małpowaniem angielskiego lorda, wydał się jej wprost wstrętny. Nigdy też nie czuła większej niechęci do Połanieckiego, który jej odjął Krzemień, a podsunął na to miejsce Maszkę. Tym brzydziła się w tej chwili, tamtego, zdawało jej się, że nienawidzi. Widziała przed sobą życie z ojcem, na warszawskim bruku, bez celu, bez pracy, bez ideału — z żalem za przeszłością i do przeszłości, a z pustką w przyszłości. Z tej przyczyny, ów pogodny, jesienny dzień, zamiast ją uspokoić, przejął jej duszę smutkiem i goryczą. Droga wogóle nie odbywała się wesoło. Litka siedziała nachmurzona, ponieważ „pana Stacha“ nie było w powozie. Pani Emilia zaś całą uwagę zwracała na nią w obawie, czy jej posępny humorek nie stoi w związku ze zdrowiem. Tylko pan Pławicki był w prawdziwie dobrym humorze, zwłaszcza w początku drogi. Naprzód, w swoim zapiętym surducie z czerwonym gwoździem w dziurce, w jasnym paletocie i z nastawionymi jak igły wąsikami, czuł się pięknym, a że reumatyzmy, które czasem odczuwał, nie dokuczały mu z powodu pogody, więc i rzeźkim; powtóre, naprzeciw niego siedziała jedna z najprzystojniejszych kobiet w Warszawie, o której przypuszczał, że nie pozostanie obojętna na tyle powabów, o tyle przynajmniej, że potrafi je zauważyć i ocenić. Niechby przynajmniej powiedziała sobie: „Ach, jaki to uroczy musiał być mężczyzna!“ — byłby się pan Pławicki w najgorszym razie zadowolił choćby takim, obo-wiązującym wstecz uznaniem. W tej nadziei był istotnie

czarujący, bo naprzemian to wzniosły i ojcowski, to figlarny; wychodząc zaś ze stanowiska, że dzisiejsza młodzież nie umie być grzeczna dla kobiet, w grzecznościach, jakie prawil pani Emilii, zawadzał aż o mitologię, co było nawet pod pewnym względem usprawiedliwione, patrzył bowiem na nią, jak satyr.

Lecz wszystko to było przyjmowane z bladym uśmiechem i ze zbyt małą uwagą, więc w końcu zraził się i począł mówić o czem innym, mianowicie, że dzięki stosunkom córki, pozna „burżuazyę,“ z czego zresztą jest poniekąd rad, bo dotychczas widywał tego rodzaju towarzystwo tylko na scenie, a przecie w życiu trzeba się stykać z najrozmaitszego rodzaju ludźmi, albowiem od wszystkich można się czegoś nauczyć. Dodał wreszcie, że jest obowiązkiem pewnych sfer nie odpychać od siebie ludzi, lecz przeciwnie, przygarniać ich, by tym sposobem wdrażać w nich zdrowe zasady, więc i on, który starał się zawsze spełniać obowiązki społeczne, nie cofnie się przed tą misją. Tu szlachetny wyraz jego twarzy przybrał pewien rodzaj melancholii i w ten sposób zajechali przed willę Bigielów.

Stała ona w szczerym lesie sosnowym, w sąsiedztwie innych, wśród starych sosen, które miejscami wycięto, miejscami pozostawiono w grupach po kilka lub kilkanaście. Zdawały się one nieco dziwić, co robi między niemi, wśród dawnej leśnej zaciszy, dom tak świeży, ale osłaniały go jednak gościnnie przed wiatrem, w dni zaś pogodne otaczały go balsamicznem powietrzem, przesiąkniętem wonią igliwa i żywicy.

Bigielowie, wraz z czeredą dzieci, wyszli na spot-

kanie gości. Pani Bigielowa, która Marynię bardzo lubiła, witała ją z wielką serdecznością, pragnąc prócz tego ująć ją tem dla Połanieckiego, rozumowała bowiem sobie w ten sposób, że im lepiej panna Marynia pozna, jak mogłoby być jej między nimi dobrze, tem mniej będzie robiła trudności. Pan Pławicki, który za poprzednią bytnością z Marynią w Warszawie, poznawszy Bigielów u pani Emilii, poprzestał był tylko na złożeniu im kart wizytowych, okazał się teraz tak łaskawym księciem, jakim tylko mógł okazać się człowiek najbardziej wykwin-tny, a przytem spełniający misję przygarniania „burżua-zy“. Panią Bigielową pocałował w rękę, Bigielowi zaś rzekł ze wspaniałomyślną dobrocią:

— W dzisiejszych czasach każdemu jest przyjemnie znaleźć się pod dachem człowieka, jak pan, a mnie tem bardziej, skoro mój kuzyn, Połaniecki, wszedł na drogę handlową i jest pańskim współnikiem.

— Połaniecki, to tęgi człowiek — odpowiedział z pro-
stotą Bigiel, ściskając urękawiczoną dłoń pana Pławi-
ckiego.

Panie weszły na chwilę do pokojów zdjąć kapelu-
sze, poczem, ponieważ ciepło było zupełnie, wróciły na
werandę.

— A pana Połanieckiego niema jeszcze? — spy-
tała pani Emilia.

— Pan Stanisław jest tu od rana — odpowiedziała
Bigielowa — ale teraz poszedł odwiedzić panią Krasław-
ską. To tuż obok — dodała, zwracając się do Maryni —
niema nawet pół wiorsty... Tu wszędzie pełno letnich
mieszkań, a te panie, to nasze najbliższe sąsiedztwo.

— Pamiętam pannę Terkę Krasławską z karnawału — odrzekła Marynia. — Była zawsze bardzo blada.

— O, ona dotychczas bardzo anemiczna. Przeszłą zimę spędzała w Pau.

Tymczasem małe Bigieleta, które kochały na zabój Litkę, wyciągnęły ją przed dom na zabawę. Dziewczynki pokazywały jej swoje ogródki, pozakładane na piasku między sosnami, na których po prawdzie nic nie chciało rosnąć. Oględziny te były przerywane co chwila ze strony dziewczynek wspinaniem się na palce i całowaniem policzków Litki, która, pochylając swą płową, śliczną główkę, oddawała je z wielką tkliwością.

Ale chłopcy chcieli mieć także swój udział. Naprzód spustoszyli do szczętu georginie rosnące pod domem, wybierając dla Litki najpiękniejsze okazy, poczem pokłócili się o to, w co się Litka lubi bawić i poszli na sprawę do pani Emilii. Edzio, który miał zwyczaj mówić bardzo głośno, a przytem zamykać oczy, począł krzyżeć:

— Proszę pani, ja mówię, że ona najlepiej lubi serso, tylko nie wiemy, czy pani pozwoli na serso.

— Byle nie biegała, bo to jej szkodzi.

— Nie, proszę pani. Będziemy tak rzucali, żeby wszystkie kółka prosto szły do niej, to wtedy nic nie będzie biegała. A jeśli Józio nie umie, to niech rzuca do kogo innego.

— Ja chcę do niej! — odpowiedział żałośnie Józio.

I na samą myśl, że go pragną pozbawić tej przyjemności, usta jego przybrały kształt podkówki i poczęły drgać, jednakże Litka zapobiegła wybuchowi żalu, mówiąc:

— I ja będę do ciebie rzucała, Józiu, będę bardzo często do ciebie rzucała.

A wilgotne już oczy Józia poczęły się zaraz uśmiechać.

— Nie zrobią jej oni krzywdy — mówił Bigiel do pani Emilii. — Dziwna rzecz: chłopczyska urwisy, co się zowie, a z nią ogromnie uważni! Ale to Połaniecki wychował ich w takim kulcie dla niej.

— Takie kochane dzieci, jak mało na świecie! — odrzekła pani Emilia.

Dzieci zaś zbiły się przez chwilę w kupkę, dla rozebrania między siebie kólek i pałeczek. W środku tej kupki stała najstarsza wiekiem i najwyższa Litka, a jakkolwiek Bigielęta należały do dzieci raczej przystojnych, ona ze swą słodką i poetyczną twarzą, o rysach prawie nadto delikatnych, wyglądała wśród tych czerstwych puciołowatych twarzą, jak istota z innej planety. Pierwsza pani Bigielowa zwróciła na to uwagę.

— Patrzcie — rzekła — czy to nie istna królewna? Szczerze mówię, że jej się napatrzeć nigdy nie mogę.

— Takie to jakieś szlachetne — dodał Bigiel.

A pani Emilia patrzyła na swoją jedynaczkę wzrokiem, w którym było morze miłości. Dzieci rozbiegły się teraz i ustawiły w wielkie koło, tworząc na szarem tle igliwa różnobarwne plamki, przyczem pod ogromnemi sosnami wydawały się tak małe, jak kolorowe grzybki.

Panna Marynia zeszła z werandy i stanęła przy Litce, żeby jej pomagać w łapaniu kólek, pod które trzeba było podbiegać i by w ten sposób ochraniać ją od zmęczenia.

W tej chwili na szerokiej drodze leśnej, prowadzącej do willi, ukazał się Połaniecki. Dzieci nie dostrzegły go od razu, lecz on ogarnął wzrokiem werandę, podwórze i ujrawszy jasną suknię Maryni pod sosną, przyspieszył kroku. Litka, która wiedziała, że mama niepokoi się każdym jej żywszym ruchem, a nie chcąc niepokoić mamy za nic w świecie, stała z kolankami przy sobie, prawie nie poruszając się z miejsca i chwytając na paleczkę tylko te kółka, które spadały wprost na nią, panna Marynia zaś biegła za wszystkimi dalszemi. Z powodu tej bieganiny włosy jej rozluźniały się co chwila, tak, że musiała je poprawić, i w chwili, gdy Połaniecki wchodził w bramę, stała pochylona nieco w tył, z podniesionemi ku głowie ramionami.

On nie spuszczał z niej oczu i ją jedną tylko widział: wydawała mu się na tym obszernym dziedzińcu młodsza i mniejsza niż zwykle, a przytem tak dziewczę, tak niesłychanie ponętna, tak stworzona do tego, by ją otoczyć ramionami i przycisnąć do piersi, jako kobietę i jako najdroższe w świecie stworzenie, że nigdy dotąd nie odczuł z równą siłą, jak dalece już ją kocha.

Dzieci na jego widok porzuciły kółka, paleczki i z krzykiem ruszyły na spotkanie. Zabawa przerwała się. Litka w pierwszej chwili skoczyła również ku niemu, ale nagle wstrzymała się i poczęła spoglądać swemi wielkimi oczyma, to na Połanieckiego, to na Marynię.

— A ty nie lecisz powitać pana Połanieckiego? — spytała panna Marynia.

— Nie...

— Czemu Lituś?

— Bo...

I policzki jej przeczerwieniały nieco, choć biedne dziecko nie umiało, czy nie śmiało wypowiedzieć swej myśli, którą mogłoby wyrazić w słowach:

— Bo on już nie mnie najwięcej kocha, tylko ciebie i na ciebie tylko patrzy.

On zaś zbliżał się, opędzając się od dzieci i powtarzając im:

— Nie czepiajcie się, smyki, bo poprzewracam!

I wyciągnął rękę ku Maryni, patrząc jej w oczy z prośbą o przyjazny uśmiech, o powitanie choćby odrobinę mniej obojętne niż zwykle — poczem dopiero zwrócił się do Litki:

— A kociątko najmilsze, zdrowe?

Ona zaś, zapomniawszy na jego widok i pod wpływem jego głosu o całym strapieniu swego małego serduszka, podała mu obie rączki, mówiąc:

— A tak! a zdrowe, a wczoraj pan Stach nie przyszedł do nas i było smutno, a teraz zaprowadzę pana Stacha do mamy na sprawę.

I po chwili wszyscy znaleźli się na werandzie.

— Jak się mają panie Krasławskie? — spytała pani Emilia.

— Zdrowe i wybierają się tu po obiedzie — odpowiedział Połaniecki.

Przed samym obiadem przyjechał profesor Waskowski i przywiózł z sobą Bukackiego, który w wigilię tego dnia przyjechał był do Warszawy. Jego zażyłe stosunki z Bigielami pozwalały mu przybyć do nich bez zaproszenia, a obecność u nich pani Emilii była dla nie-

go zbyt silną pokusą, aby się miał jej oprzeć. Zresztą witał się z nią bez śladu sentymentu, w sposób żartobliwy, jak zwykle, ona zaś rada go widziała, bo ją bawił oryginalnym i dziwacznym sposobem wyrażania myśli.

— Miał pan jechać do Monachium i do Włoch? — spytała go, gdy siedli do obiadu.

— Tak pani — odpowiedział — ale zapomniałem w Warszawie nożyka do rozcinania kartek w drodze i wróciłem po niego.

— O! to ważny powód.

— Zawsze mnie to niecierpliwiło, że ludzie wszystko robią z ważnych powodów. Co za przywilej mają ważne powody, by każdy musiał się do nich stosować? Zresztą, oddałem niechący ostatnią przysługę przyjacielowi, albowiem wczoraj byłem zaraz na pogrzebie Lisowicza.

— To ten, taki mały, chudy sportsman? — spytał Bigiel.

— Ten — odparł Bukacki — i wyobraźcie sobie, że dotychczas nie mogę wyjść ze zdumienia, jak człowiek, który całe życie blaznował, mógł się zdobyć na rzecz tak poważną, jak śmierć. Po prostu nie poznaję mego Lisowicza! Na każdym kroku ma człowiek zawody.

— Ale — rzekł Połaniecki — opowiadały mi panie Krasławskie, że Płoszowski, ten, w którym to wszystkie kobiety w Warszawie się kochały, zastrzelił się w Rzymie.

— To mój krewny — rzekł pan Pławicki.

Wiadomość poruszyła jednak głównie panią Emilię. Samego Płoszowskiego prawie nie знаła, lecz kilka razy

w życiu widziała jego ciotkę, u której starszy brat jej męża, po stracie osobistego znacznego majątku, był ple-nipotentem. Wiedziała też o ślepem przywiązaniu tej ciotki do siostrzeńca.

— Mój Boże, co za nieszczęście! — rzekła. — Czy to tylko prawda? Człowiek młody, taki zdolny, taki bogaty... Biedna panna Płoszowska.

— I jaki wielki majątek bez spadkobiercy — dodał Bigiel. — Ja te stosunki znam, bo to tak blisko Warszawy. Stara panna Płoszowska miała dwoje krewnych: panią Kromicką — choć ta była dalsza — i Leona Płoszowskiego, który był najbliższy. Dziś oboje nie żyją.

Te słowa poruszyły znów pana Pławickiego. Był on istotnie jakimś dalekim krewnym panny Płoszowskiej i nawet niegdyś widział ją dwa czy trzy razy w życiu, ale zostało mu po niej tylko wspomnienie strachu, za każdym bowiem razem wypowiadała mu gorzkie prawdy bez ogródek, a raczej, mówiąc po prostu, za każdym razem wylażała go, ile się zmieściło. Z tego powodu w dal-szym ciągu życia unikał jej najstaranniej i wszelkie stosunki były między nimi zerwane, choć przy sposobności lubił dla świata wtrącić słówko o swem pokrewieństwie z ro-dziną tak znaną i możną. Należał on do tej, licznej w na-szym kraju, kategorii ludzi, która jest przekonana, że Pan Bóg łatwą drogę dojścia do majątku za pomocą spadku umyślnie dla niej stworzył, i która każdą nadzie-ję tego rodzaju uważa za pewność. To też powiódł uro-czystym wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

— Może też Opatrzność postanowiła, żeby te ma-jątki przeszły na inne głowy, które potrafią lepiej ich użyć.

A Połaniecki rzekł:

— Ja Płoszowskiego spotkałem też raz zagranicą i uczynił na mnie wrażenie zupełnie niepospolitego człowieka. Przypominam go sobie doskonale.

— Taki był podobno świetny i sympatyczny — dodała pani Bigielowa.

— Niech Bóg okaże mu miłosierdzie — rzekł profesor Waskowski — znałem go i ja: to był prawdziwy Arya!

— Ozorya — rzekł pan Pławicki.

— Arya — powtórzył profesor.

— Ozorya... — poprawił z naciskiem i godnością pan Pławicki.

I dwaj starzy ludzie poczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem, nie wiedząc, czego wzajem od siebie chcą i ku wielkiej uciesze Bukackiego, który, nałożywszy monokl, rzekł:

— Jakże: arya czy ozorya?

Nieporozumieniu położył koniec Połaniecki, wyjaśniając, że Ozorya jest to nazwa herbu rodziny Płoszowskich, że więc można być razem Aryą i Ozoryą, na co zresztą pan Pławicki zgodził się niechętnie, czyniąc przytem nawiasową uwagę, że kto nosi porządne nazwisko, ten nie potrzebuje się go wstydzić, ani przekręcać.

Bukacki zaś, zwróciwszy się do pani Emilii, począł mówić swym zwykłym zimnym tonem:

— Jedno jedyne samobójstwo uważam za usprawiedliwione, a mianowicie samobójstwo z miłości, skutkiem czego namawiam się na nie od kilku lat — zawsze na próżno!

— Mówią, że samobójstwo, to tchórzostwo — wtrąciła Marynia.

— To też ja nie odbieram sobie życia ze zbytku odwagi.

Lecz Bigiel rzekł:

— Mówmy o życiu, nie o śmierci, i o tem, co w niem najlepsze, to jest o zdrowiu. Za zdrowie pani Emilii!

— I Litki! — dodał Połaniecki.

Poczem zwrócił się do panny Maryni:

— Za zdrowie naszych wspólnych przyjaciółek!

— Najchętniej — odrzekła panna Marynia.

On zaś zniżył nieco głos i mówił dalej:

— Bo widzi pani, ja uważam je nie tylko za swoje przyjaciółki, ale także... jakby tu powiedzieć?... za orędowniczki. Litka to jeszcze dziecko, ale pani Emilia wie przecie, komu ofiarować przyjaźń, więc gdyby ktoś miał do mnie jakieś uprzedzenia, choćby słuszne, gdybym z kimś postąpił nie tak, jak powinienem, ale wprost źle — i gdyby widział, że ja się tem męczę, to przecie powinien pomyśleć, że jednak nie jestem najgorszym z ludzi, skoro taka pani Emilia ma dla mnie szczerą życzliwość.

Panna Marynia zmieszana się, ale jednocześnie uczyliło się jej go żal, on zaś kończył jeszcze ciszej:

— A ja się naprawdę męczę. Mnie o to bardzo, bardzo chodzi!

Zanim odpowiedziała, pan Pławicki wznosił zdrowie pani Bigielowej i wypowiedział całą mowę, której treścią było, że królową stworzenia jest właściwie nie kto inny, tylko kobieta, zatem przed kobietą, jako królową,

powinny się wszelkie głowy pochylać i z tej przyczyny on pierwszy skłaniał swoją całe życie przed wszystkimi kobietami wogóle, a obecnie skłania ją przed panią Bigielową w szczególności.

Połaniecki życzył mu w duszy, żeby się udławił, czuł bowiem, że mógłby być uzyskać jakie dobre słowo od panny Maryni i czuł, że chwila minęła. Jakoż panna Marynia poszła uściskać panią Bigielową, a wróciwszy, nie podniosła więcej zaczętej rozmowy, on zaś nie śmiał spytać jej wprost o odpowiedź.

Zaraz po skończonym obiedzie nadjechały panie Krasławskie: matka, kobieta lat pięćdziesięciu, żywa, pewna siebie, wielomówna — i panna, w zupełnym przeciwstawieniu do matki, sztywna, sucha, zimna, wymawiająca: „tek“ zamiast „tak“, ale zresztą z twarzą przystojną, choć bladą, przypominającą nieco twarze holbeinowskich madon.

Połaniecki począł ją ze złości bawić, ale, spoglądając od czasu do czasu na świeżą twarz i niebieskie oczy Maryni, mówił sobie w duchu: „Żebyś też choć słowo dobre dała! ty... ty, bezlitosna!...“

I złościł się coraz bardziej, a gdy panna Krasławska wymówiła raz: „meme“ zamiast „mama“, spytał jej szorstko:

— Kto taki?

„Meme“ zaś wyładowywała cały zapas swych wiadomości, a raczej domysłów o samobójstwie Płoszowskiego.

— Wyobraźcie sobie państwo — mówiła z zapalem — mnie zaraz przyszło do głowy, że on się zastrzelił z powodu śmierci Kromickiej. Panie, świeć nad jej duszą, to była kokietka — i nie lubiłam jej nigdy. Kokie-

towała go tak, że bała się Terki prowadzić tam, gdzie oni razem byli, bo to dla takiej młodej dziewczyny po prostu zły przykład. Co prawda, to prawda!... Panie, świeć nad jej duszą... Terka także nie miała dla niej sympatii.

— Ach, pani — rzekła pani Emilia — ja zawsze słyszałam, że to był anioł.

A Bukacki, który nigdy w życiu nie widział pani Kromickiej, zwrócił się do pani Krasławskiej i rzekł z flegmą:

— Madame, je vous donne ma parole d'honneur, że to był archanioł.

Pani Krasławska umilkła na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, następnie, zaperzywszy się, byłaby odpowiedziała coś ostrego, gdyby nie to, że Bukacki, jako człowiek zamożny, mógł w danym razie być dobrą partją dla panny Terki. Równymi względami cieszył się w jej oczach i Połaniecki — i dla nich to wyłącznie utrzymywała w lato stosunki z Bigielami, których zresztą, gdy jej tak wypadło, nie poznawała na ulicy.

— U panów — rzekła — każda przystojna kobieta to zaraz anioł, albo archanioł. Ja nawet i wówczas tego nie lubię, kiedy mi o Terce to mówią. A pani Kromicka mogła być dobrą osobą, ale nie miała taktu — i cała rzecz!

W ten sposób rozmowa o Płoszowskim upadła, tem bardziej, że uwaga pani Krasławskiej zwróciła się wyłącznie na Połanieckiego, który bawił pannę Terkę. On bawił ją trochę na złość sobie, trochę na złość pannie Maryni i starał się sam w siebie wmówić, że mu jest przy niej dobrze; starał się nawet znaleźć w niej wdzięk

i odkrył, że ma za cienką szyję i oczki, jakby zgasłe, które ozywiają się i zwracają pytająco do niego wówczas, gdy na pytanie niema miejsca. Zauważył także, że mogła być cichą despotką, gdy bowiem matka poczyniała mówić zbyt głośno, panna Terka przykładła lornetkę do oczu i spoglądała na nią uważnie, matka zaś pod wpływem tego wzroku zniżała głos lub milkła zupełnie. Wogóle panna Terka nudziła go niepomrotnie, i jeśli zajmował się nią pilniej, niż kiedykolwiek, to czynił to tylko jako desperat, dla obudzenia choćby cienia zazdrości w pannie Maryni. Nawet zupełnie rozumni ludzie chwytają się takich marnych środków, gdy ich uczuciowa bieda zbyt przycisnie. Wywołują one zresztą zwykle wprost odwrotny skutek, bo z jednej strony utrudniają później zbliżenie i rozwikłanie nieporozumień, z drugiej potęgują tylko uczucie w sercu tego, kto ich używa. Połaniecki w końcu tak był stęskniony za Marynią, że zgodziłby się nawet na usłyszenie niechętnego słowa z jej ust, byle się do niej zbliżyć i przemówić, a tymczasem wydało mu się to trudniejsze teraz, niż przed godziną.

Odetchnął też głęboko, gdy wieczór się skończył i gdy goście poczęli się zabierać do odjazdu. Przedtem jednak Litka zbliżyła się do matki i, objąwszy rękami jej szyję, poczęła coś do niej szeptać. Pani Emilia skinęła głową, poczem, zbliżywszy się ku niemu, rzekła:

— Panie Stanisławie, jeśli pan nie ma zamiaru nocować, to niech pan jedzie z nami. My z Marynią weźmiem Litkę między siebie i miejsca będzie dosyć.

— Dobrze; nie mogę nocować i bardzo jestem wdzięczny — odpowiedział Połaniecki.

I domyśliwszy się łatwo, kto był autorem projektu, zwrócił się do Litki i rzekł:

— Ty kociątko moje najlepsze, ty!...

Ona zaś, trzymając się przy sukni matki, podniosła ku niemu swe oczy, nawpół smutne, nawpół uradowane, pytając cicho:

— Dobrze, panie Stachu?

W kilka chwil później ruszono. Po dniu pogodnym nastąpiła jeszcze pogodniejsza noc, trochę chłodna, ale cała rozjaśniona i srebrna od księżyca. Połaniecki, któremu dzień zeszedł marnie i ciężko, odetchnął teraz pełną pierśią i czuł się prawie szczęśliwy, mając przed sobą dwie istoty, które kochał bardzo głęboko, a jedną, którą kochał nad wszystko w świecie. Przy blasku księżyca widział teraz jej twarz, i wydała mu się ona spokojna i łagodna. Pomyślał, że i uczucia Maryni muszą być w tej chwili takie same i że może niechęć jej dla niego taje wśród tego ogólnego spokoju.

Litka zasunęła się w głąb siedzenia i zdawała się spać. Połaniecki przyrzucił szalem wziętym od pani Emilii jej nóżki i jechali czas jakiś w milczeniu.

Poczem pani Emilia poczęła mówić o Płoszowskim, wiadomość bowiem o jego śmierci uczyniła na niej silne wrażenie.

— Tkwi naprawdę w tem wszystkim jakiś bardzo smutny dramat — rzekł Połaniecki — i pani Krasławska może mieć trochę słuszności, utrzymując, że te dwie śmierci stoją z sobą w związku.

Na to panna Marynia rzekła:

— Jest w samobójstwie to okropnego, że powinno

się je potępić, a potępiając, ma się także wrażenie, jakby się nie miało żadnego współczucia dla nieszczęścia.

Połaniecki zaś odpowiedział:

— Współczucie trzeba mieć dla tych, którzy jeszcze czują, a więc dla żywych.

Rozmowa urwała się i czas jakiś jechali znów w milczeniu. Po chwili Połaniecki ukazał na oświecone okna domu, stojącego w głębi leśnego parku, i rzekł:

— To willa pani Krasławskiej.

— Nie mogę jej darować tego — rzekła pani Emilia — co mówiła o tej nieszczęśliwej pani Kromickiej.

— To jest kobieta wprost drapieżna — odpowiedział Połaniecki — a wiecie panie dlaczego? Oto z powodu córki. Cały świat uważa za tło, któreby chciała uczynić jak najczarniejszem, żeby pana Terka odbiła się na niem tem jaśniej. Być może, że matka kroila niegdyś na Płoszowskiego — być może, że panią Kromicką uważała za przeszkodę i stąd jej nienawiść do niej.

— To ładna panienska — rzekła Marynia

— Są istoty, dla których poza światem form towarzyskich zaczyna się inny, daleko obszerniejszy — dla niej nie zaczyna się nic — a raczej kończy wszystko. To jest zupełny automat, w którym serce uderzy wówczas dopiero, kiedy matka je kluczem nakręci. Zresztą, dużo jest podobnych panien na świecie, a i te nawet, które wydają się inne, często są takie właśnie... Wieczna historia Galatei... Czy panie uwierzą, że w tej lalce, w tej zgazzonej świeczce, zakochał się przed paru laty, bez pamięci, jeden młody lekarz, mój znajomy. Dwakroć się oświadczał i dwakroć został odrzucony, bo te panie pa-

trzyły wyżej. Zaciągnął się następnie do służby holenderskiej — i zapewne umarł tam gdzieś na febrę, bo z początku pisywał do mnie, dopytując się o swój automat, a później listy ustały.

— Czy ona wie o tem?

— Wie, bo ilekroć ją zobaczę, tylekroć o nim mówię. I co jest charakterystyczne, to to, że jego wspomnienie nie mąci ani na sekundę jej pogody. Mówi o nim, jak o każdym innym. Jeśli spodziewał się od niej choć pośmiertnego żalu, to i w tem się zawiódł... Muszę paniom pokazać kiedyś jeden jego list. Ja mu próbowałem wytłómaczyć to uczucie, on zaś odpisał mi: „Ja ją sądzę trzeźwo, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć...“ Był to zresztą sceptyk, człowiek pozytywny — dziecko ostatnich czasów... Ale pokazuje się, że uczucie drwi sobie ze wszystkich filozofii, ze wszystkich prądów... Wszystko mija, a ono było, jest i będzie... Przytem tamten mówił mi kiedyś tak: „Wolałbym być nieszczęśliwy z nią, niż szczęśliwy z inną...“ I co tu gadać. Człowiek patrzy trzeźwo, ale nie może duszy odedrzeć — i skończyło się.

Rozmowa skończyła się również. Wjechali teraz na drogę, wysadzoną kasztanami, których pnie migotały różowo w świetle powozowych latarni.

— A jak komu bieda, to musi cierpieć! — dorzucił naostatek Połaniecki, idąc widocznie za biegiem własnych myśli.

Tymczasem pani Emilia pochyliła się nad Litką:

— Śpisz dziecinko? — spytała.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała Litka.

XIV.

— O majątek nie ubiegałem się nigdy — mówił pan Pławicki — ale jeśli Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach tak pokierowała, żeby choć część tej wielkiej fortuny przeszła w nasze ręce, to nie chcę jej dróg krzyżować... Mnie z tego wiele już nie przyjdzie, mnie potrzebne wkrótce będą cztery deski i cicha Iza dziecka, dla którego żyłem, ale tu idzie o Marynię.

— Zwracam pańską uwagę — rzekł zimno Maszko — że, po pierwsze, to są widoki bardzo niepewne...

— Ale czy godzi się nie brać ich pod uwagę?...

— Po wtóre, że pani Płoszowska żyje jeszcze...

— Ale z babinki trociny już się sypią... stara jak grzyb!

— Po trzecie, że może zapisać majątek na cele publiczne...

— Ale czyby nie można przeciw temu wystąpić?

— Po czwarte, że wasze pokrewieństwo jest niezmiernie dalekie. W ten sposób wszyscy w Polsce są sobie krewni.

— Jednakże bliższych krewnych niema.

— Połaniecki to przecie także wasz krewny?

— Żaden! dalibóg, żaden! On jest krewny pierwszej mojej żony, nie mój!

— A Bukacki?

— Dajże pan spokój. Bukacki jest kuzynem żony mojego szwagra.

— Innych krewnych pan nie ma?

— Przyznawali się do nas Gątowscy z Jałbrzykowa. Jak to pan wie... Ludzie to mówią; co im pochlebia... Z Gątowskim zresztą nie potrzebuję się liczyć.

Maszko umyślnie przedstawiał trudności, by potem ukazać brzeżek nadziei, więc rzekł:

— U nas ludzie są chciwi na spadki — i niech się spadek jaki otworzy — zlatują się ze wszystkich stron, jak wróble na pszenicę... Wszystko w takich razach polega na tem, kto się prędzej zgłosi... Pamiętaj pan, że człowiek sprężysty i znający się na rzeczy może z niczego coś zrobić, gdy przeciwnie, człowiek bez energii i znajomości interesów, mając nawet pewne podstawy działania, może nic nie wskórać...

— To wiem z doświadczenia. Całe życie miałem póty interesów.

Tu pan Pławicki przeciągnął ręką po gardle, Maszko zaś dodał:

— Prócz tego możesz się pan stać igraszką adwokatów i być wyzyskiwanym bez granic...

— Liczyłbym w takim razie na osobistą pańską z nami przyjaźń...

— I nie zawiódłbyś się pan — odrzekł z powagą

Maszko. — I dla pana i dla panny Maryni mam tak głęboką przyjaźń, jak gdybyście należeli do mojej rodziny.

— W imieniu sieroty, dziękuję — odpowiedział pan Pławicki.

I wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej.

Maszko zaś spoważniał i rzekł:

— Ale jeśli chcecie, bym bronił waszych praw i w tym wypadku, który, jak powiedziałem, może się okazać złudzeniem — i w innych — to mi te prawa dajcie...

Tu młody adwokat chwycił rękę pana Pławickiego.

— Szanowny panie — rzekł — pan domyślasz się, o czem chcę mówić, więc zechciej wysłuchać mnie cierpliwie do końca.

Poczem zniżył głos i, choć nikogo nie było w pokoju, jał mówić prawie cicho. Mówił z siłą, powagą a zarazem z wielkiem umiarkowaniem, jak przystało na człowieka, który nigdy nie zapomina, kim jest i co przynosi. Pan Pławicki przymykał chwilami oczy, chwilami ścisnął rękę Maszki, wreszcie po ukończonej konferencji rzekł:

— Przejdź pan do salonu, ja tam przyślę Marynię. Nie wiem, co ona panu odpowie, w każdym razie niech się stanie to, czego Bóg chce... Ja umiałem pana zawsze cenić, teraz cenię jeszcze więcej — i ot!

Ramiona pana Pławickiego otworzyły się szeroko — i Maszko pochylił się ku nim, powtarzając nie bez wzruszenia, choć zawsze z wysoką godnością:

— Dziękuję, dziękuję!

I po chwili znalazł się w salonie.

Panna Marynia wyszła z twarzą mocno pobladłą,

ale spokojną. Maszko podsunął jej krzesło, sam siadł na drugim i począł mówić:

— Jestem tu z upoważnienia ojca pani. Słowa moje nie powiedzą pani już nic takiego, czegoby przedtem nie wypowiedziało milczenie, które pani odgadywała. Ale ponieważ przyszła chwila, w której powinienem nazwać po imieniu moje uczucia, czynię więc to z całą ufnością w serce i charakter pani. Jestem człowiekiem, który panią kocha, na którym się oprzeć można, więc składam w ręce pani moje życie — i proszę z głębi serca, by pani zgodziła się iść razem ze mną.

Panna Marynia milczała przez chwilę, jakby szukając słów, poczem rzekła:

— Winnam panu jasno i szczerze odpowiedzieć; wyznanie to jest dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie, ale nie chcę, by się taki człowiek, jak pan, ludził; nie kochałam pana, nie kocham i żonę pańską nie zostanę nigdy, choćby mi przyszło nigdy niczyją nie zostać.

Tu zapanowało milczenie jeszcze dłuższe. Wypieki na twarzy Maszki zapłonęły silniej, a oczy jego poczęły rzuć zimne stalowe blaski.

— Odpowiedź jest równie stanowcza — rzekł — jak dla mnie bolesna i nieoczekiwana. Czy jednak pani nie zechce, zamiast odtrącać mnie w tej chwili stanowczo, dać sobie kilka dni czasu do namysłu?

— Sam pan powiedział, że odgadywała uczucia pana, więc miałam czas zastanowić się nad sobą i odpowiedź, jaką panu daję, daję po zupełnym namyśle.

Głos Maszki stał się teraz suchy i ostry:

— Czy pani sądzi przytem, że na mocy zachowa-

nia się pani ze mną, nie miałem prawa zanieść takiej prośby, jaką zaniósłem?

I pewien był w tej chwili, że panna Marynia odpowie mu, iż to zachowanie się źle zrozumiał, że nie było w niem nic, coby mogło go upoważniać do jakiegokolwiek nadziei, słowem, że pójdzie drogą wykrętów, jak zwykle czynią kokietki, które kokieteryę zmuszone są okupywać kłamstwem — lecz ona podniosła na niego oczy i rzekła:

— Postępowanie moje z panem nie było chwilami takie, jak być powinno; przyznaję się do winy i z całej duszy za nią przepraszam.

Maszko zamilkł. Kobieta, która się wykręca, budzi pogardę, kobieta, która przyznaje się do winy, wytrąca broń z ręki każdego przeciwnika, w którego naturze, lub choćby tylko w wychowaniu, leży iskra uczuć rycerskich. Prócz tego, jedynym, ostatnim sposobem poruszenia serca kobiety jest w takim razie: nie uznać wspaniałomyślnie jej występku. Maszko, jakkolwiek widział przed sobą przepaść, zrozumiał to — i postanowił postawić wszystko na ostatnią kartę.

Każdy nerw dygotał w nim z gniewu i obrażonej miłości własnej, jednakże opanował się, wziął kapelusz i, zbliżywszy się do panny Maryni, podniósł do ust jej rękę.

— Wiedziałem, że pani kocha Krzemień — rzekł — i kupiłem go po to jedynie, by go złożyć u nóg pani. Widzę, żeś szedł błędną drogą i cofam się, chociaż czynię to z żalem bez granic. To ja panią przepraszam. Winy ze strony pani nie było i niema żadnej. Spokój pani droższy mi jest od własnego szczęścia, dlatego pro-

szę, jak o jedyną łaskę: niech pani nie czyni sobie wyrzutów. A teraz żegnam panią.

I wyszedł.

Ona zaś siedziała długi czas nieruchoma, z bladą twarzą i uczuciem znękania w duszy. Nie spodziewała się znaleźć w nim tyle szlachetnych uczuć. Obok tego przysła jej do głowy następna myśl: „Tamten odebrał mi Krzemień, by uratować swoje — ten go kupił, by mi go zwrócić!“ I nigdy dotąd Połaniecki nie był tak dalece zgubiony w jej myślach. W tej chwili nie pamiętała, że Maszko kupił Krzemień nie od Połanieckiego przecie, tylko od jej ojca, po wtóre, że kupił go korzystnie, po trzecie, że wprawdzie chciał go zwrócić, ale zarazem i zabrać go na nowo wraz z jej ręką, uwolniwszy się w dodatku od wypłat, które na nim ciążyły, a nakoniec, że, właściwie biorąc, Krzemienia nie wydierał jej ani Połaniecki, ani nikt inny, tylko pan Pławicki sprzedał go dobrowolnie, ponieważ znalazł kupca. Ale ona patrzyła w tej chwili po kobiecemu na tę sprawę i przeciwstawiała Połanieckiemu Maszkę, wywyższając nad miarę ostatniego, potępiając nad winę pierwszego. Postępowanie Maszki wzruszyło ją tak dalece, że gdyby nie czuła ku niemu wprost odrazy, byłaby go odwołała. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że powinna to uczynić — ale zbrakło jej sił.

Nie wiedziała też, że Maszko schodził ze schodów z wściekłością i rozpaczą w duszy. Rzeczywiście, otworzyła się przed nim przepaść.

Wszystkie rachuby go zawiodły; kobieta, którą istotnie pokochał, nie chciała go i odrzuciła — i jakkolwiek

starala się go w słowach oszczędzać, czuł się upokorzony, jak nigdy w życiu. Cokolwiek dotychczas w życiu przedsiębrał, zawsze przeprowadzał to w poczuciu własnej siły i własnego rozumu, z niezachwianą pewnością, że mu się uda. Odmowa Maryni odebrała mu i tę pewność. Pierwszy raz zwątpił o sobie, pierwszy raz miał poczucie, że jego gwiazda zaczyna błędnąć i że może rozpocząć się dla niego okres klęsk na wszystkich polach, na których dotychczas działał. Okres ten już się nawet rozpoczął. Maszko kupił Krzemień w warunkach wyjątkowo korzystnych, był to jednak majątek zbyt wielki w stosunku do jego środków. Gdyby Marynia nie odrzuciła go, byłby sobie dał rady, w takim bowiem razie nie potrzebowałby myśleć ani o dożywotniej rencie dla pana Pławickiego, ani o spłaceniu tej sumy, która, według układu, przypadła Maryni za Magierówkę. Obecnie miał do spłacenia Marynię, Połanieckiego i długi na Krzemieniu, które trzeba było spłacić co prędzej, albowiem, z powodu lichwiarskich procentów, rosły one z dnia na dzień i groziły zupełną ruiną. Na to wszystko był tylko kredyt — dotąd wprawdzie nie zachwiany, ale wyciągnięty, jak struna; Maszko zaś czuł, że gdyby ta struna kiedykolwiek pękła, byłby zgubiony bezpowrotnie.

Dlatego chwilami, obok żalu za Marynią, obok bólu, jakiego doznaje człowiek po stracie szczęścia, porywał go gniew bez granic, niemal szalony — i również niepohamowana chęć zemsty. Był to człowiek z duszą energiczną, w którego naturze leżała chęć zapłacenia złem za krzywdę. Dlatego, wchodząc do siebie, mruczał przez zacisnięte zęby:

— Jeśli nie zostaniesz moją żoną, nie daruję ci tego, coś mi uczyniła; jeśli zostaniesz — nie przebaczę ci również.

Tymczasem pan Pławicki wszedł do pokoju, w którym siedziała Marynia, i rzekł:

— Odmówiłaś mu, bo inaczej byłby wstąpił do mnie, wychodząc.

— Tak, papo.

— Nie dałaś mu żadnej nadziei na przyszłość?

— Nie, papo... Szanuję go, jak nikogo w świecie, ale nie dałam mu nadziei.

— Co ci odpowiedział?

— Wszystko, co mógł odpowiedzieć taki szlachetny człowiek.

— Nowe nieszczęście — rzekł — i kto wie, czy nie pozbawiłaś mnie kawałka chleba na starość... Ale wiedziałem, że z tem nie będziesz się liczyła.

— Nie mogłam, nie mogłam inaczej postąpić.

— Nie chcę też cię zmuszać, a swoje zmartwienie idę ofiarować tam, gdzie każda łza starego będzie policzoną.

I poszedł do Loursa patrzeć na grających w bilard. Byłby się zgodził na Maszkę, ale w gruncie rzeczy nie uważał go za partyę zbyt świetną i, sądząc, że Maryni może się trafić lepsza, nie martwił się zbytecznie tem, co się stało.

Marynia zaś w pół godziny później wpadła do pani Emilii.

— Jeden przynajmniej ciężar spadł mi z serca — rzekła na wstępie — odmówiłam dziś stanowczo panu Maszce.

Pani Emilia uściskała ją w milczeniu.

Marynia zaś mówiła dalej:

— Żal mi go... Postąpił ze mną tak szlachetnie i delikatnie, jak tylko taki człowiek mógł postąpić, i gdybym miała dla niego choć małą iskierkę uczucia, wróciłabym do niego dziś jeszcze.

Tu powtórzyła pani Emilii całą rozmowę z Maszką. Istotnie, nie można mu było nic zarzucić i pani Emilia nie mogła oprzeć się pewnemu zdziwieniu, posądzała bowiem Maszkę o charakter gwałtowny i nie spodziewała się, żeby w tak ciężkiej dla siebie chwili potrafił się zdobyć na tyle umiarkowania i szlachetności. A panna Marynia rzekła:

— Moja Emilko, znam twoją przyjaźń dla pana Połanieckiego, ale sądz tych dwóch ludzi z ich uczynków, nie ze słów, i porównaj ich z sobą.

— Nigdy nie będę ich porównywała — odrzekła pani Emilia. — Tu nie można robić porównań. Pan Stanisław jest dla mnie naturą stokroć wyższą od Maszki, ty zaś sądzisz go niesłusznie. Ty, Maryniu, nie masz prawa mówić: „Jeden odebrał mi Krzemień, drugi chciał mi go zwrócić“. Tak nie było. Pan Połaniecki nie odbierał ci go nigdy, a dziś, gdyby mógł, zwróciłby ci go z całego serca. To uprzedzenie mówi przez ciebie.

— Nie uprzedzenie, ale rzeczywistość, której nie zmienić nie może.

A pani Emilia posadziła ją przed sobą i rzekła:

— Owszem, Maryniu: uprzedzenie, i powiem ci, dlaczego. Oto ty nie jesteś dotychczas dla niego obojętna.

Panna Marynia drgnęła, jakby ktoś dotknął bolącej ją rany, i po chwili odpowiedziała zmienionym głosem:

— Pan Połaniecki nie jest mi obojętny... Masz słuszność... Wszystko, co mogło być we mnie sympatyą dla niego, zmieniło się w niechęć — i słuchaj, Emilko, co ci teraz powiem: gdybym miała wybór między tymi ludźmi, wybrałabym bez żadnego wahania Maszkę.

Pani Emilia spuściła głowę — po chwili ramiona panny Maryni oploty jej szyję.

— Jakie to dla mnie zmartwienie, że ja tobie sprawiam taką przykrość, ale ja muszę mówić prawdę. Wiem, że w końcu i ty przestaniesz mnie kochać i zostanę zupełnie sama na świecie.

I rzeczywiście poczęło się stawać coś podobnego. Obie młode kobiety rozstały się w uściskach i pocałunkach, a jednak, gdy się znalazły zdala od siebie, uczyły obie jednocześnie, że coś naderwało się między nimi i że wzajemny ich stosunek nie będzie tak serdeczny, jak był dotąd.

Pani Emilia wahała się przez kilka dni, czy powtórzyć Połanieckiemu słowa Maryni, lecz on prosił ją tak usilnie o całą prawdę, iż w końcu pomyślała, że i trzeba i lepiej będzie ją wypowiedzieć. On zaś, wysłuchawszy wszystkiego, rzekł:

— Dziękuję pani. Jeśli panna Pławicka mną pogardza, muszę się na to zgodzić, nie mogę się tylko na to zgodzić, bym sam sobą zaczął pogardzać. Zaszedłem i tak zadaleko. Pani droga wie, że jeśli względem niej zawinił, tom się starał to naprawić, a ją prześlagać. Do dalszych obowiązków się nie poczuwam. Będę miał cięż-

kie chwile, tego pani nie ukrywam, ale niedolegą nie byłem, nie jestem, i potrafię zdobyć się na to, by wszystko, co dla panny Pławickiej czuję, wyrzucić przez okno, jako rzecz w moim pokoju niepotrzebną. To pani święcie przyrzekam!

— Wierzę panu, ale się przytem bardzo cierpi.

On zaś odrzekł prawie wesoło:

— Cóż tam! jak mi zbyt sparzenie dokuczy, poproszę pani o opatrunek, a wiem, że gdy mi go takie pocziwe ręce zrobią, to będzie skuteczny. Lituś pani pomoże i ani syknę.

Poczem wrócił do siebie, pełen wewnątrz poczucia woli i energii. Zdawało mu się, że potrafi wziąć to uczucie i złamać je, jak się łamie łaskę o kolano. Tym zapędem żył kilka dni następnych. Nie pokazywał się przez ten czas nigdzie, prócz w biurze, gdzie rozmawiał z Bi-gielem wyłącznie o interesach. Pracował od rana do wieczora i nie pozwalał sobie we dnie nawet myśleć o Maryni.

Ale nie mógł się od tego obronić podczas bezsen-nych nocy. Wówczas przychodziło na niego wyraźne poczucie, że Marynia mogła go kochać, mogła wyjść za niego, że byłaby mu najlepszą żoną, że mógł być z nią szczęśliwy, jak nigdy z nikim nie będzie, i że kochałby ją, jak swoje najwyższe dobro.

Żal, który narodził się z tych rozmyślań, wniknął w jego całe istnienie i nie opuszczał go więcej, że zaś żal pożera duszę i zdrowie, jak rdza żelazo, więc Poła-niecki począł marnieć. Spostrzegł, że łamanie uczucia daje jeden niewątpliwy skutek: złamanie szczęścia. Nigdy nie widział przed sobą takiej pustki i nigdy nie odczuwał

z równą siłą, że nic mu jej zapelnąć nie zdoła. Spostrzegł także, że można kobietę kochać nie taką, jak jest, ale taką, jakby być mogła. I wreszcie tęsknił bez miary.

Ale, mając nad sobą dużo władzy, unikał Maryni. Wiedział zawsze, kiedy ma być u pani Emilii i wówczas zamykał się w domu.

Dopiero gdy Litka zachorowała, począł chodzić do pani Emilii codziennie, przesiadywać u niej po całych dniach i spędzać godziny razem z Marynią przy chorem dziecku.

XV.

A biedna Litka po nowym, groźniejszym niż poprzednio, ataku, nie mogła już przyjść do zdrowia. Dnie spędzała teraz, leżąc na szezlongu w saloniku, albowiem na jej prośbę lekarze i pani Emilia zgodzili się nie trzymać jej cały czas w łóżku. Lubiła też, gdy Połaniecki siedział przy niej i rozmawiała z nim i z matką o wszystkim, co jej przechodziło przez główkę. Z Marynią bywała zwykle milcząca, natomiast czasem wpatrywała się w nią długo, a potem podnosiła oczy do sufitu, jakby namyślając się nad czemś, jakby chcąc coś zrozumieć i zdać sobie z czegoś sprawę. Nieraz te zamyślenia się jej zdarzały się i wówczas, gdy zostawała z matką sama na sam, pewnego zaś popołudnia zbudziła się jakby ze snu i, zwróciwszy się do matki, rzekła:

— Mamusiu, niech mamusia siądzie przy mnie, tu, na sofie.

Pani Emilia siadła; dziecko otoczyło ręką jej szyję i, wsparłszy głowę na jej ramieniu, poczęło mówić pięszczotliwym, osłabionym nieco głosem:

— Bo ja się chciałam mamusi spytać o jedną rzecz, tylko nie wiem, jak to powiedzieć.

— O co ci idzie, dziecinko?

Litka milczała przez chwilę, zbierając myśli, poczem spytała:

— Jeżeli się, mamusiu, kogo kocha, to co?

— Jeśli się kogoś kocha, Lituś?

Pani Emilia powtórzyła pytanie, nie rozumiejąc zrazu dobrze, o co dziewczynka pyta, ona jednak nie umiała pytać dokładniej.

— To co, mamusiu?...

— To chciałoby się, żeby ten ktoś był zdrow, tak, jak ja chcę, żebyś ty była zdrowa.

— I co jeszcze?

— I chciałoby się, żeby był szczęśliwy, żeby mu na świecie było dobrze, a jeśli trafi mu się co złego, to chciałoby się samemu za niego cierpieć.

— I co jeszcze?

— I chciałoby się mieć go zawsze przy sobie, tak, jak ty jesteś przy mnie — i chciałoby się, żeby on tak kochał, jak ty mnie kochasz.

— To ja teraz rozumiem — rzekła po chwili zamyslenia się Litka. — I ja sama myślałam, że to tak.

— Tak, kotku.

— Bo, widzi mamusia, ja jeszcze w Reichenhallu, pamięta mama? w Thumsee, słyszałam, że pan Stach kocha pannę Marynię, i teraz wiem, że on musi być nieszczęśliwy, chociaż nigdy o tem nie mówi.

Pani Emilia, bojąc się wzruszeń dla Litki, rzekła:

— Czy ciebie, kotku, nie męczy ta rozmowa?

— O, nie a nic! Już teraz rozumiem. Onby chciał, żeby ona jego kochała, a ona nie kocha, i chciałby być

zawsze przy niej, a ona mieszka z ojcem i nie chce się z nim ożenić.

— Wyjść za niego...

— Wyjść za niego. On się tem martwi, mamusiu? prawda?

— Pewnie, moje dziecko.

— Bo ją to wszystko wiem. A żeby ona wyszła za niego, czyby go kochała?

— Pewnie, kotku, on taki dobry człowiek.

— To ja już teraz wiem.

Dziewczynka przymknęła oczy, i pani Emilia sądziła przez chwilę, że usypia, ale ona po jakimś czasie znów poczęła pytać:

— A jakby on się ożenił z Marynią, czyby nas przestał kochać?

— Nie, Lituś. Onby nas zawsze tak samo kochał.

— Ale Marynię lepiej?

— Marynia byłaby mu wtedy bliższą, niż my. Czemu się ty, kotku, o to dopytujesz?

— To źle?

— Nie; niema w tem nic złego, nic a nic! Tylko boję się, że się zmęczysz.

— O nie! ja i tak ciągle o panu Stachu myślę. Ale niech mamusia nic o tem Maryni nie mówi.

Na tem skończyła się rozmowa, po której Litka przez kilka następnych dni była milcząca, tylko jeszcze uporczywiej, niż przedtem, wpatrywała się w Marynię. Czasem brała ją za rękę i zwracała ku niej oczy, jakby chciała ją o coś zapytać. Czasem, gdy oboje z Połanieckim byli przy niej, przenosiła ustawicznie wzrok to na

nią, to na niego, a potem przymykała powieki. Oni zaś przychodzili często, codziennie, czasem i kilka razy na dzień, chcąc ulżyć pani Emilii, która, nie pozwalając się nocami nikomu przy Litce zastąpić, spędzała je od tygodnia bezsennie, śpiąc nieco tylko w dzień, gdy sama Litka ją o to uprosiła. Pani Emilia nie zdawała sobie jednak sprawy z całego niebezpieczeństwa, jakie malej groziło, lekarz bowiem, sam nie wiedząc, jak się obróci ten okres choroby, czy będzie tylko krokiem naprzód, czy końcem, uspokajał matkę tem bardziej stanowczo, że Połaniecki jak najusilniej go o to prosił.

Miała jednak przecucie, że stan dziecka nie jest pomyślny i, mimo uspokojień lekarza, serce zamierało w niej nieraz z trwogi. Litce ukazywała wprawdzie twarz zawsze uśmiechniętą i wesołą, również jak Połaniecki i panna Marynia, ale dziewczynka nauczyła się obecnie tak uważać na wszystko, że najstaranniej ukrywany niepokój nie uszedł jej baczenia.

Więc też pewnego rana, gdy Połaniecki, zostawszy sam z nią, zajęty był nadymaniem dla niej wielkiego globusa z tafty jedwabnej, który przyniósł jej w darze, dziewczynka rzekła:

— Panie Stachu, ja czasem widzę, że mamusia okropnie się martwi, że ja chora.

Połaniecki przestał nadymać balon i odpowiedział:

— Ani jej się śni. Co tam się roi pod tą czupryną! Zresztą, naturalnie, że się martwi, bo wolałaby, żebyś była zdrowa...

— Dlaczego to wszystkie inne dzieci są zdrowe, tylko ja jedna ciągle choruję?

— Ładnie zdrowe! A Bigieleća nie chorowały, jedno w drugie, na koklusz? Przez kilka miesięcy cały dom był, jak owczarnia. A Józio nie miał odry? Wszystkie dzieciśka wiecznie chorują i tyle z nich pociechy.

— To pan Stach tylko tak mówi, bo one chorują, a potem są zdrowe...

Tu poczęła trząść główką.

— Nie; to co innego. I teraz ciągle muszę leżeć, bo mi zaraz serce bije. I jak onegdaj zaczęli śpiewać na ulicy, a mamusi nie było w pokoju, to poszłam trochę do okna i zobaczyłam pogrzeb — i pomyślałam, że ja także pewno umrę...

— Plecie Litka! — zawołał Połaniecki.

I począł prędko znów nadymać globus, żeby pokryć wzruszenie, a zarazem pokazać dziewczynce, jak mało znaczą jej słowa.

Lecz dziecko szło dalej za swoją myślą:

— Mnie tak czasem duszno i tak mi serce bije... Mamusia powiedziała, żebym ja wtedy mówiła: „Pod twoją obronę“ — i ja zawsze mówię, bo ja się okropnie boję umrzeć! Ja wiem, że w niebie dobrze, ale nie byłabym z mamusią, tylko sama na cmentarzu... Tak, i w nocy...

Połaniecki położył nagle globus, siadł przy kanapce i, wzięwszy rękę Litki, rzekł:

— Mój Lituś, jeśli mamę kochasz, jeśli mnie kochasz, nie myśl o takich rzeczach. Tobie nic nie będzie, ale dopieroby się mama martwiła, gdyby wiedziała, czem dziecko sobie główkę zaprzęta! Bo pamiętaj, że sobie tem szkodzisz...

A Litka złożyła ręce:

— Mój panie Stachu, już tylko o jedno zapytam, tylko o jedno — nic więcej!

On pochylił ku niej głowę.

— No, pytaj, kocie. Byle o co mądrego.

— Czy pan Stach bardzoby mnie żałował?

— A, widzisz, jakaś niepoczciwa!

— Mój panie Stachu!... powiedzieć!

— Ja? co za niegodziwe dziecko! Lituś wie, że ją kocham... ogromnie kocham! Niech Bóg broni... Nikogo na świecie bym tak nie żałował... Będziesz ty mi cicho nareszcie, ty mucho utrapiona! ty... najmilsze drogie stworzenie!...

A dziewczynka zwróciła ku niemu rozjaśnione oczy:

— Już będę cicho... Dobry pan Stach!

I w chwili, gdy weszła pani Emilia, a on zabierał się do odejścia, spytała jeszcze:

— Ale pan Stach nie gniewa się na mnie?

— Nie, Lituś! — odrzekł Połaniecki.

Wyszedłszy do przedpokoju, usłyszał lekkie stukanie we drzwi, pani Emilia bowiem kazała zdjąć dzwonki. Otworzył i spostrzegł Marynię, która zwykle przychodziła wieczorami. Przywitawszy się z nim, spytała:

— Jak dziś Litka?

— Jak zwykle.

— Był doktor?

— Był. Nic nowego nie znalazł. Pozwoli pani sobie pomódz?

To powiedziawszy, chciał zdjąć z niej paletot, lecz ona odmówiła, nie chcąc przyjmować jego usług. Wów-

czas, mając serce wezbrane poprzednią rozmową z Litką, napadł na nią najniespodzianiej:

— To jest prosta grzeczność, nic więcej, a choćby było czemś więcej, mogłaby wreszcie pani zostawić swoją niechęć do mnie za tym progiem, bo tam jest dziecko chore, które nietylko ja, ale i pani niby kocha. W tem po prostu niema nietylko dobroci, ale i miary. Zdjąłbym tak samo paletot z każdej innej kobiety, i niech pani wie, że teraz myślę o Litce i o niczem więcej.

I mówił to z wielką zapalczywością, tak, że zaskoczona nią nagle panna Marynia trochę przestraszyła się naprawdę, trochę straciła głowę, tak, że pozwoliła pokornie zdjąć z siebie paletot, i nietylko nie znalazła w sobie siły, by się obrazić, ale uczuła, że tak może przemawiać człowiek szczerze i głęboko dotknięty niepokojem, zmartwieniem, zatem człowiek prawdziwie czujący i z gruntu dobry.

Może wreszcie ta niespodziana jego energia przemówiła do jej natury kobiecej, dość, że Połaniecki ujął ją w tej chwili więcej; niż kiedykolwiek od czasu widzenia się w Krzemieniu, i nigdy dotychczas nie przypomniał jej tak silnie owego dzielnego, młodego człowieka, którego oprowadzała niegdyś po krzemienieckim ogrodzie. Było to wprawdzie wrażenie przelotne, które nie mogło stanowić o wzajemnym ich do siebie stosunku, ale na razie podniosła na niego oczy nieco zdziwione, lecz nie gniewne, i rzekła:

— Przepraszam pana...

On zaś pohamował się przez ten czas i zawstydził:

— To ja przepraszam. Litka gadała mi dziś o swojej śmierci i taki jestem wzburzony, że rady sobie dać nie mogę... Pani powinna to zrozumieć i przebaczyć mi.

To rzekłszy, ścisnął silnie jej rękę i wyszedł.

XVI.

Następnego dnia Marynia ofiarowała się pani Emilii zamieszkać u niej aż do zupełnego wyzdrowienia Litki, Litka zaś poparła jej prośbę, na którą pani Emilia po krótkim oporze była zmuszona się zgodzić. Rzeczywiście upadała ze znużenia; zdrowie chorej wymagało nieustającej i wyjątkowej czujności, nowy atak bowiem mógł przyjść lada chwila. Trudno było liczyć, żeby służąca, choćby najbardziej przywiązana, nie zdrzemnęła się w takiej właśnie chwili, w której śpieszny ratunek mógł stanowić o życiu dziecka — więc obecność Maryni była prawdziwą pomocą i uspokojeniem dla stroskanej matki.

Co do pana Pławickiego, ten wołał jadać w restauracyi, niż w domu, nie robił więc trudności. Marynia zresztą wpadała codzień dowiedzieć się o jego zdrowie i przyprowadzić do porządku domowe rachunki, potem wracała do pani Emilii, by połowę nocy przesiedzieć przy malej.

W ten sposób Połaniecki, który wszystkie chwile wolne od zajęć spędzał u pani Emilii i przyjmował a raczej odprawiał z podziękowaniami wszystkich, którzy

przychodzili dopytywać się o zdrowie dziewczynki, widywał Marynię codziennie.

I podziwiał ją szczerze. Sama pani Emilia nie okazywała więcej troskliwości dla chorej i nie umiała lepiej koło niej chodzić. Po tygodniu twarz panny Maryni pobladła z niewywczasu i obawy, oczy podkrzażyły się ciemno, ale siły jej i energia zdawały się wzrastać z każdą chwilą. Było w niej przytem tyle słodyczy i dobroci, coś tak cichego i delikatnego w usługach, jakie oddawała Litce, że dziewczynce, mimo owej urazy, którą dla Maryni żywiła w głębi swej małej duszki, poczęło być z nią dobrze, i gdy oddaliła się na kilka godzin do ojca, chora wyglądała jej z utęsknieniem.

Zresztą zdrowie małej raczej się poprawiło w ostatnich czasach. Doktor pozwolił jej wstawać, przechadzać się po pokoju i siadywać w fotelu, który w słoneczne dni przysuwano jej do drzwi, prowadzących na balkon, aby mogła spoglądać na ulicę i rozrywać się ruchem ludzi i powozów.

Połańiecki, pani Emilia i panna Marynia otaczali ją często wówczas, a przedmiotu do rozmów i pogadaniek dostarczało to, co się działo na ulicy. Czasem dziecko było znużone i jakby zadumane, czasem jednak dziecinna natura brała górę i bawiło ją wszystko, więc i październikowe słońce, obrzucające dachy, ściany i szyby sklepów bladem złotem, i stroje przechodniów, i nawoływania przekupniów. Zdawało się, że owe potężne pierwiastki życia, pulsujące w wirze miejskim, wchodzą w dziecko i ożywiają je. Czasem przychodziły jej też do głowy dziwne myśli, i raz, gdy przed balkonem przesu-

wał się ciężki wóz, wiozący drzewa cytrynowe w donicach, które, lubo skrepowane łańcuchami, chwiały się zgodnie z ruchem wozu, mała rzekła:

— Im serce nie bije.

A potem, podnosząc oczy na Połanieckiego, spytała:

— Panie Stachu, czy drzewa długo żyją?

— Bardzo długo, niektóre żyją tysiące lat.

— O, to ja chciałabym być drzewem. A mamusia jakie najlepiej lubi?

— Brzozę.

— To ja chciałabym być małą brzożką, a mamusia byłaby dużą i rosłybyśmy razem. A pan Stach chciałby także być brzożą?

— Byłem rósł gdzie niedaleko od małej brzożki.

Litka zaś popatrzyła na niego i, potrząsając trochę smutno główką, rzekła:

— O, nie! ja teraz wiem wszystko. Ja wiem przy kimby pan Stach chciał rosnąć.

Panna Marynia zmieszała się i spuściła oczy na robotę, Połaniecki zaś począł gładzić lekko dłonią płową główkę i powtarzać:

— Moje kociątko kochane, moje miłe! moje, moje!...

Litka umilkła; następnie z pod długich jej rzęs wypłynęły dwie łzy i stoczyły się cicho po policzkach.

Po chwili podniosła jednak swoją słodką twarzyczkę, rozjaśnioną uśmiechem.

— Ja mamusię bardzo kocham — rzekła — i pana Stacha kocham i Marynię kocham...

XVII.

Profesor Waskowski dowiadywał się codziennie o zdrowie małej i choć najczęściej go nie przyjmowano, przysyłał jej kwiaty. Połaniecki, spotkawszy go kiedyś na obiedzie, począł mu dziękować w imieniu pani Emilii.

— Astry tylko, astry! — odrzekł profesor. — Jak ona się dziś ma?

— Dziś nieźle, a wogóle niedobrze. Gorzej, niż w Reichenhallu. Strach zawsze ogarnia przed każdym następnym dniem, a gdy się pomyśli, że tego dziecka może zabraknąć!...

Tu Połaniecki urwał, bo zbrakło mu w gardle dalszych słów; wreszcie, chcąc się sam przełamać, począł kłąć:

— Co tu się oglądać za jakimś zmiłowaniem! Jest tylko logika, która powiada, że kto ma chore serce, ten musi umrzeć — i niechże piorun trzaśnie takie życie!

Na to nadszedł Bukacki, który, dowiedziawszy się o co chodzi, napadł również na profesora Waskowskiego, i on bowiem, kochając Litkę, buntował się w duszy na myśl o grożącej jej śmierci.

— Jak można łudzić się dobrowolnie przez tyle

lat i wygłaszać zasady, które obracają się w niwecz wobec ślepego przeznaczenia.

Lecz stary człowiek odpowiedział łagodnie:

— Jak wy możecie, moi kochani, mierzyć waszą własną miarą mądrość boską i miłosierdzie boskie? Kto wszedł w podziemie, tego otacza ciemność, ale ten nie ma jeszcze prawa przeczyć, że ponad sklepieniem istnieje niebo i słońce, światło i ciepło...

— Oto mi pociecha! — przerwał Połaniecki — mucha nie wyżyje na tej filozofii, a cóż dopiero matka, której jedyne i kochane dziecko umiera.

Lecz niebieskie oczy profesora były już jakby za światem; przez chwilę wpatrywał się uporczywie przed siebie, poczem ozwał się, jak człowiek, który coś widzi, ale nie jest pewny, czy widzi dokładnie:

— A mnie się zdaje, że to dziecko zanadto wszczepiło się w serce ludzkie, żeby tak ot przejść i odejść bez śladu. Coś w tem jest... Coś jej było przeznaczone, ona musi coś spełnić — i przedtem nie umrze.

— Mistycyzm! — rzekł Bukacki.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Oby tak było! Mistycyzm, nie mistycyzm, ale, oby tak było! Człowiek w biedzie chwytą się nawet za cień nadziei. Mnie też nigdy się w głowie nie mieściło, żeby ona miała umrzeć.

A profesor dodał:

— Kto wie! może ona nas wszystkich jeszcze przeżyje!

Połaniecki był w tej fazie sceptycyzmu, w której człowiek w niczem nie uznaje pewności, ale wszystko uznaje za możliwe, zwłaszcza to wszystko, czego w da-

nym wypadku pragnie serce; odetchnął więc lżej i nabrał jakoś otuchy.

— Niech Bóg zmiłuje się nad nią i nad panią Emilią — rzekł. — Dałbym na sto mszy, gdybym wiedział, że jej to pomoże.

— Daj na jedną, byle ze szczerą intencją.

— A dam! a dam! Co do szczerości intencji, nie byłbym szerszy, gdyby o własną moją skórę chodziło.

A Waskowski uśmiechnął się i rzekł:

— Ty jesteś na dobrej drodze, bo umiesz kochać.

I jakoś lżej uczyniło się wszystkim. Bukacki, jeśli myślał w duszy coś przeciwnego temu, co mówił Waskowski, nie śmiał się z tem odezwać, bo sceptycyzm, choćby najbardziej wkorzeniony, gdy ludzie wobec prawdziwego nieszczęścia szukają ratunku w wierze, nakłada czapkę na uszy i nie tylko tchórzy, ale wydaje się sam sobie marnym i małym.

Bigiel, który nadszedł w tej chwili, ujrzał weselsze twarze i rzekł:

— Widzę po was, że mała nie gorzej.

— Nie, nie! — rzekł Połaniecki — i profesor mówił nam takie pocziwe rzeczy, że tylko go do rany przyłożyć.

— Chwała Bogu! Żona moja dała dziś na mszę, a potem poszła do pani Emilii. Dziś będę jadł z wami, bo mam urlop, i skoro Litce lepiej, to powiem wam drugą wesołą nowinę.

— Co takiego?

— Spotkałem przed chwilą Maszkę, który zresztą zaraz tu przyjdzie, a jak przyjdzie, to mu powinszujcie, bo się żeni.

— Z kim? — spytał Połaniecki.

— Z moją sąsiadką.

— Z panną Krasławską?

— Tak.

— Rozumiem — rzekł Bukacki — skruszył na prochu te panie swoją wielkością, swoim urodzeniem, swoim majątkiem i z tego prochu ulepił sobie żonę i teściową.

— Wytłómaczcie mi jedną rzecz — rzekł profesor Waskowski — Maszko jest człowiekiem religijnym...

— Jako konserwatysta — przerwał Bukacki — dla przyzwoitości.

— I te panie także — ciągnął dalej Waskowski.

— Ze zwyczajów...

— Dlaczego oni nie zamyślają się nigdy o życiu przyszłym?

— Maszko! czemu ty nie zamyślasz się nigdy o życiu przyszłym? — zawołał Bukacki, zwracając się do wchodzącego w tej chwili adwokata.

Maszko zaś zbliżył się do nich i spytał:

— Jak powiadasz?

— Powiadam: Tu felix, Maszko, nube!

Wówczas wszyscy poczęli mu składać życzenia, on zaś przyjmował je z pełną godności powagą, w końcu przemówił:

— Moi drodzy, dziękuję wam z całego serca, a ponieważ wszyscy znacie moją narzeczoną, więc nie wątpię o szczerości waszych życzeń.

— Nie pozwól sobie na to! — rzekł Bukacki.

A Połaniecki dorzucił:

— W porę ci przyszedł Krzemień.

Krzemień istotnie przyszedł Maszce w porę, bez niego bowiem może nie zostałby przyjęty. Ale właśnie dlatego ta uwaga nie była mu przyjemną, więc skrzywił się i rzekł:

— Ułatwiłeś mi to kupno i czasem ci jestem za to wdzięczny, a czasem cię przeklinam.

— Dlaczego?

— Bo twój wujaszek Pławicki jest najnudniejszą i najnieznośniejszą figurą na świecie, nie mówiąc o twojej kuzynce, która jest bardzo miła panna, ale odmienia od rana do wieczora swój nieodżałowany Krzemień przez wszystkie siedm przypadków, dodając do każdego leżkę. Ty tam mało bywasz, ale wierz mi, że to jest także niepospolicie nudne.

A Połaniecki począł mu patrzeć w oczy i odpowiedział:

— Słuchaj Maszko. Ja wygadywałem na mojego wujaszka, co wlażło, ale nie idzie za tem, żebym miał słuchać cierpliwie, gdy ktoś na niego wygaduje, zwłaszcza ktoś, kto zrobił na nim dobry interes. Co do panny Maryni, wiem, że jej żal Krzemienia, ale to dowodzi, że nie jest pustą lalką, nie jest manekinem, tylko kobietą z sercem, rozumiesz mnie!

Nastąpiła chwila milczenia. Maszko doskonale zrozumiał, kogo Połaniecki miał na myśli, mówiąc o pustej lalce i manekinie, więc wypieki na twarzy przybrały barwę cegły, a usta poczęły drgać. Jednak pohamował się. Nie był on wcale tchórzem, ale nawet najzuchwalszy człowiek ma zwykle kogoś, z kim woli nie zadzierać, i dla Maszki takim kimś był właśnie Połaniecki.

Więc wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Czego ty się gniewasz? Jeśli ci to robi przykrość...

Lecz Połaniecki przerwał:

— Ja się nie gniewam, tylko radzę ci pamiętać moje słowa.

I patrzył mu dalej w oczy, Maszko zaś pomyślał: „Jeśli chcesz koniecznie awantury, to będziesz ją miał.“

— Twoje słowa — odrzekł — mogę pamiętać, tylko przyjmijże i ty ode mnie radę: nie pozwalaj sobie do mnie mówić tym tonem, bo mógłbym go także zapamiętać i wezwać cię do obrachunku.

— Co u licha! — zaczął Bukacki. — Co wam jest!?

Lecz Połaniecki, w którym rozdrażnienie na Maszkę zbierało się od dawna, byłby posunął niechybnie rzeczy do ostateczności, gdyby nie to, że w tej chwili wpadł do gabinetu służący pani Emilii.

— Proszę pana — rzekł zdyszczanym głosem — panielka umiera!

Połaniecki zbladł i, porwawszy za kapelusz, skoczył do drzwi. Nastąpiło głucho, długie milczenie, które przerwał wreszcie Maszko:

— Zapomniałem — rzekł — że jemu wszystko trzeba teraz wybaczyć...

A Waskowski, zakrywszy oczy rękoma, począł się modlić.

Wreszcie podniósł głowę i ozwał się:

— Bóg jeden okiełznał śmierć i potrafi ją powstrzymać.

Jakoż w kwadrans później Bigiel odebrał od żony kartkę ze słowami:

— „Atak minął.“

XVIII.

Połaniecki pędził do pani Emilii w trwodze, czy zastanie jeszcze Litkę przy życiu, służący bowiem powiedział mu podczas drogi, że panienka dostała konwulsyi i była konająca. Gdy jednak przybył na miejsce, pani Emilia sama wybiegła na jego spotkanie i jednym tchem, z głębi piersi, rzuciła mu słowa:

— Lepiej! lepiej!

— Doktor jest? — spytał Połaniecki.

— Jest.

— A mała?

— Śpi.

W twarzy pani Emilii resztki przerażenia walczyły z nadzieją i radością. Połaniecki zauważył, że usta jej były prawie białe, oczy suche i zaczerwienione, a twarz w wypiekach. Była śmiertelnie znużona, albowiem nie spała od dwudziestu czterech godzin.

Lekarz jednak, człowiek młody i energiczny, uważał, że niebezpieczeństwo na razie minęło. Panią Emilię pokrzepiło szczególnie to, co powiedział jej przy Połanieckim:

— Nie powinniśmy dopuścić do następnego ataku i nie dopuścimy.

Była w tych słowach istotnie otucha, widocznie bowiem doktor uważał za rzecz możliwą niedopuszczenie do następnego ataku, ale było i ostrzeżenie, że następny mógłby być śmiertelnym. Lecz pani Emilia czepiała się teraz każdej nadziei, jak człowiek spadający w przepaść czepia się gałęzi drzew, rosnących nad jej krawędzią.

— Nie dopuścimy! nie dopuścimy! — powtarzała, ściskając gorączkowo rękę doktora.

Połaniecki spojrział mu nieznacznie w oczy, jakby chcąc wyczytać w nich, czy mówi to dla uspokojenia matki, czy na podstawie lekarskiego przeświadczenia, poczem spytał na próbę:

— Pan nie odstąpi jej dzisiaj?

— Nie widzę tego najmniejszej potrzeby — odpowiedział doktor. — Dziecko jest wyczerpane i prawdopodobnie będzie spało długo i mocno. Jutro przyjdę, ale dziś z zupełnym spokojem mogę iść do domu.

Poczem zwrócił się do pani Emilii:

— Pani również powinna wypocząć. Wszelkie niebezpieczeństwo minęło, trzeba zaś, żeby chora nie widziała na twarzy pani ani zmęczenia, ani niepokoju, albowiem sama mogłaby się tem zaniepokoić, a na to jest zbyt słaba.

— Nie mogłabym zasnąć — odpowiedziała pani Emilia.

Lecz doktor zwrócił na nią swoje blado-niebieskie oczy i, wpatrzywszy się w nią jakby z pewnem natężeniem, rzekł zwolna:

— Za godzinę położy się pani i zaraz zaśnie. Sześć do ośmiu godzin będzie pani spała nieprzerwanym snem. Powiedzmy ośm... Jutro będzie się pani czuła silna i wypoczęta. A teraz, dobranoc.

— A krople na wypadek, jeśli się mała obudzi?

— Krople da kto inny. Pani będzie spała. Dobranoc.

I począł się żegnać. Połaniecki chciał iść za nim, by wypytać go na cztery oczy o Litkę, pomyślał jednak, że dłuższa tego rodzaju rozmowa mogłaby zaniepokoić panią Emilię, więc wołał jej zaniechać, przyrzekłszy sobie natomiast, że nazajutrz pójdzie do mieszkania doktora i tam się z nim rozmówi.

Po chwili, gdy zostali sam na sam z panią Emilią, rzekł:

— Niech pani uczyni, jak doktor mówi. Trzeba odpocząć. Zapowiadam, że idę teraz do pokoju Litki i nie ruszam się całą noc.

Lecz jej wszystkie myśli były przy małej, więc zamiast odpowiedzieć mu wprost, rzekła:

— Czy pan wie, że po ataku, przedtem nim usnęła, pytała się o pana kilka razy... i o Marynię także. Usnęła z zapytaniem: „Gdzie pan Stach?”

— Moja biedaczka kochana! Ja byłbym i tak przyszedł zaraz po obiedzie. Leciałem tu ledwie żywy. Kiedy się atak rozpoczął?

— Przed południem. Od rana była smutna, jakby coś przeczuwała. Pan wie, że ona przede mną zawsze zaręcza, że jest zdrowa, musiała się jednak czuć niedobrze, bo przed samym atakiem siadła przy mnie i pro-

siła, żeby ją trzymać za rączkę. Wczoraj jeszcze — zapomniałam panu powiedzieć — zadawała mi takie dziwne pytania: czy prawda, że jak chore dziecko o co prosi, to mu się nigdy nie odmawia? Ja powiedziałam, że tak, chyba by prosiło o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Coś jej chodziło widocznie po główce, bo wieczorem, jak Marynia wpadła na chwilkę, znów zadawała nam podobne pytania. Poszła spać wesoło, ale dziś od rana skarżyła się na duszność. Szczęściem, że posłałam po doktora przed samym atakiem i że zaraz przyszedł.

— Największe szczęście to, że odszedł z taką pewnością, iż atak się nie powtórzy. Jestem zupełnie pewny, że takie jest jego przekonanie — odpowiedział Połaniecki.

Pani Emilia podniosła oczy w górę:

— Pan Bóg taki miłosierny! taki dobry! że...

I, mimo wszelkich wysiłków, poczęła łkać, albowiem stłumiona trwoga i rozpacz zmieniły się w niej teraz w radość i znalazły ujście we łzach. W tej szlachetnej i uduchowionej naturze wrodzona egzaltacja psuła wicznie spokojny rozmyśl, skutkiem czego pani Emilia nie zdawała sobie w niczem sprawy z istotnego stanu rzeczy, i teraz naprzykład nie miała najmniejszej wątpliwości, iż choroba Litki skończyła się raz na zawsze tym ostatnim atakiem i że odtąd pocznie się dla niej okres zupełnego zdrowia.

Połaniecki zaś nie miał ani ochoty, ani serca wskazywać jej pośredniej drogi między rozpaczą a radością. Serce wezbrało mu dla niej wielką litością i przyszła na niego jedna z takich chwil, w której odczuwał wyraźniej,

niż zwykle, jak głęboko, chociaż bezinteresownie, jest przywiązany do tej egzaltowanej i idealnej kobiety. Gdyby była jego siostrą, byłby ją objął i przycisnął do piersi, tymczasem ucałował jej delikatne, wychudłe ręce i rzekł:

— Chwała Bogu, chwała Bogu! Niech droga pani teraz o sobie pomyśli, a ja idę do małej i nie ruszę się, póki się nie obudzi.

I poszedł. W pokoju Litki panował mrok, bo żaluzje były spuszczone, a na dworze słońce już zachodziło, więc tylko przez szpary pomiędzy deszczułkami przedierało się nieco czerwonych promieni, które niedostatecznie rozświecały pokój i które wkrótce znikły, albowiem niebo poczęło się chmurzyć. Litka spała głębokim snem. Połaniecki, siadłszy przy niej, począł wpatrywać się w jej uśpioną twarz i w pierwszej chwili serce mu się ścisnęło bolesnym uczuciem. Litka leżała na wznak, z główką zwróconą do sufitu; biedne, cienkie jej rączęta leżały bezwładnie na kołdrze, oczy były zamknięte, a pod oczyma głębokie cienie od rzęs. Jej bladość, która w tym czerwonym półmroku wydawała się jak woskowa i otwarte usta, a wreszcie głębokie uśpienie, nadawały jej twarzyczce pozór takiego spokoju, jaki mają twarze umarłych. Lecz ruch szlarek, któremi obszyty był jej nocny kaftanik, wskazywał, że dziecko żyje i oddycha. Oddech był nawet spokojny i bardzo regularny. Połaniecki długi czas wpatrywał się w tę chorą twarz i raz jeszcze odczuł z całą siłą to, co odczuwał często, gdy o sobie rozmyślał: mianowicie, że natura stworzyła go na ojca, że obok wybranej kobiety, dzieci mogłyby być niezmierną miłością jego życia, jego głównym celem i powodem jego

istnienia. Zrozumiał to przez litość i miłość, jaką w tej chwili odczuwał dla Litki, która, obca pochodzeniem, była mu w tej chwili tak droga, jak rodzone dziecko. „Gdyby mi ją oddano na własność — pomyślał — gdyby jej zbrakło matki, wziąłbym ją na zawsze i uważałbym, że mam dla czego żyć.“

I czuł również, że gdyby można było wejść w targ ze śmiercią, oddałby jej siebie bez wahania, byle wykupić to „kociątko,“ nad którym teraz ta śmierć zdawała się unosić, jak drapieżny ptak nad gołębiem. Ogarnęła go tklivość, jakiej dotychczas nie doświadczał, i ów człowiek, z charakteru raczej szorstki i prędki, gotów był całować ręce i główkę tego dziecka, w najtkliwszej pieśszczocie, takiej, na jaką nie każde nawet serce kobiece zdobyćby się mogło.

Tymczasem pociemniało. Po chwili weszła pani Emilia, osłaniając dłonią błękitną lampkę nocną.

— Śpi? — spytała cicho, stawiając lampkę na stoliku za głową Litki.

— Śpi — odpowiedział równie cicho Połaniecki.

Pani Emilia wpatrzyła się w uśpioną.

— Widzi pani — szepnął dalej Połaniecki — jak oddycha równo i spokojnie. Jutro będzie zdrowsza i silniejsza.

— Tak! — odpowiedziała z uśmiechem.

— Teraz na mamę kolej. Spać! spać! bo inaczej zacznę zrzedzić okropnie.

Jej oczy śmiały się ciągle do niego z wdzięcznością. W łagodnym, błękitnym świetle lampki nocnej wyglądała, jak zjawisko. Twarz miała zupełnie anielską

i Połaniecki mimowoli pomyślał, że i ona, i Litka, wyglądają istotnie jak jakieś zaziemskie postacie, które przez czysty wypadek zabłąkały się na ten świat.

— Tak — odpowiedziała. — Teraz odpocznę. Przyszła Marynia Pławicka i profesor Waskowski. Marynia chce koniecznie zostać.

— To tem lepiej. Ona tak dobrze chodzi koło malej. Dobranoc pani.

— Dobranoc.

Połaniecki został znów sam i począł myśleć o panie Maryni. Na samą wiadomość, że ją za chwilę zobaczy, nie mógł już myśleć o czem innym, i teraz oto stawił sobie pytanie, w czem leży ta dziwna tajemnica natury, na mocy której on naprzykład nie pokochał pani Emilii, stanowczo piękniejszej od Maryni, prawdopodobnie lepszej, słodszej, zdolniejszej do kochania — tylko tamtę dziewczynę, którą bez porównania mniej znał i słusznie, lub niesłusznie, mniej czcił. A jednak przy każdym zbliżeniu się z Marynią budziły się w nim natchmiasz te wszystkie porywy, które mężczyzna odczuwać może na widok wybranej kobiety, podczas gdy tak prawdziwie kobieca postać, jak pani Emilii, nie czyniła na nim innego wrażenia, niż gdyby była malowidłem lub rzeźbą... Dlaczego tak jest i dlaczego, im więcej w człowieku kultury, im bardziej nerwy jego stają się subtelne a wrażliwość większa, tem większą czyni różnicę między kobietą a kobietą? Połaniecki nie miał na to innej odpowiedzi, jak owa, którą dał ów doktor, zakochany w pannie Krasławskiej: „Ja patrzę na nią trzeźwo, tylko nie mogę od niej duszy odedrzeć.“ Było to

raczej stwierdzenie zjawiska, niż odpowiedź, na którą zresztą nie miał czasu, gdyż w tejże chwili panna Marynia wsunęła się do pokoju.

Skinęli sobie wzajem głowami, poczem on podniósł fotel i postawił go cicho przy łóżku Litki, dając na migi pannie Maryni znać, żeby siadła. Ona pierwsza poczęła mówić, a raczej szeptać:

— Niech pan pójdzie teraz na herbatę. Profesor Waskowski tam jest.

— A pani Emilia?

— Nie mogła już wysiedzieć. Mówiła, że aż jej samej dziwno, ale musi iść spać.

— Ja wiem, dlaczego. Doktor ją zahipnotyzował i dobrze zrobił. Mała naprawdę lepiej.

Panna Marynia spojrzała mu w oczy, lecz on powtórzył:

— Naprawdę lepiej... jeśli atak nie wróci, a jest nadzieja, że nie wróci.

— Ach! Bogu chwała. Niech pan teraz pójdzie na herbatę.

Lecz on wolał tak oto szeptać do niej z blizka i poufnie, więc odrzekł:

— Dobrze, dobrze, ale później. Umówmy się przytem tak, by i pani mogła wypocząć. Słyszałem, że ojciec pani był chory. Pewno pani i nad nim czuwała.

— Ojciec zdrow już, a ja chcę koniecznie zastąpić Emilkę. Mówiła mi, że jej służba nie spała także całą zeszłą noc, bo stan malej był już przed atakiem niepokojący... Trzeba, żeby teraz ktoś ciągle czuwał, więc jabym

chciała tak to urządzić, żebyśmy — ja, pan i Emilka — zastępowali się kolejno.

— Dobrze. Ale dziś już zostanę. Jeśli nie tu, to będę w sąsiednim pokoju na podorędziu. Kiedy pani dowiedziała się o ataku?

— Nie wiedziałam nic. Przyszłam, jak zwyczajnie wieczorem, dowiedzieć się, co słyhać.

— A do mnie przybiegł służący pani Emilii w czasie, gdy jadłem obiad. Wyobrazi sobie pani łatwo, jakem tu leciał; nie byłem pewny, czy ją znajdę jeszcze przy życiu. Co jest przytem dziwnego, to, że w czasie obiadu rozmawialiśmy prawie ciągle o Litce z Bukackim i Waskowskim, zanim przyszedł Maszko z oznajmieniem o swoim małżeństwie.

— Pan Maszko się żeni?

— Tak. Jeszcze nowina się nie rozeszła, ale on sam oznajmił nam ją uroczyście. Żeni się z panną Krasłowską, pamięta pani? z tą, która to była wówczas u Bigielów. To dobra partya dla Maszki — panna Krasłowska...

Nastąpiła chwila milczenia. Panna Marynia, która, nie kochając Maszki, odrzuciła jego rękę, ale która niejednokrotnie wyrzucała sobie swoje względem niego postępowanie, w przypuszczeniu, iż naraziło go ono na zawód i cierpienia, mogła znaleźć tylko pociechę w wiadomości, że młody adwokat przeniósł cios tak łatwo. Jednakże wiadomość o tem zdziwiła ją narazie i ubodła. Kobiety, gdy z kimś współczują; chcą po pierwsze, by ów ktoś był naprawdę nieszczęśliwy, a powtóre, chcą same łagodzić nieszczęście; gdy się pokaże, że potrafi to

uczynić i kto inny, doznają pewnego rozczarowania. Miłość własna panny Maryni została także podwójnie dotknięta. Nie sądziła, by tak łatwo było o niej zapomnieć, a przytem musiała przyznać, że wyobrażenie jej o Maszce, jako o wyjątkowym człowieku, nie miało żadnej podstawy. Był on dla niej dotychczas rodzajem tuza w partyi przeciw Połanieckiemu — teraz przestał nim być. Czowała się więc, bądźco bądź, nieco upokorzona. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie oświadczyć z pewnym akcentem prawdy Połanieckiemu, że jego nowina sprawia jej szczerą i głęboką radość, ale w gruncie rzeczy odczuwała i ku niemu jakby rodzaj urazy za to, że ją powiedział.

Połaniecki od pewnego czasu postępował z nią bardzo powściągliwie i w niczem nie zdradzał się z tem, co się w nim działo. Nie udawał zbytniego chłodu; ponieważ musieli się spotykać, więc w obejściu się z nią zachował nawet pewną życzliwą swobodę, ale ona właśnie dlatego sądziła, że przestał ją kochać. I taka jest natura ludzka, że, jakkolwiek dawna uraza ciągle żyła, a nawet zwiększała się w duszy panienki, jakkolwiek pierwsze rozczarowanie zmieniło się jakby w źródło, sączące coraz nową gorycz, przecie ta myśl, że niechęć jej jest mu już obojętną, drażniła pannę Marynię. Teraz zdawało jej się, że Połaniecki musi jednak tryumfować nad jej pomyłką co do Maszki i nad tem, że, bądźco bądź, ona, która przed niedawnym czasem miała wybór między Maszką a nim, obecnie go nie ma i że zostaje w pewnem opuszczeniu, trochę upokarzającym.

On zaś daleki był od takich myśli. Rad był wpraw-

dzie, że Marynia pozna, iż, wywyższając nad niego Maszkę, myliła się gruntownie, ale ani mu się śniło cieszyć, albo tryumfować z powodu jej osamotnienia, bo w każdej chwili więcej niż kiedykolwiek gotów był otworzyć jej ramiona, przycisnąć ją do piersi i kochać. Pracował on wprawdzie nad złamaniem w sobie uczucia wytrwale i nawet z zawziętością, ale czynił to wyłącznie dlatego, że nie widział przed sobą żadnej nadziei, a poczytywał za rzecz uchybiającą swojej godności męskiej wkładać wszystkie siły duszy i serca w uczucie nieodwzajemnione. Chciał wedle własnego wyrażenia „nie dać się“ i nie dawał się, jak umiał, ale pojmował to doskonale, że taka walka nuży, wyczerpuje, i że, gdy nawet kończy się zwycięstwem, przynosi, zamiast szczęścia, pustkę. A oprócz tego, daleko mu było do zwycięstwa. Po wielkich wysileniach doszedł wreszcie do tego tylko, że jego uczucie pomieszało się z goryczą. Ferment taki rozkłada wprawdzie miłość, z tej prostej przyczyny, że ją zatrzuwa, i z czasem mógł ją rozłożyć w sercu Połanieckiego. Ale na razie, co za znikomy rezultat! Teraz oto, siedząc nieopodal Maryni i patrząc na jej twarz i głowę, oświeconą bladym światłem lampki, mówił sobie w duszy: „Gdyby tylko chciała!“ Myśl ta złościła go, ale, chcąc być z sobą szczerzy, musiał przyznać, że gdyby tylko chciała, pochyliłby się do jej nóg z największą gotowością. Więc co za znikomy rezultat, a zarazem co za bezdroże! Jednocześnie bowiem czuł, iż nieporozumienie między nimi tak już wyrosło, iż gdyby Marynia nawet chciała powrotu takich chwil, jakie spędzili w Krzemieniu, to miłość własna i obawa, by nie stanąć wzglę-

dem siebie samej w sprzeczności, zamknęłaby jej usta. Stosunek ich tak się już powikłał, że prędzej jeszcze mogliby pokochać się, niż porozumieć.

Po krótkiej rozmowie zapadła między nimi cisza, przerywana tylko oddechem chorego dziecka i lekkim a posępny dźwiękiem szyb, w które zaciął drobny deszcz. Na dworze uczyniła się noc wilgotna jesienna, niosąca z sobą ucisk, smutek, pesymizm i zniechęcenie. Równie smutno wyglądał ów pokój, w którego mrocznych kątach zdawała się czaić śmierć. Godzina płynęła za godziną, coraz wolniej. Połanieckiego ogarnęły nagle złe przecucia. Spojrzał na Litkę i naraz wydało mu się szaleństwem przypuszczenie, że ona może wyżyć. Próżne czuwanie! próżne nadzieje! próżne złudzenia! To dziecko musi umrzeć! musi, tem bardziej, im jest droższe, słodsze, im bardziej kochane! Za nią pójdzie pani Emilia — i potem będzie pustka prawdziwie beznadziejna! Co za życie! Oto on, Połaniecki, ma te dwie jedyne istoty na świecie, które go kochają, dla których jest czemś, więc oczywiście musi je stracić! Przy nich byłoby się o coś zahaczyć w życiu, bez nich — zostaje jedna nicość i jakaś przyszłość ślepa, głucha, bezrozumna, z twarzą idyoty...

Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć i jego energia zwraca się przeciw życiu. Taka chwila przyszła na Połanieckiego. „Nie wiem ostatecznie, dlaczego bym nie miał sobie w łeb palnąć — pomyślał — nie z rozpacy za niemi, ale z powodu nicości bez nich. Jeśli życie ma być bezsens, niema dobrej racji, by na bezsens pozwolić — chyba przez ciekawość, do jakiego stopnia dojść może.“

Lecz ta myśl nie zjawiała się w nim, jako zamiar. Było to raczej targnięcie za łańcuch nieszczęść człowieka, który się zżyma: chwila gniewu, szukającego przeciw komu się zwrócić. W Połanieckim zwrócił się on nagle na Marynię. Sam on nie wiedział, dlaczego wydało mu się nagle, że wszystko, co się dzieje złego, dzieje się z jej powodu, że ona wniosła w ich kółko niechęć, której nie było, zmartwienie, którego nie było, że rzuciła jakby jakiś kamień w ich gładką wodę, i teraz fale, rozszerzając się coraz bardziej, ogarniają nietylko jego, ale i panią Emilię i Litkę. Jako człowiek, rządzący się rozsądkiem, nie nerwami, rozumiał całą czczość tego rodzaju zarzutów, a jednak nie mógł oprzeć się wspomnieniu, że nim Marynia przyjechała, było wszystko lepiej, że ową przeszłość mógł uważać jako szczęśliwy okres życia. Kochał oto wówczas tylko Litkę, takim jasnym, ojcowskim uczuciem, które nie przyniosło i nie mogło przynieść jednej chwili goryczy. Kto wie przytem, czy z czasem nie byłby potrafił pokochać pani Emilii! Ona wprawdzie nie miała dla niego innych uczuć, tylko przyjazne, ale może jedynie dlatego, że innych nie pragnął. Nieraz szlachetne kobiety wyrzekają się uczuć, wychodzących poza granicę przyjaźni, by nie utrudniać i nie płatać życia komuś, kto mógłby być drogim, ale nie chce. Wówczas w głębi ich duszy leży cichy, ukryty smutek, znajdują jednak słodycz i pociechę w tkliwości, na jaką przyjaźń pozwala.

Połaniecki, poznawszy Marynię, oddał jej zaraz najlepszą część uczuć. Po co? dlaczego? Tylko na zgryzotę sobie. Teraz, na domiar nieszczęścia, ta Litka, która była

jedynym promykiem jego życia, umierała lub mogła umrzeć każdej chwili. Połaniecki znów wpatrzył się w nią i w duszy mówił jej:

— Zostań choć ty, dziecinko! ty nie wiesz, jakaś potrzebna i mnie i matce. Niech Bóg broni, co za życie będzie bez ciebie, drogie stworzenie!

Nagle spostrzegł, że oczy dziewczynki patrzą na niego.

Przez chwilę myślał, że się ludzi i nie śmiał się poruszyć, lecz mała poczęła się uśmiechać i wreszcie wyszeptwała:

— Pan Stach...

— To ja, Lituś! Jak się czujesz?

— Dobrze, a gdzie mama?

— Zaraz przyjdzie. Wojowaliśmy z nią ogromnie, żeby poszła spać i ledwieśmy ją namówili.

Litka zwróciła głowę i, spostrzegłszy pannę Marynię, rzekła:

— A, to ciocia Marynia?

Od pewnego czasu mała mówiła jej: ciociu.

Panna Marynia wstała i wzięwszy flaszczykę, stojącą na szafce nocnej, poczęła nalewać pod światło lampki krople na łyżeczkę, następnie podała je Litce, a gdy dziewczynka skończyła pić, przycisnęła usta do jej czoła.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem dziecko rzekło, jakby samo do siebie:

— Nie trzeba mamy budzić.

— Nie; nikt nie będzie budził — odpowiedział Połaniecki. — Wszystko tak będzie, jak Lituś chce.

I począł gładzić jej rączkę, leżącą na kołdrze.

Ona zaś patrzyła na niego, powtarzając, jak miała zwyczaj:

— Pan Stach... pan Stach...

Przez chwilę zdawało się, że usnie, ale dziecko widocznie rozmyślało o czymś z wielkiem wysileniem, albowiem brwi jego podnosiły się do góry; wreszcie, otworzywszy oczy, jęła spoglądać kolejno to na Połanieckiego, to na pannę Marynię.

W pokoju słychać było tylko dźwięk deszczu o szyby.

— Co ci jest, dziecinko?— spytała panna Marynia.

Ona zaś, złożwszy ręce, wyszeptala ledwie dosłyszalnym głosem:

— Bo ja mam wielką, wielką prośbę do cioci Maryni, ale... nie śmiem powiedzieć.

— Mów, moje kochanie! Wszystko zrobię, co zechcesz...

Wówczas dziewczynka, chwyciwszy jej dłoń i przycisnąwszy do niej usta, wyszeptala:

— Żeby ciocia Marynia kochała pana Stacha.

W ciszy, jaka nastala po tych słowach, słychać było tylko przyspieszony nieco oddech dziewczynki; wreszcie ozwał się spokojny głos panny Maryni:

— Dobrze, kochanie.

Połanieckiego schwycił nagle za gardło spazm płaczu. Wszystko, nie wyłączając panny Maryni, znikło mu z oczu wobec tego dziecka, które w takiej chwili, chore, bezsilne i wobec śmierci, myślało tylko o nim.

Litka zaś pytała dalej:

— I ciocia wyjdzie za pana Stacha?

W świetle błękitnej lampki twarz panny Maryni wyglądała bardzo blado, usta jej drżały, ale odrzekła bez wahania:

— Tak jest, Lituś.

Dziewczynka podniosła po raz wtóry do ust jej rękę. Główka jej opadła znów na poduszkę, i czas jakiś leżała z zamkniętymi powiekami, po chwili jednak dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Nastąpiła teraz jeszcze dłuższa cisza. Deszcz bił w szyby. Połaniecki i panna Marynia siedzieli bez ruchu, bez spojrzenia na siebie, jakby posnęli. Czuli tylko oboje, że losy ich przeważały się tej nocy, ale byli jakby ogłuszeni tem, co zaszło. W chaosie myśli i uczuć żadne z nich nie umiało ni uświadomić, ni określić, co się w niem dzieje.

I w tem milczeniu, w tem instynktowem milczeniu, by wypadkiem nie spojrzeć sobie w oczy, godzina poczęła płynąć za godziną. Zegary wybiły północ, potem pierwszą; koło drugiej pani Emilia wsunęła się, jak cień, do pokoju.

— Śpi? — spytała.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała Litka.

— Dobrze ci jest?

— Dobrze, mamusiu.

I gdy pani Emilia usiadła przy niej na łóżku, miała objęła rączkami jej szyję i tuląc swoją płową główką do jej piersi, rzekła:

— Ja teraz, mamusiu, wiem, że jak chore dziecko o co prosi, to mu nigdy nie odmawiają.

I czas jakiś przytulała się jeszcze do matki w milczeniu, poczem, przeciągając każde słowo, jak czynią dzieci senne, lub bardzo osłabione, rzekła:

— Pan Stach nie będzie więcej smutny i powiem mamusi, dlaczego...

Lecz tu główka jej poczęła ciążyć na piersiach mat-

ki i pani Emilia uczuła zimny pot, występujący zarówno na ręce dziecka, jak na jego skronie.

— Lituś! — zawołała cichym, przerażonym głosem.

A dziewczynka poczęła mówić:

— Tak mi dziwnie! tak słabo!...

Myśli jej poczęły się widocznie mącić, gdyż po chwili mówiła dalej:

— O! morze płynie! Takie duże morze, i my wszyscy po niem płyniemy. Mamo, mamó!...

I przyszedł znowu atak, straszny, niemilosierny. Ciało dziewczynki wyprężyło się w konwulsyi, a źrenice jej uciekły w tył głowy. Nie było się już co ludzić: nadchodziła śmierć, czuć ją było w bladym świetle lampki i w mrocznych kątach pokoju, w dźwięku szyb, bitych deszczem, i w szumie wiatru, pełnym przerażających głosów i wołań.

Połaniecki zerwał się i pobiegł po doktora; po kwadransie wrócili obaj, niepewni wobec zamkniętych drzwi pokoju, czy dziecko żyje jeszcze, i znikli w nich natychmiast, naprzód Połaniecki, potem doktor, powtarzający od chwili, gdy go wyciągnięto z łóżka, jeden frazes:

— Chyba wzruszenie, czy przestrasz?

Kilkoro ludzi ze służby o twarzach sennych i przerażonych zgromadziło się pode drzwiami, nasłuchując — i w całym mieszkaniu nastąpiła cisza, długa, ciężka, jak olów.

Przerwała ją wreszcie Marynia, która pierwsza wyszła z zamkniętego pokoju, z twarzą bladą, jak płótno, i trzęsącym się głosem rzekła śpiesznie:

— Wody dla pani! Panienska nie żyje!

XIX.

Jesień w ostatnich swych dniach uśmiecha się jeszcze czasem do ludzi ogromnie smutno, ale zarazem i pogodnie, jak umierająca na suchoty kobieta. W taki pogodny dzień wypadł właśnie pogrzeb Litki. Jest w tem boleść pomieszana z pewną pociechą, że ludzie, którzy zostają, myślą i czują w dalszym ciągu za swoich zmarłych. Połanieckiego, który zajmował się pogrzebem, ów pogodny i smutny dzień przejął jeszcze większym smutkiem, ale, podstawiając się w uczucia Litki, pomyślał, że dziecko właśnieby sobie takiego dnia życzyło — i znalazł w tem pewną ulgę. Aż do tej chwili nie umiał wprost zmierzyć głębi swojego żalu. Taka świadomość przychodzi później, a zaczyna się dopiero wówczas, gdy kochana istota zostaje na cmentarzu, a człowiek wraca sam do pustego domu. Prócz tego, zajęcia pogrzebowe pochłonęły Połanieckiemu wszystek czas. Życie otoczyło sztucznymi formami i utrudniło nawet tak prosty akt, jakim jest śmierć. Połaniecki chciał oddać Litce jeszcze tę ostatnią usługę, którą zresztą nie miał się kto zająć. Wszystkie te sprężyny życia, na mocy których człowiek

myśli, postanawia i działa, zostały w pani Emilii przez śmierć dziecka podcięte. Wiatr okazał się tym razem zbyt silny na wełnę jagnięcia. Na szczęście jednak, zbyt wielka boleść zabija samą siebie, albowiem odrętwia serce ludzkie. To stało się z panią Emilią. Połaniecki zauważył, że panującym wyrazem jej twarzy i oczu było bezmierne, zastygłe przerażenie. Jak w oczach jej nie było łez, tak w ustach słów, tylko jakiś szept tragiczny i zarazem dziecinny, dowodzący, że myśl jej nie ogarnia nieszczęścia, lecz krąży wokół towarzyszących mu drobniaków, czepia się ich i otacza je troskliwością taką, jakby dziecko żyło jeszcze. W pokoju, zmienionym w żalobną świetlicę, Litce, uspionej wśród kwiatów na atlasowej poduszce, nie mogło braknąć niczego; tymczasem zdzienniałe z bólu serce matki zwracało się ustawicznie do tego, czego dziecku mogło braknąć. Gdy ją próbowano oderwać od ciała, nie stawiała oporu, tylko traciła resztę przytomności i poczyniała jęczeć, jakby jej zadawano ból nad siły.

Połaniecki i Chwastowski, brat męża, który przybył przed samym pogrzebem, usiłowali ją wyprowadzić w chwili, gdy Litkę przykrywano wiekiem; lecz gdy pani Emilia poczęła wołać malej po imieniu, obydwom nie stało odwagi. Kondukt ruszył wreszcie, wśród pochodni, liczny, ciągnący za sobą ogon karet, poprzedzany przez księży i posepny śpiew, a z miejsca otoczony gromadą ciekawych, którzy w nowożytnych miastach tak pasą oczy ludzką boleścią, jak w starożytnych pasiono je ludzką krwią po cyrkach. Pani Emilia, prowadzona przez brata męża, mając obok siebie Marynię, szła tuż za ka-

rawanem, z twarzą suchą i bezduszną. Oczy jej widziały teraz tylko jeden szczegół i myśl zajmowała się nim wyłącznie. Oto zdarzyło się, że jedno pasemko płowych, niezmiernie obfitych włosów Litki zostało na zewnątrz trumny. Pani Emilia przez całą drogę nie spuszczała z niego oczu, powtarzając co chwila: „O Boże, Boże! przycięli dziecku włosy!”

W Połanieckim żal, zmęczenie, nerwowy rozstrój z powodu bezsenności — zmieniły się w poczucie tak nieznośnego ciężaru, że chwilami chwytiała go nieprzewyciężona chęć zawrócić z pół drogi, pójść do siebie, rzucić się na jaką sofę, nie myśleć o niczem, nie chcieć niczego, nie kochać nikogo, nie czuć nic. I jednocześnie ten odruch samolubstwa dziwił go i oburzał przeciw sobie samemu; jednocześnie wiedział, że nie zawróci, że wypije ten kielich aż do dna, pójdzie aż do końca, nie tylko dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że żal za Litką i przywiązanie do niej będą silniejsze od egoizmu. Czuł też teraz doskonale, że wszystkie inne jego uczucia skurczyły się, zwiędły i że dla całego świata ma w sercu, w tej przynajmniej chwili, wielkie nic. Zresztą jego myśli i uczucia wpadły w zupełny bezład, złożony z wrażeń zewnętrznych, uświadamianych bardzo pobieżnie, ze spostrzeżeń czynionych niewiadomo dlaczego i pomieszanych zupełnie mechanicznie z uczuciem żalu i zmartwienia. Chwilami patrzył na domy, koło których przechodził kondukt, i rozróżniał ich kolory; chwilami wpadał mu w oczu jakiś szyld sklepowy, który odczytywał, nie wiedząc, z jakiego powodu to czyni; to znów myślał, że oto księża przestali śpiewać, ale zaraz zaczęną i czekał

tylko ponownego zerwania się żalobnych głosów, jakby z pewną obawą. Czasem rozumował tak, jak człowiek, który, budząc się ze snu, chce sobie zdać sprawę z rzeczywistości: „To są domy—mówił sobie— to szyldy, to zapach smoły z pochodni, a tam w górze leży Litka i idziemy na cmentarz...” I nagle zrywała się w nim fala żalu za tem słodkim, kochanem dzieckiem, za tą drogą główką, która tyle razy uśmiechała się do niego. Przypominał ją sobie z dawniejszych i z ostatnich czasów; przypominał z Reichenhallu, gdy ją niósł, wracając z Thumsee; a dalej na wsi u Bigielów, i w mieszkaniu pani Emilii, gdy mówiła, że chciałaby być brzoźką — i wreszcie, gdy na kilka godzin przed śmiercią prosiła Maryni, by za niego wyszła. Połaniecki nie mówił sobie wprost, że Litka kochała się w nim, jak dorosła kobieta, i że, zaręczając go z Marynią, uczyniła akt ofiary, bo i w rzeczywistości nieuświadomione uczucia dziewczynki nie dałyby się może tak ściśle określić; czuł jednak doskonale, że było to coś podobnego i że ofiara miała miejsce, wypłynęła zaś z tego głębokiego i wyjątkowego przywiązania, jakie dziecko dla niego czuło. Ponieważ stratę najdroższych nawet osób odczuwa się przeważnie za pomocą szkody, jaką się osobiście ponosi, więc Połaniecki jał teraz powtarzać sobie: „To była jedyna dusza prawdziwie mnie kochająca! Nie mam teraz nikogo na całym świecie”... I podniósłszy oczy na trumnę, ku temu pasemku płowych włosów, które kołysało się w powietrzu, począł wołać w duszy na Litkę tymi wszystkimi tkliwymi wyrazami, którymi przemawiał do niej za życia. Wreszcie uczuł, że lży duszą go, gdyż to jest

wołanie bez echa. Jest coś rozdzierającego w obojętności zmarłych. Gdy istota, która odczuwała każde spojrzenie, staje się obojętną, kochająca — lodowatą, bliska w codziennem życiu i najbliższa w sercu — uroczystą i daleką, nic nie pomoże powtarzać sobie: „Śmierć! śmierć!"; obok całej boleści, płynącej ze straty, czuje się jeszcze jakby rozdzierający zawód, jakby serdeczną krzywdę, wyrządzoną przez to martwe ciało, które pozostaje głuchem na naszą boleść, nasze wołanie. Połaniecki miał również na dnie duszy uczucie, że Litka, odejmując mu się i idąc w kraj śmierci, wyrządziła mu jakby krzywdę, a przytem z istoty bliżkiej stała się daleką, z poufalej uroczystą — czemś odległym, wysokim, świętem, a zarazem zupełnie obojętnem na rozpacz matki i na głębokie osamotnienie najbliższego przyjaciela. Było w tych uczuciach Połanieckiego wiele egoizmu, ale gdyby nie ów egoizm, który przedewszystkiem własną stratę i własne opuszczenie ma na myśli — ludzie, zwłaszcza wierzący w zagrobowe życie i w zagrobowe szczęście, nie żałowaliby umarłych.

Kondukt wyszedł wreszcie z miasta na otwartzsze, widniejsze przestrzenie, i za roгатką posuwał się wzdłuż cmentarnego muru, przybranego w girlandy żebraków i w girlandy z nieśmiertelników i z choiny, przeznaczone na groby. Szeregi księży w białych komżach, służba pogrzebowa z pochodniami, karawan z trumną i ludzie idący za nim zatrzymali się przed bramą, poczem zdjęto Litkę i Połaniecki, Bukacki, Chwastowski i Bigiel ponieśli ją do grobu ojca.

Ta cisza i pustka, która po każdym pogrzebie

czeka dopiero w domu na ludzi wracających od świeżych grobów, zdawała się tym razem poczynać już na cmentarzu. Dzień był pogodny, blady; z drzew tu i owdzie spływały bez szelestu ostatnie pożółkłe liście; orszak pogrzebowy zmalął wśród tych rozległych białych przestrzeni, które, usiane krzyżami, zdawały się nie mieć końca, jakby naprawdę cmentarz ów otwierał się na nieskończoność. Czarne, bezlistne drzewa, o wierzchołkach złożonych z cienkich i jakby roztopionych w świetle gałązek, podobne do widziadeł szare i białe pomniki, zwiędłe liście pokrywające długie i proste aleje, wszystko to razem czyniło istotnie wrażenie jakichś pól eliżejskich, pełnych głębokiego spokoju, ale i głębokiej sennej melancholii, jakichś „miejsz zimnych i smutnych,“ o których marzyła posępna głowa Cezara i którym miała teraz przybyć jedna więcej „animula vagula.“

Trumna stała wreszcie nad otwartym grobem. Ozwało się rozzdzierające: „Requiem aeternam“ a następnie: „Anima ejus.“ Połaniecki, przez chaos swych myśli i wrażeń, oraz przez zaslonę własnego żalu, widział, jak we śnie, skamieniałą twarz i szklane oczy pani Emilii, łzy Maryni, które go drażniły w tej chwili, blade policzki Bukackiego, z którego rysów widać było wyraźnie, że jego życiowa filozofia, nie mając nic do roboty na tym cmentarzu, opuściła go przed bramą — i trumnę z Litką. Gdy na wieko rzucono garść piasku — on poszedł za przykładem innych, gdy zaś po spuszczeniu na pasach trumny w głąb grobu, zamykano kamienne drzwi, znów porwało go coś za gardło, tak, że wszystko, o czem myślał i co uświadamiał dzisiaj, zmieniło się w jedną

nicość. W duszy powtarzał proste słowa: „Do widzenia, Lituś!“ — które później, gdy je sobie przypominał, wydały mu się również niczem w stosunku do jego męczącej duchowej burzy — i na tem koniec. Orszak pogrzebowy zaczął się zmniejszać i topnieć. Połanieckiego rozbudził po niejakiem czasie wiatr, który nadciągał zdaleka, z pomiędzy krzyżów. Przy grobie spostrzegł teraz panią Emilię z Marynią, Bigielową, Waskowskim i stryjem Litki. Powiedział sobie, że wyjdzie ostatni — i czekał, powtarzając znów w duszy słowa: „Do widzenia, Lituś!“ — i myśląc o śmierci, o tem, że on także przyjść musi do tego miasta nagrobków i że to jest ocean, w który spłyną wszystkie myśli, zabiegi, uczucia... Wydało mu się teraz, jakby on i wszyscy, co tam stali przy tym grobie lub odeszli, byli na okręcie, który dąży wprost do przepaści. O życiu pozagrobowem w tej chwili nie myślał.

Tymczasem nadszedł prędki jesienny zmrok. Krzyże stały się jeszcze bledsze. Stary profesor i Chwastowski poprowadzili panią Emilię ku drzwiom cmentarnym, bez żadnego z jej strony oporu. Połaniecki powtórzył raz jeszcze: „Do widzenia, dziecinko!“ — i wyszedł.

Za bramą pomyślał:

— Szczęściem, że matka nieprzytomna, bo co za straszna myśl, że dziecko zostało tam samo! Zmarli opuszczają nas, ale i my ich opuszczamy.

Jakoż zdala ujrzał karete, w której odjeżdżała pani Emilia — i wydawało mu się, że taki porządek rzeczy na świecie ma w sobie coś oburzającego.

Sam jednak, wsiadłszy do doróżki, doznał chwili

egoistycznej ulgi, płynącej z poczucia, że skończył się jakiś akt męczący i ciężki, po którym nastąpi odpoczynek. Po powrocie, własne mieszkanie wydało mu się czcze, bez promyka wesołości, bez otuchy i nadziei; ale gdy przy herbacie wyciągnął się na sofie, ogarnęło go zwierzęce zadowolenie z wypoczynku po trudzie — uczucie ulgi, a nawet jakby zadowolenie z tego, że pogrzeb skończony i Litka pochowana, ogarnęło go po raz drugi. Przypomnił sobie wówczas zdanie jakiegoś myśliciela: „Nie znam zbrodniarzy, znam tylko ludzi uczciwych — i ci są ohydni.“ Połaniecki wydawał się sobie w tej chwili obrzydliwym.

Wieczorem przypomniał sobie, że trzeba dowiedzieć się jednak o panią Emilię, którą Marynia miała zabrać na kilka tygodni do siebie. Wychodząc, spostrzegł na stole fotografię Litki i ucałował ją. W kwadrans później zadzwonił do Pławickich.

Służący powiedział mu, że pan wyszedł, ale prócz pani Chwastowskiej, jest profesor Waskowski i ksiądz Chylak. W saloniku przyjęła go Marynia, źle uczesana, z czerwonymi oczyma, prawie brzydka. Natomiast dawniejszy sposób jej obejścia się z nim zmienił się zupełnie, jakby Marynia zapomniiała o wszystkich urazach wobec rzeczy bardziej nieszczęsnych.

— Emilka jest u mnie — poczęła szeptać. — Źle się ma, ale zdaje się, że przynajmniej rozumie, co się do niej mówi. Jest przy niej profesor Waskowski... On tak z serca mówi... Czy pan chce koniecznie widzieć Emilkę?

— Nie, pani. Przyszedłem tylko dowiedzieć się, jak się ma i zaraz idę.

— Nie wiem... może ona zechce pana zobaczyć. Niech pan chwilę odpocznie, a ja pójdę tam i wspomnę, że pan przyszedł. Litka tak pana kochała, że dla tego samego może Emilce będzie miło widzieć pana.

— Dobrze — rzekł Połaniecki.

Marynia odeszła do przyległego pokoju, ale widocznie nie mogła zaraz zacząć rozmowy, Połanieckiego bowiem doszedł przez odemknięte drzwi nie jej głos, lecz głos Waskowskiego, pełen akcentów głębokiego przekonania, a przytem jakby wysilenia, starającego się przebić pancierz nieczułości i boleści.

Stary profesor mówił:

„.....To tak, jakby wyszła do drugiego pokoju po zabawkę — i jakby miała zaraz wrócić... Ona nie wróci, ale pani pójdziesz do niej. Moja droga pani, patrz na śmierć nie od strony ziemi, ale od strony Boga. Dziecko żyje i szczęśliwe, bo samo będąc w wieczności, patrzy na to rozłączenie się wasze, jak na jedno mgnienie oka. Litka żyje — mówił dalej z naciskiem — żyje i szczęśliwa. Ona widzi, że pani idziesz ku niej i wyciąga do ciebie ręce, i wie, że za chwilę nadejdiesz, bo ze strony Boga życie i boleść to mniej, niż mgnienie oka — a potem wieczność, razem — z Litką, pomyśl najdroższa pani — z Litką, w spokoju, w weselu... bez chorób, bez śmierci. Światy miną, a wy będziecie razem“...

A Połaniecki pomyślał z goryczą:

— Dobrzeby było, gdyby to było pewne...

Po chwili zaś:

— Gdybym tak czuł, tobym miał po co tam wchodzić. Inaczej nie!

Jednakże, wbrew tej myśli, wszedł, nie czekając nawet na powrót Maryni, bo wydało mu się, że jeśli nie miał powodu, to miał powinność, i że nie wolno mu tchórzyć przed cudzą boleścią. Egoizm jest „bawelną w uszach od ludzkiego jęku,” a tłumaczy się sam przed sobą, że wielkiej boleści nie można powiedzieć nic takiego, coby ją pocieszyło. Połaniecki rozumiał, że tak jest, i wstyd mu było cofać się wygodnie, zamiast pójść naprzeciw żalowi matki. Wszedłszy, spostrzegł panią Emilię siedzącą na sofce; nad sofką stała lampa, a poniżej palma, która rzucała na tę nieszczęsną głowę cień, jakby olbrzymich rozpostartych nad nią palców. Przy pani Emilii siedział Waskowski i, trzymając ją za ręce, patrzył w jej twarz. Połaniecki odjął mu te ręce i, pochyliwszy się ku nim, począł je w milczeniu do ust przyciskać.

Pani Emilia mrugała chwilę oczami, jak ktoś usiłujący rozbudzić się ze snu, poczem nagle zawołała z niespodzianym wybuchem:

— Pamięta pan, jak ona...

I porwał ją płacz ogromny, przy którym ściskają się ręce, usta nie mogą tchu złapać i piersi pękają od lkań. W końcu zabrakło jej sił i zemdląca. Gdy przyszła znów do siebie, Marynia wyprowadziła ją do swego pokoju. Połaniecki wraz z Waskowskim wyszli do przyległego saloniku, gdzie ich zatrzymał Pławicki, który tymczasem wrócił z miasta.

— Taka smutna osoba w domu — rzekł im — to bardzo psuje życie; należałoby mi się trochę spokoju i swobody; ale cóż robić, cóż robić! — muszę zejść na drugi plan, i gotów jestem...

Po upływie pół godziny przysła na chwilę Marynia z doniesieniem, że pani Emilia położyła się na jej prośby i że jest nieco spokojniejsza. Połaniecki i Waskowski poczęli się żegnać i wyszli.

Szli w gęstej mgłę, która nocą wstała od ziemi po dniu pogodnym, przesłaniając ulice i czyniąc koło latarni różnobarwne kręgi. Obaj rozmyślali o Litce, która spędzała pierwszą noc zdala od matki, wśród zmarłych. Połanieckiemu wydało się to wprost straszne, nie dla Litki, ale dla pani Emilii, która musiała o tem myśleć. Rozważał sobie również słowa Waskowskiego, mówione do niej, i w końcu ozwał się:

— Słyszałem, co pan mówił... Jeśli jej to sprawiło ulgę, to dobrze; ale widzi pan, żeby to był pewnik, to powinniśmy sobie teraz... bo ja wiem?... chyba ucztę wyprawić i cieszyć się, że Litka umarła.

— A skąd wiesz, że się nie będziemy cieszyli po śmierci?

— To pan powiedz, skąd wiesz, że tak będzie?

— Ja nie wiem; ja wierzę.

Na to nie było co rzec — więc Połaniecki mówił, jakby do siebie:

— Miłosierdzie, empiryjskie światło, wieczność — połączenie — a w rzeczywistości co? — trup dziecka na cmentarzu i matka, która wije się z bólu... Niechby

śmierć rodziła przynajmniej tę pańską wiarę, ale ona rodzi zwątpienie. Bo panu jednak tego dziecka żal, a mnie jeszcze więcej, i ten żal wprost narzuca mi pytanie: dlaczego ona umarła? po co takie okrucieństwo? Wiem, że to głupie pytanie, i że miliardy ludzi je sobie zadawały; ale jeśli to ma być pociecha, to niechże ją piorun trzaśnie! Wiem także, że nie znajdę odpowiedzi, ale dlatego chce mi się zgrzytać i kłąć... Nie rozumiem — i buntuję się — ot i wszystko! To cały skutek, którego i pan nie możesz uznać za pożądany.

Waskowski odpowiedział również, jakby mówił sam do siebie:

— Chrystus zmartwychwstał, bo był Bogiem, ale jako człowiek i on przeszedł przez śmierć. Cóż ja, lichy robak, mogę innego uczynić, jak wielbić wolę i mądrość bożą w śmierci?

Na to Połaniecki odrzekł:

— Z panem niema co mówić.

— Ślizko jest — odrzekł Waskowski — podaj mi rękę.

I wzięwszy Połanieckiego pod ramię, wsparł się na nim i mówił dalej:

— Mój drogi! ty masz poczciwe i kochające serce, ty bardzo kochałeś tę małą, byłbyś wiele dla niej uczynił — nieprawda? — zróbże jeszcze to jedno: wierzysz, czy nie wierzysz, zmów za nią: „Wieczny odpoczynek...“ Jeśli myślisz, że jej się to na nic nie przyda, powiedz sobie: „Więcej jednak nic już dla niej nie mogę, a to jedno mogę...”

— Daj mi pan spokój! — odpowiedział Połaniecki.

— Jej to może być niepotrzebne, ale jej będzie

miła pamięć twoja, ona będzie ci wdzięczna i wyprosi ci łaskę bożą.

Połaniecki wspomniał, jak Waskowski, na wieść o ostatnim ataku Litki, mówił, że życie dziecka nie może być bezcelowem i że jeśli ono ma umrzeć, to prawdopodobnie przeznaczonem mu jest przed śmiercią coś spełnić. I teraz chciał napaść z tego powodu na Waskowskiego, gdy nagle uderzyła go myśl, że jednak Litka przed śmiercią połączyła go z Marynią.

I mimowoli nasunęło mu się pytanie: „A może ona dlatego żyła?” Lecz w tejże chwili począł się buntować przeciw tej myśli. Chwycił go nagły gniew na Marynię, pełen zawziętości i niemal pogardy.

— Ja nie chcę tamtej za taką cenę — pomyślał, ścisnąwszy zęby. — Nie chcę! Dość sam się przez się namęczyłem. Oddałbym takich dziesięć za jedną Litkę!

A tymczasem Waskowski, drepcąc koło niego, mówił:

— Nie widać nic na krok i kamienie oślizły od mgły. Żeby nie ty, byłbym się już dawno przewrócił.

A Połaniecki ochłonął i odrzekł:

— Bo widzisz, panie profesorze, kto chodzi po ziemi, musi na dół patrzeć, nie do góry.

— Ty masz dobre nogi, mój kochany.

— I oczy, które widzą jasno, nawet w takiej mgle, która nas otacza. Bo my wszyscy żyjemy we mgle, a za nią licho wie, co jest. Wszystko, coś pan mówił, robi mi takie wrażenie, jakby ktoś kruszył suche gałązki, rzucał je w potok i mówił, że z tego będą kwiaty. Będzie zgnilizna i nic więcej... Mnie także coś ten potok porwał,

z czego myślałem, że będzie kwiat. Głupstwo!... Ale, ot, pańska brama! — dobranoc!

I rozstali się. Połaniecki wrócił do siebie ledwie żywy ze zmęczenia, i położywszy się, począł się w dalszym ciągu męczyć myślami a raczej widzeniami. Naprzód stanęła mu przed oczyma ubezwładniona bólem postać pani Emilii, siedząca w saloniku Maryni, pod liściem palmowym, który zwieszał się nad jej głową, jak ogromna, złowroga ręka, z rozpostartymi, drapieżnymi palcami, i rzucał cień na jej twarz. „Mógłbym nad tem filozofować do jutra rana — mrucał do siebie. — Wszystko, z czego się składa życie, to taka ręka, od której pada cień — nic więcej! Bo gdyby przytem było jeszcze trochę miłosierdzia, toby to dziecko nie umarło — a tem, co mówi Waskowski, i wróbel się nie nakarmi“.

Tu jednak przypomniał sobie, iż Waskowski nie tylko mówił o śmierci, ale prosił go jeszcze, by zmówił za Litkę „Wieczny odpoczynek“. Połaniecki począł teraz walczyć z sobą. Brak głębszej wiary, by Litka mogła słyszeć jego „Wieczny odpoczynek“ i by mógł on się jej na co przydać, zamykał mu usta. Czuł przytem jakby pewien wstyd mówić słowa, które nie płynęły z głębi jego przekonania, a jednocześnie czuł taki sam wstyd nie uczynić tego. „Bo wreszcie, co ja wiem? — myślał. — Nic. Naokół mgła i mgła. Prawdopodobnie nic jej z tego nie przyjdzie, ale, bądźco bądź, jest to istotnie jedyna rzecz, którą mogę jeszcze uczynić dla mojego „kociątka“, dla tego drogiego dziecka, które w dniu śmierci myślało o mnie“.

I czas jakiś wahał się jeszcze, poczem jednak klęknął na łóżku i mówił: „Wieczny odpoczynek“.

Nie przyniosło mu to wszelako żadnej pociechy, bo rozbudziło tylko tym większy żal za Litką, a jednocześnie złość na Waskowskiego za to, że go zapędził w położenie, w którym musiał albo wpaść w sprzeczność z samym sobą, albo zdradzić niejako Litkę. Poczul wreszcie, że ma dość tego rodzaju szarpaniny, i postanowił nazajutrz pójść od rana do biura i zająć się wraz z Bigielem pierwszą lepszą sprawą handlową, byle tylko oderwać myśl od tego bolesnego, błędnego koła, w którym się od kilku dni kręcił.

Lecz nazajutrz Bigiel uprzedził go i przyszedł sam do niego, może także w tym celu, by go zająć czem innym. Połaniecki rzucił się z pewną chciwością do rozpatrywania bieżących interesów — nie mogli jednak obaj z Bigielem długo się nimi zajmować, bo w godzinę później zjawił się Bukacki z pożegnaniem.

— Jadę dziś do Włoch i Bóg wie, kiedy wrócę — rzekł — chciałem wam powiedzieć: Bądźcie zdrowi! Śmierć tego dziecka dotknęła mnie więcej, niżem się spodziewał...

— I dlatego wyjeżdżasz?

— Dużoby o tem mówić. U nas, widzisz, to się tak powiada, że się jest buddystą, czy też czem ci się podoba — a w gruncie rzeczy trochę się wierzy, trochę ufa w... jakieś miłosierdzie... i tem się żyje. Tymczasem co? Oto rzeczywistość bije nas codzien po fizyognomii — i wprowadza w duchową rozterkę, w zmartwienie, w moralny ucisk. Tu się wiecznie coś albo kogoś kocha, wiecznie się cudzem nieszczęściem martwi, a ja tego nie chcę. To mnie męczy...

— W czym ci pomogą Włochy?

— W czym mi pomogą? Bo tam mam słońce, którego tu nie mam; mam sztukę, której tu nie mam. a do której czuję słabość; mam *chianti*, które mi dobrze robi na katar żołądka, i w końcu mam ludzi, którzy mnie nic a nic nie obchodzą i którzy mogą sobie sektkami umierać bez żadnej dla mnie przykrości. Będę patrzył na obrazy, będę sobie kupował, co mi potrzeba, pielęgnował swoje reumatyzmy, swój ból głowy, i będę sobie mniej więcej wykwiłtnem, mniej więcej sytem i mniej więcej zdrowem zwierzęciem — co, wierz mi, jest jeszcze najbardziej pożądanym rodzajem i stanem życia. Tu nie mogę być dostatecznie bydlęciem, a z duszy chcę niem być.

— Masz rację, Bukacki. My oto, widzisz, siedzimy w rachunkach, także trochę dlatego, żeby się skretynizować i nie myśleć o czym innym. Jak zrobimy taki majątek, jaki ty masz, to — nie wiem, jak Bigiel — ale ja pójdę twoim śladem.

— Zatem, do widzenia w czasie i przestrzeni! — rzekł Bukacki.

W chwilę po jego wyjściu Połaniecki rzekł:

— On ma słusność. Ile jabym był naprzykład szczęśliwszy, gdybym się nie był przywiązał do tego dziecka i do pani Emilii. My jesteśmy pod tym względem nieuleczalni i psujemy sobie dobrowolnie życie. On ma słusność. Tu zawsze się coś lub kogoś kocha. To dziedziczna choroba... Wieczny romantyzm, wieczny sentymentalizm — i wieczne kolki w sercu...

A Bigiel rzekł:

— Kłania ci się stary Pławicki. Ten nie kocha nikogo, prócz siebie.

— W rzeczywistości może tak jest, ale jemu brak i rozum i odwagi, żeby sobie powiedzieć, że tak wolno i tak trzeba. Owszem. Jest przekonany, że trzeba inaczej i przez to jest w ciągłej niewoli. Tu, choć ktoś ma taką naturę, jak on, to jeszcze musi udawać, nawet przed sobą samym, że coś lub kogoś kocha.

— A będziesz dziś u pani Emilii? — spytał Bigiel.

— Naturalnie! Gdybym ci na przykład powiedział, że mam malaryę, to tem samem jeszczebym się z niej nie wyleczył.

I rzeczywiście, nietylko tego dnia był u pani Emilii, ale był dwa razy, albowiem za pierwszą bytnością nie zastał tych pań w domu. Pławicki, na zapytanie, gdzie jest córka, odpowiedział mu z odpowiednim patosem i rezygnacją: „Ja nie mam teraz córki!“ — Połaniecki, nie chcąc mu nawymyślać, do czego-uczul nagle ochotę, wyszedł i powrócił dopiero wieczorem.

Tym razem wyszła znów do niego sama Marynia i oznajmiła mu, że pani Emilia zasnęła po raz pierwszy od pogrzebu Litki. Mówiąc to, trzymała czas jakiś rękę w jego dłoni. Połaniecki, mimo całej rozterki, w jakiej były jego myśli, nie mógł tego nie zauważyć, a gdy spojrzal wreszcie pytającym wzrokiem w jej oczy, dostrzegł, że policzki panienki zarumieniły się lekko. Tymczasem siedli obok siebie i poczęli rozmawiać:

— Byłyśmy na Powązkach — rzekła Marynia — i obiecałam Emilce, że będziemy tam jeździły codziennie.

— Czy to dla niej dobrze, tak sobie co dnia przypominać dziecko i rozdzierać rany?

— Ach, albowż one zaschły? — odpowiedziała Marynia — i czy jest możność powiedzenia jej: „Nie jedź!” Ja sama myślałam, że to będzie niedobrze; ale przekonałam się, że przeciwnie. Na Powązkach płakała bardzo, ale było jej lepiej. Wracając, przypomniała sobie, co jej mówił profesor Waskowski — i ta myśl, to dla niej jedyna pociecha — jedyna!

— Niechże ma choć taką — odpowiedział Polański.

— Widzi pan, ja nie śmiałam jej z początku wspomnieć o Litce, ale ona ciągle o niej mówi. Niech pan także nie obawia się mówić jej o niej, bo to jej sprawia widocznie ulgę...

Tu panienska poczęła opowiadać jeszcze bardziej niższym i jakby niepewnym głosem:

— Ona sobie ciągle wyrzuca, że tej ostatniej nocy posłuchała zapewnień doktora i poszła spać. Jej żal tych straconych chwil, które mogła spędzić z Litką, i ta myśl nurtuje ją. Dziś, gdy wróciliśmy z cmentarza, poczęła mnie wypytywać o najdrobniejsze szczegóły: jak dziecko wyglądało, jak długo spało, czy brało lekarstwo i co przytem mówiło, czy odzywało się do nas?... Przytem zaklinała mnie, żebym sobie przypomniała wszystko i że bym nie opuściła żadnego słowa.

— I pani nie pominęła niczego?...

— Nie.

—Jak ona to przyjęła?

— Bardzo, bardzo płakała.

Oboje umilkli i milczeli dość długo, poczem Marynia rzekła:

— Pójdę zobaczyć, co się z nią dzieje.

Po chwili wróciła:

— Śpi — rzekła. — Chwała Bogu!

Jakoż Połaniecki nie widział tego wieczora pani Emilii, która zapadła jakby w letargiczny sen. Przy pożegnaniu Marynia znów uścisnęła długo i silnie jego rękę i niemal z pokorą spytała:

— Pan mi nie ma za złe tego, że ja powtórzyłam Emilce ostatnie życzenie Litki?

— W takich chwilach — odpowiedział Połaniecki — nie umiem myśleć o sobie. Mnie chodzi tylko o panią, Emilię i jeśli słowa pani sprawiły jej ulgę, to pani za nie dziękuję.

— Więc do jutra? prawda?

— Do jutra.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł, a schodząc ze schodów, myślał:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

I nie mylił się. Marynia uważała go za narzeczonego. Nie był on jej nigdy obojętnym; owszem, siła urazy była w niej miarą tego niezwykłego zajęcia, jakie w niej obudził. A przytem, w czasie choroby i pogrzebu Litki mógł on sam odkrywać w sobie niezgłębione pokłady egoizmu — jej wydał się tak dobrym, że po prostu nie miała go z kim porównać. Reszty dokonały słowa Litki. W istocie rzeczy jej serce pragnęło przede wszystkim kochać — i teraz — skoro raz przyrzekła Litce w chwili jej śmierci, skoro raz zobowiązała się do

kochania i do zamążpójścia, wydało się jej, że gdyby nawet nie kochała, powinna to sobie nakazać — i że nie wolno jej już nie kochać. Połaniecki wszedł w sferę jej obowiązku, należała zaś do tych prostych kobiecych natur, dotychczas wcale jeszcze nie rzadkich, dla których życie i obowiązek znaczą jedno i to samo, i które dlatego do obowiązku wnoszą dobrą wolę, i nie tylko dobrą, ale bardzo wytrwałą.

Taka zaś wola prowadzi za sobą miłość, która świeci jak słońce, grzeje jak jego ciepło i koi jak błękitne, pogodne niebo. W ten sposób życie nie staje się suchym krzakiem cierniowym, który kole, tylko kwiatem, który kwitnie i upaja.

Ta, prawa w myślach a zarazem prosta i delikatna w uczuciach, wiejska panna, posiadała ową zdolność do życia i do szczęścia w najwyższym stopniu.

To też, gdy Połaniecki odszedł, ona, rozmyślając o nim, nie nazywała go już w duszy inaczej, tylko: „Pan Stach!“ Bo też to już i był jej „Pan Stach.“

Połaniecki zaś, kładąc się spać, powtórzył sobie nieco mechanicznie:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

Śmierć Litki i przejścia ostatnich dni odsunęły nie tylko w myślach, ale i w jego sercu, Marynię na dalsze, a nawet bardzo dalekie plany.

Teraz znów począł myśleć o niej i zarazem o swej przyszłości. I nagle ujrzał jakby chmurę niezliczonych pytań, na które w tej chwili przynajmniej nie miał żadnej odpowiedzi.

Czuł tylko przed niemi strach; czuł, że na razie

brakuje mu zarówno sił i ochoty, żeby podjąć ten trud. Znow zacząć żyć dawnym życiem, znow wpaść w to sentymentalne koło błędne, znow niepokoić się, znow wysilać, zabiegać o rzeczy, które przynoszą tylko gorycz, porać się z sobą z uczuciowych powodów? Czy nie lepiej pilnować rachunków z Bigielem, zbijać pieniądze, by kiedyś ruszyć, jak Bukacki, do Włoch lub gdzieindziej, gdzie jest słońce, sztuka, wino dobre na żołądek i przede wszystkim ludzie obojętni, których szczęście serca przybysza nie rozpromieni, ale za to śmierć lub niedola nie wycisną ani jednej łzy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine of five cents a day is incurred
by retaining it beyond the specified
time.

Please return promptly.

DUE MAR 28 1922

DUE DEC 26 1922

DUE MAR 2 1925

DUE JUL 28 1923

